

JOSE
SARAMAGO

KAMIENNA
TRATWA

Przełożył Wojciech Charchalis

DOM WYDAWNICZY REBIS Poznań 2003

Cała przyszłość jest bajeczna.
Alejo Carpentier
Iberia ma kształt wolej skóry.
Strabon
Półwysep Iberyjski ma kształt tratwy.
portugalski anonim

Kiedy Joana Carda za pomocą wiazowego patyka zrobiła na ziemi kreskę, rozszczeły się wszystkie psy w Cerbère, wprawiając w przerażenie wszystkich mieszkańców, wszak od zamierzonych czasów wierzono, że skoro zaszczekają z dawien dawna nieme stworzenia psiej rasy, to będzie znaczyło, iż świat ma się ku końcowi. W jaki sposób powstał ten przesąd, albo silne przekonanie, co w wielu przypadkach jest alternatywnym określeniem tego samego, nikt dziś nie potrafi sobie przypomnieć, chociaż dzięki odwiecznej grze polegającej na słuchaniu historii i powtarzaniu jej z nowym przecinkiem francuscy dziadkowie zwykli zabawić swe wnuki bajką o tym, że dokładnie w tamtym miejscu, w gminie Cerbère, w departamencie wschodnich Pirenejów, w dawnych mitycznych czasach zwykł szczekać trójgłowy pies reagujący właśnie na imię Cerbère, gdy przywoływał go przewoźnik Charon, jego pan. Inną sprawą, o której też nic nie wiadomo, jest to, jakim mutacjom uległ słynny i donośnie szczekający ród czworonogów, aż zdegenerowanych, jednogłowych potomków Cerbère'a dopadła historyczna i potwierdzona niemota. Jednakże, i o tym punkcie doktryny nie wiedzą tylko nieliczni, szczególnie ci z pokolenia wegetarian, pies Cerber, bo tak się to zapisuje w naszym portugalskim języku i tak się powinno wymawiać, strzegł bram piekła, aby duszyczki nie odważyły się go porzucić, i nagle, być może dzięki ostatecznej litości umierających już bogów, zamilkły przyszłe psy na całą wieczność, żeby zobaczyć, czy ciszą da się wymazać z pamięci piekielne miejsce. Ponieważ jednak zawsze nie może trwać wiecznie, jak dobitnie nauczył nas wiek nowoczesności, wystarczyło, że w tych dniach, o setki kilometrów od Cerbère, w pewnym miejscu Portugalii, którego nazwę przypomnimy sobie trochę później, kobieta zwana Joana Carda narysowała na ziemi linię wiazowym patykiem, aby wszystkie psy w odległej wiosce wyszły na ulicę z jazgotem, choć, powtórzmy to jeszcze raz, nigdy wcześniej nie szczekały. Gdyby ktoś zapytał Joanę Cardę, skąd przyszło jej do głowy narysować linię patykiem, co przystoi raczej młodym panienkom niż poważnym kobietom, czy nie pomyślała o konsekwencjach czynu, który zdawał się nie mieć sensu, a takie czyny, zaprawdę powiadam wam, zwykle stanowią największe zagrożenie, być może by odpowiedziała, Nie wiem, co się ze mną

stało, patyk leżał na ziemi, podniosłam go i narysowałam kreskę. Nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogła to być czarodziejska różdżka. Na czarodziejską różdżkę wydawał mi się za duży, poza tym zawsze słyszałam, że czarodziejskie różdżki są zrobione ze złota i kryształu, emanują światłem i mają gwiazdkę na czubku, Wiedziałam, że patyk jest z wiązu, Nie znam się na drzewach, ale powiedziano mi później, że wiąz to to samo co ulmus, a ulmus z kolei to to samo co olmo, żadne z nich nie ma nadprzyrodzonej mocy, nawet kiedy zmienia się nazwy, zresztą i tak jestem zdania, że zapalka dałaby taki sam efekt, Dlaczego pan to mówi, Co musi się wydarzyć, wydarzy się, i nie można temu zaradzić, tysiące razy słyszałam to od starszych ludzi, Wierzy pan w nieuchronność przeznaczenia, Wierzę w to, co musi się wydarzyć.

W Paryżu śmiano się z błagań mera, który zdawał się dzwonić z psiarni w porze karmienia, i dopiero po usilnych prośbach jakiegoś deputowanego większości, urodzonego i wychowanego w owej gminie, a więc znającego lokalne baśnie i legendy, w końcu wysłano na południe dwóch doświadczonych weterynarzy z Deuxième Bureau ze specjalną misją zbadania niebywałego fenomenu i przedstawienia sprawozdania oraz propozycji planu działania. Tymczasem zdesperowani mieszkańcy, już niemal całkiem głusi, rozrzucili po ulicach i placach niegdyś przytulnego i spokojnego, a teraz piekielnego uzdrowiska, dziesiątki zatrutych ciast, co jest metodą nad wyraz prostą i o skuteczności poświadczoną we wszystkich czasach i pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Ale zdechł zaledwie jeden pies, pozostałe zaś pojęły lekcję, bo w jednej chwili, ujadając, szczekając i wyjąc, zebrały się na polach za miastem, gdzie bez wyraźnej przyczyny w ciągu kilku minut wszystkie zamilkły. Kiedy w końcu przyjechali weterynarze, został im przedstawiony smutny Medor, zimny i spuchnięty, tak odmienny od wesołego zwierzaka, który towarzyszył swej pani na zakupach i który z racji podeszłego wieku uwielbiał wysypiać się na słońcu. Ponieważ jednak sprawiedliwość nie opuściła jeszcze do końca tego świata, Bóg postanowił, poetycznie, że Medor zdechnie po zjedzeniu ciasta przygotowanego przez swą ukochaną panią, która to, żeby już wyjaśnić wszystko do końca, piekła je z myślą o pewnej suce z sąsiedztwa, bez przerwy przesiadującej w jej ogrodzie. Starszy z

weterynarzy w obliczu zwłok powiedział, Zrobimy sekcję, choć nie było to konieczne, bo każdy z Cerbère mógł mu wyjawić przyczynę śmierci Medora, jednak ukrytym celem Fakulteta, j ak nazywano weterynarza w tajnych służbach, było potajemne dokonanie oględzin strun głosowych zwierzaka, który pomiędzy definitywnym zamilknięciem z powodu śmierci i milczeniem za życia, zdającym się definitywnym, zyskał w końcu głos na kilka godzin i mógł być taki sam jak ogół przedstawicieli psiego rodu. Próżne to były wysiłki, Medor nawet nie miał strun. Chirurdzy wpadli w osłupienie, ale mer wygłosił swą opinię, administracyjną i rozsądną, Nic w tym dziwnego, przez tyle wieków psy w Cerbère nie czekały, aż organ im zanikł, No to w jaki sposób nagle, Tego nie wiem, nie jestem weterynarzem, ale nasze problemy się skończyły, chiens znikły, stamtąd, gdzie teraz są, w ogóle ich nie słyhać. Medor, poćwiartowany i źle zeszyty, został wręczony zalanej łzami właścicielce, jak żywy wyrzut sumienia, bo takie są wyrzuty sumienia nawet po swej śmierci. W drodze na lotnisko, na samolot do Paryża, weterynarze zgodzili się, że pominą w raporcie zaskakujący brak strun głosowych. I wydaje się, że było to ostateczne, bo tej samej nocy krążył po Cerbère ogromny pies o trzech głowach, wysoki jak drzewo, ale milczący.

Mniej więcej w tym samym czasie, może kilka dni przed tym, może po tym, jak Joana Carda narysowała linię wiązowym patykiem, jakiś mężczyzna przechadzał się po plaży, działo się to o zmierzchu, kiedy ledwie słyhać szum fal, krótkich i przytłumionych niczym westchnienie bez powodu, i tenże mężczyzna, który później przedstawi się jako Joaquim Sassa, spacerował nad samą granicą przyływu, oddzielającą piasek suchy od mokrego, i od czasu do czasu pochylał się, by podnieść z ziemi muszlę, szczypce kraba, zieloną nitkę wodorostów, nierzadko trawimy czas w ten sposób, a ten samotny spacerowicz tak właśnie trawił siebie. Ponieważ nie miał kieszeni ani siatki, by schować znaleziska, zwracał wodzie szczątki, kiedy miał już ich całą dłoń, morzu co morskie, ziemi co ziemskie. Jednakowoż od każdej zasady istnieją wyjątki, w pewnej chwili Joaquim Sassa podniósł kamień leżący poza zasięgiem fal, był ciężki, szeroki jak dysk, nieregularny, gdyby był z tych innych, poręcznych, o gładkich krawędziach, z tych, co to z łatwością mieszczą się pomiędzy

kciukiem i palcem wskazującym, Joaąuim Sassa rzuciłby go w wodę, by patrzeć, jak podskakuje na falach, dziecięco zachwycony własną zręcznością, aż w końcu kamyk pogrążyłby się w wodzie, gdy wygasłby impet, ten kamień zdawał się mieć określone przeznaczenie, wysuszany słońcem, moczony deszczem, a w końcu wrzucony w ciemne odmęty, aby czekać przez milion lat, aż morze wyparuje albo cofając się, sprawi, że kamień ponownie powróci na powierzchnię ziemi na kolejny milion lat, dając czas następnemu Joaąuimowi Sassie na zejście na plażę i bezwiedne powtórzenie takiego gestu i ruchu, niech nikt nie mówi, Nie zrobię tego, tak pewny i stanowczy nie jest żaden kamień.

Na południowych plażach, o tej cieplej porze, ludzie zażywają ostatniej kąpieli, pływają, bawią się piłką, nurkują albo leżą sobie na unoszonym falami dmuchanym materacu, albo czując na skórze pierwsze podmuchy wieczornej bryzy, przygotowują ciało na pieszczotę ostatnich promieni słońca, które zatrzyma się na powierzchni morza przez sekundę, najdłuższą ze wszystkich, bo na nie patrzymy i ono pozwala na siebie patrzeć. Lecz tutaj, na tej północnej plaży, gdzie Joaąuim Sassa trzyma w dłoni kamień, tak ciężki, że już zmęczyła mu się ręka, wieje zimny wiatr, a słońce zanurzyło się do połowy, nawet mewy nie latają nad falami. Joaąuim Sassa rzucił kamień, spodziewał się, że upadnie 0 kilka kroków od niego, niemal u jego stóp, każdy z nas jest zobowiązany należycie oceniać własne siły, nie było tam przecież świadków, mogących śmiać się z nieudacznego dyskobola, a on był przygotowany na śmiech z samego siebie, ale nie stało się to, czego się spodziewał, ciężki i ciemny kamień wzniósł się w powietrze, opadł i uderzył w wodę, potem znowu się wzniósł w wysokim locie albo skoku i znowu opadł, i wzniósł się, w końcu pogrążył się w wodzie w oddali, jeżeli ta odległa biel, którą dostrzegają nasze oczy, nie jest tylko pianą z grzbietu fali. Jak to się stało, zapytał siebie zaskoczony Joaąuim Sassa, jak to się stało, że ja tak skąpo wyposażony w siły przez naturę, rzuciłem tak daleko tak ciężki kamień w ciemniejące już morze, i nie ma tu nikogo, kto by mi powiedział, Bardzo dobrze Joaąuimie Sassa, jestem twoim świadkiem do Księgi Rekordów Guinnessa, taki wyczyn nie może popaść w zapomnienie, co za pech, jeśli opowiem komukolwiek, co mi się przytrafiło, nazwą mnie kłamcą.

Z daleka nadciągała bardzo wysoka fala, spieniona i hucząca, a więc jednak kamień rzeczywiście wpadł w morze, oto efekt znany od czasów rzek dzieciństwa, o ile w dzieciństwie miało się jakąś rzekę, kamień rzucony w wodę powoduje koncentryczne fale. Joaquim Sassa pobiegł w górę plaży, a fala rozbiła się na piasku i zabrała ze sobą muszle, szczypce krabów, zielone i inne wodorosty, brunatnice, kra- snorosty. I mały kamień, poręczny, z tych, co to mieszczą się pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, który od iluż to lat nie widział światła słonecznego.

Trudną jest sztuka pisania, jedną z najwyższych odpowiedzialności, wystarczy pomyśleć choćby o wyczerpującej pracy chronologicznego ułożenia wszystkich wydarzeń, najpierw to, potem tamto, a jeśli bardziej nam pasuje do okoliczności, dla wywołania lepszego efektu, postawić dzisiejsze wydarzenia przed wczorajszymi, i inne nie mniej ryzykowne akrobacje, to przeszłość jakby wydarzała się teraz, a terażniejszość jawi się jako nieprzerwany ciąg wydarzeń bez początku i końca, ale bez względu na to, jak mocno będą natężyć się autorzy, jednego wyczynu nie są w stanie dokonać, zapisać w jednej chwili dwóch wydarzających się jednocześnie przypadków. Są tacy, którym się zdaje, że można rozwiązać to zagadnienie poprzez podzielenie strony na dwie kolumny, jedna obok drugiej, lecz jakże naiwny jest ten przemyślny fortel, bo i tak najpierw zapisuje się jedno, a później drugie, a nie zapominajmy, że czytelnik wprzód będzie musiał odczytać tę, a dopiero potem tamtą kolumnę, albo na odwrót, dobrze sobie z tym radzą jedynie operowi śpiewacy, każdy wyśpiewuje swoją część na koncercie, trzech, czterech, pięciu, sześciu, spośród tenorów, basów, sopranów i barytonów, każdy śpiewa inne słowa, na przykład, cynik szydzi, niewinna błaga, amant się spóźnia, melomana interesuje tylko muzyka, a czytelnik już taki nie jest, chce, żeby wszystko mu dokładnie wyjaśnić, sylaba po sylabie, i jedno po drugim, jak to widać w tym miejscu. Dlatego po opowiedzeniu tego, co się przytrafiło Joaquimowi Sassie, dopiero teraz opowie się o Pedrze Orce, mimo że rzucenie kamienia przez Joaquina i wstanie Pedra z fotela wydarzyło się dokładnie w tej samej chwili, choć zegary wskazywały różnicę godziny, bo taka istnieje pomiędzy Hiszpanią i Portugalią.

Wiadomo, że każdy skutek ma swą przyczynę, taka jest

powszechnie uznawana prawda, jednakowoż nie sposób uniknąć niektórych błędów rozumu albo zwykłej identyfikacji, bo możemy ustalić, że ten oto skutek spowodowała taka a taka przyczyna, a w rzeczywistości była ona inna, zdecydowanie wykraczająca poza możliwości naszego rozumu i wiedzę, jaką zdawało nam się, że mamy. Na przykład wydaje się poświadczone, że psy w Cerbère zaczęły szczekać, bo Joana Carda narysowała na ziemi linię patykiem z wiązu, a przecież tylko bardzo łatwowierne dziecko, o ile jakieś jeszcze się uchowało ze złotych czasów łatwowierności, albo niewinne, jeśli można wezwać nadaremnie święte imię niewinności, dziecko zdolne uwierzyć, że zamykając dłoń, schowało w niej słoneczne światło, jedynie ono uwierzyłoby, że z takiego powodu mogły szczekać psy, którym wcześniej nie było to dane zarówno ze względów historycznych, jak i fizjologicznych. W dziesiątkach i dziesiątkach tysięcy osad, wiosek, miasteczek i miast nie brak ludzi, którzy by się zaklinali, że są przyczyną albo przyczynami czy to szczekania psów, czy czegokolwiek innego, bo trzasnęli drzwiami albo obcięli paznokiec, albo zerwali owoc, albo odsunęli zasłonę, albo zapalili papierosa, albo umarli, albo, nie ci sami, urodzili się, tego rodzaju hipotezy o śmierci i narodzinach najtrudniej byłoby przyjąć, biorąc pod uwagę, że to sam umierający albo przychodzący na świat musiałby je wysunąć, a przecież noworodek nie wychodzi rożgadany z matczynego brzucha, a zmarły nie wchodzi do brzucha ziemi, wygłaszając tyradę. I nic nie zmieni argumentowanie, że każdy ma aż nadto powodów, aby uważać się za przyczynę wszystkich skutków, tych, o których dotąd mówiliśmy, i tych, które należą wyłącznie do nas, i od nich zależy funkcjonowanie świata, chciałbym zobaczyć, jak też ten świat będzie wyglądał, kiedy nie będzie ludzi i skutków, które tylko oni powodują, lepiej nie myśleć o takim bezmiarze, bo może się zakręcić w głowie, wystarczyłoby jednak, że przetrwają jakieś zwierzątka, owady i będą jakieś światy, świat mrówki, szarańczy, ludzie nie będą odsuwać firanek, nie będą patrzeć na siebie w lustrze, i co z tego, jedyną prawdą jest to, że świat nie może umrzeć.

Powiedziałby Pedro Orce, gdyby się na to poważyl, że przyczyną drżenia ziemi było jego uderzenie o nią stopami, kiedy wstawał z krzesła, mocne to przekonanie, jego, nie nasze, bo my

lekkomyślnie powątpiewamy, skoro każda osoba zostawia na świecie przynajmniej jeden ślad, ten mógł być śladem Pedra Orce, dlatego oświadcza on, Postawiłem nogi na ziemi i ona zadrżała. Zdumiewający to był wstrząs, nikt nie okazał, że go odczuł, a nawet teraz, po upływie dwóch minut, kiedy fala na plaży już odpłynęła i Joaquim Sassa mówi sam do siebie, Jeśli komuś to opowiem, powiedzą, że jestem kłamcą, ziemia drży, jak wibruje struna, która już nie wydaje dźwięku, Pedro Orce czuje to w podszwach stóp, ciągle to czuje, kiedy wychodzi z apteki na ulicę i widzi, że nikt niczego nie spostrzegł, to tak, jakby popatrzeć na gwiazdę i powiedzieć, Jakie piękne światło, jaka wspaniała gwiazda, nie wiedząc, że ona zgasła w połowie zdania, jeszcze dzieci i wnuki powtórzą te słowa, biedacy, mówią o czymś, co już umarło, ale oni myślą, że żyje, lecz nie tylko w astronomii zdarzają się takie pomyłki. Tutaj jest odwrotnie, wszyscy by się zarzekali, że ziemia jest solidna i nieruchoma, a tylko Pedro Orce przysięgłby, że drży, dobrze chociaż, że milczy i nie wybiegł przerażony, zresztą ściany się nie kołyszą, wiszące lampy są jak murarski pion, a ptaszki w klatkach, które zwykle jako pierwsze ostrzegają, spokojnie śpią na swych żerdkach, z łebkami wsuniętymi pod skrzydła, igła sejsmografu rysowała i nadal rysuje prostą poziomą linię na papierze milimetrowym.

Następnego ranka jakiś mężczyzna idzie równiną, pełną krzaków i podmokłych łąk, szedł gościńcami i ścieżkami pośród drzew, wysokich jak nazwa, jaką im nadano, wierzby i jesiony, i gąszcz tamaryszków ze swym afrykańskim zapachem, człowiek ten nie mógł wybrać większego pustkowiecia i wyższego nieba, a nad nim z niesłychanym piskiem leciało, towarzysząc mu, stado szpaków, tak liczne, że tworzyło ogromną, ciemną chmurę, jakby burzową. Kiedy mężczyzna się zatrzymywał, szpaki latały w kółko albo zgiełkliwie zlatywały na jakieś drzewo, nikły pomiędzy gałęziami i trzęsły wszystkimi liśćmi, korona rozbrzmiewała ostrymi, gwałtownymi piskami, zdawało się, że rozgrywała się pod jej osłoną okrutna bitwa. Wznawiał marsz Jose Anaięo, bo tak się nazywał mężczyzna, i szpaki podrywały się do lotu, wszystkie jednocześnie, fruouuuuuuuuuuu. Gdybyśmy, nie wiedząc, kim jest ten człowiek, chcieli to zgadnąć, powiedzielibyśmy, że być może z zawodu jest ptasznikiem albo niczym wąż ma dar hipnotyzowania

ptaków wzrokiem i zdolność przyciągania, podczas gdy tak naprawdę Jose Anaięto wie o przyczynach skrzydlatego festiwalu tyle co my, Czego mogą chcieć ode mnie te istoty, niech nas nie dziwi to rzadko używane słowo, zdarzają się dni, kiedy nie ma się ochoty używać pospolitych.

Szedł piechur ze wschodu na zachód, tak się złożyła droga i spacer, ale ponieważ musiał ominąć wielkie mokradło, łukiem zawrócił na południe, wzdłuż brzegu. Około południa zaczęło się ocieplać, póki co wieje chłodna i przejrzysta bryza, szkoda, że nie można jej schować do kieszeni na czas upału. Szedł José Anaięto, oddając się takim rozmyśleniom, mętnym i bezwiednym, jakby do niego nie należały, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że szpaki zostały w tyle, fruwały w oddali, gdzie gościniec zakręca, aby podążyć wzdłuż mokradła, bez wątplenia zdumiewające to zachowanie, ale cóż, jak to się zwykle mawia, komu w drogę, temu czas, kto ma zostać, zostaje, żegnajcie ptaszki. José Anaięto obszedł mokradło dokoła, po niemal półgodzinie mozolnego przedzierania się pomiędzy kałużami i krzakami jeżyn wrócił na poprzednią drogę, w kierunku, z którego przyszedł, ze wschodu na zachód, tak jak słońce, kiedy nagle, fruuuuuuu, znowu pojawiły się szpaki, gdzie też one mogły siedzieć. No tak, ten przypadek nie ma wyjaśnienia. Jeśli stado szpaków towarzyszy człowiekowi w jego porannym spacerze, niczym wierny pies, jeśli czeka na niego, aż okrąży jezioro, a potem towarzyszy mu jak poprzednio, proszę nie pytać go ani nie prosić, żeby się domyślał powodów czy przyczyn. I nie pytajmy też José Anaięto, kim jest i czym się w życiu zajmuje, skąd przyszedł i dokąd zmierza, czego będziemy mieli się o nim dowiedzieć, dowiemy się od niego samego w odpowiednim czasie, a taki opis, taka oszczędność informacji powinna w jednakowym stopniu dotyczyć Joany Cardy i jej wiązowego kija, Joaquina Sassy i kamienia, który wrzucił do morza, Pedra Orce i krzesła, z którego wstał, życie nie zaczyna się w chwili narodzin, gdyby tak było, każdy dzień byłby dniem zyskanym, życie zaczyna się znacznie później, jakże często zbyt późno, żeby nie mówić o tych, które zakończyły się zaraz po rozpoczęciu, dlatego jeden taki krzyknął, Ach, kto napisze historię tego, co mogłoby być.

A teraz ta kobieta, zwą ją Maria Guavaira, dziwne to imię, choć nie gerundium, weszła na strych i znalazła tam starą

skarpetkę, z tych dawnych i prawdziwych, które służyły do przechowywania pieniędzy tak bezpiecznie jak w sejfie, symbolicznych groszy, śmiesznych oszczędności, a stwierdziwszy, że jest pusta, zaczęła ją pruć, dla zabawy, jak ktoś, kto nie ma co zrobić z rękoma. Minęła godzina, potem druga i trzecia, a długa wehiana nic się nie kończy, skarpetka zaś nie wydaje się zmniejszać, jakby nie wystarczyło czterech opisanych już tajemnic, ta nam ukazuje, że czasem wewnątrz może być większe niż zewnątrz. Do tego cichego domu nie dociera szum morza, okna nie ciemnieją od przelatujących ptaków, jeśli są jakieś psy, to nie szczekają, ziemia, jeśli zadrżała, już nie drży. U stóp prującej kobiety rośnie góra wełny. Maria Guavaira. to nie Ariadna, ów kłębek nie pomoże nam wyjść z labiryntu, ale może dzięki niemu w końcu się zgubimy. Koniec, gdzie jest koniec.

Pierwsza szczelina pojawiła się na wielkiej naturalnej płycie, gładkiej i wymiecionej przez wiatry, gdzieś w tych Montes Albes, które przy wschodnim końcu górskiego łańcucha stopniowo schodzą do morza i gdzie teraz wąsają się nieszczęsne psy z Cerbere, wzmianka ta nie jest niestosowna w tym czasie i miejscu, wszak wszystkie te rzeczy są ze sobą powiązane, nawet jeśli wydaje się, że tak nie jest. Wypędzone, jak to opisano, i pozbawione domowej strawy, zostały zmuszone do odgrzebania w podświadomości podstępów, jakich imali się ich łowczy przodkowie, aby schwytać jakiegoś zbłąkanego zajączka, jeden z tych psów o imieniu Ardent, dzięki wrażliwemu uchu, w jakie został wyposażony psi ród, być może dosłyszał odgłos pękających kamieni i nie warczy tylko dlatego, że nie potrafi, poszedł w tamtym kierunku, ze zjeżoną sierścią, w równym stopniu zaciekawiony co przestraszony. Szczelina, niewielka, człowiekowi przywiodłaby na myśl linię wyrysowaną zaostrzonym czubkiem ołówka, zdecydowanie odmienną od tej narysowanej patykami na twardej ziemi albo w miękkim i sybkim piasku, albo w błocie, gdybyśmy mieli czas na takie błahostki. Jednakże kiedy pies się zbliżał, szczelina odrobinę się powiększyła, stała się głębsza i zaczęła się rozszerzać, krusząc skałę aż do granic płyty, a potem w środku zmieściłaby się już cała ręka, gdyby znalazł się tu człowiek wystarczająco odważny, aby to zmierzyć. Ardent krążył dokoła, niespokojny, ale nie mógł uciec, hipnotyzowany przez tego węża,

który nie miał głowy ni ogona, i nagle poczuł się zagubiony, nie wiedząc, z której zostać strony, czy we Francji, w której się znajdował, czy w Hiszpanii, odległej już o dwa łokcie. Dzięki Bogu pies ten nie należy do tych, co to łatwo godzą się z zaistniałą sytuacją, dowiódł tego, jednym susem przesadzając otchłań, które to określenie jest oczywistą przesadą, i znalazł się po tej stronie, wolał więc piekielne rejony, nigdy się nie dowiemy, jakież to nostalgia powodują psią duszą, jakie marzenia czy pokusy.

Druga szczelina, lecz dla świata pierwsza, pojawiła się o wiele kilometrów stąd, w okolicach Zatoki Biskajskiej, nieopodal miejsca otoczonego bolesną sławą w historii Karola Wielkiego i jego Dwunastu Parów, a zwanego Ronces- vales, gdzie poległ Roland, dmąc w Olifanta, bez Angeliki ani Durendala, którzy by go wsparli. Tamże, zbiegając wzdłuż zbocza pasma Abodi, po stronie północno-zachodniej, płynie rzeka Irati, która mając źródła we Francji, uchodzi do Erro, rzeki hiszpańskiej, dopływu Aragonu zasilającego Ebro, ostatecznie znajdującego swój kres i ciskającego wody wszystkich tych rzek do Morza Śródziemnego. Na dnie doliny, nad brzegiem Irati leży miasto Orbaiceta zwane, a odrobinę wyżej stoi zapora, embalse, jak mawiają w tamtych okolicach.

Nadszedł czas, by wyjaśnić, że to, co się tutaj mówi albo powie, jest prawdą i może zostać potwierdzone jakkolwiek mapą, która byłaby wystarczająco szczegółowa, by zawierać informacje pozornie tak mało znaczące, wszak cnota map na tym właśnie polega, przedstawiają redukowaną dyspozycyjność przestrzeni, przewidują, że wszystko może się w niej wydarzyć. I wydarza się. Mówiliśmy już o różdżce przeznaczenia, dowiedliśmy, że kamień, nawet bardzo odległy od linii najdalszych przypływów, może wpaść do morza albo zostać przez nie wyrzucony, teraz zaś nadeszła pora Orbaicety, po pożytecznym zamieszaniu spowodowanym budową zapory wiele lat temu, powrócił spokój do tego miasta w prowincji Nawarry, uśpionej pośród gór, a teraz ponownie pogrążonej w zamieszaniu. Na kilka dni Orba- iceta stała się newralgicznym centrum Europy, o ile nie świata, zebrał się tam przedstawiciele rządów, politycy, cywilne i wojskowe autorytety, geologowie i geografowie, dziennikarze i mineralodzy, fotografowie, operatorzy telewizyjni i filmowi, inżynierowie

każdej specjalności, inspektorzy i gapie. Jednakże sława Orbaicety nie trwała długo, przez kilka krótkich dni, zaledwie odrobinę dłużej niż róże z Malherbe, a jak mogły trwać one dłużej, skoro były chwastem, ale mówimy o Orbaicecie, a nie o czymś innym, a i to tylko do czasu znalezienia czegoś bardziej interesującego, zawsze tak się dzieje ze znakomitościami.

W historii rzek nigdy nic takiego się nie zdarzyło, woda zawsze płynęła w swym wiecznym upływie, a teraz nagle już nie płynie, jakby niespodziewanie zakręcono ogromny kran, ktoś myje ręce w umywalce, wyciąga korek z dna, zakręca kran, woda wiruje, spływa, znika, a ta odrobina, która została jeszcze na emaliowanej powierzchni, niebawem wyparuje. Innymi słowy, wody Irati cofnęły się niczym fala rozbijająca się o brzeg plaży i uciekająca z powrotem, koryto rzeczne zostało odsłonięte, kamienie, błoto, szlam, ryby łapiące powietrze rozchylonymi pyszczkami, podskakujące na piasku i zdychające, nagła cisza.

Inżynierów nie było w tym miejscu, kiedy zaszło to nieprawdopodobne zdarzenie, ale zdali sobie sprawę, że wydarzyło się coś niezwykłego, bo wskaźniki na pulpicie obserwacyjnym pokazały, że rzeka przestała zasilać ogromną wypełnioną wodą umywalkę. Trzech techników w dziupie pojechało zbadać intrygującą sprawę, i podczas jazdy wzdłuż brzegu zbiornika rozważali różne hipotezy, możliwe przyczyny takiego stanu rzeczy, nie zabrakło im na to czasu podczas niemal pięciokilometrowej drogi, według jednej z hipotez nastąpiło jakieś obsunięcie ziemi lub tąpnięcie w górach i zmieniło kierunek biegu rzeki, według innej całą winę ponosiły perfidne żabojady, pomimo dwustronnej umowy o wodach powierzchniowych i ich wykorzystaniu dla celów hydroelektrycznych, według kolejnej i najbardziej radykalnej ze wszystkich wysechł strumień, źródelko, oczko, które zdawało się wieczne, a jednak nie było. W tym punkcie podzieliły się opinie. Jeden z inżynierów, człowiek spokojny, typ kontemplacyjny, ceniący sobie życie w Orbaicecie, bał się, że zostanie wysłany gdzieś daleko, pozostali z zadowoleniem zacierali ręce, może zostaną przeniesieni do jakiejś zapory na Tagu, bliżej Madrytu i Gran Vía. Omawiając swe osobiste pragnienia, dotarli do najdalszego punktu zbiornika, gdzie znajdowało się ujście rzeki, a tej tam nie było, zaledwie marna

nitka wody wiła się jeszcze po mokrej ziemi, błotnista strużka, zbyt słaba, by poruszyć choćby młyn-zabawkę, Gdzie, do diabła, podziła się rzeka, rzucił kierowca dzipa, a nie mógł być bardziej dosadny i konkretny. Zaskoczeni, zdumieni, zmieszani, a także zaniepokojeni inżynierowie ponownie jęli dyskutować przedstawione wcześniej hipotezy, po czym, stwierdziwszy absolutną bezużyteczność dalszego debatowania, powrócili do biur, a potem pojechali dalej do Orbaicety, gdzie czekała na nich władza zwierzchnia, poinformowana już o tajemniczym zniknięciu rzeki. Nastąpiły kwaśne dyskusje, niedowierzanie, rozmowy telefoniczne z Pampeluną i Madrytem, a wynik wyczerpującej pracy i męczących rozmów sprowadził się do nader prostego polecenia dzielącego się na trzy następujące po sobie i uzupełniające się części, Idźcie w górę rzeki, odkryjcie, co zaszło, i nic nie mówcie Francuzom.

Ekspedycja wyruszyła nazajutrz, jeszcze przed świtem, w kierunku granicy, zawsze posuwając się wzdłuż albo nieopodal wyschniętej rzeki, a kiedy wyczerpani inspektorzy dotarli na miejsce, zrozumieli, że już nigdy nie będzie Irati. Przez szczelinę nie mającą więcej niż trzy metry szerokości wody staczały się w głąb ziemi, rycząc niczym mała Niaga- ra. Po drugiej stronie stało już zbiegowisko Francuzów, naiwnością byłoby sądzić, że sąsiedzi, przebiegli i kartezyjańscy, nie dostrzegą zjawiska, ale przynajmniej wyglądali na równie zaskoczonych i zdezorientowanych jak Hiszpanie, i wszyscy byli braćmi w niewiedzy. Obie strony zbliżyły się i zaczęły rozmawiać, ale rozmowy nie były ani długie, ani owocne, składały się głównie z okrzyków uzasadnionego zaskoczenia i ostrożnego wysuwania nowych hipotez przez Hiszpanów, ogólnie panowała powszechna irytacja, której nie było na kim wyładować, niebawem jednak Francuzi zaczęli się uśmiechać, w końcu nadal są panami rzeki aż do granicy, nie muszą zmieniać map.

Tego popołudnia helikoptery obu państw latały nad miejscem zdarzenia, robiono zdjęcia, pośród pisków zeszli się obserwatorzy, którzy zawieszani nad kataraktą patrzyli i nic nie widzieli, zaledwie ciemną czeluść i lśniący strumień wody. Aby stopniowo zacząć czerpać jakiegokolwiek korzyści, władze miejskie hiszpańskiej Orbaicety i francuskiej Larrau zebrały się nad rzeką,

pod wiatą zbudowaną naprędce na tę okoliczność i zwieńczoną trzema flagami, państwowymi dwukolorową i trójkolorową oraz flagą Nawarry, aby przedyskutować możliwości turystycznego wykorzystania naturalnego zjawiska, bez wątplenia jedyne na świecie, oraz warunków jego eksploatacji, co leżało w obopólnym interesie. Wziąwszy pod uwagę znikomą liczbę i niewątpliwie umowny charakter możliwych do przeanalizowania czynników, po spotkaniu nie sporządzono żadnego dokumentu określającego obowiązki i prawa stron, jednakże została powołana mieszana komisja, która w krótkim czasie miała przygotować program przyszłego spotkania, tym razem formalnego. Tymczasem, w ostatniej chwili, czynnik zamieszania obalił wstępne porozumienie, a była nim niemal jednoczesna interwencja w Madrycie i Paryżu przedstawicieli obu państw w komisjach do spraw granic. Panowie zgłaszali bardzo poważną wątpliwość, Skąd mamy wiedzieć, w którym kierunku otwiera się ta szczelina, na stronę hiszpańską czy francuską. Szczegół ten zdawał się błahy, lecz po właściwym wyjaśnieniu pewien delikatny aspekt tego zagadnienia aż kłuł w oczy swą oczywistością. Było jasne, że Irati od tej chwili całkowicie należy do Francji, do departamentu Dolnych Pirenejów, ale jeśli szczelina w całości otwierałaby się na stronę Hiszpanii i prowincji Nawarry, negocjacje nie mogłyby zakończyć się tak szybko, bo oba kraje byłyby zamieszane w tę kwestię w równym stopniu. Gdyby zaś szczelina należała również do Francji, w takim razie cały interes należałby do nich, tak jak wszystkie surowce, mianowicie rzeka i pustka. W obliczu nowej sytuacji władze, skrywając rezerwę, zgodziły się, że będą utrzymywać kontakt, dopóki nie zostanie rozwiązany ten ważki problem. A we wspólnym i pieczołowicie wypracowanym oświadczeniu ministerstwa spraw zagranicznych obu państw zadeklarowały gotowość do prowadzenia pilnych rozmów w ramach wspomnianej już komisji do spraw granic, wspieranej, jakżeby inaczej, przez odpowiednie grupy techników geodezji.

To właśnie w tym czasie, w gąszczu i różnorodności międzynarodowej, pojawili się geolodzy. Pomiędzy Orbaice- tą i Larrau było już wszystkiego po trochu, jeśli nie dużo, jak to wcześniej wymieniono, teraz zaś przybywali obdarzeni siłą technicy do spraw ziemi i ziem, badacze ruchów i wypadków,

warstw i głazów narzutowych, co to z młotkiem w dłoni uderzają we wszystko, co jest kamieniem albo jest do kamienia podobne. Jakiś francuski dziennikarz, cyniczny Michel, powiedział do swego hiszpańskiego kolegi, poważnego Miguela, który już przekazał do Madrytu, że szczelina jest a-bso-lut-nie hiszpańska, albo gwoli ścisłości geograficznej i nacjonalistycznej, nawarryjska, Weźcie ją sobie, oto co rzekł bezczelny Francuz, skoro tak wam się podoba i tak jest wam potrzebna, w samej tylko Cirque de Gavama mamy wodospad o czterystu dwudziestu metrach wysokości, nie potrzeba nam studni artezyjskich postawionych do góry nogami. Nie przyszło do głowy Miguelowi odpowiedzieć mu, że po hiszpańskiej stronie Pirenejów także nie brak wodospadów, i to z tych najwyższych i najpiękniejszych, ale tu chodzi o coś innego, wodospad to nic nadzwyczajnego, nie ma w nim żadnej tajemnicy, zawsze jest taki sam, wszyscy mogą go zobaczyć, podczas gdy szczelina w dnie Irati odsłania przed ludźmi tylko swój początek, nic nie wiadomo o końcu, jest jak życie. Jednakowoż inny dziennikarz, zresztą będący tam przejazdem Galisyjczyk, jak to zwykle zdarza się Galisyjczykom, rzucił pytanie, które trzeba było jeszcze zadać, Dokąd spada ta woda. Dyskutowali wtedy, wykazując się wiedzą suchą i ogromną, geologowie z obu stron, i pytanie, nieśmiałe, jakby zadało je dziecko, niemal nie zostało usłyszane przez tego, kto teraz je zapisał. Wszak chodziło o galisyjski głos, a więc dyskretny i wyważony, przytłumiła go francuska gwałtowność i ka-stylijska porywczność, lecz potem inni je podchwycili, chełpiąc się swą rzekomą odkrywczością i przenikliwością, nikt nie słucha małych narodów, nie jest to mania prześladowcza, lecz historyczna oczywistość. Dyskusja uczonych stała się niemal niezrozumiała dla laików, lecz mimo to można się było domyślić, że istnieją dwie główne tezy, teza monolodowcowych i teza polilodowcowych, obie niemożliwe do obalenia i niebawem wrogie, niczym dwie antytetyczne religie, monoteistyczna i politeistyczna. Niektóre oświadczenia zdawały się nawet interesujące, jak na przykład to o deformacjach, niektóre deformacje mogą być wynikiem zarówno wyniesienia tektonicznego, jak i izostatycznej kompensacji erozji. Tym bardziej, dodawano, że badanie obecnych form kordyliery pozwala stwierdzić, że nie jest ona stara, z

geologicznego punktu widzenia, rzecz jasna. Wszystko to prawdopodobnie miało mieć coś wspólnego ze szczeliną. W końcu góra jest skazana na takie rozciągania i mocowanie się, nic dziwnego, że w końcu któregoś dnia czuje się zmuszona do ustąpienia, złamania się, rozsypania albo, jak w dyskutowanej kwestii, utworzenia szczeliny. Nie wiadano o przypadku wielkiej płyty w Montes Albes, do niej bowiem nigdy nie dotarli geolodzy, znajdowała się daleko, na odległym pustkowiu, nikt się do niej nie zbliżył, pies Ardent pognął w ślad za zającem i nigdy nie wrócił.

Po upływie dwóch dni członkowie komisji do spraw granic pracowali w terenie, mierząc teodolitami, sprawdzając na tablicach, przeliczając kalkulatorami i w końcu potwierdzając poprzez porównywanie z lotniczymi zdjęciami, Francuzi kręcili nosami, bo wątpliwości co do tego, że szczelina należy do Hiszpanii, były już niewielkie, jak tego pioniersko bronił dziennikarz Miguel, gdy nagle pojawiła się wiadomość o nowym pęknięciu. Więcej już nie mówiono o spokojnej Orbaicecie ani o przeciętej rzece Irati, sic transit gloria mundi, ani o Nawarze. Dziennikarze stadnie przenieśli się do wschodnich Pirenejów, które były teraz rejonem krytycznym, szczęśliwie wyposażonym w lepsze środki komunikacji, tak liczne i znakomite, że niebawem zebrali się tam przedstawiciele najwyższych władz, przybyli nawet z Tuluzy i Barcelony. Autostrady zostały zakorkowane, a kiedy policja z jednej i z drugiej strony chciała pokierować strumieniem samochodów, było za późno, kilometry stojących aut, mechaniczny chaos, później trzeba było się uciec do drastycznych metod, to jest zawrócić wszystkich, kierując ich na drugą nitkę autostrady, i dlatego zniszczono barierki i zasypało rowy, istne piekło, raczej mieli Grecy, umiejscawiając je w tych okolicach. Przydały się helikoptery, te latające przedmioty albo passerole zdolne do osiadania niemal w każdym miejscu, kiedy zaś jest to niemożliwe, naśladują kolibry, zbliżają się, niemal dotykając powierzchni, pasażerowie nawet nie potrzebują schodków, wystarczy jeden skok i zaraz lądują w kielichu, pomiędzy pręcikami i słupkiem, wdychając woń, jakże często napalmu i spalonego ludzkiego ciała. Biegną z pochylonymi głowami i patrzą, co się wydarzyło, niektórzy przybywają bezpośrednio z Irati, już z tektonicznym

doświadczeniem, ale nie takim.

Szczelina przecina szosę, całą wielką przestrzeń parkingu, i przedłuża się, stając się coraz cieńsza z obu stron, w kierunku doliny, gdzie niknie z oczu, wijąc się w górę zbocza, aż ginie pośród zarośli. Znajdujemy się dokładnie na granicy, tej rzeczywistej, linii podziału, w tej bezpieczeństwa otchłani, pomiędzy słupami granicznymi posterunków obu policji, la aduana i la douane, la bandera i la drapeau. W rozsądnej odległości, gdyż dopuszcza się możliwość oberwania się brzegu ziemskiej rany, władze i specjaliści wymieniają poglądy o zerowym znaczeniu i zerowej użyteczności, nie można nawet nazwać dialogiem takiego szumu, używają też głośników, żeby się lepiej słyszeć, podczas gdy inni ludzie, o wyższych kwalifikacjach, w pawilonach rozmawiają przez telefon albo między sobą, albo z Madrytem czy Paryżem. Ledwie wysiedli, dziennikarze wypytywają się, jak to się wszystko stało, i wszyscy słyszą tę samą historię, z niektórymi wariantami bardziej dopracowanymi, które ich własna wyobraźnia jeszcze bardziej wzbogaci, jednak upraszczając całą rzecz, jako pierwszy wszystko zobaczył kierowca, który w zapadającym zmroku poczuł, że samochód nagle gwałtownie podskoczył, jakby koła wpadły i wyskoczyły z dziury w jezdni, i wysiadł, aby sprawdzić co to takiego, mogło chodzić o roboty drogowe, naprawianie nawierzchni, czego lekkomyślnie nie oznakowano. Pęknięcie miało wtedy pół dłoni szerokości i jakieś cztery metry długości, o ile to prawda. Mężczyzna, który był Portugalczykiem nazwiskiem Sousa i jechał z żoną i teściami, wrócił do samochodu i powiedział, Wygląda, jakbyśmy wjechali już do Portugalii, wyobraźcie sobie, wielka dziura, można by złamać koło albo oś. Nie była to dziura ani też nie była wielka, lecz słowa, tak już je wymyśliliśmy, mają w sobie wiele dobrego, pomagają, tylko dlatego, że coś powiemy z przesadą, zaraz koją strach i uspokajają emocje, dlatego, dlatego że je dramatyzują. Zona, nie zwracając większej uwagi na informację, odpowiedziała, No popatrz, a on pomyślał, że musi postąpić według tej rady, choć nie taka była intencja kobiety, zdanie to, bardziej wykrzyknikowe niż rozkazujące, miało stanowić zdawkową odpowiedź, wyszedł i poszedł sprawdzić koła, widocznych zniszczeń na szczęście nie było. Za kilka dni, już na swej portugalskiej ziemi, stanie się

bohaterem, będzie udzielał wywiadów dla telewizji, radia i prasy, Panie Sousa, zobaczył pan to jako pierwszy, proszę nam opowiedzieć ten okropny moment. Będzie powtarzał nieskończenie wiele razy, zawsze kończąc barokową historię nerwowym i retorycznym pytaniem, od którego dreszcze przebiegają po plecach i które jego samego odrobinę przyjemnie przestrasza, jak w ekstazie, Gdyby dziura była większa, tak jak ponoć jest teraz, wyobraź pan sobie, wpadlibyśmy do środka, Bóg jeden wie jak głęboko, i mniej więcej to samo myślał Galisyjczyk, kiedy zapytał, jeśli jeszcze pamiętacie, Dokąd spada ta woda.

Dokąd, oto zasadnicze pytanie. Pierwszym krokiem było zbadanie szczeliny, określenie jej głębokości, a następnie przestudiowanie, zdefiniowanie i praktyczne zastosowanie odpowiednich procesów zatykania pęknięcia. Natychmiast przeprowadzone pomiary stwierdziły głębokość dwudziestu metrów, banalną dla współczesnej inżynierii budowlanej. Z Hiszpanii i Francji, z bliska i daleka, nadjechały betoniarki, mieszarki, te interesujące maszyny, które dzięki swym jednoczesnym ruchom, obroty wokół własnej osi, obieganie, przypominają Ziemię w przestrzeni kosmicznej, a dojechawszy na miejsce, wylewały szybko schnący beton rwącym potokiem, wzbogacanym dla lepszego efektu wielkimi ilościami grubych kamieni. Trwała operacja zalewania, kiedy jakiś obdarzony wyobraźnią specjalista zaproponował, by założyć, jak to kiedyś robiono w przypadku ran na ciele, wielkie stalowe haki przytrzymujące brzegi, co przyspieszało zabliznianie. Pomysł został zaaprobowany przez komisję dwustronną, hiszpańskie i francuskie huty natychmiast zabrały się do koniecznych studiów, określały rodzaj stopu, grubość i przekrój materiału, zależność pomiędzy pazurem, który będzie zagrzebany w ziemi, a obejmowaną przestrzenią, ale te techniczne szczegóły dla wtajemniczonych, zostaną tu wspomniane powierzchownie. Szczelina połykała zwały kamieni i szarego błota, jakby to była rzeka Irati spadająca do wnętrza ziemi, słychać było odległe echo, dopuszczano nawet możliwość istnienia tam na dole gigantycznej dziury, jaskini, nienasyconej gardzieli. Bo skoro tak jest, to nie warto kontynuować, zbuduje się przejście nad szczeliną, może jest to nawet najłatwiejsze i najtańsze rozwiązanie, zawoła się tu

Włochów, którzy mają wielkie doświadczenie z wiaduktami. Lecz po nie wiadomo ilu tonach i metrach sześciennych sonda wskazała dno na głębokości siedemnastu metrów, następnie piętnastu, dwunastu, poziom betonu stale się podnosił, bitwa została wygrana. Obejmowali się technicy, inżynierowie, robotnicy, policjanci, machano chorągiewkami, spikerzy telewizyjni, podenerwowani, odczytywali ostatnie komunikaty i wygłaszali własne opinie, wychwalając tytaniczną walkę, zbiorowy czyn, narodową solidarność w działaniu, nawet z Portugalii, tego niewielkiego kraju, wyprawiono konwój dziesięciu betoniarek, mają przed sobą długą podróż, ponad tysiąc pięćset kilometrów, ogromny wysiłek, nie będzie potrzebny beton, który wiozą, ale w historii zapisze się ten symboliczny gest.

Kiedy wypełnienie osiągnęło poziom drogi, radość wybuchła, przechodząc w zbiorowe delirium, jak w Nowy Rok, sztuczne ognie, bieg sylwestrowy. W powietrze wzbily się dźwięki klaksonów samochodów, które zdołały podjechać do samej krawędzi szczeliny, ciężarówki wydawały ochryple ryki avertisseurs i bocinas¹, a helikoptery triumfalnie krążyły nad głowami, niczym serafinowie o przymiotach zgoła nie niebiańskich. Nieustannie trzaskały migawki aparatów, operatorzy telewizyjni zbliżali się, opanowując strach, i tam, nad samą krawędzią szczeliny, która przestała nią być, filmowali wielkie zbliżenie nieregularnej powierzchni betonu, dowód zwycięstwa człowieka nad kaprysem natury. I w ten sposób widzowie, daleko stąd, w wygodzie i bezpieczeństwie własnych mieszkań, otrzymywali bezpośredni przekaz z nad hiszpańsko-francuskiej granicy w Collado de Pertuis, a kiedy już się śmiali i klaskali w dłonie, i świętowali wydarzenie niczym osobisty wielki wyczyn, naraz nie chcieli uwierzyć w to, co widzą na własne oczy, zobaczyli bowiem, jak jeszcze miękka powierzchnia betonu zaczyna się obniżać, jakby wielka masa była wysana od dołu, powoli, lecz nieubłaganie, aż w końcu ponownie można było zobaczyć ziejącą dziurę. Szczelina nie rozszerzyła się, a to mogło oznaczać tylko jedno, że ściany nie łączyły się dwadzieścia metrów w dole, jak wcześniej, ale znacznie głębiej, Bóg jeden raczy wiedzieć jak

1 „Klaksony” po francusku i hiszpańsku (przyp. tłum.).

głęboko. Operatorzy wycofali się, przestraszeni, ale poczucie zawodowego obowiązku, przekształcone w instynkt, sprawiło, że trzymali włączone kamery, w drżących co prawda rękach, i świat mógł obejrzeć zmienione twarze, nieokielznaną panikę, usłyszeć krzyki, wrzaski, ucieczka była powszechna, w mniej niż minutę opustoszały okolice parkingu, zostały tylko opuszczone betoniarki, tu i ówdzie niektóre jeszcze działały, kręciły się gruszki pełne betonu, który trzy minuty wcześniej przestał być potrzebny, a teraz stał się bezużyteczny.

Po raz pierwszy dreszcz strachu przebiegł półwysep i bliższe obszary Europy. W Cerbère, niedaleko stamtąd, ludzie wybiegli na ulice, przezornie, jak to zrobiły wcześniej ich psy, mówili jedni do drugich, Zostało zapisane, że kiedy zaczną szczeekać, świat się skończy, niezupełnie tak było, nikt nigdy niczego nie zapisał, ale wielkie chwile wymagają wielkich słów, a słowa, Zostało zapisane cieszą się tak ogromnym prestiżem, że zajmują pierwsze miejsce we wszystkich podręcznikach apokaliptycznej stylistyki. Obawiając się tego, co ma się wydarzyć, i mając do tego większe powody niż ktokolwiek inny, mieszkańcy Cerbere zaczęli opuszczać miasto, emigrowali w kierunku miejsc bardziej trwałych, może koniec świata nie dotrze tak daleko. W Banyuls-sur-Mer, Port-Vendres i Collioure, aby wspomnieć tylko o tych miejscowościach z wybrzeża, nie został żywy duch. Martwe duchy, ponieważ już nie żyły, wołały zostać, z tą swoją niezachwianą obojętnością, odróżniającą ich od reszty ludzkości, jeśli kiedyś ktoś powiedział coś przeciwnego, że Fernando odwiedził Ricarda, kiedy jeden był martwy, a drugi żywy, było to szalonym wymysłem, niczym więcej. Jednakże jeden ze zmarłych w Collioure wiercił się trochę, jakby się wahał, iść, nie iść, w żadnym razie do centralnej Francji, jedynie on wiedział dokąd, może my też się tego dowiemy.

Pośród tysiąca i jednej wiadomości, opinii, komentarzy i okrągłych stołów, które następnego dnia wypełniły gazety, radio i telewizję, niemal niezauważony przeszedł krótki komentarz ortodoksyjnego sejsmologa, Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego wszystko to się dzieje bez trzęsienia ziemi, na co inny sejsmolog, ze szkoły nowoczesnej, pragmatyczny i elastyczny, odpowiedział, W swoim czasie to wyjaśnimy. W jednej osadzie na południu Hiszpanii zaś pewien człowiek, usłyszawszy te wypowiedzi,

wyruszył do Granady, aby oświadczyć panom z telewizji, że ponad tydzień temu poczuł trzęsienie ziemi, a jeśli do tej pory milczał, to tylko dlatego, że myślał, iż nikt mu nie uwierzy, i że oto pokazuje się światu, aby zaświadczyć, że człowiek może być bardziej czuły niż wszystkie sejsmografy razem wzięte. Przeznaczenie chciało, że dziennikarz go wysłuchał, albo z dobroduszej sympatii, albo zauroczony nieprawdopodobieństwem wydarzenia, i w czterech liniach streścił wiadomość, która pojawiła się, choć bez obrazu, w wieczornym dzienniku, i lekko drwiąco przedstawiona. Następnego dnia portugalska telewizja z braku lokalnego materiału podchwyciła i rozwinęła temat, sprowadzając do studia specjalistę od zjawisk paranormalnych, który nie wniósł do sprawy niczego nowego, o czym świadczy jego najważniejsza wypowiedź, Jak zawsze wszystko zależy od wrażliwości.

Wiele mówiono tu o skutkach i przyczynach, zawsze zachowując wielką powagę, brano pod uwagę logikę i zdrowy rozsądek, wszak jest dla wszystkich oczywiste, że z widel nie sposób zrobić igły. Należy więc przyjąć jako naturalną i usprawiedliwioną wątpliwość co do tego, że to linia nakreślona na ziemi przez Joane Cardę wiązowym patykiem stała się bezpośrednią przyczyną podziału Pirenejów, co sugeruje się tu od samego początku. Lecz nie odrzucajmy innego faktu i niepodważalnej prawdy, mianowicie tego, że Joaquim Sassa wyruszył na poszukiwanie Pedra Orce, gdy tylko usłyszał w dzienniku o nim i o tym, co powiedział.

Kochana matka Europa strapiła się losem swych zachodnich rubieży. Na długości całych Pirenejów kruszył się granit, mnożyły się szczeliny, pękały kolejne drogi, następne rzeki, strumienie i potoki spływały w dół, w stronę niewidzialnego. Na widzianych z góry, ośnieżonych szczytach rozwierała się szybko czarna szczelina, niczym usypany z prochu lont, do której spływał śnieg i znikał z łoskotem małej lawiny. Helikoptery bezustannie nadlatywały i odlatywały, obserwowano szczyty i doliny, zatłoczone biegłymi i specjalistami od wszystkiego, co zdawało się w jakikolwiek sposób użyteczne, przede wszystkim geologami, z natury rzeczy, choć teraz nie pracowali w terenie, sejsmologami, bezradnymi, bo ziemia ciągle trzymała się mocno, nie zatrzęsała się ani trochę, nie drgnęła ani odrobinę, a także wulkanologami w

milczeniu żywiącymi nadzieję, choć niebo nad głowami było czyste i nie widać było słupów dymu i ognia, a tylko doskonały i jasny sierpniowy błękit, tak więc lont był zwykłym porównaniem, niebezpieczne jest dosłowne rozumienie tego i wszystkich innych porównań, jeśli wcześniej nie nauczymy się zabezpieczać. Ludzkie siły nie potrafiły nic zdziałać w sprawie górskiego łańcucha otwierającego się niczym owoc granatu, bez widocznego bólu, i tylko dlatego, kimże jesteśmy, aby to zrozumieć, że dojrzał i nadszedł jego czas. Ledwie upłynęło czterdzieści osiem godzin od chwili, kiedy Pedro Orce poszedł do telewizji, aby powiedzieć to, co powiedział, a od Atlantyku do Morza Śródziemnego nie sposób było przejść granicy pieszo lub przejechać naziemnymi pojazdami. A na niższych terenach wybrzeży, morze, każde ze swej strony, zaczęło wdzierać się w nowe kanały, tajemnicze gardziele, nieznane, coraz wyższe, z doskonale pionowymi ścianami, objawiającymi gładkie rozcięcia z przekrojem archaicznych i młodych warstw, synklin, z zaciekami gliny, zlepkami, szerokimi kongrekcjami miękkiego wapienia i piaskowca, podkładami łupkowymi, skałami krzemowymi, granitami i innymi jeszcze, których nie sposób nazwać z powodu niewiedzy kronikarza i braku czasu. Teraz już wiemy, jaką odpowiedź należało dać Galisyjczykowi, który zapytał, Dokąd spływa ta woda, Spływa do morza, odpowiedzielibyśmy, drobnutkim deszczem, wodnym pyłem, kaskadą, zależnie od wysokości, z jakiej spada, i ilości niesionej wody, nie, nie mówimy o Irati, ta jest daleko, ale można przyjąć, że w sumie wszystko stanie się wodotryskiem, a także tęczę, kiedy słońce zdoła dotrzeć do mrocznych głębokości.

W promieniu około stu kilometrów z każdej strony granicy ludność opuściła swoje domy i schroniła się we względnie bezpiecznym wnętrzu, skomplikowany był tylko przypadek Andory, o której karygodnie zapomnieliśmy, oto na co narażone są małe narody, właściwie mogłyby stać się większe. Początkowo nie brakowało wątpliwości co do ostatecznych konsekwencji pęknięć, które pojawiły się po obu stronach granic, wszyscy mieszkańcy bowiem, jedni Hiszpanie, inni Francuzi, jeszcze inni Andorańczycy z urodzenia, skłaniali się w swoją stronę albo kierowali doraźnym interesem, ryzykując podział rodzin i innych związków. W końcu linia pęknięcia ustanowiła się na granicy z Francją, kilka tysięcy żyjących tam Francuzów zostało ewakuowanych drogą lotniczą w

ramach błyskotliwej akcji ratunkowej o kryptonimie Mitre d'Eveque, określenie to bardzo nie spodobało się biskupowi Urgel, mimowolnemu inspiratorowi przedsięwzięcia, co jednak nie umniejszało jego zadowolenia z tego, że w przyszłości będzie jedynym suwerenem księstwa, jeśli to, przytłoczone zaledwie przez Hiszpanię, nie spadnie do morza. Po powstałym pustkowiu krążyły jedynie, i to z duszą na ramieniu, oddziały wojskowe z helikopterami w górze, gotowymi wywieźć personel w razie najmniejszej oznaki niestabilności geologicznej, a także, co nieuniknione, szabrownicy, pojedyncze przypadki, którzy po katastrofach zawsze wychodzą z nor albo węzowych jaj i którzy teraz, tak samo jak żołnierze rozstrzeli wujący ich bez litości, też chodzili ze swymi duszami na ramieniu, wedle wyznawanej wiary, każda istota żywa bowiem ma prawo do miłości i ochrony swoich bogów, na korzyść albo usprawiedliwienie plądrujących można by jeszcze dodać, że skoro ktoś porzucił własny dom, nie zasługuje na to, by w nim mieszkać, poza tym bardzo sprawiedliwe jest powiedzenie, Każdy ptak dziobie zboże, a tylko wróble płacą, niech każdy sam zdecyduje, czy widzi tu związek pomiędzy ogólną lekcją a konkretnym przypadkiem.

W tym miejscu dobrze pasowałby wcześniej wyrażony żal, że ta prawdziwa historia nie jest librettem opery, bo gdyby tak było, postawilibyśmy teraz na scenie zespół, jakiego nigdy nie słyszano, dwudziestu śpiewaków lirycznych i dramatycznych wszystkich koloratur, gardłujących swe partie pojedynczo albo w chórze, następujące po sobie albo jednocześnie, opiewające spotkanie hiszpańskiego i portugalskiego rządu, przerwanie linii trakcji elektrycznej, oświadczenie komisji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, zajęcie stanowiska przez NATO, uciekających w panice turystów, porywanie samolotów, zatamowanie ruchu ulicznego, spotkanie Joaquina Sassy i Jose Anaię, ich spotkanie z Pe-drem Orce, niepokój byków w Hiszpanii, nerwowość kłaczki w Portugalii, alarm na brzegach Morza Śródziemnego, zakłócenie przypraw, ucieczkę bogatych ludzi i odpływ potężnych kapitałów, niedługo zabraknie nam śpiewaków. Ciekawscy, czy może raczej sceptycy, chcą poznać przyczynę tylu tak różnorodnych i tak poważnych skutków, bo, jak się zdaje, nie jest wystarczającym wyjaśnieniem zwykłe pęknięcie łańcucha górskiego, nawet przekształcenie rzek w wodospady i wdarcie się

morza kilkadziesiąt kilometrów w głąb lądu po tylu milionach lat od jego ustąpienia. Chodzi o to, i w tym miejscu dłoń waha się i nie bardzo wiadomo, w jaki sposób dobrać następne słowa, aby były wiarygodne, te które nieuchronnie wpłyną na wszystko, szczególnie że bardzo trudne staje się już rozwikłanie, o ile w ogóle w którymś momencie życia jest to możliwe, prawdy i fikcji. Chodzi

0 to, zakończmy to, co pozostało w zawieszaniu z powodu wielkiego wysiłku przekształcenia słowami tego, co prawdopodobnie może zostać przekształcone tylko przez słowa, nadeszła więc chwila, by powiedzieć, teraz już na pewno nadeszła, że Półwysep Iberyjski nagle się odsunął w całości od kontynentu o dziesięć metrów, któż mi uwierzy, otworzyły się Pireneje z góry na dół, jakby z wyżyn spadł na nie niewidzialny topór, wciskając się w szczelinę, rozrywając ziemię i skały aż do poziomu morza, teraz możemy zobaczyć spadającą Irati, tysiąc metrów w dół, jak nieskończoność, w swobodnym spadku, otwiera się na słońce i wiatr, jak szklany wachlarz albo ogon rajskiego ptaka, pierwsza tęcza zawieszona nad otchłanią, pierwszy zawrót głowy kro- gulca, który z mokrymi skrzydłami szybuje, zabarwiony siedmioma kolorami. I zobaczylibyśmy też Visaurin, Monte Perdido, Pico Perdiguere, szczyt Estats, dwa tysiące metrów, trzy tysiące metrów przepaści, niemożliwych do ogarnięcia wzrokiem, w dół aż do morza, zamglonych od wody

1 przez odległość, a potem pojawiają się nowe chmury, kiedy będzie się powiększała ta przestrzeń, co jest tak pewne jak to, że istnieje przeznaczenie.

Mija czas, mieszają się wspomnienia i płaczą się prawda i prawdy, wcześniej tak jasne i określone, i wtedy, chcąc ustalić to, co tak ambitnie nazywamy ścisłością faktów, konfrontujemy świadków z epoki, różne dokumenty, gazety, filmy, nagrania wideo, kroniki, osobiste pamiętniki, pergaminy, przede wszystkim palimpsesty, przepytujemy tych, którzy przetrwali, przy odrobinie dobrej woli z jednej i drugiej strony udaje nam się naprawdę uwierzyć w to, co mówi staruszek o tym, co widział i słyszał w dzieciństwie, i ze wszystkiego musimy wyciągnąć jakieś wnioski, z braku pewności snuje się jedynie przypuszczenia, wydaje się jednak ostatecznie ustalone, że dopóki nie zostały zerwane linie trakcji elektrycznej, nie zapanował na półwyspie prawdziwy strach,

choć powiedziano już coś przeciwnego, panika owszem, ale strach nie, bo to jest uczucie innego kalibru. Oczywiście wielu ludzi zachowało żywe wspomnienie dramatycznej sceny z Collado de Pertuis, kiedy to beton zniknął z oczu tych, którzy krzyczeli, Zwycięstwo, zwycięstwo, ale zdarzenie to zrobiło prawdziwe wrażenie tylko na tych, którzy tam byli, inni asystowali z daleka, z domów, dzięki domowemu teatrowi, jakim jest telewizja, widzieli wszystko na małym szklanym prostokącie, na którym jeden obraz zmiata poprzedni, nie pozostawiając śladów, wszystko w pomniejszonej skali, nawet emocje. I ci wrażliwi, bo jeszcze tacy istnieją, ci, co z byle powodu zaraz zalewają się łzami i ukrywają ściskanie w gardle, zrobili to, co zwykle się robi, kiedy nie da się już wytrzymać w obliczu głodu w Afryce i innych kataklizmów, odwrócili wzrok. Poza tym nie zapominajmy, że na wielkich polaciach półwyspu, w głębokim interiorze, dokąd nie docierają gazety i trudno zrozumieć telewizję, były miliony, tak, miliony ludzi, którzy nie rozumieli, co się dzieje, albo mieli mgliste pojęcie stworzone ze słów, których znaczenie rozumiano zaledwie w połowie albo nawet i nie, tak niepewne, że nie sposób było znaleźć wielkiej różnicy pomiędzy tym, co jeden wiedział, a co drugiemu było obce.

Lecz kiedy wszystkie światła na półwyspie zgasły w jednej chwili, później w Hiszpanii nazwano to apagón, a nie- grum w jakiejś portugalskiej wiosce, gdzie jeszcze wymyślano słowa, kiedy obszar pięciuset osiemdziesięciu jeden tysięcy kilometrów kwadratowych przestał być widoczny na powierzchni ziemi, wtedy rozwiały się ostatnie wątpliwości, nastał koniec wszystkiego. Dobrze, że całkowite wygaszenie światel nie trwało dłużej niż piętnaście minut, dopóki nie podłączono awaryjnych źródeł zasilania, tym razem własnych i mizernych o tej porze roku, w środku lata, w połowie sierpnia, susza, brak wody w elektrowniach wodnych, niewiele elektrowni geotermicznych, atomowe przekłete, było to jednak prawdziwe pandemonium, diabły na wolności, zimny strach, polowanie czarownic, trzęsienie ziemi nie miałyby tak zgubnego wpływu na morale ludności. Był wieczór, większość ludzi już znalazła się w domach, jedni siedzą i oglądają telewizję, w kuchniach kobiety przygotowują kolację, jakiś ojciec niepewnie objaśnia dziecku zawiłości arytmetyki, wydaje się, że szczęście nie jest zbyt wielkie, ale zaraz zobaczono, ile było warte, to

przerażenie, ten czarny jak smoła mrok, ten atramentowy kleks, który spadł na Iberię, Nie odbieraj nam światła, Panie, spraw, by wróciło, a ja przysięgam, że do końca życia o nic więcej cię nie poproszę, oto co mówili skruszeni grzesznicy, którzy zawsze przesadzają. Kto mieszkał w dolinach, mógł sobie wyobrazić, że znajduje się w przykrytej pokrywą studni, kto mieszkał na górze, wdrapywał się na szczyt i w promieniu wielu mil nie mógł dostrzec ani jednego światła, było tak, jakby Ziemia zmieniła orbitę i przemierzała teraz przestrzenie pozbawione słońca. Drżącymi rękoma zapalano świece w domach, latarki na baterie, lampy olejowe, przechowywane na wypadek odcięcia prądu, ale nie czegoś takiego, świeczniki z delikatnego srebra, kinkiety z brązu, które służyły tylko do ozdoby, mosiężne lichtarze, zapomniane lampy oliwne, gnuśne światła zaludniające wszystko cieniami w półmroku i na mgnienie oka oświetlające przestraszone twarze, rozmyte, jak odbicia w wodzie. Wiele kobiet krzychało, wielu mężczyzn drżało, o dzieciach powie się, że wszystkie płakały. Po upływie piętnastu minut, które, według powiedzenia, zdawały się trwać piętnaście wieków, choć nikt jeszcze nie żył tak długo, aby to zweryfikować, powrócił prąd elektryczny, stopniowo, mrugając, każda lampa była niczym zaspane oko rzucające zamglone spojrzenia, gotowe ponownie pogrążyć się we śnie, w końcu zwyciężyło światło.

Pół godziny później radio i telewizja zaczęły nadawać, podały relację z wydarzenia i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że wszystkie linie wysokiego napięcia pomiędzy Francją i Hiszpanią zostały zerwane, przewróciły się niektóre słupy, a żaden z inżynierów, co było niewybaczalnym niedopatrzeniem, nie wpadł na to, żeby wyłączyć napięcie w przewodach, jeśli już nie można było ich ściągnąć. Szczęśliwie sztuczne ognie zwania nie przyniosły ofiar, choć to dość egoistyczne stwierdzenie, bo o ile żaden człowiek nie odniósł obrażeń, to przynajmniej jeden wilk nie uniknął porażenia, zmieniając się w dymiący kawałek węgla. Lecz oświadczenie, że zerwały się kable, było tylko połowicznym wyjaśnieniem braku światła, druga połowa, wyrażona słowami celowo niejasnymi, niebawem stała się czytelna dzięki wzajemnej sąsiedzkiej pomocy, Oni nie chcą powiedzieć, że to nie tylko te pęknięcia ziemi, gdyby chodziło tylko o to, nie zerwałyby się kable, No to jak sąsiad myśli, co się wydarzyło, Co to jest, ma

dziób, pływa i kaczka się nazywa, ale tym razem nie była to kaczka, kable zerwały się, bo się naprężyły, a naprężyły się, bo ziemia się rozsunęła, jeśli nie o to chodzi, to jestem święty, Niemożliwe, Możliwe, możliwe, zobaczy sąsiad, że niedługo będą o tym mówić. I tak się stało, ale dopiero następnego dnia, kiedy pojawiło się już tyle plotek, że jeszcze jedna wiadomość, nawet prawdziwa, nie mogła już zwiększyć zamieszania, ale i tak nie powiedzieli wszystkiego ani szczegółowo, poinformowali tylko, że zmiana struktury geologicznej Pirenejów spowodowała pęknięcie na całej długości łańcucha, czego skutkiem jest chwilowe przerwanie komunikacji lądowej pomiędzy Francją i półwyspem, władze pilnie śledzą rozwój wydarzeń, połączenia lotnicze nie uległy zmianie, wszystkie lotniska są otwarte i działają bez zmian, przewiduje się, że w dniu jutrzejszym będzie możliwe podwojenie liczby lotów.

I było to konieczne. Kiedy stało się oczywiste, że Półwysep Iberyjski całkowicie oddzielił się od Europy, tak już mawiano, Oddzielił się, setki tysięcy turystów, jak wiemy, był to okres największego ich napływu, pospiesznie opuściło, zostawiając nie zapłacone rachunki, hotele, pensjonaty, gospody, schroniska, rezydencje, wynajęte mieszkania i pokoje, campingi, namioty, wozy campingowe, powodując na ulicach niebywałe korki, które jeszcze się spotęgowały, kiedy zaczęto porzucać samochody, trwało to trochę, ale później było jak płonący lont, ogólnie ludziom zawsze zajmuje trochę czasu pojęcie i zaakceptowanie powagi sytuacji, na przykład tego, że samochód na nic się nie przyda, skoro drogi do Francji są nieprzejezdne. Wokół lotnisk, niczym zalew, rozciągała się masa samochodów wszystkich rozmiarów, modeli, marek i kolorów, tarasujących ulice i dojazdy, na pęczki, co kompletnie dezorganizowało życie lokalnych społeczności. Hiszpanie i Portugalczycy doszli już do siebie po strachu z powodu apagonu i negrum i obserwowali powszechną panikę, uważając, że jest ona bezpodstawna, Przecież jak dotąd nikt nie zginął, ci obcokrajowcy, kiedy wybić ich z rutyny, tracą głowę, to przez tę ich zaawansowaną naukę i technikę, po tym potępiającym stwierdzeniu szli wybierać spośród porzuconych samochodów taki, który najbardziej im się podobał i o jakim od dawna marzyli.

Na lotniskach stanowiska towarzystw lotniczych zostały zaatakowane przez rozszalały tłum, istna wieża bąbel wścickłych

krzyków i gestów, usiłowano dokonać i dokonywano przekupstwa na skalę nigdy wcześniej nie spotykaną, aby zdobyć bilet, sprzedawano wszystko i kupowano wszystko, biżuterię, aparaty, ubrania, zapasy narkotyków, o które teraz jawnie się targowano, samochód stoi na zewnątrz, oto kluczyki i dokumenty, jeśli nie da się do Brukseli, leć choćby do Istambułu, nawet do piekła, ten turysta należał do roztrzępanych, był na wsi, a nie widział domów. Przeciężone komputery wahały się, mnożyły błędy, aż w końcu kompletnie się zablokowały. Nie sprzedawano już biletów, szturmowano samoloty, mężczyźni jako pierwsi, bo byli silniejsi, potem słabe kobiety i niewinne dzieci, niemało jednych i drugich zostało stratowanych pomiędzy drzwiami terminali i trapami samolotów, były to pierwsze ofiary, a potem drugie i trzecie, kiedy ktoś wpadł na tragiczny pomysł, by utorować sobie drogę z pistoletem w garści, i został zastrzelony przez policję. Doszło do strzelaniny, bo ktoś inny w tłumie też miał broń, która wystrzeliła, nie warto mówić, na którym lotnisku wydarzyło się to nieszczęście, obrzydliwe zdarzenie, podobne powtórzyły się później w dwóch czy trzech miejscach, choć z mniej tragicznymi skutkami, tam zginęło osiemnaście osób.

Nagle, ponieważ ktoś wpadł na to, że morzem też można uciec, zaczęła się następna pogoń za ocaleniem. Z powrotem płynął strumień uchodźców, którzy szukali swych porzuconych samochodów, niektórzy je odnaleźli, inni nie, ale to nie było ważne, jeśli ktoś nie miał kluczyków albo nie pasowały, łączono styki stacyjki, kto nie potrafił, natychmiast się uczył, Portugalia i Hiszpania zmieniły się w raj dla złodziei samochodów. Kiedy uciekinierzy docierali do portów, ruszali na poszukiwanie łódki albo czółna, które mogłoby ich zabrać, albo jeszcze lepiej, motorówki, kutra, szalupy, żaglowca, i w ten sposób porzucali swe ostatnie dobra na przeklętej ziemi, wyruszali w ubraniu, jakie mieli na sobie, i nie zabierali wiele więcej, już to przybrudzoną chusteczkę do nosa, bezwartościową zapalniczkę bez gazu, krawat, który nikomu się nie podobał, nieładnie, że z takim okrucieństwem wykorzystywaliśmy nieszczęście innych, byliśmy niczym szabrownicy na brzegu ograbiający rozbitków. Wysiadali, biedacy, gdzie tylko mogli, dokąd ich zawieziono, niektórych przetransportowano na Ibizę, Majorkę i Minorkę, na Formenterę,

na wyspy Cabrera i Conejera, zdani na łut szczęścia, byli porzucani, by tak powiedzieć, pomiędzy młotem i kowadłem, to prawda, że jak do tej pory wyspy się nie poruszyły, ale któż może przewidzieć, co się wydarzy jutro, wydawało się, że Pireneje też pozostaną niewzruszone przez całą wieczność, a proszę, co się stało. Tysiące tysięcy popłynęły do Maroka, uciekając czy to z Algarve, czy to z hiszpańskiego wybrzeża, taką opcję wybrali ci, którzy znajdowali się na południe od przylądka Palos, przebywający na północ od niego woleli udać się bezpośrednio do Europy, jeśli było to możliwe, i pytali tak, Ile pan chce za zabranie mnie do Europy, a szyper marszczył brwi, wydymał usta, patrząc na uchodźcę i oceniając jego zamożność, Wie pan, Europa jest daleko jak diabli, leży gdzieś na końcu świata, i nawet nie warto było mu odpowiadać, Niech pan nie przesadza, to tylko dziesięć metrów wody, raz jakiś Holender powążył się na użycie tego sofizmu, jakiś Szwed potwierdził, i otrzymali brutalną odpowiedź, Ach tak, skoro to tylko dziesięć metrów, no to płyńcie wpływ, musieli przeprosić i zapłacili podwójnie. Interes kwitł aż do dnia, w którym poszczególne kraje zgodnie ustanowiły most powietrzny dla masowego transportu swych obywateli, lecz nawet po tym humanitarnym przedsięwzięciu byli jeszcze tacy marynarze i rybacy, którzy zarobili krocie, wystarczy wspomnieć, że bywają podróżni będący na bakier z prawem, ci byli skłonni zapłacić każdą cenę, nie mieli też innego wyjścia, bo marynarka wojenna Hiszpanii i Portugalii czujnie patrolowała wybrzeże, pozostając w stanie najwyższego pogotowia, pod uważnym, choć dyskretnym okiem wojskowych formacji wielkich potęg.

Znaleźli się jednakowoż turyści, którzy zdecydowali się zostać, uznali pęknięcie za coś nieodwracalnego, fatum, zobaczyli w nim znak przeznaczenia i napisali do swych rodzin, przynajmniej mieli taki zamiar, żeby więcej o nich nie myślały, że zmienił im się świat i życie, nie była to ich wina, zwykle były to osoby o słabej woli, z tych, co to odwołują podjęcie decyzji, ciągle mówią jutro, jutro, co oczywiście nie oznacza, że nie mają snów i pragnień, złe jest to, że zazwyczaj umierają, zanim mogą i potrafią zrealizować je choć w malutkim stopniu. Inni w ogóle nic nie powiedzieli, to ci zdesperowani, po prostu znikli, zapomnieli się i sprawili, że o nich zapomniano, cóż, każdy z tych przypadków wystarczyłby, aby napisać powieść, historię o tym, kim zdołali się stać, a jeśli nawet

niczym się nie stali, było to zupełnie inne nic, bo nigdy nie ma dwóch nic takich samych.

Są jednak ludzie, którzy taszczą na grzbiecie znacznie większą odpowiedzialność, i oni nie mogą uciec, a kiedy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, zaraz zadajemy sobie pytanie, No i co oni teraz zrobią, na co czekają, ta niecierpliwość jest mocno niesprawiedliwa, bo w końcu, biedaczkowie, też nie umkną przeznaczeniu, co najwyżej podadzą się do dymisji, ale nie w takim wypadku, byłoby to wielką hańbą, historia surowo oceniłaby ludzi władzy, którzy podjęliby taką decyzję w tych dniach, kiedy wszystko diabli wzięli. W Hiszpanii i w Portugalii rządy wydały uspokajające odezwy, formalnie zagwarantowały, że sytuacja nie budzi przesadnego niepokoju, dziwny to język, a także, że dysponują środkami, aby zapewnić bezpieczeństwo obywateli i ich mienia, w końcu udali się do telewizji szefowie rządów, a potem, zyskując aplauz niespokojnych ludzi, pojawili się też król, tam, i prezydent, tu, Friends, Romans, countrymen, lend me your ears, powiedzieli, a Portugalczycy i Hiszpanie w swych zgromadzeniach odparli jednym głosem, O tak, o tak, words, words, words, nic ponad words.

Wobec niezadowolenia opinii publicznej spotkali się w sekretnym miejscu premierzy obu krajów, najpierw sami, potem w towarzystwie członków rządów, razem i oddzielnie, nastąpiły dwa dni wyczerpujących rozmów, w końcu doszli do wniosku, że należy utworzyć komisję parytetową do spraw kryzysu, której głównym celem byłoby koordynowanie akcji obrony cywilnej w obu krajach, w celu wzajemnej pomocy w uzupełnianiu zapasów, środków technicznych i ludzkich w walce z geologicznym wyzwaniem, które już odsunęło półwysep od Europy o dziesięć metrów, Jeżeli to nie będzie przesadą, szeptano w korytarzach, przypadek nie jest szczególnie niebezpieczny, powiedziałbym nawet, że to niezły kawał spleatany Grekom, kanał większy niż Koryncki, Jednak nie możemy zapominać, że nasze problemy komunikacyjne z Europą, historycznie już tak złożone, teraz staną się beczką prochu, E tam, zbuduje się mosty, A mnie najbardziej martwi to, że kanał może się poszerzyć tak bardzo, że będą mogły po nim pływać statki, szczególnie tankowce, byłby to duży cios dla iberyjskich portów i miałyby poważne konsekwencje, tak poważne jak, mutatis mutandis, rzecz jasna, otwarcie Kanału Sueskiego, to

znaczy Europa Północna i Południowa dysponowałyby bezpośrednim połączeniem bez konieczności korzystania, by tak powiedzieć, ze szlaku przyładkowego. A my będziemy wtedy tylko patrzeć na statki, skomentował jakiś Portugalczyk, pozostali stwierdzili, że chodzi mu o statki, które będą pływać po nowym kanale, ale tylko my, Portugalczycy, wiemy, że myślał o różnych innych statkach, wiozących ładunek cieni, pragnień, frustracji, omyłek i rozczarowań, sprawdzono ładownie, Człowiek za burta, zawołano, i nikt nie pospieszył mu na pomoc.

Podczas spotkania, jak to zostało wcześniej ustalone, Europejska Wspólnota Gospodarcza wydała bardzo poważne oświadczenie, z którego wynikało, że odsunięcie się krajów iberyjskich na zachód nie wpłynie na obowiązujące układy, szczególnie że chodzi o minimalne przesunięcie, zaledwie kilka metrów, jeśli porównamy to z odległością, jaka dzieli Anglię od kontynentu, żeby nie wspomnieć już Grenlandii czy Islandii, które z Europą mają tak niewiele wspólnego. To oświadczenie, obiektywnie przejrzyste, było wynikiem dyskusji w obrębie komisji, podczas której pewne kraje członkowskie wykazały się niejakim oderwaniem, jakże właściwe to słowo, i insynuowały, że jeśli Półwysep Iberyjski chce sobie pójść własną drogą, no to niech idzie, błędem było pozwolić im wejść. Rzecz jasna wszystko było żartem, joke, podczas tych trudnych międzynarodowych zebrań ludzie też muszą się rozerwać, nie można tylko pracować i pracować, lecz komisarze portugalski i hiszpański energicznie potępili tak mało eleganckie, prowokacyjne i niewątpliwie antywspółnotowe zachowanie, cytując, każdy w swym języku, znane iberyjskie przysłowie, Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Poproszono też NATO o złożenie deklaracji atlantyckiej solidarności, lecz odpowiedź, choć nie negatywna, sprowadziła się do niemożliwego do opublikowania zdania, Wait and see, co też nie wyrażało całej prawdy, biorąc pod uwagę, że postawiono w stan pogotowia bazy w Beja, Rota, Gibraltarze, El Ferrol, Torrejón de Ardoz, Cartagenie, San Juijo de Valenzuela, nie mówiąc już o pomniejszych.

Wtedy półwysep odsunął się jeszcze trochę, metr, dwa metry, jakby mierząc siły. Liny, które służyły do sprawdzania jego ruchów, przerzucone z jednej strony na drugą, tak samo jak robią strażacy z popękanyimi ścianami, które grożą zawaleniem, pękły

jak zwykle sznurki, a co mocniejsze wyrwały drzewa z korzeniami i słupy, do których zostały przywiązane. Potem nastąpiła przerwa, dał się odczuć wielki powiew, jakby pierwszy głęboki oddech budzącego się człowieka, i masa ziemi i kamieni, pokryta miastami, wioskami, rzekami, lasami, fabrykami, nieużytkami, uprawnymi polami, z ludźmi i ze zwierzętami, zaczęła się poruszać, niczym statek oddalający się od portu i wyruszający w morze, ponownie nieznanie.

To drzewo oliwne nazywa się kordowskie albo kordawskie, albo kordobańskie, nie ma to znaczenia, bo na ziemi portugalskiej nazywa się je tymi trzema określeniami, bez różnicy, a oliwki, które rodzi, z racji rozmiarów i piękna zwane są w Hiszpanii oliwkami królowej, lecz kordobańskimi nigdy, choć bliżej jesteśmy Kordoby niż granicy. Szczegóły te zdają się nieistotne, powierzchowne, niczym melizmatyczne wokalizy, ozdobniki ludowej piosenki śniącej o symfonicznej pełni, podczas gdy ważniejsze byłoby mówienie o tych trzech mężczyznach siedzących pod oliwnym drzewkiem, jednym z nich jest Pedro Orce, drugim Joaąim Sassa, a trzecim Jose Anaięo, cudowny przypadek lub świadoma manipulacja zebrały ich w tym miejscu. Ale powiedzenie, że drzewo oliwne było z gatunku kordobańskiego, przynajmniej będzie nam użyteczne, aby zaobserwować, do jakiego stopnia byli selektywni w doborze informacji na przykład ewangelista, kiedy ograniczyli się do napisania, że Jezus przeklął drzewo figowe, zdawałoby się, że informacja ta powinna nam wystarczyć, ale nie wystarcza, nie proszę pana, w końcu minęło dwadzieścia wieków, a nie wiemy, czy nieszczęsne drzewo dawało figi białe czy czarne, wczesne czy późne, pęknięta skórka czy kropla miodu, nie chodzi o to, że z powodu braku tej wiadomości cierpi chrześcijaństwo, ale prawda historyczna z pewnością tak. Więc to drzewo oliwne jest kordobańskie i siedzi pod nim trzech mężczyzn. Po drugiej stronie wzgórz, niewidoczna z tego miejsca, leży wioska, w której mieszka Pedro Orce, i przypadkiem nazywa się tak samo, co nie umniejsza ani nie zwiększa wiarygodności opowiadania, człowiek może nazywać się Wątroba i nie być rzeźnikiem albo Pogoda i nie mieć nic wspólnego z meteorologią. Powiedziano już, że są to przypadki i manipulacje, ale w dobrej wierze.

Siedzą na ziemi i słuchają nosowego głosu z radia, którego

baterie są już pewnie na wyczerpaniu, a spiker mówi, Według ostatnich pomiarów, prędkość, z jaką przemieszcza się Półwysep Iberyjski, wynosi około siedemset pięćdziesiąt metrów na godzinę, mniej więcej osiemnaście kilometrów na dobę, nie wydaje się to dużo, ale jeśli przeliczymy to na mniejsze jednostki czasu, stwierdzimy, że co minutę oddalamy się od Europy o dwanaście i pół metra, nie powinniśmy jednak wpadać w panikę, choć sytuacja rzeczywiście jest poważna, A byłaby jeszcze poważniejsza, gdyby powiedział, że są to dwa centymetry z hakiem na sekundę, zauważył biegły w rachunkach Jose Anaięo, nie dane mu było przejść do dziesiątych i setnych, bo Joaquim Sassa poprosił go, by zamilkł, chciał dosłyszeć, co mówi spiker, a było warto, Według informacji, które właśnie w tej chwili dotarły do naszej redakcji, pojawiło się wielkie pęknięcie pomiędzy La Linea i Gibraltarem, zgodnie z czym przewiduje się, mając na uwadze jak dotąd nieodwracalne konsekwencje pęknięć, że El Penon pozostanie odosobniony na środku morza, jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, nie wiemy za to Brytyjczyków, bo winę ponosimy my, Hiszpanie, którzyśmy nie potrafili na czas odzyskać tego świętego skrawka naszej ojczyzny, teraz jest już za późno, opuszcza nas, Ten facet to artysta w dziedzinie języka, zauważył Pedro Orce, lecz spiker już zmienił ton, zapanował nad wzruszeniem, Gabinet premiera Wielkiej Brytanii opublikował notę, w której rząd Jej Królewskiej Mości upiera się przy tym, co nazywa swymi prawami do Gibraltaru, potwierdzonymi teraz, cytujemy, przez bezdyskusyjny fakt, że The Rock oddzielił się od Hiszpanii, w związku z czym zostają jednostronnie i ostatecznie zawieszane wszystkie negocjacje mające na celu ewentualne i problematyczne oddanie zwierzchnictwa nad tym terytorium, Jeszcze nie tym razem upadnie ostatecznie imperium brytyjskie, odezwał się Jose Anaięo, W deklaracji złożonej w parlamencie opozycja Jej Królewskiej Mości zażądała, by przyszyły północny brzeg wyspy został szybko umocniony, tak aby skała na całym swym obwodzie zmieniała się w niezwyciężony bastion, dumnie osamotniony pośrodku powiększonego teraz Atlantyku, jako symbol niewzruszonej siły Albionu, Wariaci, wymamrotał Pedro Orce, patrząc na szczyty Serra de Sagra, Ze swej strony rząd, mając na względzie umniejszenie politycznego znaczenia deklaracji, odpowiedział, że Gibraltar w nowej sytuacji geostrategicznej nadal pozostanie

jednym z klejnotów w koronie Jej Królewskiej Mości, formułka ta, niczym Magna Carta, ma tę zaletę, że satysfakcjonuje wszystkich, to ironiczne podsumowanie należało już do spikera, który się pożegnał, Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, będą mogli państwo wysłuchać wiadomości za godzinę. Stado szpaków, niczym tajfun, przeleciało nad spaloną słońcem doliną, fruuuuuuuuuuuuuuuuuuu. Ib twoje, zapytał Joaquim Sassa, a José Anaięo odpowiedział, nawet nie patrząc, Tak, moje, ma obowiązek o tym wiedzieć, od tamtego pierwszego dnia na zielonych polach Ribatejo niemal nie odstepują go na krok, odlatują tylko po to, by jeść i spać, człowiek nie żywi się robakami i rozsypanym ziarnem, a ptak sypia na drzewie, bez pościeli. Stado zatoczyło wielkie koło, z wrzaskiem, bijące skrzydła, dzioby spijające powietrze i słońce, i błękit, kilka chmur, białych i wysokich jak zamki, płynie po niebie niczym galeony, ludzie, ci i wszyscy inni, spoglądają na te różnorodne rzeczy i, jak zwykle, niezbyt dobrze je rozumieją.

Nie spotkali się po to, by słuchać razem tranzystorowego radia, nie po to przybyli z tak różnych miejsc Pedro Orce, José Anaięo i Joaquim Sassa. Dowiedzieliśmy się trzy minuty temu, że Pedro Orce mieszka w wiosce ukrytej za tymi nierównościami terenu, wiedzieliśmy od samego początku, że Joaquim Sassa przybył z jakiejś plaży na północy Portugalii, a José Anaięo, teraz dowiedzieliśmy się o tym z całą pewnością, spacerował po polach Ribatejo, kiedy znalazł szpaki, a mogliśmy się tego domyślić od razu, gdybyśmy w dostateczny sposób zwracali uwagę na szczegóły krajobrazu. Brakuje nam teraz tylko informacji o tym, jaki sposób wszyscy trzej się spotkali i dlaczego siedzą tu w ukryciu, w cieniu drzewa oliwnego, jedyne w tej okolicy, pośród rzadkich i pokręconych karłowatych drzew czepiających się białej ziemi i w drżącym powietrzu, to andaluzyjski skwar, choć znajdujemy się w otoczeniu gór, nagle uświadamiamy sobie istnienie tych rzeczy, wchodzimy w rzeczywisty świat, a może to on stworzył nam drzewi.

Dobrze się nad tym zastanowiwszy, dojdziemy do wniosku, że nie ma początku rzeczy ani ludzi, wszystko, co zaczęło się pewnego dnia, zaczęło się już wcześniej, powiedzmy historia tej kartki papieru, by sięgnąć po przykład będący najbardziej pod ręką, aby być pełną i kompletną, musiałaby sięgać aż początków świata, celowo użyto liczby mnogiej zamiast pojedynczej, a i tak

mielibyśmy wątpliwości, czy te początki rzeczywiście były początkami, a nie jedynie punktami przejściowymi, swego rodzaju rampami, biedna ta nasza głowa, wystawiona na takie kukuksańce, pomimo wszystko godna podziwu głowa, która jest w stanie zwariować ze wszystkich powodów, tylko nie z tego.

Nie ma więc początku, ale była chwila, w której Joaquim Sassa wyruszył z miejsca, gdzie się znajdował, plaża na północy Portugalii, może Afife, ta z dziwnymi skałami, a może A-Ver-o-Mar2, ta byłaby lepsza, bo nie można by wymyślić doskonalszej nazwy dla plaży, poci i powieścio- pisarze na pewno by jej nie wymyślili. Stamtąd przyjechał Joaquim Sassa, kiedy usłyszał, że jakiś tam Pedro Orce z Hiszpanii poczuł drzenie ziemi pod stopami, kiedy wcale nie drżała, to naturalna ciekawość kogoś, kto cisnął w morze kamień dzięki siłom, których nie posiadał, zwłaszcza że półwysep oderwał się od Europy bez wstrząsów ni bólu, niczym włos, co to w ciszy opada na ziemię, zwykłym wyrokiem boskim, przynajmniej tak mówią. Wyruszył w drogę starym citroenem zwanym Dwa Konie, nie pożegnał się z rodziną, z bólem, bo takowej nie posiada, i nie zawiadamiając dyrektora biura, w którym pracuje. Są wakacje, może wyjechać i wrócić, nie prosząc nikogo o pozwolenie, teraz nawet nie trzeba mieć paszportu, żeby przekroczyć granicę. Po prostu okazuje się dowód osobisty i półwysep jest nasz. Na siedzeniu obok niego leży radio tranzystorowe, umiła sobie czas słuchaniem muzyki, gadaniem spikerów, łagodnym i usypiającym, niczym akustyczna kołyska, nagle zaś denerwującym, tak bywało w normalnych czasach, teraz przepelniają eter gorączkowe słowa, wiadomości z Pirenejów, exodus, przejście przez Morze Czerwone, odwrót Napoleona. Tutaj, na szosach interioru, ruch jest nieznaczny, nieporównywalny z Algarve, z tym zamieszaniem i wstrząsami, i z Lizboną, z autostradami południową i północną, lotniskiem w Porteli, które wydaje się raczej obłożoną fortecą, szturm mrówek, opiłków żelaza przyciąganych magnesem. Joaquim Sassa jedzie sobie spokojnie przez cieniste drogi Beiry, zmierza w kierunku wioski zwanej Orce w prowincji Granada, w Hiszpanii, gdzie mieszka człowiek, o którym mówiono w telewizji, Dowiem się, czy istnieje jakiś związek pomiędzy tym, co mi się przytrafiło, i drzeniem ziemi,

ludzie, kiedy dają się ponieść wyobraźni, łączą różne rzeczy i zwykle się myślą, ale czasem trafiają w sedno, kamień rzucony w morze, trzęsąca się ziemia, popękany łańcuch górski. Joaquim Sassa także przemierza góry, choć nieporównywalne z takim ogromnym masywem, i nagle ogarnia go niepokój, A jeśli tutaj wydarzy się to samo, popęka Serra de Estrela, rzeka Mondego wpadnie w przepaść, jesienne topole utracą zwierciadło, w którym się przeglądają, myśli stały się poetyckie, oto zbliża się niebezpieczeństwo.

W tej samej chwili ucichła muzyka, spiker zaczął czytać wiadomości, które niezbyt różniły się od poprzednich, jedyna nowość, choć względna, nadeszła z Londynu, premier udał się do Izby Gmin, aby kategorycznie oświadczyć, że zwierzchnictwo brytyjskie nad Gibraltarem jest bezdyskusyjne, bez względu na to, jak wielka odległość będzie dzielić Hiszpanię od reszty Europy, a lider opozycji dodał od siebie formalną gwarancję, Absolutnie wiernej współpracy naszej grupy poselskiej i naszej partii w wielkiej historycznej chwili, jaką obecnie przeżywamy, lecz w jego uroczystym przemówieniu pobrzmiwała nuta ironii, która rozśmieszyła wszystkich deputowanych, Pan premier popełnił poważny błąd rzeczowy, kiedy nazwał półwyspem to, co dziś bez wątplenia jest już wyspą, choć pozbawioną stabilności, jaką mają nasze wyspy, of course. Deputowani w większości oklaskiwali tę konkluzję i wymieniali uśmiechy zadowolenia z adwersarzami, aby zjednoczyć polityków, nie ma to jak interes ojczyzny, prawda to niepodważalna. Joaquim Sassa też się uśmiechnął, Co za teatr, i nagle wstrzymał oddech, spiker wymienił jego nazwisko, Prosi się pana Joa- quima Sassę, podróżującego po kraju, powtarzam, prosi się pana Joaquima Sassę o pilne stawienie się w najbliższym biurze starostwa celem rozpoczęcia współpracy z władzami w sprawie ustalenia przyczyn ruchów geologicznych, do jakich doszło w Pirenejach, panuje bowiem przekonanie wśród kompetentnych władz, że wspomniany Joaquim Sassa posiada informacje o istotnym znaczeniu dla bezpieczeństwa narodowego, powtarzam apel, Prosi się pana Joaquima Sassę, lecz Joaquim Sassa już nie słuchał, musiał zatrzymać samochód, aby odzyskać spokój, zimną krew, nie był w stanie prowadzić z tak drżącymi rękoma, w uszach szumiało mu jak w morskiej muszli, Co za życie, skąd oni mogli się dowiedzieć o kamieniu, na plaży nie było nikogo, przynajmniej

nikogo nie widziałem, i nikomu nic nie powiedziałem o tym, co zaszło, wzięliby mnie za kłamcę, a jednak ktoś musiał mnie obserwować, kto w normalnej sytuacji zwraca uwagę na ludzi rzucających kamienie do morza, no tak, ale na mnie zaraz zwrócono uwagę, co za pech, i wiemy, w jaki sposób się to odbywa, jeden mówi drugiemu i dodaje coś, co wymyślił, a nie widział, kiedy ta historia dotarła do uszu władz, kamień był już pewnie tak duży jak ja, co najmniej, i co ja teraz mam zrobić. Nie miał zamiaru odpowiedzieć na apel, nie zgłosi się w biurze starosty ani wojskowego dowódcy, proszę sobie wyobrazić absurdalną rozmowę, zamknięty gabinet, włączony magnetofon, Panie Joaquinie Sassa, rzucił pan kamień do morza, Rzuciłem, Jak się panu zdaje, ile on mógł ważyć, Nie wiem, może ze dwa kilo albo trzy, Albo więcej, Tak, mógł ważyć więcej, Proszę, oto ma pan kilka kamieni, proszę je wziąć do ręki i powiedzieć, do którego z nich tamten był podobny pod względem wagi, Do tego, Zważymy go teraz, dobrze, proszę samemu spojrzeć, Nie myślałem, że to aż tyle, pięć kilo i sześćdziesiąt deko, Teraz proszę mi powiedzieć, czy kiedyś zdarzyło się już panu coś takiego, Nigdy, Jest pan pewien, Całkowicie, Nie cierpi pan na jakieś zaburzenia umysłowe albo nerwowe, epilepsję, lunatyzm, zdarzają się panu jakieś transy, Nie, proszę pana, A w pańskiej rodzinie są albo były podobne wypadki, Nie, proszę pana, Potem zrobimy elektroencefalografię, a teraz proszę pociągnąć z całej siły, o tu, Co to jest, Dynamometr, proszę pociągnąć z całej siły, Nie mogę więcej, Tylko tyle, Nigdy nie byłem szczególnie silny, Panie Joaquinie Sassa, pan nigdy nie byłby w stanie rzucić tego kamienia, Też jestem tego zdania, ale rzuciłem, Wiemy, że pan rzucił, są na to świadkowie, ludzie absolutnie zaufani, dlatego musi nam pan powiedzieć, w jaki sposób pan to zrobił, Już wyjaśniłem, szedłem plażą, zobaczyłem kamień, wziąłem go do ręki i rzuciłem, To niemożliwe, Świadkowie potwierdzają, To prawda, ale świadkowie nie mogą wiedzieć, skąd miał pan tyle siły, pan to powinien wiedzieć, Już panu mówiłem, że nie wiem, Panie Joaquinie Sassa, sytuacja jest poważna, powiem więcej, jest bardzo poważna, pęknięcie Pirenejów nie może zostać wyjaśnione siłami natury, w takim razie mielibyśmy światową katastrofę, zaczęliśmy więc badać niesamowite przypadki, jakie wydarzyły się w ciągu ostatnich dni, a pański jest jednym z nich, Wątpię, by wrzucenie kamienia do

morza mogło spowodować pęknięcie kontynentu, Nie chcę się wdawać w jałowe filozofowanie, ale proszę mi powiedzieć, czy widzi pan jakiś związek pomiędzy zejściem małpy z drzewa dwadzieścia milionów lat temu i wyprodukowaniem bomby atomowej, Istnieje związek, właśnie te dwadzieścia milionów lat, Dobra odpowiedź, ale teraz wyobraźmy sobie, że można by skrócić czas do kilku godzin pomiędzy przyczyną, którą w tym przypadku było rzucenie kamienia, i skutkiem, którym jest podział Europy, innymi słowy, wyobraźmy sobie, że w normalnych warunkach ten kamień wrzucony do morza spowodowałby skutki za dwadzieścia milionów lat, ale w innych warunkach, niezwykłych, w jakich obecnie się znajdujemy, skutek stał się widoczny po upływie kilku godzin albo dni, To czysta spekulacja, przyczyna może być całkiem inna, Albo kilka jednocześnie zaistniałych przyczyn, W takim razie będziecie musieli zbadać również inne niesamowite wydarzenia, Właśnie to robimy, i Hiszpanie też, na przykład ten przypadek człowieka, który poczuł drżenie ziemi, Rozumując w ten sposób, po przebadaniu zdarzeń niesamowitych, będziecie musieli zbadać też zdarzenia samo- wite, Jakże zdarzenia, Samowite, Co to za słowo, Samowite to przeciwieństwo niesamowitego, antonim, Przejdziemy od niesamowitych do samowitych, jeśli będzie taka konieczność, musimy znaleźć przyczynę, Będziecie musieli wiele zbadać, Właśnie zaczynamy, proszę powiedzieć, skąd wziął pan tyle siły. Joaquim Sassa nie odpowiedział, uciszył wyobraźnię, zwłaszcza że istniało niebezpieczeństwo, że dialog zatoczy koło, teraz musiałby odpowiedzieć, Nie wiem, a reszta byłaby taka sama, z niewielkimi zmianami, minimalnymi, zwłaszcza na poziomie formalnym, ale właśnie pod tym względem powinien zachować ostrożność, wszak, jak wiadomo, dzięki formie dociera się do sedna, od opakowania do zawartości, od brzmienia słowa do jego znaczenia. Ruszył Dwoma Końmi, stępa, jeśli można tak powiedzieć o samochodzie, musiał się poważnie zastanowić. Przestał być zwykłym podróżnym zmierzającym do granicy, zwykłym człowiekiem bez żadnych cech, nieważnym, pewnie w tej chwili drukują plakaty z jego podobizną i znakami szczególnymi, Wanted wypisane wielkimi czerwonymi literami, polowanie na człowieka. Rzucił okiem we wsteczne lustro i zobaczył samochód policji drogowej, jechał tak szybko, jakby miał zamiar wpaść do środka

jego wozu przez tylną szybę. Złapali mnie, pomyślał, przyspieszył, lecz zaraz zwolnił, nie hamując, ale wszystko to było niepotrzebne, samochód policyjny przemknął obok jak huragan, miał pewnie jakiś swój cel, nawet na niego nie spojrzeli, gdybyż zgadli spieszący się policjanci, kogo minęli, istnieje jednak wiele Dwóch Koni, wydaje się to matematyczną sprzecznością, ale nie jest. Joaquim Sassa ponownie spojrzął w lusterko, teraz chciał zobaczyć samego siebie, dostrzec ulgę w swoich oczach, odbicie nie pokazywało wiele więcej, tylko kawałek twarzy, w ten sposób trudno zgadnąć, do kogo należy, do Joaquina Sassy, to już wiemy, ale kim jest Joaquim Sassa, jeszcze młodym człowiekiem, ma trzydzieści kilka lat, bliżej mu do czterdziestki niż trzydziestki, czterdziestka nadejdzie w dniu, którego nie można uniknąć, brwi ma czarne, oczy brązowe, jak to Portugalczyk, ostry nos, rysy prawdziwie pospolite, dowiemy się o nim więcej, kiedy się do nas odwróci. Póki co, pomyślał, jest to tylko wezwanie przez radio, najgorzej będzie na granicy, do tego jeszcze to moje nazwisko, Sassa, dzisiaj dobrze by było nazywać się Sousa, tak jak ten z Collado de Pertuis, któregoś dnia sprawdził w słowniku, czy istnieje słowo sassa, nie Sousa, i dowiedział się, że istnieje i oznacza niewysokie drzewo z Nubii, piękne imię, kobiece, Nubia, gdzieś tam w okolicach Sudanu, we wschodniej Afryce, dziewięćdziesiąta trzecia strona w atlasie. A tej nocy, gdzie ja będę spał, o hotelu nie ma nawet co marzyć, zawsze mają tam włączone radio, i w tej chwili we wszystkich hotelach Portugalii pilnie obserwują wszystkich chętnych na nocleg, szukających schronienia uciekinierów, wyobraża sobie tę scenę, Oczywiście, proszę pana, mamy wspaniały wolny pokój, na drugim piętrze, numer dwieście jeden, Pimenta zaprowadź pana Sassę, a kiedy będzie leżał i odpoczywał, jeszcze w ubraniu, dyrektor, podekscytowany, zdenerwowany, zatelefonuje, Facet jest tutaj, przyjeżdżajcie natychmiast.

Zjechał na pobocze, wyszedł, żeby rozprostować nogi i rozjaśnić myśli, które w tej chwili nie potrafiły być dobrym doradcą, zaproponowały mu nietypowe rozwiązanie, Wjedź do jakiegoś ludnego miasta, poszukasz jakiegoś burdelu, spędzisz noc z jakąś panienką, odpocznesz, bo tam nikt nie pyta o dokumenty, zapłacisz, a jeśli nie będziesz miał ochoty się zabawić, bo masz dość problemów na głowie, przynajmniej się wyśpisz, może nawet

wyjdzie taniej niż w hotelu, To absurd, odparł Joaquim Sassa, rozwiązaniem będzie spędzenie nocy w samochodzie, przy jakiejś bocznej drodze, A jeśli pojawią się jakieś lekkoduchy, włóczędzy, cyganie, jeśli cię napadną i ograbią, i zabiją, Te okolice są spokojne, A jeśli pojawi się jakiś podpalacz, z zawodu albo zamiłowania, żeby podłożyć ogień w lesie, to jest ich pora roku, zostaniesz otoczony przez płomienie i zginiesz spalony żywcem, co jest pewnie najgorszym rodzajem śmierci, według tego, co mówią, pamiętaj o męczennikach Inkwizycji, To absurd, powtórzył Joaquim Sassa, postanowione, będę spał w samochodzie, i myśli ucichły, zawsze milkną, kiedy postanowienie jest mocne. Było wcześniej, mógł jeszcze przejechać czterdzieści czy pięćdziesiąt kilometrów tymi krętymi drogami, prześpi się w okolicach Tomar albo San- tarem, na jednej z tych bitych prowadzących do uprawnych pól dróg z głębokimi koleinami, które kiedyś żłobiły koła zaprzężonych w woły wozów, a teraz koła traktorów, nocą nikt tędy nie przejeżdża, swobodnie można ukryć tu Dwa Konie, Mogę się nawet przespać pod gołym niebem, w tym upale, myśli nie skomentowały tego pomysłu, ale go nie pochwalają.

Nie zatrzymał się w Tomar, nie dojechał do Santarem, zjadł kolację incognito w jakimś miasteczku nad brzegami Tagu, ludzie na wsi są z natury ciekawscy, ale nie tak bardzo, by zniecka zapytać podróżnego, Hej ty, jak się nazywasz, gdyby zabawił tu trochę dłużej, wtedy tak, w krótkim czasie odgadliby, jakie było jego wcześniejsze życie i jakie czeka go przeznaczenie. Był włączony telewizor, Joaquim Sassa, jedząc kolację, obejrzał końcówkę filmu o podmorskim życiu, z wieloma ławicami drobnych rybek, falującymi płaszczkami i wijącymi się murenami, i starą kotwicą, potem pojawiły się reklamy, niektóre z szybko migającymi obrazami, inne rozważnie powolne, jak rozkosz rozpalana doświadczeniem, głosy należały do rozkrzyczanych dzieci, młodzieży o niepewnym tonie albo nieco zachrypniętych kobiet, wszyscy mężczyźni mieli bardzo męskie barytony, na tyłach domu chrząkała Świnia, chowana na pomyjach i resztkach. W końcu rozpoczęły się wiadomości i Joaquim Sassa zadrżał, jeśli pokażą jego fotografię, jest załatwiony. Odczytano apel, ale fotografia się nie pojawiła, w końcu nie poszukiwali przestępcy, po prostu go proszono, usilnie i elegancko, aby się objawił, służąc w ten sposób wyższym celom narodowym,

żaden patriota, godzien tego miana, nie zawahałby się przed wypełnieniem tego tak prostego obowiązku oddania się władzom w celu złożenia zeznań. Razem z Joaąimem Sassą jadły kolację jeszcze trzy osoby, starsze małżeństwo, a przy innym stoliku znany typ mężczyzny, o którym zawsze się mówi, Pewnie jest domokrażcą.

Rozmowy ucichły, kiedy podawano pierwsze wiadomości z Pirenejów, Świnia nadal chrząkała, ale nikt jej nie słyszał, a wszystko to działo się w jednej chwili, właściciel wdrapał się na krzesło, żeby zrobić głośniejsze, dziewczyna podająca do stołu zatrzymała się z wytrzeszczonymi oczyma, klienci ostrożnie odłożyli sztucce na brzeg talerzy, bo wymagała tego powaga informacji, na ekranie pojawił się helikopter filmowany z innego helikoptera, oba przelatywały nad budzącym grozę kanałem, i pokazano niebywale wysokie ściany, tak wysokie, że u góry ledwie widać było niebo, błękitną niteczkę, Ja cię, nie mogę, aż się w głowie kręci, powiedziała dziewczyna, a patron rzucił, Cicho bądź, teraz kamera o mocnym obiektywie pokazywała rozdziawioną gardziel, tak pewnie wyglądało wejście do piekła według Greków, ale miast ujadania Cerbera słyszać było chrząkanie świni, mity nie są już takie jak kiedyś. Te dramatyczne obrazy, recytował spiker, sfilmowane z narażeniem życia, głos stał się lepki, niewyraźny, dwa helikoptery zmieniły się w cztery, duchy duchów, Przekłęta antena, burknął właściciel restauracji.

Kiedy dźwięk i obraz się wyklarowały i ponownie stały czytelne, helikoptery znikły, a spiker czytał znany nam apel, teraz przedłużony o część ogólną, Uprasza się też wszystkich, którzy wiedzą cokolwiek na temat niecodziennych zjawisk, niewyjaśnialnych fenomenów, budzących podejrzenia oznak, aby niezwłocznie zawiadomili najbliższe organy władzy. Wtedy to dziewczyna, widząc, że tak bezpośrednio się do niej zwrócono, przypomniała sobie o szeroko dyskutowanym przypadku koziołka, który urodził się z pięcioma nogami, czterema czarnymi i jedną białą, ale patron odparł, To już było ileś tam miesięcy temu, głupia, koziołki z pięcioma nogami i kurczaki z dwiema głowami to rzeczy, które zawsze się zdarzały, skaranie boskie z tą dziewczyną, chodzi o takie rzeczy jak te szpaki nauczyciela, Jakie szpaki, jakiego nauczyciela, zapytał Joaąim Sassa. Naszego nauczyciela, nazywa się Jose Anaięo, od kilku dni, gdzie się nie ruszy, leci za

nim stado szpaków, riie jest ich mniej niż dwieście, Albo więcej, poprawił domokrążca, widziałem je dziś rano, kiedy przyjechałem, latały nad szkołą, a tak hałasowały, że coś nieprawdopodobnego. W tej chwili zabrał głos starszy mężczyzna i powiedział, W moim mniemaniu powinniśmy poinformować burmistrza o tym przypadku ze szpakami, Wiedzieć to on już wie, zauważył właściciel restauracji, Wie, ale nie łączy jednej rzeczy z drugą, tyłka

i spodni, że się tak wyrażę, No to co mamy zrobić, Porozmawiamy z nim jutro z rana, przecież nawet dla naszego miasta dobrze by było, gdyby o nim mówiono w telewizji, to jest dobre dla handlu i przemysłu, Ale to będzie nasza tajemnica, nikomu nie mówcie, A ten nauczyciel, gdzie mieszka, zapytał Joaquim Sassa, jakby nie dbał o odpowiedź, dlatego patron, nieuważny, nie zdążył w porę uciszyć dziewczyny, Mieszka w domu zaraz obok szkoły, w domu nauczycielskim, w nocy zawsze ma zapalone światło do bardzo późna, zdawało się, że w jej głosie pobrzmiwa nuta melancholii. Wściekły właściciel restauracji nakrzyczał na biedną służącą, Zamknij się, głupia, poszłabyś lepiej zobaczyć, czy Świnia nie jest głodna, było to wyjątkowo absurdalne polecenie, bo świni nie jedzą o tej porze, zwykle śpią, skoro ta tyle hałasuje, to pewnie z powodu niepokoju i strachu, także w okolicznych stajniach i zagrodach oraz w polu rżą i podrzucają łbami kłacze, nerwowe, niespokojne i niecierpliwie, trzaskają podkowami o okrągłe kamienie, miażdżą słomę, To pewnie przez księżyc, wyrokuję przewodnik stada.

Joaquim Sassa zapłacił za kolację, pożegnał się, zostawił suty napiwek jako nagrodę za udzieloną przez dziewczynę informację, może patron weźmie go do swej kieszeni, ze złości z powodu całej tej sytuacji, nie dlatego, że ma taki zwyczaj, dobroć ludzi nie jest lepsza niż oni sami, także podlega zaćmieniom i kaprysom, nieustanna należy do rzadkości, i oto mamy przykład zbesztanej dziewczyny, która nie mogąc nakarmić świni, bo ta nie jest głodna, drapie jej te- stuz pomiędzy oczyma, słowo jest kastylijskie, ale używa się go tu z braku portugalskiego. Jest piękny wieczór, Dwa Konie odpoczywa pod platanami, chłodząc koła w wodzie spływającej z fontanny, a Joaquim Sassa pozwala mu tam zostać, pieszko udaje się na poszukiwanie szkoły i oświetlonego okna, ludzie nie są w stanie ukryć swych sekretów, nawet jeśli chcą ich

strzec słowami, zdradza ich nagły piskliwy ton, odsłania nieoczekiwane przygaszenie samogłoski, każdy obserwator mający doświadczenie z ludzkimi głosami i życiem natychmiast spostrzegłby, że dziewczyna z restauracji jest zakochana. Miasteczko to jest zaledwie dużą wioską, w mniej niż pół godziny przechodzi się od wjazdu do ostatnich domów, lecz Joaquim Sassa nie musi chodzić tak daleko, zapytał przechodzącego chłopca, gdzie jest szkoła, nie mógł znaleźć lepiej poinformowanego przewodnika, Pójdzie pan tą drogą, na placu z kościołem skręci pan w lewo, a potem cały czas w prawo, nie może pan zabłądzić, zaraz widać szkołę, A nauczyciel mieszka tam, Mieszka, proszę pana, w oknach jest światło, nie było jednak oznak miłości w żadnym z tych słów, prawdopodobnie chłopak jest słabym uczniem, a szkoła jego pierwszym czyścem, ale jego głos nagle stał się wesoły, dzieci nie chowają urazy i żalu, to je ratuje, I szpaki też tam są, nigdy nie są cicho, jeśli wcześniej nie porzuci nauki, będzie mógł się nauczyć budować zdania tak, by nie powtarzać ciągle tych samych czasowników.

Na połowie nieba widać jeszcze trochę jasności, druga połowa też do końca nie pociemniała, powietrze jest błękitne, jakby świeża. Lecz w domach zapalono już światła, słychać spokojne głosy zmęczonych ludzi, cichy płacz dziecka w kołysce, rzeczywiście narody są nieświadome, rzucają nas na tratwie w morze, a ci dalej prowadzą życie, jakby na zawsze znajdowali się na stałym lądzie, gaworząc niczym Mojżesz, kiedy spływał Nilem w plecionce z sitowia, bawiąc się z motylkami, miał dużo szczęścia, że nie zoczyły go krokodyle. W głębi wąskiej ulicy pomiędzy murami jest szkoła, gdyby Joaquim Sassa nie został o tym powiadomiony, uznałby, że to dom jak każdy inny, w nocy wszystkie są czarne, niektóre są takie również za dnia, tymczasem zapadł zmrok, lecz dopiero za jakiś czas zapala się latarnie.

Aby nie zaprzeczyć zakochanej dziewczynie i chłopczykowi skrywającemu uczucia, w oknie jest światło, i Joaquim Sassa zapukał w szybę, w końcu szpaki nie robią aż tyle hałasu, przygotowują się do nocy, prowadząc swe zwyczajowe dysputy, sąsiedzkie waśnie, niemniej jednak wkrótce zapada cisza pod liśćmi figowca, pod którymi się skryły, niewidoczne, czarne w ciemności, później, kiedy wzejdzie księżyc, niektóre się obudzą, dotknięte białymi palcami,

i ponownie pogrązą się we śnie, nie przypuszczają, że będą musiały polecieć bardzo daleko. Ze środka męski głos zapytał, Kto tam, i Joaquim Sassa odpowiedział, Proszę, magiczne słowa, zastępujące formalną prezentację, język pełen jest takich i innych, znacznie poważniejszych sekretów. Okno otworzyło się, pod światło niełatwo zobaczyć tego, kto mieszka w tym domu, ale za to oblicze Joaçuima Sassy pojawia się w całości, trochę o nim mówiliśmy już wcześniej, reszta się zgadza, ciemnobrażowe włosy, gładkie, pociągnęła twarz, nos rzeczywiście pospolity, usta wydają się pełne tylko wtedy, kiedy Joaquim mówi, Przepraszam, że niepokoję o tej porze, Nie jest późno, powiedział nauczyciel, musiał podnieść głos, bo szpaki, przestraszone, podniosły zgiewki protestu albo przerażenia, To właśnie z ich powodu chciałbym z panem porozmawiać, Ich powodu, czyjzego, Szpaków, Aha, I o pewnym kamieniu, który wrzuciłem do morza, choć to znacznie przekraczało moje siły, Jak się pan nazywa, Joaquim Sassa, Jest pan tym, o którym mówią w radiu i telewizji, Tak, to ja, Niech pan wejdzie.

Okamierni i szpakach już rozmawiali, teraz rozprawiają o powziętych decyzjach. Są na tyłach domu, w ogrodzie, José Anaięo usiadł na taborecie, Joaquim Sassa na krześle, bo jest gościem, a ponieważ José Anaięo jest zwrócony plecami do kuchni, z której dochodzi światło, nadal nie widzimy jego twarzy, wydaje się, że ten mężczyzna się ukrywa, a przecież tak nie jest, ileż to razy pokazujemy siebie takimi, jacy jesteśmy, a w końcu okazuje się, że nie było warto, nie było nikogo, żeby to zobaczyć. José Anaięo nalał jeszcze trochę białego wina do kieliszków, ma temperaturę pokojową, jak wedle znawców powinno mieć, bez nowoczesnych sztuczek chłodzenia, ale w tym przypadku jest tak tylko dlatego, że w domu nauczyciela nie ma lodówki, Dla mnie wystarczy, powiedział Joaquim Sassa, razem z czerwonym winem wypitym do kolacji to już trochę za dużo, Tym wzniesiemy toast za podróż, odparł José Anaięo i uśmiechnął się, ukazując bardzo białe zęby, co jest godne zauważenia, To, że ja jadę na poszukiwanie Pedra Orce, jest zrozumiałe, póki co mam wakacje, bez żadnych obowiązków, Ja też i to jeszcze dłużej, aż do początku roku szkolnego w październiku, Jestem sam, Ja też jestem sam, Nie przyjechałem tutaj z zamiarem nakłonienia pana do podróży, nawet pana nie

znałem, To ja pana proszę, by pozwolił mi pan sobie towarzyszyć, jeśli znajdzie się dla mnie miejsce w pańskim samochodzie, ale już mi to pan zaproponował, teraz nie może się pan wycofać, Proszę sobie wyobrazić, jaki nastanie harmider, kiedy zobaczą, że pana nie ma, są w stanie zaraz zawiadomić policję, będą myśleli, że został pan zabity i zakopany, uduszony w stogu siana albo wrzucony do rzeki, przeze mnie, rzecz jasna, to mnie będą podejrzewać, obcy o tajemniczej sile, który przyjechał potajemnie, zadał kilka pytań i zniknął, wszystko to jest w książkach, Zostawię kartkę w drzwiach urzędu, że musiałem pilnie wyjechać do Lizbony, mam nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy pytać na stacji, czy kupowałem bilet.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, potem Jose Anaię podniósł się i popijając resztkę wina, podszedł do figowca, szpaki nie przestawały szczebiotać i wiercić się, niektóre obudziła rozmowa mężczyzn, inne może ćwierkały przez sen, dręczone tym okrutnym koszmarem swego gatunku, którym jest sen, że się led samotnie, zgubiwszy stado, w gęstej atmosferze, która przytrzymuje skrzydła niczym woda, to samo dzieje się z ludźmi, kiedy we śnie są zmuszeni do biegu, a me mogą się ruszyć. Wyjedziemy na godzinę przed wschodem słońca, powiedział Jose Anaię, teraz czas spać, i Joaąim Sassa wstał z krzesła, Będę w samochodzie, rano po pana przyjadę, Dlaczego nie prześpi się pan tutaj, mam co prawda tylko jedno łóżko, ale jest szerokie, spokojnie zmieścimy się w nim obaj. Niebo było bezkresne, upstrzone gwiazdami, które zdawały się tak bliskie, jakby się z niego zwieszały na niewidzialnych nitkach, szklany pył, śnieżnobiały welon, wielkie konstelacje skrzyły się dramatycznie, gwiazda poranna, obie Niedźwiedzice, Plejady, na uniesione twarze mężczyzn spadał deszcz drobnych kryształków światła, przyklejających się do skóry, wplątujących się we włosy, nie po raz pierwszy zaistniało to zjawisko, lecz w jednej chwili umilkły wszystkie nocne szepty, nad drzewami pojawił się pierwszy promień księżycy, teraz gwiazdy będą musiały zgasnąć. I wtedy Joaąim Sassa powiedział, W taką noc mogę spać nawet pod drzewem, jeśli pożyczysz mi pan jakiś koc, Będę panu towarzyszył. Zebrali i ułożyli wystarczająco dużo słomy na sienniki, tak jak robi się dla bydła, rozciągnęli koce, na jednych się położyli, drugimi się przykryli. Szpaki zerkały na nich z gałęzi, Kim on może być, pod

drzewem i na gałęziach nikt nie śpi, przy takiej księżycowej
poświacie sen będzie się musiał mocno wysilić. Księżyc wznosi
się, bardzo szybko, niska
i kulista korona drzewa zmienia się w biało-czarny labirynt, i José
Anaięo mówi, Te cienie nie są już takie jak wcześniej, Półwysep
przesunął się nieznacznie, tylko kilka metrów, efekt nie może być
aż tak widoczny, zauważył Joa- quim Sassa, szczęśliwy, że
zrozumiał aluzję, Poruszył się
i to wystarczyło, żeby wszystkie cienie od razu stały się imię, były
tam gałęzie, których światło księżycy dotyka po raz pierwszy o
takiej porze. Minęło kilka minut, szpaki zaczęły się uspokajać i
José Anaięo wyszeptał głosem urywanym z powodu senności,
każde słowo poszukiwało następnego albo go oczekiwało,
Któregoś dnia, dawno temu, nasz król Jan II, o przydomku
Wspaniały i jak dla mnie wspaniały humorysta, nadał pewnemu
szlachcicowi prawa do wymyślonej wyspy, niech mi pan powie,
czy słyszał pan kiedyś
o jakimś kraju, gdzie taka rzecz mogłaby się wydarzyć, A
szlachcic, co na to szlachcic, czy wyruszył na morze w po-
szukiwaniu wyspy, chciałbym wiedzieć, w jaki sposób znaleźć
wymyśloną wyspę. Aż tak głęboko nie sięgnęły moje studia, ale
proszę, oto druga wyspa, iberyjska, która była półwyspem i
przestała nim być, wydaje mi się równie zabawne, że zdecydowała
się wyruszyć na morze w poszukiwaniu wymyślonych ludzi,
Piękne zdanie, z tych poetyckich, A wie pan, że nigdy nie pisałem
wierszy, Daj pan spokój, kiedy wszyscy ludzie staną się poetami,
przestaną pisać wiersze, To zdanie też coś w sobie ma, Za dużo
wypiliśmy, Też mi się tak zdaje. Cisza, spokój, nieskończona
błogość, Joaquim Sassa wyszeptał, jakby już spał, Co zrobią jutro
szpaki, zostaną, ruszą za nami, Kiedy wyruszymy, to się dowiemy,
zawsze tak jest, powiedział José Anaięo, księżyc zgubił się
pomiędzy gałęziami figowca, przez całą noc będzie szukał wyjścia.

Jeszcze przed brzaskiem Joaquim Sassa wstał z łoża z
pszenicznej słomy, aby udać się po Dwa Konie, pozostawiony pod
platanami na placu, zaraz przy fontannie. Aby nie zostali
zauważeni przez jakiegoś rannego ptaszka, jakich nie brakuje na
wsi, umówili się na skraju wioski, z dala od ostatnich domów. José
Anaięo miał iść bocznymi drogami, skrótami i parowami, kryjąc
się w cieniu, Joaquim

Sassa zaś, choć dyskretnie, to jednak drogą, którą jeżdżą wszyscy, należy w końcu do podróżnych, którzy niczego się nie boją i nic nikomu nie są winni, wyjechał wcześniej, aby nacieszyć się chłodem poranka i jak najwięcej skorzystać z dnia, poranni turyści już tacy są, w gruncie rzeczy problematyczni i niespokojni, cierpią na nieuleczalne poczucie krótkości życia, położyć się późno i wstać wcześniej, zdrowie nie wytrzymuje, ale życie się wydłuża. Dwa Konie ma cicho pracujący silnik, gładko zapala, usłyszeli go tylko nieliczni bezsenni mieszkańcy, a i ci pomyśleli, że jednak spali i śnili, teraz ledwie słychać w spokojnym przedświcie rytmiczny odgłos pompy tłoczącej wodę. Joaquim Sassa wyjechał z wioski, wziął pierwszy zakręt, potem drugi, po czym zatrzymał Dwa Konie i czekał.

W posrebrzanej głębi gaju oliwnego pnie drzew stawały się coraz bardziej widoczne, unosiły się już w powietrzu wilgotne i rozmazane opary, jakby poranek wydobywał się ze studni o niezbyt klarownej wodzie, a teraz zaśpiewał ptak, a może było to złudzenie słuchowe, nawet skowronek nie śpiewa tak wcześniej. Mijał czas i Joaquim Sassa spostrzegł, że mamrocze pod nosem sam do siebie, Może zmienił zdanie i nie przyjdzie, ale nie wydał mi się takim człowiekiem, może musiał zrobić większe koło, niż mu się zdawało, to pewnie dlatego, i przez walizkę, która jest ciężka, co za niedopatrzenie, mogłem ją zabrać samochodem. Wtedy pomiędzy oliwnymi drzewami pojawił się José Anaię w otoczeniu swych szpaków, szal nieustannie bijących skrzydeł, przesywające krzyki, kto mówił o dwustu, jest słaby z arytmetyki, bardziej to przypomina rój ogromnych czarnych pszczoł, w pamięci Joaquima Sassy pojawiło się wspomnienie Ptaków Hitchcocka, teraz już klasyki, jednak tamte ptaki były złośliwymi mordercami. José Anaię w koronie ze skrzydlatych stworzeń podszedł do samochodu, śmieje się, być może dlatego wydaje się teraz znacznie młodszy niż Joaquim Sassa, doskonale wiadomo, że powaga wpływa na wygląd, José ma bardzo białe zęby, o czym dowiedzieliśmy się poprzedniej nocy, a w jego twarzy nie rzuca się w oczy nic szczególnego, ale w tych ostrych rysach widoczna jest jednak swego rodzaju harmonia, nikt nie ma obowiązku być ładnym. Wsadził walizkę do samochodu, usiadł u boku Joaquima Sassy i zanim zamknął drzwi, wyrzał na zewnątrz, popatrzył na szpaki, Jedźmy, chciał pan zobaczyć, co one robią, no to proszę

patrzeć, Gdybyśmy mieli strzelbę, strzelilibyśmy do nich, dwa ładunki ze śrutem zdzięsiątkowałyby je, Jest pan myśliwym, Nie, ale mówią, że tak by było, Nie mamy strzelby, Może znajdzie się jakieś inne rozwiązanie, wcisnę gaz i one na pewno zostaną w tyle, to są ptaki o małych skrzydłach i krótkim oddechu, Proszę spróbować. Dwa Konie zmienił bieg, rozbijał się na długiej prostej i wykorzystując równinę, szybko zostawił ptaki w tyle. Poranna szarówka zaczęła barwić się bladą i żywą różowością, kolory te spadły z nieba i powietrze stało się niebieskie, powietrze, dobrze mówimy, nie niebo, mogliśmy to zaobserwować jeszcze wczoraj o zmierzchu, pory te są identyczne, jedna zaczyna, druga kończy dzień. Joa- quim Sassa wyłączył światła, zmniejszył prędkość, wie, że Dwa Konie nie przyszedł na świat, by brać udział w wielkich szarżach, brak mu rodowodu, ponadto kiedyś to skończyła się jego młodość, łagodność silnika zaś jest renuncia- cją filozoficzną, niczym więcej, No i po szpakach, tak powiedział Jose Anaięo, ale słyhać było nutę żalu w jego głosie.

Dwie godziny później, na ziemiach Alentejo, zatrzymali się na krótki posiłek, kawę z mlekiem, suche ciastka z cynamonem, po czym wrócili do samochodu, dyskutując znane nam problemy, Nie będzie źle, jeśli nie wpuszczą mnie do Hiszpanii, najgorzej będzie, jeśli mnie aresztują, Nie jesteś oskarżony o żadne przestępstwo, Wymyślą jakiś pretekst, zatrzymają w celu złożenia wyjaśnień, Daj spokój, do granicy wymyślimy jakiś sposób na jej przejście, taki był dialog, który niczego nie wnosi do rozwoju opowiadania, prawdopodobnie został tu wstawiony tylko po to, żebyśmy sobie uświadomili, że Joaquim Sassa i Jose Anaięo zaczęli mówić sobie na ty, pewnie zdecydowali tak po drodze, A może byśmy przeszli na ty, powiedział jeden z nich, a drugi się zgodził, Właśnie chciałem to zaproponować. Joaquim Sassa otwierał drzwi samochodu, kiedy szpaki ponownie się pojawiły, ta wielka chmura, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej przypominająca rój, i robiły ogłuszający hałas, widać było, że są wściekłe, ludzie unosili głowy, wskazywali w niebo, ktoś zapewnił, Nigdy w życiu nie widziałem tylu ptaków naraz, biorąc pod uwagę jego wiek, można uznać, że na pewno nie brak mu doświadczeń w tej materii i różnych innych, Jest ich ponad tysiąc, dodał, i miał rację, przynajmniej tysiąc dwieście pięćdziesiąt było zwołanych na

to zebranie. A jednak nas dogoniły, powiedział Joaquim Sassa, jeszcze raz im uciekniemy i raz na zawsze się ich pozbędziemy. José Anaięo spoglądał na triumfujące szpaki zataczające szerokie koło, patrzył na nie w napięciu, skoncentrowany, Jedźmy powoli, od tej chwili będziemy jechać powoli, Dlaczego, Nie wiem, to przecucie, te ptaki nie zostawiają nas z jakiegoś powodu, Ciebie nie zostawiają, Niech tak będzie, w takim razie proszę cię, żebyśmy jechali wolno, kto wie, co ma się wydarzyć.

Podróż przez Alentejo w tym upale, pod niebem bardziej białym niż błękitnym, pośród rażących w oczy rżysk, z rzadkimi dębami wyrastającymi z nagiej ziemi i klockami słomy do zebrania, w nieustającym brzęczeniu cykad, byłaby historią bardziej kompletną, może lepiej napisaną niż tamta z innych czasów. To prawda, że całymi kilometrami nie widać ludzkich postaci, ale zboża zostały zżęte i wymłócone, a do takiej pracy potrzeba kobiet i mężczyzn, tym razem niczego się nie dowiemy ani o jednych, ani o drugich, bardzo słuszne jest to nowe powiedzenie, które mówi, Kto historię raz już opowiedział, lepiej, żeby cicho siedział. Skwar jest wielki, duszący, ale Dwa Konie nie spieszy się, rozkoszuje się odpoczynkiem w cieniu, wtedy wysiadają José Anaięo i Joaquim Sassa, żeby popatrzeć na horyzont, czekają tyle czasu, ile trzeba, w końcu się pojawia ta jedyna chmura na niebie, przystanki nie byłyby konieczne, gdyby szpaki potrafiły latać w linii prostej, ale skoro jest ich tyle i mają tyle zachcianek, nie sposób uniknąć rozpraszania się i roztargnienia, jedne chciały odpocząć, inne napić się wody lub spróbować owoców, dopóki nie przeważa jedna zachcianka, stado się kłębi i podniebna marszruta jest zakłócona. Po drodze, oprócz polujących samotnie jastrzębi i innych mniejszych ptaków, widziano także szpaki, ale nie przyłączyły się one do kompanii, może dlatego, że nie były czarne, tylko cętkowane, albo miały inne przeznaczenie. José Anaięo i Joaquim Sassa wsiadali do samochodu, Dwa Konie wyjeżdżał na szosę i w ten sposób, jadąc i przystając, przystając i jadąc, dojechali do granicy. Powiedział wtedy Joaquim Sassa, A jeśli nie pozwolą mi przejechać, to co, Ty jedź, może szpaki. Tak jak w bajkach o wrózkach, urokach i błędnych ryce-rzach, albo w innych, nie mniej zachwycających,

homeryckich przygodach, w których to dzięki cudom zaczarowanego drzewa albo widzimi się bogów i innych podręcznych mocy wszystko mogło się wydarzyć na opak wbrew przyjętym zwyczajom, w sposób nienaturalny, zdarzyło się oto w tym miejscu, że Joaquim Sassa i Jose Anaię zatrzymali się przy budce wartownika, według stosownego żargonu stanęli przy posterunku granicznym, i Bóg jeden raczy wiedzieć, z jakim niepokojem w duszach wręczali swe dokumenty, kiedy nagle, niczym grom z jasnego nieba albo potężny huragan, z wysokości spadły szpaki, czarny meteor, błyskawica, świszcząca, piszcząca, a na wysokości dachów rozfrunęły się we wszystkich kierunkach, strachliwi policjanci machali rękoma, umykali, szukając schronienia, w rezultacie Joaquim Sassa wysiadł z samochodu, aby podnieść z ziemi porzucone przez władzę dokumenty, nikt nie zwrócił uwagi na to celne zamieszanie i już po chwili skrycie się przemykali, czegoś takiego nigdy jeszcze nie było, Hitchcock klaszcze w dłonie na widowni, a są to oklaski mistrza w tej dziedzinie. Doskonałość metody została zaraz potwierdzona, dowodząc, że hiszpańska policja, tak jak portugalska, docenia przemyślnie sposoby ogólnej ornitologii i czarnego szpaka. Podróżni przejechali bez najmniejszych kłopotów, lecz na placu zostało kilka tuzinów ptaków, bo na posterunku u sąsiadów mieli naładowaną dwururkę, nawet ślepiec byłby w stanie wypalić na wyczucie, wystarczyło strzelić w górę, ale śmierć ta była niepotrzebna, bo jak wiemy, w Hiszpanii nikt nie poszukuje Joaquima Sassy. I niesłusznie postąpili andaluzyjscy strażnicy, wszak szpaki były narodowości portugalskiej, zrodzone i wychowane na ziemiach Ribatejo, i przyleciały tak daleko, by umrzeć, przynajmniej niech mają w sobie tyle litości i szacunku ci bezduszni strażnicy, by zaprosić na smażeninę swych alentejańskich kolegów, w atmosferze pokojowego współżycia i braterstwa broni.

Podróżni zwieńczeni swym ptasim ornamentem jada już po drugiej stronie granicy, w stronę Granady i jej okolic,

i będą musieli prosić o pomoc na skrzyżowaniach, na prowadzącej ich mapie nie ma bowiem osady Orce, oto dowód na rażący brak wrażliwości opracowujących mapę topografów, mogą się założyć, że o własnej wiosce nigdy by nie zapomnieli, na przyszłość proszę sobie przypomnieć, jakie rozczarowanie czujemy, sprawdzając na mapie, czy jest tam miejsce, w którym się urodziliśmy, i znajdując białą plamę, pustkę, w ten sposób powstały ważne problemy z tożsamością osób i narodów. Mijają na drodze seaty i pegaso, zaraz można je rozpoznać dzięki językowi rejestracji, a miejscowości, przez które przejeżdża Dwa Konie, pogrążone są w tej sennej atmosferze, która ponoć jest właściwa południowym krajom, opieszalymi zwa południowców północne plemiona, oto łatwa pogarda i pycha tych, którzy nigdy nie musieli pracować w słońcu palącym kark i plecy. Prawda jest jednak, że istnieją różnice pomiędzy światami, wszyscy wiedzą, że na Marsie ludzie są zieloni, podczas gdy na Ziemi mamy ludzi we wszystkich kolorach, tylko nie w tym.

Od mieszkańca Północy nie usłyszeliśmy tego, co usłyszymy, kiedy się zatrzymamy, aby zapytać tego człowieka usadowionego na grzbiecie osła, co też myśli o niesamowitym wydarzeniu, jakim jest oddzielenie się Półwyspu Iberyjskiego od Europy, ściga on wodze, Prrr, i odpowiada, nie przebierając w słowach, To wszystko wygłupy. Roque Lozano ocenia wszystko po wyglądzie, dzięki temu wykształcił swój trzeźwy osąd, proszę spojrzeć na sielski spokój tych pól, przejrzystość nieba, zrównoważenie kamieni, góry Morena i Aracena identyczne od chwili swych narodzin albo przynajmniej od chwili naszych narodzin, Ale przecież telewizja pokazała całemu światu, jak Pireneje pękają niczym arbuz, zarzekamy się, sięgając po metaforę zrozumiałą dla rolniczych umysłów, Nie wierzę telewizji, dopóki nie zobaczę na własne oczy, te, które wyjedzą mi robaki, nie wierzę, powtarza Roque Lozano, nie zsiadając z osła, No to co pan zrobi, Zostawię rodzinę na gospodarce i pójdę zobaczyć, czy to prawda, Na własne oczy, które wyjedzą mi robaki, Na własne oczy, których robaki jeszcze mi nie

wyjadły, I ma pan zamiar dojechać tam na tym ośle, Kiedy on nie będzie dawał rady, razem pójdziemy pieszo, Jak się nazywa pański osioł, Srebrzynek, I wyruszącie w podróż, Srebrzynek i ja, Wie pan, jak dojechać do Orce, Nie, proszę pana, nie wiem, Zdaje się, że to kawałek od Granady, No to jeszcze musicie daleko jechać, a teraz do widzenia, panowie Portugalczycy, jadę znacznie dalej i to na ośle, Pewnie kiedy pan tam dojedzie, już nie zobaczy pan Europy, Skoro jej nie zobaczę, to znaczy, że nigdy nie istniała, w zasadzie ma całkowitą rację Roque Lozano, bo aby coś zaistniało, muszą zostać spełnione dwa warunki, człowiek musi to zobaczyć i nadać temu nazwę.

Joaquim Sassa i José Anaięo spali w Aracenie, powtarzając czyn Alfonsa Trzeciego, naszego króla, kiedy odbił ją Maurom, lecz na krótko zajaśniało słońce, mroczne to były czasy. Szpaki rozproszyły się i obsiadły kilka drzew, bo skoro tyle ich było, nie mogły zostać razem, w stadzie, tak jak lubią. W hotelu, leżąc każdy w swoim łóżku, José Anaięo i Joaquim Sassa rozmawiają o pełnych grozy obrazach i słowach, które zobaczyli i usłyszeli w telewizji, że Wenecja znajduje się w niebezpieczeństwie, i rzeczywiście na to wyglądało, plac św. Marka zalany wodą, choć nie jest to epoka acqua alta, gładka, płynna powierzchnia, w której odbijają się, aż do najdrobniejszego szczegółu, dzwonnica i fasada bazyliki, W miarę oddalania się Półwyspu Iberyjskiego, mówił spiker stonowanym i poważnym głosem, nasili się niszczące działanie przyływów, przewiduje się wielkie straty w całym basenie Morza Śródziemnego, kolebce cywilizacji, należy ratować Wenecję, apeluje się do ludzkości, zbudujcie jedną bombę wodorową mniej, jeden atomowy okręt podwodny mniej, o ile jeszcze nie jest za późno. Joaquim Sassa, podobnie jak Roque Lozano, nigdy nie widział perły Adriatyku, ale José Anaięo mógł zagwarantować jej istnienie, bo choć nie nadał jej nazwy ani przydomku, to zobaczył ją na własne oczy, dotknął jej własnymi rękoma, To będzie wielkie nieszczęście, jeśli zginie Wenecja, powiedział, i te smutne słowa zrobiły na Joaquimie Sassie większe wrażenie niż wzburzone wody w kanałach, silne prądy, wdzieranie się

przyptywów do piwnic pałaców, zalane nabrzeża, niemożliwe do wymazania z pamięci obrazy pogrążania się całego miasta w odmętach, nieporównywalna Atlantyda, zatopiona katedra, Maurowie, oczy zalane wodą, ludzie uderzają w dzwon brązowymi młotami, a wodorosty i trąbiki nie paraliżują trybów jego mechanizmu, wodniste echa, Chrystus Pantokrator z bazyliki prowadzi teologiczną dysputę z bogami mórz, poddanymi Jowisza, rzymskim Neptunem, greckim Posejdonem i specjalnie wracającymi do wód, z których wyszły, Wenus i Afrodyta, tylko dla Boga chrześcijan nie ma kobiety. Kto wie, czy ja nie ponoszę za to winy, wyszeptał Joaquim Sassa, Nie przeceniaj siebie, nie możesz być winien wszystkiemu, Chodzi mi o Wenecję, o stratę Wenecji, Ruina Wenecji będzie winą wszystkich, i to bardzo zadawniona, zgubiły ją niechlujstwo i chciwość, Nie chodzi mi o te przyczyny, przez nie zatracą się cały świat, mówię o tym, co ja zrobiłem, wrzuciłem kamień do morza, a są tacy, którzy uważają, że z tego powodu półwysep oddzielił się od Europy, Jeśli kiedyś będziesz miał dziecko, ono umrze dlatego, że ty się urodziłeś, z tej zbrodni nikt cię nie rozgrzeszy, ręce, które stwarzają i tkają, są tymi samymi, które mszczą i prują, słuszność rodzi błąd, błąd rodzi słuszność, Kiepskie pocieszenie dla zadreńczającego się, Nie ma pocieszenia, smutny przyjacielu, człowiek to zwierzę, którego nie można pocieszyć.

Być może José Anaię, który wygłosił tę sentencję, ma rację, być może człowiek jest zwierzęciem, które nie może albo nie potrafi, albo nie chce znaleźć pocieszenia, lecz pewne jego czyny, bez znaczenia, które zdają się mieć, a nie mają, budzą nadzieję, że pewnego dnia człowiek zapłaci na ramieniu drugiego człowieka, prawdopodobnie zbyt późno, kiedy nie będzie już czasu na nic innego. O jednym z takich czynów mówiły te same wiadomości, a następnego dnia będą szczegółowo pisać o nim gazety, cytując opinie historyków, krytyków i poetów, chodzi o to, że potajemnie wylądował na plaży w pobliżu Collioure cywilny oddział hiszpańskich miłośników literatury, którzy pod osłoną nocy, nie drżąc ze strachu

przed pohukiwaniem sowy i objawieniami ektoplazmy, włamali się na cmentarz, na którym przed wieloma laty pochowano Antonia Machado. Przybiegli żandarmi, zaalarmowani przez jakiegoś nocnego marksa, i ruszyli w pościg za cmentarnymi hienami, lecz nie zdołali ich zatrzymać. Worek ze szczątkami został wrzucony do motorówki czekającej z zapalonym silnikiem i w ciągu pięciu minut piracki okręt umknął, żandarmi na plaży strzelali w chmury, tylko dla ulżenia złości, a nie dlatego, że odczuwali brak kości poety. Udzielając wywiadu France-Press, mer Collioure chciał umniejszyć ten wyczyn, insynuując nawet, że nikt nie może zagwarantować, iż rzeczony szczątki należały do Antonia Machado, po upływie tylu lat, nawet nie warto zastanawiać się nad tym, ile ich minęło, tylko z powodu niesłychanego roztargnienia administracji cmentarza jeszcze się tam znajdowały, pomimo szczególnej dobroćliwości, z jaką zwykło się traktować kości poetów.

Dziennikarz, człowiek światowy i tak mało sceptyczny, że nawet nie wyglądał na Francuza, zauważył, że kult relikwii potrzebuje tylko odpowiedniego obiektu, autentyczność w tym przypadku najmniej się liczy, a dla uzyskania dowodu wymaga się zaledwie nieznacznego podobieństwa, proszę tylko spojrzeć na katedrę w Walencji, gdzie dawnymi czasami wzmocniano wiarę taką oto długą listą relikwii, kielich, który posłużył Panu Naszemu podczas ostatniej wieczerzy, koszula, którą nosił jako dziecko, kilka kropel mleka Najświętszej Paniienki, kilka Jej włosów, blond, i grzebień, którym się czesała, a także kawałki prawdziwego krzyża, jeden z trudnych do zidentyfikowania szczątków któregoś ze Świętych Niewiniątek, dwie z owych trzydziestu monet, jednak ze srebra, za które Judasz pozwolił się kupić bez własnej winy, i, aby zakończyć listę, ząb świętego Krzysztofa, na cztery palce długi i trzy szeroki, wielkość bez wątpienia przesadna, lecz może zaskoczyć tylko kogoś, kto nic nie słyszał o gigantycznych rozmiarach tego świętego. Gdzie też pogrzebią teraz Hiszpanie poetę Antonia Machado, zapytał Joaquim Sassa, który nigdy go nie czytał, i José Anaieo

odpowiedział, Jeśli, wbrew szaleństwu świata i wahaniom fortuny, każda rzecz ma swe miejsce i każde miejsce domaga się należącej do niego rzeczy, rzecz, którą obecnie jest Antonio Machado, zostanie pogrzebana gdzieś na polach Sorii, w cieniu dębu, który po kastylijsku nazywa się encina, bez krzyża ni nagrobnego kamienia, zaledwie kurhanik, który nie będzie już musiał imitować leżącego ciała, z czasem ziemia się wyrówna i wszystko będzie takie samo, A my, Portugalczycy, jakiegoż to poetę powinniśmy sprowadzić z Francji, o ile jakiś nam tam został, Z tego, co wiem, to tylko Mario de Sá Carneiro, ale tego nawet nie warto próbować sprowadzać, po pierwsze, dlatego że na pewno nie chciałby przyjechać, po drugie, dlatego że cmentarze w Paryżu są miejscami dobrze strzeżonymi, po trzecie, dlatego że po upływie tylu lat od jego śmierci administracja stolicy na pewno nie popełniła błędu niewielkiej osady z prowincji, która ma jeszcze na swe usprawiedliwienie to, że jest śródziemnomorska, Poza tym na co by się komu przydało wyciągać go z jednego cmentarza, żeby złożyć na innym, skoro w Portugalii na pewno nie można nikogo pogrzebać poza cmentarzem, na wolnej ziemi, Jego kości i tak by nie zaznały spokoju, gdybyśmy go pogrzebali w cieniu drzewa oliwnego w parku Edwarda VII, Są jeszcze drzewa oliwne w parku Edwarda VII, Dobre pytanie, ale nie potrafię ci odpowiedzieć, a teraz chodźmy spać, bo jutro musimy poszukać Pedra Orce, człowieka od drżenia ziemi. Zgasili światło, leżeli z otwartymi oczyma w oczekiwaniu na sen, lecz zanim nadszedł, Joaquim Sassa zapytał jeszcze, A Wenecja, co się z nią stanie, Wiedz, że najłatwiejszą z trudnych rzeczy na świecie jest uratowanie Wenecji, wystarczyłoby zamknąć lagunę, połączyć ze sobą wszystkie wyspy tak, by morze nie mogło wdrzeć się do środka, skoro Włosi sami nie mogą sobie z tym poradzić, niech zawołają Holendrów, oni potrafiliby osuszyć Wenecję w okamgnieniu, Powinniśmy pomóc, jesteśmy za to odpowiedzialni, My już nie jesteśmy Europejczykami, no tak, to nie jest do końca prawda, Póki co znajdujecie się na wodach terytorialnych, oznajmił nieznamy głos.

Z rana, kiedy płacili rachunek, przyszedł dyrektor hotelu, żeby sobie ulżyć narzekaniem, niemal pusty hotel w szczycie sezonu, co za straty, Joaquim Sassa i Jose Anaię, zajęci sobą, nawet nie zauważyli, że było mało gości, A jaskinie, nikt nie chce oglądać jaskiń, powtarzał skonsternowany gospodarz, to, że nikt nie odwiedza jaskiń, to najgorsza z katastrof. Na ulicy panowała wielka wrzawa, młodzież z Araceny nigdy nie widziała tylu szpaków naraz, nawet podczas pedagogicznych wycieczek w góry, lecz urok nowości trwał krótko, ledwie portugalski Dwa Konie ruszył w kierunku Sewilli, szpaki zerwały się do lotu, wszystkie razem, na pożegnanie albo w celu rozpoznania horyzontów wykonały dwa okrążenia, po czym znikły za zamkiem templariuszy. Poranek jest słoneczny, zapowiada jednak dzień nie tak gorący jak wczorajszy, lecz podróż będzie długa, Stąd do Granady jest ponad trzysta kilometrów, a potem jeszcze musimy odszukać Orce, obyśmy tylko znaleźli człowieka, to powiedział Jose Anaię, możliwość niespotkania tego człowieka dopiero teraz przyszła mu na myśl, A jeśli go spotkamy, co mu powiemy, teraz nadeszła pora na wątpliwości Joaquina Sassy. Nagle, dzięki jasności nowego dnia albo na skutek nocy, złej doradczynie, wszystkie te wydarzenia wydały mu się absurdalne, nie może pęknąć kontynent tylko dlatego, że ktoś wrzucił kamień do morza, nawet jeśli rzucenie ciężkiego kamienia znacznie przekraczało siły rzucającego, lecz było niepodważalną prawdą to, że rzucił kamień i że kontynent pękł na dwoje, i to, że jakiś Hiszpan powiedział, iż poczuł, jak ziemia drży, i że stado szalonych szpaków nie opuszcza portugalskiego nauczyciela, a nie wiadomo, co jeszcze mogło się wydarzyć albo co jeszcze się wydarzy na tym półwyspie, Opowiemy mu o twoim kamieniu i o moich szpakach, a on opowie o tym, że zadrżała ziemia albo jeszcze drży, A potem, Potem, jeśli nie będzie nic więcej do zobaczenia, poczucia albo dowiedzenia się, wrócimy do domu, ty do swojej pracy, ja do mojej szkoły, udasz, że wszystko było snem, a tak nawiasem mówiąc, jeszcze mi nie powiedziałaś, gdzie pracujesz, Pracuję w biurze, Ja

przy biurku. Zaśmiali się obaj, a Dwa Konie przezornie oznajmił odpowiednim wskaźnikiem, że zbliża się do dna benzynowego poidła. Uzupełnili zapasy na najbliższej stacji benzynowej, ale musieli czekać ponad pół godziny, sznur samochodów ciągnął się wzdłuż ulicy i wszyscy chcieli zatankować do pełna. Joaquim Sassa zrobił się niespokojny, Mamy problem z benzyną, niedługo zaczną zamykać stacje benzynowe, a potem, Trzeba się było z tym liczyć, benzyna jest produktem wrażliwym, ulotnym, jej brak stanowi pierwszy przejaw kryzysu, tutaj przed kilku laty było embargo na dostawy, nie wiem, czy pamiętasz albo o tym słyszałeś, istny chaos, Widzę, że nawet do Orce nie uda nam się dojechać, Nie bądź pesymista, Taki się urodziłem.

Przejechali przez Sewillę, nie zatrzymując się, szpaki zabawiły trochę dłużej, witając się z Giralda, której nigdy nie widziały. Gdyby było ich pół tuzina, mogłyby zrobić koronę z czarnych aniołków ponad statuą Wiary, lecz ponieważ było ich tysiące, kiedy ją obsiadły, zmieniły ją w nieokreśloną figurę, która mogła być nawet jej antytezą, symbolem Niewiary. Metamorfoza nie trwała długo, labirynt ulic już przemierza José Anaięo, gnaj za nim skrzydlaty rodzic. Po drodze Dwa Konie pił, gdzie tylko się dało, na niektórych stacjach widniały wywieszki oznajmiające wyczerpanie benzyny, lecz pracownicy mawiali Mañana, należeli więc do gatunku optymistów albo może zwyczajnie nauczyli się zasad dobrego życia. Szpakom nie brakowało wody, dzięki Bogu, bo Pan Nasz bardziej troszczy się o ptaki niż o ludzi, mają do wyboru dopływy Gwadalkiwiru, stawy, zapory, więcej niż zdołają wypić tak malutkie dzióbki podczas całej historii świata. Jest już grubo po południu, kiedy dobiegają do Granady, Dwa Konie odsapnął, drżąc z wielkiego wysiłku, kiedy Joaquim Sassa i José Anaięo udali się zasięgnąć języka, jest tak, jakby nieśli zapieczętowany rozkaz i teraz nadszedł moment złamania pieczęci, teraz się dowiemy, dokąd zaprowadzi nas przeznaczenie.

W biurze turystycznym dziewczyna zapytała ich, czy są portugalskimi archeologami albo antropologami, to, że

są Portugalczycami, od razu rzuca się w oczy, ale dlaczego archeolodzy albo antropolodzy, Bo do Orce zwykle tylko oni jeżdżą, kilka lat temu odkryto tam w pobliżu, w Venta Mi- cena, szczątki najstarszego znanego Europejczyka, Całego Europejczyka, zagadnął José Anaięo, Tylko czaszkę, ale starą, liczy jakieś milion trzysta tysięcy do miliona czterystu tysięcy lat, I jest pewne, że to mężczyzna, chciał się dowiedzieć Joaquim Sassa, na co Maria Dolores odparła z uśmiechem zrozumienia, Kiedy znajduje się szczątki prehistorycznych ludzi, zawsze są to mężczyźni, Człowiek³ z Cro- -Magnon, człowiek neandertalski, Człowiek ze Steinheim, Człowiek ze Swanscombe, Człowiek z Pekinu, Człowiek z Heidelbergu albo Człowiek z Jawy, w tamtych czasach nie było kobiet, Ewa jeszcze nie została stworzona, dopiero później ją stworzono, Jest pani ironiczna, Nie, jestem antropologiem z wykształcenia i feministką z irytacji, A my jesteśmy dziennikarzami, chcieliśmy przeprowadzić wywiad z tym Pedrem Orce, co to poczuł, że ziemia się trzęsie, W jaki sposób taka wiadomość dotarła do Portugalii, Do Portugalii wszystko dociera i my wszędzie docieramy, ta część dialogu w całości należała do José Anaięa, który zawsze ma gotową odpowiedź, może dlatego, że zadaje się z uczniami. Joaquim Sassa oddalił się, aby popatrzeć na fotografie Dziedzińca Lwów, Ogrodów Generalife, leżących figur Królów Katolickich, patrząc na nie, zadawał sobie pytanie, czy warto byłoby zobaczyć oryginały, kiedy wcześniej widziało się już ich obrazy. Z powodu tego filozofowania na temat percepcji rzeczywistości stracił dalszy ciąg rozmowy, co też powiedział José Anaięo, że tak rozśmieszył Marię Dolores, gdyby wszystkie Dolores nie zmieniły swego imienia na Lola, każdy ich wybuch śmiechu wywoływałby skandal⁴. Ta nie przejawiała już

3 Słowo *homem* oznacza zarówno człowieka, jak i mężczyznę, tak jak hiszp. *hombre*, ang. *man*, niem. *Mann*, na tym podwójnym znaczeniu opiera się ta scena, która w przekładzie na polski staje się nieczytelna (przyp. tłum.).

4 W Hiszpanii nie można mieć na imię po prostu Maria, musi to

feministycznej irytacji, być może dlatego, że ten Człowiek z Ribatejo był trochę więcej niż tylko szczęką, zębem trzonowym i czerepem, i dzięki temu, że wykazaliśmy wystarczająco dobitnie, iż w obecnych czasach istnieją kobiety. Maria Dolores, pracująca w biurze podróży z braku pracy w swoim zawodzie, uzupełnia mapę José Anaíça, czarnym krzyżykiem oznacza osadę Orce, zaraz obok Venta Micena, teraz mogą panowie podróżnicy kontynuować podróż, sybilla skrzyżowania już im wskazała drogę, Tam jest księżycowy krajobraz, ale w oczach Marii Dolores można dostrzec żal, że sama nie może pojechać i oddawać się swej pasji w towarzystwie portugalskich dziennikarzy, szczególnie tego cichszego, który odszedł, żeby popatrzeć na plakaty, ileż to razy doświadczenie życiowe uczyło nas, że nie powinniśmy oceniać niczego po pozorach, tak jak teraz ocenia Joaquim Sassa, jego błąd, jego skromność, Gdybyśmy tu zostali, wyrwałbyś dziewczynę, wybacmy mu wulgarność stwierdzenia, mężczyźni, kiedy zostają sami, oddają się takim ordynarnym rozmowom, a José Anaíço, zrozumiwały, ale też oszukany, odparł, Kto wie.

Życie, niech nas nie męczy powtarzanie tego, jest komedią pomyłek. Następnym dowodem na prawdziwość tego stwierdzenia jest fakt nadania nazwy Człowiek z Orce kości znalezionej nie w Orce, tylko w Venta Micena, co dałoby przepiękny paleontologiczny tytuł, gdyby nazwa Venta nie oznaczała miejsca handlu, prymitywnego i biednego. Dziwne to przeznaczenie słów. Skoro Micena nie było imieniem kobiety, zanim nie przestało móc nazywać mężczyzny, jak ta znana Galisyjka, od której w Portugalii nazwano miasteczko Golega, może do tych odległych ziem

być zawsze Maria skądś albo o konkretnych przymiotach, np. Maria Dolores to Maria Boleśdwa. Ponieważ większość kobiet w Hiszpanii ma na imię Maria, zwykle używa się tylko tej drugiej części. W połowie lat dziewięćdziesiątych plotkowano na temat niedoszłego małżeństwa portugalskiego następcy tronu z niejaką Jasnagorą Potocki, Hiszpanką o polskim pochodzeniu, którą w Polsce nazywano by pewnie Marią Potocką (przyp. tłum.).

dotarli Grecy z Myken, uciekając przed gniewem Atrydów, gdzieś musieli odnowić ojczystą toponimie, trafiło na to miejsce, bardzo daleko od Cerbere, w sercu piekła, i nigdy tak daleko jak teraz, bo płyniemy. Choć wiele was może kosztować danie temu wiary.

Te tereny to pierwotna siedziba diabła, to jego kopyta spaliły ziemię, a potem wyprażyły popioły, pośród gór, które w owym czasie zjeżyły się ze strachu i takie zostały po dziś dzień, ostateczna pustynia, na której sam Chrystus pozwoliłby się kusić, gdyby diabeł nie wyjawiał mu już swych podstępów, zgodnie z tym, czego można się dowiedzieć z biblijnego tekstu. Joaquim Sassa i Jose Anaię patrzą, na co, na pejzaż, lecz to słodkie słowo należy do innych światów, do innych języków, nie można nazwać pejzażem tego, co oczy tutaj widzą, powiedzieliśmy piekło i sami w to wątpimy, bo pewnikiem w przeklętej ziemi można spotkać jeszcze mężczyzn i kobiety oraz zwierzęta, które im towarzyszą, zanim nie nadejdzie godzina ich uśmiercenia i życia ich kosztem, pośród skał i plag, na tym pustkowiu pewnie napisał poeta, który nigdy nie wybrał się do Granady. Oto ziemie Orce, które na pewno wypłyły mnóstwo mauretańskiej i chrześcijańskiej krwi, w mroku dziejów, czemu może służyć mówienie o tych dawno umarłych, skoro to ziemia jest martwa, pogrzebana przez samą siebie.

W Orce podróżni spotkali Pedra Orce, z zawodu farmaceutę, starszego, niż sobie wyobrażali, o ile o tym myśleli, nie był jednakże tak stary jak jego milionowy przodek, przyjmując, że nie jest niepoprawne używanie do porównań czasowych miar zwykle przeznaczonych dla pieniędzy, i mając na względzie, że za pieniądze nie kupi się czasu, a czas z kolei zmienia wartość pieniędzy. Pedro Orce nie pojawił się w telewizji, nie wiedzieliśmy więc, że jest mężczyzną po sześćdziesiątce, o szczupłej twarzy i sylwetce, o włosach niemal całkiem siwych, gdyby poczucie dobrego smaku nie odrzucało tej sztuki, mógłby zmieszać, znając wystarczająco dobrze chemiczne kombinacje, farby brązowe i blond, do wyboru, w zaciszu laboratorium. Kiedy

Joaquim Sassa i José Anaię wchodzą do jego domu, wypełnia właśnie opłatki chininą w proszku, jest to archaiczny medykament, który nie wymaga wielkiego stężenia jak współczesne lekarstwa, lecz który i tak daje psychologiczny efekt trudnego do przełknięcia, co w magiczny sposób powoduje natychmiastowe efekty terapeutyczne. W miejscowości Orce, niemożliwej do ominięcia w drodze do Venta Micena, po wygaśnięciu zgiełku i wrzawy spowodowanej archeologicznymi wykopaliskami i odkryciami z rzadka pojawiają się podróżni, nie wiemy, gdzie obecnie znajduje się czaszka najstarszego przodka, pewnie w jakimś muzeum oczekuje na witrzynę i karteczkę z opisem, zwykle podróżujący kupują aspirynę, coś na rozwolnienie albo na trawienie, lokalni mieszkańcy zaś być może umrą na pierwszą chorobę, na jaką zapadną, w ten sposób aptekarz nigdy się nie dorobi. Pedro Orce skończył przygotowywać opłatki, zdaje się to dziełem magika, zwilżone płatki posłużą za zamknięcie, zaciskają się mosiężne płytki z otworami, i już gotowe, jeden opłatek z chininą plus jedenaście, po zrobieniu tego zapytał, czego sobie życzą obaj panowie, Jesteśmy Portugalczykami, niepotrzebne oświadczenie, wystarczy posłuchać, jak mówią, żeby zaraz to pojąć, należy jednak do ludzkich zwyczajów wyjawienie, kim jesteśmy, zanim przejdziemy do tego, po co przyszlśmy, szczególnie w sprawach takiej wagi, po kilkusetkilometrowej podróży odbytej tylko po to, by zapytać, choć nie tak dramatycznymi słowami, Pedro Orce, przysięgasz na swój honor i na odnalezioną kość, że poczujesz drżenie ziemi, podczas gdy wszystkie sejsmografy z Sewilli i Granady kreśliły nieruchomą igłą najprostszą linię, jaką kiedykolwiek widziano, po czym Pedro Orce uniósłby dłoń i rzekł z prostotą sprawiedliwych i prawdomównych, Przysięgam. Chcielibyśmy z panem porozmawiać na osobności, dodał Joaquim Sassa po oświadczeniu w sprawie narodowości, i zaraz potem, ponieważ nie było nikogo w aptece, opowiedzieli o osobistych i wspólnych doświadczeniach, kamień, szpaki,

przejazd przez granicę, co do kamienia, nie mogli przedstawić dowodów, lecz co się tyczy ptaków, wystarczy wyrzucić przez drzwi, są na tym placu albo obok, nieomylnym znakiem jest zbiegowisko, wszyscy mieszkańcy z zadartymi głowami, zadziwieni rzadkim zjawiskiem, w tej chwili ptaki zniknęły, sfrunęły na Zamek Siedmiu Wież, arabski. Lepiej nie rozmawiajmy tutaj, powiedział Pedro Orce, weźcie samochód i wyjedźcie z miasteczka, W którym kierunku, Jedźcie prosto, w kierunku Marii, trzy kilometry za ostatnimi zabudowaniami jest mały mostek, obok drzewo oliwne, poczekajcie tam na mnie, zaraz przyjdę, Joaquimowi Sassie wydało się, że ponownie przeżywa własne życie, kiedy to czekał na José Anaię przed kilkoma dniami, o brzasku.

Siedzą na ziemi, pod kordobańskim drzewem oliwnym, takim, co to daje żółtą oliwę, według ludowej piosenki, jakby istniała jakaś inna oliwa, choć zdarza się oliwa lekko zielonkawa, pierwsze słowa wypowiedział José Anaię, nie mógł ich powstrzymać, Takie miejsca napawają strachem, na co Pedro Orce odpowiedział, W Venta Micena jest jeszcze gorzej, to tam się urodziłem, to formalna dwuznaczność, która oznacza to, co oznacza, jako też i swoje przeciwieństwo, i zależy bardziej od czytelnika niż od lektury, choć ta ostatnia zależy całkowicie od niego, dlatego tak trudno nam się dowiedzieć, kto przeczytał to, co zostało przeczytane, i jak zostało to odebrane przez czytającego, może w tym przypadku, nie myśli Pedro Orce, że okrucieństwo ziemi wynika z tego, że on się tam urodził. Następnie, przechodząc do zagadnienia, opowiedzieli szczegółowo o swych doświadczeniach dyskobola, ptasznika i sejsmologa, i, kończąc, zdecydowali, iż wszystkie te przypadki były i pozostają ze sobą w związku, zwłaszcza że według Pedra Orce ziemia nie przestała się trząść, Czuję to w tej chwili, i wyciągnął rękę w demonstracyjnym geście. Zaciekawieni, Jose Anaię i Joaquim Sassa dotknęli jego dłoni i poczuli, och, bez żadnej wątpliwości poczuli drżenie, wibrację, wstrząsanie, nie warto słuchać

sceptyka, który by insynuował, że jest to naturalne drżenie ręki spowodowane wiekiem, ani Pedro Orce nie jest tak stary, ani nie jest tak łatwo pomylić drżenie i drgawki, pomimo słownikowych definicji.

Gdyby ktoś przyglądał się im z daleka, mógłby przypuszczać, iż trzej mężczyźni coś sobie przysięgli, to pewne, że przez chwilę ściskali sobie dłonie, lecz nic ponadto. Kamienie wokół potęgują skwar, biała ziemia oślepia, niebo jest dyszącą paszczą, nawet w cieniu tego kordobańskiego drzewa oliwnego. Oliwki dopiero się zawiązują, póki co nie grozi im niebezpieczeństwo żarłocznych szpaków, poczekajmy do grudnia, a zobaczymy, jakie nastąpi spustoszenie, ale ponieważ jest to jedyne drzewo w okolicy, szpaki pewnie omijają to miejsce. Joaquim Sassa włączył radio, bo nagle żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć, nic dziwnego, znają się od tak niedawna, słyszać głos spikera, nosowy z powodu zawodowego zmęczenia i słabych baterii, Według ostatnich pomiarów, szybkość przemieszczania się półwyspu ustaliła się i wynosi obecnie około siedemset pięćdziesiąt metrów na godzinę, trzej mężczyźni słuchają wiadomości, Zgodnie z informacjami, jakie przed chwilą napłynęły do naszej redakcji, pojawiło się wielkie pęknięcie pomiędzy La Linea i Gibraltarem, spiker mówił, mówił i mówił, Za godzinę ponownie przekażemy wiadomości, jeśli wcześniej nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, dokładnie w tym momencie przeleciały z furkotem szpaki, fruuuuuuuu, i Joaquim Sassa zapytał, To twoje, Jose Anaięo nie musiał nawet patrzeć, aby udzielić odpowiedzi, To moje, dla niego rzecz jest nieskomplikowana, zna je, Sherlock Holmes powiedziałby w tej chwili, To elementarne, drogi Watsonie, w tych okolicach nie ma stada porównywalnego do tego, i miałby rację, bo niewiele jest ptaków w piekle, a jeżeli to tylko nocne, przez wzgląd na tradycję.

Pedro Orce śledzi lot stada, początkowo bez większego zainteresowania, jakby z grzeczności udawał zaciekawienie, potem rozjaśniają mu się oczy niebieskim niebem i

białymi chmurami i nie mogąc się powstrzymać, proponuje, A gdybyśmy tak pojechali nad morze, żeby popatrzeć, jak będzie przepływać skała. Wydaje się to absurdalne, całkowitym zaprzeczeniem rzeczywistości, ale tak nie jest, kiedy jedziemy pociągiem, też się nam wydaje, że to drzewa się przesuwają, a one tkwią korzeniami w ziemi, teraz nie jedziemy pociągiem, płynie my znacznie wolniej kamienną tratwą, dryfujemy po morzu, bez ograniczeń, jedyna różnica to taka, jaka istnieje pomiędzy ciałem stałym a ciekłym. Ileż to razy, aby zmienić swoje życie, potrzebujemy całego życia, tak wiele myślimy, rozważamy wszystko i wahamy się, potem wracamy do początku, znowu myślimy i myślimy, podróżujemy po spirali czasu, okrężnym ruchem, niczym wiatr wirujący po polu, wznoszący kurz, zeschnięte liście, nic nie znaczące rzeczy, bo na nic innego nie staje się, lepiej byłoby mieszkać w ojczyźnie tajfunów. Innym razem wystarczy parę słów, Chodźmy popatrzeć, jak będzie przepływała skała, i zaraz wstali z miejsca, gotowi na przygodę, nie czują nawet duchoty, niczym dzieci zostawione samopas, zbiegają w dół zbocza i śmieją się. Dwa Konie jest rozpalony do czerwoności, w jednej chwili wszyscy trzej spływają potem, ale nie zwracają na to uwagi, z tych południowych ziem wyruszyli ludzie, by odkryć Nowy Świat, także oni, twardzi, dzicy, spoceni jak wierzchowce, brnęli w żelaznych pancerzach, na głowach żelazne hełmy, żelazne miecze w garściach, przeciw nagim Indianom, przyodzianym jedynie w ptasie pióra i malowane wzory, idylliczny to obrazek.

Nie przejechali przez miasteczko, bo przejazd Pedra Orce w towarzystwie dwóch nieznajomych wzbudziłby zainteresowanie, albo go porwano, albo wszyscy trzej coś knują, lepiej zawołać policję, ale najstarszy z najstarszych w Orce powiedziałby, Nie chcemy tu guardii civil. Udali się innymi drogami, szlakami nie zaznaczonymi na mapie, teraz brakuje nam tu sfinksa turystyki, aby nakreślił szlak tych nowych odkryć, w końcu dziewczyna była jednak sfinksem, a nie sybillą, bo tych nigdy nie

widywano na rozdrożach, choć zarówno ona, jak i rozdroża są iberyjskie. Powiedział Pedro Orce, Najpierw pokażę wam Venta Micena, moją rodzinną ziemię, tak mu się wymknęło, jak komuś, kto żartuje z siebie samego albo celowo dotyka tam, gdzie go boli. Przejechali przez wioskę w ruinie, zwaną Nowym Źródłem, jeśli jednak było tu źródło, to wyschło, a na długim zakręcie, daleko z przodu, Tb tutaj.

Oczy patrzą, a widząc tak niewiele, dopatrują się tego, czego pewnie nie ma, i nic nie znajdują. Tam, zapytał José Anaięo, ma powody, by wątpić, bo domów jest niewiele i są rozrzucone, mają taki sam kolor jak ziemia, w dole wieża kościoła, zapewne cmentarz, tutaj na skraju drogi, biały krzyż i murek. Pod słońcem buchającym żarem jak wulkan faluje ziemia niczym skamieniałe, pokryte kurzem morze, jeśli wyglądało to tak już przed milionem czterystu tysiącami lat, nie trzeba być paleontologiem, żeby twierdzić, że Człowiek z Orce umarł z pragnienia, ale tamte wieki były czasem młodości ziemi, strumyk płynący nieopodal był wtedy pewnie szeroką i szczodłą rzeką, na pewno były tu wysokie drzewa, trawy wyższe od człowieka, wszystko to wydarzyło się, zanim umiejscowiono tutaj piekło. O właściwej porze roku, kiedy pada, wyrosną na tej popielatej ziemi jakieś rośliny, teraz niskie brzegi są uprawiane w mozole, rośliny schną i umierają, potem odradzają się i żyją, tylko człowiek nie nauczył się jeszcze powtarzać tych cykli, żyje raz i nigdy więcej. Pedro Orce zatacza ręką krag, ogarniając nędzną wioskę, Dom, w którym się urodziłem, już nie istnieje, a potem wskazuje w lewo, w kierunku wzniesień o nagich szczytach, Tam jest Różana Grota, to tam znaleźli kości Człowieka z Orce. Joaquim Sassa i José Anaięo spoglądali na błądy krajobraz, milion czterysta tysięcy lat temu mieszkali tu mężczyźni i kobiety, którzy spłodzili mężczyzn i kobiety, którzy spłodzili mężczyzn i kobiety, los, przeznaczenie, aż do dzisiaj, za następne milion czterysta tysięcy lat ktoś będzie przeprowadzał wykopaliska na tym biednym cmentarzu, a ponieważ

będzie już istniał jeden Człowiek z Orce, być może sprawiedliwości stanie się zadość i znaleziona czaszka zostanie nazwana Człowiekiem z Venta Micena. Nikt nie przechodzi, nie słycać szczekania psa, szpaki ulotniły się, długi dreszcz przebiega po plecach Joaquima Sassy, który nie potrafi powstrzymać przyływu złego samopoczucia, José Anaięo pyta, Jak nazywają się te góry, To Sierra de Sagra, Ate po prawej, To Sierra de Maria, Kiedy umierał Człowiek z Orce, na pewno te góry zobaczył jako ostatnią rzecz, Ciekawe, jak je mógł nazywać, kiedy rozmawiał o nich z innymi ludźmi z Orce, tymi, co to nie zostały po nich czaszki, zapytał Joaquim Sassa, W tych czasach jeszcze nic nie miało nazwy, powiedział José Anaięo, Jak można patrzeć na coś i tego nie nazwać, Trzeba poczekać, aż nazwa się narodzi. Stali wszyscy trzej, patrząc, nic już więcej nie mówili, w końcu odezwał się Pedro Orce, Chodźmy, nadszedł czas, by zostawić przeszłość na pastwę jej niespokojnego spokoju.

Aby umilić sobie podróż, Pedro Orce powtórzył opowieść

O swych przygodach, dodał szczegóły, naukowcy posunęli się do podłączenia go do sejsmografu, w obecności władz, pomysł to rozpaczliwy, ale dał rezultat, bo w ten sposób mogli przekonać się co do prawdziwości jego oświadczeń, igła urządzenia zarejestrowała ciągłe drżenie ziemi i wróciła do prostej linii, gdy tylko odłączono go od maszyny. To, co nie ma wyjaśnienia, zostało wyjaśnione, powiedział alkad Granady, który był przy tym obecny, ale jeden z uczonych poprawił go, To, co nie ma wyjaśnienia, będzie jeszcze musiało chwilę poczekać, mówił z naukową precyzją, ale wszyscy obecni zrozumieli i przyznali mu rację. Odesłali Pedra Orce do domu, przykazując, by był do dyspozycji nauki

I władzy i by nikomu nie rozpowiadał o swej superczułości, było to zalecenie nie różniące się wiele od decyzji powziętej przez francuskich weterynarzy w tajemniczej kwestii zaniknięcia strun głosowych u psów z Cerbére.

Dwa Konie w końcu ruszył na południe, jedzie już uczęszczanymi drogami, w tych rejonach nie wydaje się doskwierać brak paliwa, benzyny, ropy, lecz stopniowo został zmuszony do zredukowania szybkości, przed nim posuwa się powoli nie kończący się rząd samochodów, ciężarówek, autobusów, motocykli, rowerów, motorowerów, skuterów, wozów ciągniętych przez muły, osłów, na żadnym z nich nie jedzie Roque Lozano, oraz ludzie pieszo, wielu, jedni proszą o podrzucenie, inni ostentacyjnie pogardzają transportem, jakby wypełniali pokutę albo jakieś przyrzeczenie, jest bardziej prawdopodobne, że chodzi o przyrzeczenie, i nawet nie warto ich **pytać**, dokąd zmierzają, nie muszą nazywać się Pedro Orce, aby wpaść na ten sam pomysł i zapalać tym samym pragnieniem ujrzenia, jak przesuwają się przed ich oczyma Gibraltar, wystarczy być Hiszpanem, a tutaj jest ich wielu. Przybywają z Kordoby, z Linares, z Jaén, z Guadix, to największe miasta, ale są też ludzie z Higuera de Aijona, z El Tocón, z Bular Bajo, z Almedilli, z Jesús del Monte, z Almácegas, wydaje się, że wysłano delegacje ze wszystkich miejsc, ludzie ci bardzo cierpliwie odliczają czas od tysiąc siedemset czwartego, skoro Gibraltar nie jest dla nas, wyruszających w morze, niech nie będzie też dla Anglików. Rzeka ludzi jest tak szeroka, że policja musiała otworzyć trzeci pas ruchu wszędzie, gdzie to było możliwe, niewielu zmierza na północ, muszą mieć oni jakiś poważny powód, śmierć albo choroba, a nawet na takich patrzy się nieufnie, podejrzewając ich o anglofilie, może chcą w odosobnieniu ukryć ból z powodu takiego rozzerwania, geologicznego i strategicznego.

Lecz ten dzień dla większości jest wielkim świętem, tydzień niemal tak wielki jak ten drugi, widać ciężarówki wiozące figury Chrystusa, Triany i Macareny, grupy muzyków z instrumentami lśniącymi w słońcu, na grzbietach osłów pęki rakiet i moździerzy, jeśli ktoś przybliży do nich zapalony knot, wzniosą się, niczym Clavileño, do drugiego i trzeciego kręgu nieba i do kręgu ognia, gdzie opali się broda Sancza, jeśli ten okaże się tak

łatwowierny jak zwykle i pozwoli się oszukać po raz kolejny. Dziewczęta idą ubrane w najlepsze stroje, w mantylkach i chustach, a starych, kiedy nie mogą już dłużej iść, młodzi niosą na grzbietach, synem jesteś, będziesz ojcem, jak sobie pościesz, tak się wyśpisz, dopóki nie zatrzyma się jakiś pojazd, jakkolwiek, marsz dalej trwa, odpoczywa zmęczone ciało, wszyscy zmierzają w kierunku wybrzeża, plaż, lepiej jeszcze, miejsc górujących nad morzem, aby móc w całości zobaczyć przekłętą skałę, szkoda, że z tej odległości nie będzie można dosłyszeć piszczenia małych, zdezorientowanych brakiem widoku ziemi. W miarę zbliżania się do morza coraz trudniej posuwać się naprzód, są już tacy, co porzucają samochody i idą pieszo albo proszą o podwiezienie jadących wozami albo na osłach, ci ostatni nie mogą porzucić zwierząt, muszą się nimi opiekować, dać im pić, podsunąć pod pysk wiązkę słomy i garść bobu, policja jest dobrze zorientowana w sytuacji, wszyscy oni pochodzą ze wsi, tak więc nakazują pozostawienie autobusów i samochodów na poboczu, zwierzęta mogą kontynuować marsz, podobnie motory, rowery, skutery i motorowery, są to wynalazki o darze przekonywania, dzięki swym mniejszym gabarytom. Grupy muzyków, idących piechotą, ćwiczą pierwsze paso dobre, jakiś bardziej podekscytowany patriota przedwcześnie strzelił z potężnego moździerza, ale został skarcony przez swych kolegów, którzy nie mieli zamiaru strzelać, nie mając konkretnego powodu w zasięgu wzroku. Dwa Konie też się zatrzymał, w całym konwoju był to jedyny portugalski samochód, to znaczy o portugalskiej rejestracji, oglądanie Gibraltaru na pełnym morzu ani go ziębi, ani grzeje, jego historyczny ból zowie się Olivença, a ta droga tam nie prowadzi. Widać już zgubionych ludzi, kobiety nawołujące mężów, dzieci wzywające rodziców, lecz wszyscy, szczęśliwie, w końcu się odnajdą, ten dzień może nie być dniem śmiechu, ale dniem płaczu też nie będzie, jeżeli tak będzie chciał Bóg Ojciec i jego Syn Szelma. Także tutaj łażą węszące psy, niewiele z nich szczeka, chyba że ze sobą walczą, z

Cerbere żaden nie przyszedł. I dwa osły, które pojawiły się samo- pas, bez pana w pobliżu, wykorzystują je nierozważnie Pedro Orce, Joaquim Sassa i Jose Anaię, na zmianę, jeden idzie pieszo, dwóch odpoczywa, ale odpoczynek nie trwał długo, osły bowiem należały do grupy Cyganów zmierzających na północ, tych mało obchodzi Gibraltar i gdyby Pedro Orce nie był Hiszpanem, i to z tych najdawniejszych i naj- rozmowniejszych, popłynęłaby tam portugalska krew.

Ciągnące się wzdłuż wybrzeża obozowisko nie ma końca, to wielki festyn, tysiące tysięcy ludzi z oczyma utkwionymi w morzu, niektórzy wspinają się na dachy i na drzewa, by nie wspomnieć o tych, którym nie chciało się jechać tak daleko i zostali, z lornetkami, na szczytach gór Contravie- sa albo u podnóża Sierra Nevada, tutaj interesują nas tylko ludzie najprostszy, tacy, którzy muszą coś wziąć do ręki, aby to poznać, co prawda tak bardzo nie będą mogli się zbliżyć, ale chętnie by to zrobili. Jose Anaię, Joaquim Sassa i Pedro Orce przybyli, podobnie jak oni, z powodu zachcianki Pedra Orce i serdecznej szczerości pozostałych, teraz siedzą na jakichś kamieniach i patrzą na morze, dzień chyli się ku końcowi i Joaquim Sassa mówi, pesymista, jak już wcześniej się określił, Jeśli Gibraltar przepłynie nocą, nie miał sensu nasz przyjazd, Przynajmniej zobaczymy jego światła, zauważył Pedro Orce, i nawet będzie to ładniejsze, oglądanie oddalającej się skały jak oświetlonego statku, w takim razie będą miały sens sztuczne ognie, z girlandami, deszczem, kaskadami, czy jak tam się je nazywa, podczas gdy biała skała będzie ginęła w oddali, wtapiała się w ciemną noc, żegnaj, żegnaj, nigdy więcej cię już nie zobaczę. Lecz Jose Anaię rozpostarł mapę na kolanach, poczynił rachunki ołówkiem na kartce, powtórzył je, aby zyskać pewność, ponownie sprawdził skalę, w końcu oświadczył, Gibraltar, moi drodzy, pojawi się tutaj za jakieś dziesięć dni, pełne niedowierzania zdumienie przyjaciół, przedstawił im więc obliczenia, nie musiał nawet przywoływać jako argumentu swego

nauczycielskiego dyplomu, tego rodzaju wiedza, na szczęście, jest już w zasięgu mniej wysublimowanych umysłów, Jeśli półwysep, albo wyspa, czy jak to tam teraz nazwać, przemieszcza się z prędkością siedmiuset pięćdziesięciu metrów na godzinę, to znaczy, że przebywa osiemnaście kilometrów dziennie, z drugiej strony, z zatoki Algeciras do miejsca, w którym się znajdujemy, jest niemal dwieście kilometrów, sami sobie teraz policzcie, bo to łatwe. W obliczu trudnego do obalenia dowodu Pedro Orce zwiesił głowę, załamany, A myśmy przyjechali, i wszyscy ci ludzie, czym prędzej, bo nadszedł dzień glorii, dzisiaj mieliśmy sztych ze Złej Skaly, a musimy czekać jeszcze dziesięć dni, żaden zapal nie może tyle trwać, A gdybyśmy tak wyjechali jej naprzeciw, nadbrzeżnymi drogami, zasugerował Joaquim Sassa, Nie, nie warto, odparł Pedro Orce, takie rzeczy chce się mieć w odpowiednim czasie i miejscu, dopóki nie zmniejszy się entuzjazm, teraz powinna przepływać przed naszymi oczyma, teraz jesteście podekscytowani, byliście, już nie jesteście, No to co zrobimy, zapytał José Anaięo, Idziemy stąd, Nie chce pan zostać, Po wyśnieniu snu nie można go już przeżyć, W takim razie wyjedźmy jutro, Tak wcześniej, Szkoła na mnie czeka, A na mnie biuro, A na mnie apteka, zawsze.

Poszli po Dwa Konie, lecz podczas gdy oni poszukują i nie mogą go znaleźć, nadszedł czas, by powiedzieć, że tysiące ludzi, którzy nie zyskali prawa głosu w tej historii, którzy nawet nie są statystami w tyle sceny, tysiące ludzi nie ruszyło się stamtąd przez owych dziesięć dni i nocy, zjedli prowiant, który ze sobą przynieśli, potem, kiedy następnego dnia się skończył, wykupili wszystko w okolicy i gotowali pod gołym niebem, na wielkich ogniskach, które były jak pradawne latarnie morskie, a ci, którym skończyły się pieniądze, i tak nie cierpieli głodu, tam, gdzie jadł jeden, jedli wszyscy, żyjemy w czasach odnowionego braterstwa, o ile jest możliwe dla ludzkiej natury być wcześniej i stać się ponownie. Pedro Orce, José Anaięo i Joaquim Sassa nie zaznają tego

wspaniałego braterstwa, odwrócili się od morza, teraz przyszła na nich kolej, by przyjmować nieufne spojrzenia wielu, którzy jeszcze nadciągają.

Tymczasem zapadła noc, zapalają się pierwsze ogniska, Jedźmy, powiedział José Anaięo. Pedro Orce będzie jechał smutny na tylnym siedzeniu, albo teraz, albo nigdy, nie przytrafi nam się już lepsza okazja do przypomnienia tej portugalskiej przyśpiewki. Dokąd idziesz, Na przyjęcie, Skąd przychodzisz, Z przyjęcia, nawet bez pomocy wykrzykników i wielokropków widać wyraźnie różnicę pomiędzy radosnym oczekiwaniem pierwszej odpowiedzi i rozczarowanym zmęczeniem drugiej, jedynie na stronie, na której zostały zapisane, wydają się takie same. Przez całą drogę zostały wypowiedziane zaledwie cztery słowa, Zjecie ze mną kolację, padły z ust Pedra Orce, to on ma obowiązek być gościnnie. José Anaięo i Joaquim Sassa nie uważali za stosowne odpowiedzieć, ktoś może powiedzieć, że to przejaw złego wychowania, ale ten niewiele wie o ludzkiej naturze, inny, obdarzony większym wyczuciem w tej materii, zapewniby, że tych trzech stało się przyjaciółmi.

Jest późna noc, kiedy wjeżdżają do Orce. Ulice o tej porze są pustynią przepelnioną cieniami i ciszą, Dwa Konie może zostać przed drzwiami apteki, i dobrze, że pozwalają mu wypocząć, nazajutrz wróci na szosę, niosąc ze sobą ładunek trzech osób, co zostanie postanowione w domu przy stole, z prostym jedzeniem na talerzach, bo Pedro Orce też mieszka sam i nie nadeszły jeszcze czasy na lepsze wytwory gastronomii. Włączyli telewizor, teraz nadaje się wiadomości co godzinę, i zobaczyli Gibraltar nie tylko odłączony od Hiszpanii, ale odsunięty od niej o kilka ładnych kilometrów, niczym wyspa, przekształcony, biedaczek, w forpik, głowę cukru albo w rafę, ze swymi bezużytecznymi stoma działami. Nawet jeśli utworzą nowe strzelnice od północy, może podbudują tym imperialną dumę, ale wyrzuca pieniądze do morza, dosłownie i w przenośni. Pokazane obrazy bez wątpienia robiły wrażenie, jednakowoż nic nie mogło się równać z Szokiem

spowodowanym zdjęciami satelitarnymi, obrazującymi stopniowe poszerzanie się kanału pomiędzy półwyspem i Francją, ciała przebiegał dreszcz i włosy stawały dęba w obliczu tak wielkiego nieszczęścia, przekraczającego ludzkie siły, bo to już nie był kanał, lecz otwarte morze, po którym bez problemów pływały statki, morzem nieznanym dotąd żeglowały. Rzecz jasna nie można było obserwować przemieszczania, z tej wysokości prędkość siedmiuset pięćdziesięciu metrów na godzinę nie jest zauważalna gołym okiem, lecz obserwatorowi zdawało się, że ta wielka skalna masa przemieszcza się w jego głowie, osoby o słabych nerwach mdlały, inne uskarżały się na zawroty głowy. Były też obrazy sfilmowane z niezmordowanych helikopterów, gigantyczna pirenejska skarpa, przecięta pionowo, i mrowie ludzików zmierzających na południe, niczym nagła migracja, tylko po to, żeby zobaczyć, jak przepływa Gibraltar, choć złudzenie to optyczne, bo to my płyniemy z prądem, a także, malowniczy szczygół, wzmianka w reportażu, stado szpaków, tysiące, jak chmura, która wpadła w obiektyw, przyciemniając niebo, Nawet ptakom udziela się wzburzenie ludzi, takich słów użył spiker, udziela się, podczas gdy z historii przyrody wiemy, że ptaki mają własne powody, by udawać się tam, gdzie im się podoba albo gdzie potrzebują, nie udziela im się nic od ciebie ani ode mnie, co najwyżej od José, który mówi, niewdzięcznie, Już o nich zapomniałem.

Pokazano też obrazy z Portugalii, z wybrzeża atlantyckiego, z falami uderzającymi o skały lub wzburzającymi piasek, i wielu ludzi wpatrywało się w horyzont, w pełnym napięcia wyczekiwaniu, jak ktoś, kto od wieków przygotowuje się na przyście nieznanego i boi się, że w końcu nie przyjdzie, to znaczy, że wszystko będzie takie samo, zwyczajne i banalne jak zwykle. Teraz oto ich mamy, takich, jacy byli według Unamuna, la cara morena entre ambas palmas, clavas tus ojos donde el sol se acuesta solo en la

mar inmensa⁵, wszystkie narody mające morze na zachodzie robią to samo, ten jest ogorzały, nie ma innej różnicy, i żegluj. Liryczny, zachwycony hiszpański spiker deklamuje, Oto Portugalczycy na swych złocistych plażach, dziób Europy, jakim byli i przestali być, bo od europejskiego nabrzeża odbiliśmy, lecz znowu pruje atlantyckie fale, jakież admirał nami steruje, jakież port na nas czeka, ostatnie ujęcie pokazało kilkuletniego chłopca puszczającego kaczki na wodzie, tym sposobem, który nie wymaga nauki, i Joaquim Sassa powiedział, Ma siłę odpowiednią do swego wieku, kamień nie mógł polecieć dalej, półwysep zaś, czy cokolwiek to teraz jest, wydawał się gnać jeszcze szybciej naprzód przez wzburzone morze, tak odmienne od tego, jakie zwykle jest o tej spokojnej porze roku. Ostatnią wiadomość spiker podał mimochodem, jakby nie przypisywał jej wielkiego znaczenia, Wydaje się, że zaistniało swego rodzaju poruszenie wśród ludności, wielu ludzi opuszcza swe domy i kieruje się w stronę morza, prawdopodobnie chodzi o naturalny impuls ciekawości, w każdym razie gwarantujemy naszym widzom, że na wybrzeżu nie ma nic ciekawego do oglądania, co przed chwilą mieliśmy okazję sprawdzić, ci wszyscy Portugalczycy, którzy patrzyli w morze, patrzyli i niczego nie zobaczyli, nie chcemy być tacy jak oni. Wtedy to powiedział Pedro Orce, Jeśli znajdzie się dla mnie miejsce, jadę z wami.

Ucichli Joaquim Sassa i José Anaię, nie rozumieli, dlaczego Hiszpan, któremu tak dobrze radzono, chce jechać do portugalskich ziem i plaż. Pytanie było dobre i na miejscu, przypadło Joaquimowi Sassie je zadać jako właścicielowi Dwóch Koni, i Pedro Orce odpowiedział, Nie chcę tu zostać, z tą ziemią bez przerwy drżącą mi pod nogami i z ludźmi ciągle śmiejącymi się, że to moje wymysły, Prawdopodobnie będzie pan czuł to samo w Portugalii i to samo będą panu mówić ludzie, powiedział

5 Hiszp. „Twarz ogorzała pomiędzy dwiema dłońmi, wyteżasz wzrok tam, gdzie słońce samotne na spoczynek się kładzie w bezkresnym morzu” (przyp. tłum.).

José Anaięo, a my mamy nasze zajęcia, Nie będę wam przeszkadzał, tylko mnie zabierzcie, zostawicie mnie w Lizbonie, nigdy tam nie byłem, któregoś dnia wrócę, A pańska rodzina, a apteka, Powinniście już byli zauważyć, że nie mam rodziny, jestem ostatni, a z apteką coś się załatwi, mam pomocnika, on się wszystkim zajmie. Nie było o czym więcej mówić, żadnego powodu, aby odmówić, Będzie nam bardzo miło, jeśli będzie nam pan towarzyszył, tak powiedział Joaquim Sassa, Najgorzej, jeśli cię złapią na granicy, przypomniał José Anaięo, Powiem im, że wyjechałem do Hiszpanii, nie mogłem więc wiedzieć, że mnie poszukują, i że już za chwilę zgłoszę się w gabinecie najbliższego starosty, ale najpewniejsze jest to, że nie będę musiał w ogóle nic wyjaśniać, na pewno bardziej zwracają uwagę na tych, co wyjeżdżają, niż na tych, co wjeżdżają, Przejedziemy przez inne przejście graniczne, dzięki szpakom, przypomniał José Anaięo, a powiedziawszy to, rozpostarł mapę na stole, cały Półwysep Iberyjski, narysowany i pokolorowany w czasach, kiedy wszystko było stałym łodem i kiedy kościec Pirenejów powstrzymywał włóczęgowskie zapędy, w ciszy trzech mężczyźni spoglądali na płaski wizerunek tej części świata, jakby jej nie rozpoznawali, Mówił Strabon, że półwysep ma kształt wolej skóry, słowa te wyszeptał dobitnie Pedro Orce i pomimo ciepłej nocy dreszcz przebiegł Joaquima Sasse i José Anaięa, jakby przed ich oczyma powstała cyklopowa bestia, która miała zostać złożona w ofierze i odarta ze skóry, aby przyłączyć do europejskiego kontynentu śmiertelne szczątki, które będą krwawić przez wszystkie wieki wieków.

Rozwinięta mapa przedstawiała obie ojczyzny, Portugalię zawieszoną, Hiszpanię przekrzywioną na południe, i regiony, prowincje, dystrykty, gruby żwir większych miast, kurz miasteczek i wiosek, ale nie wszystkich, bo nadal nie widać drobnego kurzu gołym okiem, Venta Micena była zaledwie jednym przykładem. Dłonie rozprostowują i wygładzają papier, przesuwają się po Alentejo i suną na północ, jakby gładziły twarz, od

lewego policzka do prawego, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zgodnie z biegiem czasu, Beira, Ribatejo przed nimi, a potem Trás-os-Montes i Minho, Galisia, Asturia, Kraj Basków i Nawarra, Kastylia i Leon, Aragonia, Katalonia, Walencja, Extremadura, ich i nasza, Andaluzja, w której jeszcze jesteście, Algarve, wtedy José Anaięo przyłożył palec do ujścia Gwadiany i powiedział, Tutaj przejdziemy przez granicę.

Dreżone krwawym wspomnieniem strzelaniny w Rosal de la Frontera, o krwawej pamięci, szpaki, tym razem roztropne, zatoczyły wielki łuk na północ i przekroczyły granicę tam, gdzie powietrze było czyste i ruch otwarty, jakieś trzy kilometry od mostu, który w czasach, o jakich tutaj mówimy, już został zbudowany, a czas był najwyższy. Policji po stronie portugalskiej nie zaintrygowało to, że jeden z pasażerów nazywa się Joaquim Sassa, widać było, że znacznie poważniejsze kłopoty nękały ducha władzy, jakież one były, dowiedziano się z dialogu, Dokąd panowie jada, zapytał policjant, Do Lizbony, odpowiedział Jose Anaięo, który siedział za kierownicą, i zapytał, Dlaczego pan pyta, Napotkacie po drodze blokady, proszę szczegółowo przestrzegać poleceń, proszę nie próbować przejechać na siłę albo zjeżdżać z drogi, bo drogo was to będzie kosztować, Stało się jakieś nieszczęście, Zależy od punktu widzenia, Niech pan nie mówi, że Algarve też się odczepia, wcześniej czy później musiało się to stać, zawsze im się wydawało, że są oddzielnym królestwem, Nie chodzi o to, to coś znacznie poważniejszego, ludzie chcą zajmować hotele, mówią, że skoro nie ma turystów, oni potrzebują mieszkań, Nie wiedzieliśmy o tym, kiedy zaczęła się inwazja, Wczoraj w nocy, To ci dopiero, nie, zawołał Jose Anaięo, gdyby był Francuzem, powiedziałby, ęa alors, każdy ma swój sposób wyrażania zdumienia, które inni też poczuli, posłuchajmy, co dźwięcznie powiedział Pedro Orce, Caramba, podczas gdy słowa Joaquina Sassy ledwie dały się słyszeć, jak echo, To ci dopiero, nie.

Policjant nakazał im ruszyć dalej, przestrzegł po raz

kolejny, Proszę uważać na blokady, i już Dwa Konie może przejechać przez Vila Real de Santo Antonio, podczas gdy pasażerowie komentują zaskakujące zdarzenie, w końcu, któżby przypuszczał, istnieją dwa różne typy Portugalczków, jedni idą na plażę i morski brzeg, aby melancholijnie oddawać się kontemplacji horyzontu, inni nieustraszenie szturmują hotelowe twierdze, bronione przez policję, przez guardia republicana, a także, z tego, co wiadomo, przez samo wojsko, są już ranni, tak im powiedziano w tajemnicy w pewnej kawiarni, gdzie się zatrzymali w celu zasięgnięcia języka. W ten sposób dowiedzieli się, że w trzech hotelach, w Albufeirze, w Praia da Rocha i w Lagos, sytuacja jest krytyczna, do tego stopnia, że siły porządkowe otaczają budynki, w których stłoczyli się buntownicy, barykadując drzwi i okna, odcinając dostęp, są niczym oblężeni Maurowie, bezwzględnie niewierni, nie szanujący kreda, nieczuli na apele i na groźby, wiedzą, że po białej fladze przyjdzie kolej na gaz łzawiący, dlatego nie prowadzą rozmów i nre znają słowa kapitulacja. Pedro Orce jest pod wrażeniem, powtarza po cichu, Caramba, a na jego twarzy maluje się swego rodzaju patriotyczny zawód, żal, że to nie Hiszpanie jako pierwsi wykazali inicjatywę.

Zaraz na pierwszej blokadzie chciano ich skierować do Castro Marim, ale Jose Anaię zaprotestował, mówiąc, że ma pilny interes do załatwienia w Silves, powiedział Silves, żeby nie budzić podejrzeń, W sumie nawet lepiej dla mnie jechać wewnętrznymi drogami, Im bardziej wewnętrznymi, tym lepiej, jeśli chce pan uniknąć kłopotów, zasugerował najwyższy rangą oficer, dzięki emanującemu spokojem wyglądowi całej trójki i przez szacunek dla zmęczenia Dwóch Koni, Ale, panie poruczniku, w takiej sytuacji, z krajem dryfującym w nieznanie, i nie można tu było użyć lepszego słowa, martwicie się okupacją kilku hoteli, to nie żadna rewolucja, żeby zaraz zarządzać powszechną mobilizację, masy czasem są niecierpliwe, nic więcej, komentarz ten wygłosił Joaquim Sassa, słaby dyplomata, całe szczęście,

że porucznik należał do tych, którzy nie cofają raz danego słowa, wedle starej dobrej tradycji, w przeciwnym razie musieliby naprawdę pojechać przez Castro Marim. Jednakże impertynent nie uniknął wojskowej bury, Wojsko jest tutaj, żeby wypełnić swój obowiązek, ciekawe, czyby się panu podobało, gdybyśmy z powodu niewygody w koszarach poszli okupować Sheratona albo Ritza, bardzo wielkie musi być zdezorientowanie tego żołnierza, że zdecydował wytłumaczyć się cywilowi. Ma pan słuszość, panie poruczniku, ten mój kolega już taki jest, gada bezmyślnie, a ja zawsze mu powtarzam, żeby tego nie robił, I powinien myśleć, w tym wieku już powinien, zakończył stanowczo oficer. Oszczędnym gestem kazał im przejeżdżać, nie słyszał już tego, co powiedział Joaquim Sassa, i bardzo dobrze, bo w przeciwnym razie sprawa mogłaby się skończyć w więzieniu.

Byli zatrzymywani na innych blokadach, przez mniej dobroduszną guardia republicana, czasem musieli jechać objazdami po złych drogach, zanim pozwolono im wrócić na główną szosę. Joaąuim Sassa jechał obrażony, i miał rację, został skarcony dwa razy, Z tym, że porucznik musiał wykonać swój przepisowy numer, zgadzam się, ale nie musiałeś mówić, że gadam bezmyślnie, Przepraszam, zrobiłem to, żeby uniknąć problemów, nabijałeś się z faceta, to błąd, nigdy nie należy nabijać się z władzy, bo albo nie rozumieją, więc nie warto tego robić, albo rozumieją i wtedy jest znacznie gorzej. Pedro Orce poprosił, aby mu wytłumaczono, powoli, o co była ta cała kłótnia, i konieczna zmiana tonu i powtórzenia wykazały, że sprawa nie miała znaczenia, kiedy Pedro Orce wszystko zrozumiał, wszystko zostało rozumiane.

Po rozstajach w Boliąueime, kawałek pustej drogi, Jose Anaieo, wykorzystując brak rowu melioracyjnego, bez zapowiedzi skręcił Dwoma Końmi w pole, na przełaj, Dokąd jedziesz, krzyknął Joaąuim Sassa, Jeśli będziemy jechali drogą, jak grzeczne dzieci, nigdy nie uda nam się zbliżyć do żadnego z tych hoteli, a my chcemy zobaczyć, co tam się dzieje, tak czy nie, rzucił Jose Anaieo,

podskakując na siedzeniu i szybko kręcąc kierownicą, samochód skakał na nierównej ziemi jak szalony. Pedro Orce, na tylnym siedzeniu, był bezlitośnie rzucany z jednej strony na drugą, a Joaquim Sassa, który wybuchnął śmiechem, odpowiedział, przerywając, jakby czał, Dobry kawał, dobry kawał. Szczęśliwie trzysta metrów dalej natrafili na drogę skrytą pomiędzy figowcami, za zawalonym murem o luźnych kamieniach albo o kamieniach, które czas wydłubał z cementu. Znaleźli się, by tak powiedzieć, w teatrze operacji. Z wielką ostrożnością zbliżali się do Albufeiry, zawsze kiedy to było możliwe, wybierali obniżony teren, najgorsze są chmury pyłu, które wzbija Dwa Konie, niewielka jest jego biegłość jako zwiadowcy i wysuniętej czujki, lecz policja znajduje się już daleko, strzeże rozdroży, głównych węzłów komunikacyjnych, bo takiej nazwy używa się w nowoczesnym żargonie komunikacji, poza tym nie ma aż tak wielu funkcjonariuszy sił porządkowych, żeby można było strategicznie obstarwić prowincję tak bogatą w hotele jak w drzewa świętojańskie, jeśli dopuszczalne jest takie porównanie. Prawdę powiedziawszy, kto ma Lizbonę za cel swej podróży, nie musi kręcić się po tych okolicach, gdzie króluje bunt, warto jednak zweryfikować prawdziwość informacji, tysiące razy bowiem zostało już udowodnione, że w historii opowiedziane zawsze trzy grosze dodane, może trafił się jakiś pojedynczy przypadek, albo dwa, a blokady na drogach były w końcu praktycznym wprowadzeniem w życie owego roztropnego rozporządzenia, które nakazuje zapobiegać, żeby nie naprawiać. Były już jednak infiltracje. Poprzez rzadki las, depcząc w pośpiechu czerwoną ziemię, brnęli mężczyźni i kobiety, niosąc na plecach worki, walizki i pakunki, na rękach małe dzieci, wyobrażają sobie, że w ten sposób oznaczają swe miejsce w hotelu, tymi skromnymi dobrami i najbliższymi członkami rodziny jako gwarantami, żona, dzieci, a potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, sprowadzą resztę krewnych, łóżko, kufer, stół, nikomu nie przyszło do głowy, że w hotelach najwięcej jest stołów i łóżek, a jeśli nie ma zbyt

wielu kufrow, to świetnie zastępują je szafy.

U bram Albufeiry przygotowywano się do bitwy polowej. Podróżni pozostawili Dwa Konie na tyłach, w cienistym zaciszu, w tym przypadku nie można liczyć na jego pomoc, jest to istota mechaniczna, pozbawiona emocji, jedzie tam, gdzie go powiozą, tam, gdzie stanie, zostaje, i wcale go nie obchodzi, czy półwysep dryfuje, czy też nie, to, że się przemieszcza, nie skróci odległości, jakie należy przebyć. Bitwa miała swój krasomówczy wstęp, jak to drzewiej bywało, w starożytnych wojnach, z wyzywaniem, zagrzewaniem do boju, modłami wnoszonymi do Najświętszej Paniienki albo św. Jakuba, przemówienia zawsze są dobre, kiedy się zaczynają, skutek ich zawsze okropny, w Albufeirze na nic się zdały przemowy wodza ludowych wojsk inwazyjnych, choć tak świetnie przemawiał, Policjanci, żołnierze, przyjaciele, nadstawcie dobrze uszu, ku mnie zwróćcie uwagę waszą, wy wszak, i biada wam, gdy o tym zapomnicie, synami ludu jesteście, jako i my, ludu tego tak zgnębionego, co domy stawia, by w nich nie mieszkać, co hotele pobudował i nie stać go, by w nich zamieszkać, baccie, iż przybyliśmy tu z dziećmi naszymi i żonami naszymi, lecz nie masz nas tu, by królestwa niebieskiego się domagać, lecz ledwie bardziej godziwego dachu nad głową, pokojów, byśmy spać w nich mogli z rozwagą i szacunkiem, który należy jest istotom ludzkim, my nie jesteśmy zwierzętami ani też maszynami, mamy zdolność odczuwania, a wszak te tam hotele nie tylko są puste, ale są ich setki, jest w nich tysiące pokoi, pobudowano hotele dla turystów, a oni wyjechali i nigdy już nie wrócą, dopóki tu byli, poddawaliśmy się niedoli życia, a teraz, proszę, pozwólcie nam wejść, zapłacimy czynsz taki, jaki płaciliśmy za mieszkania, w których dotychczas żyliśmy, niesprawiedliwością byłoby żądać od nas więcej, i przysięgamy zarówno na to, co święte, jak i na to, co święte nie jest, że wszystko zawsze będzie posprzątane i czyste, nigdy nie było nikogo, kto w tych sprawach dorastałby do pięt naszym kobietom, tak, wiem, dobrze

prawicie, są jeszcze dzieci, brudne dzieci bardzo brudza, lecz te będą chodzić czyste i schludne, to proste, z tego, co nam mówiono, każdy pokój ma łazienkę, prysznic albo wannę, do wyboru, wodę ciepłą i zimną, w takiej sytuacji toaleta zapewne nic nie kosztuje, a jeśli nawet nasze starsze dzieci z racji wieku nie będą potrafiły wyzbyć się przyzwyczajenia do brudu i nie przyswoją sobie higienicznych nawyków, to przysięgamy wam, że ich dzieci będą najczystszyimi stworzeniami na świecie, chodzi o to, żebyście nam dali czas, przecież tak naprawdę ludzie tylko tego potrzebują, czasu, i w sumie tylko to mają, wszystko inne jest zwykłą iluzją, tego nikt się nie spodziewał, z wodza buntowników wyszedł nam filozof.

Widać po rysach twarzy, a dowody osobiste by to potwierdziły, że żołnierze rzeczywiście są dziećmi ludu, lecz ich major albo też pochodzi z ludu, ale w ławkach oficerskiej szkoły nabrał pogardy dla biednych przodków, albo od urodzenia należy do wyższych klas, dla których zostały zbudowane hotele w Algarve, z udzielonej odpowiedzi nie można niczego wywnioskować, Odsuńcie się albo dostaniecie po ryju, taka wulgarność nie charakteryzuje niższych sfer. Żołnierze widzieli w tłumie ukochane postacie taty i mamy, ale obowiązek, kiedy nas wzywa, jest znacznie silniejszy, Światło moich oczu, mówi matka do dziecka, które dzieli ją pałką. Lecz dowódca cywilów krzyknął wściekle, zamieniając na rozpacz argumenty i wezwania, Banda lizusów, nie rozpoznajecie piersi, która was wykarmiła, licencja poética, oskarżenie to nie miało większego sensu i żadnego celu, wszak nie ma syna ani córki, którzy by to pamiętali, choć roi się od autorytetów zapewniających, że na dnię naszej świadomości zachowujemy skrycie to i inne przerażające wspomnienia i że nasze całe życie jest stworzone z tych i innych strachów.

Nie spodobało się majorowi nazywanie go lizusem i krzyknął groźnie, Naprzód, podczas gdy generał atakującej armii wołał, Na nich, patrioci, i rzucili się wszyscy, bark w bark, i doszło do strasznego zderzenia. Właśnie w owej

chwili dotarli na miejsce Joaquim Sassa, Pedro Orce i José Anaieo, ciekawscy, lecz niewinni, nieźle się wpakowali, bo żołnierze potracili głowy i nie odróżniali uczestników i widzów, można powiedzieć, że choć trzech przyjaciele nie potrzebowali mieszkania, musieli o nie walczyć. Pedro Orce, pomimo wieku, bił się, jakby był w swoim kraju, pozostali radzili sobie najlepiej, jak umieli, może nawet trochę gorzej, bo należą do bardziej pokojowego plemienia. Byli ranni, którzy wlekli się albo byli odciągani na pobocze drogi, kobiety uderzały w szloch i miały przekleństwa, infantów odstawiono w bezpieczne miejsce w taborach, bo bitwy takie bywały tylko w średniowieczu, więc i słownictwo musi być z epoki. Kamień rzucony z daleka przez podrostka imieniem Dawid powalił na ziemię majora Goliata, krwawi z głębokiego rozcięcia na brodzie, nie mógł go ochronić stalowy hełm, oto skutki wycofania z użycia przyłbic i nosali, a najgorsze jest to, że w zamieszaniu spowodowanym powaleniem wodza powstańcy zalali wojsko, przeszli po jednej flance i po drugiej, aby zaraz potem, posunięcie taktycznie genialne, choć instynktowne, rozsypać się po stromym labiryncie ulic i zaułków, unikając w ten sposób odwetowej akcji żołnierzy otaczających hotel, spieszących na pomoc zwyciężonemu batalionowi, o upokorzeniu takim jak to nie pamiętano od dawnych czasów żakerii. Jakiś właściciel hotelu, pewnie postradał zmysły albo nagle się nawrócił na interes ludu, bo otworzył na oścież drzwi swego hotelu, mówiąc, Wchodźcie, wchodźcie, lepiej wy niż pustynia.

Dzięki takim ułatwieniom przy kapitulacji nagle Joaquim Sassa, Pedro Orce i Jose Anaieo stali się mieszkańcami hotelowego pokoju, o który tak naprawdę nie walczyli i który dwa dni później przekazali jednej z bardziej potrzebujących rodzin, ze sparaliżowaną babcią i wymagającymi opieki rannymi. W tym zamieszaniu, jakiego nigdy wcześniej nie widziano, mężowie pogubili żony, a dzieci rodziców, lecz w wyniku tak dramatycznych zagubień, czegoś takiego nikt nie potrafiłby wymyślić, co

samo przez się dowodzi prawdziwości opowiadania, w wyniku zagubień, jak mówiliśmy, członkowie tej samej rodziny, rozdzieleni, lecz wykazujący się taką samą dynamiką, zajęli apartamenty w różnych hotelach i wielki wysiłek musieli podjąć, by zebrać się pod jednym dachem, ci, którzy w końcu pragnęli zdobyć wspólny dach, zwykle kończyli wszyscy w hotelu, który miał więcej gwiazdek przy swej nazwie. Komisarze policji, pułkownicy wojska i straży obywatelskiej prosili o wsparcie, samochody opancerzone i instrukcje z Lizbony, rząd, nie wiedząc, do kogo się zwrócić, zarządzał i odwoływał zarządzenia, groził i prosił, poinformowano nawet, że już podało się do dymisji trzech ministrów. Tymczasem z plaży i ulic Albufeiry można było zobaczyć triumfujące rodziny w oknach hoteli, na pięknych tarasach ze stołami do spożywania śniadania i z wyłożonymi poduszkami otomanami, ojciec rodziny wbijał pierwsze gwoździe i rozciągał sznurki do suszenia bielizny, którą matka już prała w łazience. A baseny kipiały od nurkowania i pływania, nikomu nie przyszło do głowy wyjaśnić dzieciakom, że najpierw trzeba wziąć prysznic, a dopiero potem nurzać się w lazurowej wodzie, nie będzie łatwo skłonić tych ludzi do wyzbycia się nawyków ze slamsów.

Znacznie szybciej i lepiej niż dobre lekcje zawsze znajdowały posłuch i dawały owoce złe przykłady, i nie wiadomo, jakimi to szybkimi sposobami przechodzą z miejsca na miejsce, bo po kilku godzinach ludowy ruch okupantów przeskoczył przez granicę i rozprzestrzenił się na całą Hiszpanię, proszę sobie wyobrazić, jak to wyglądało w Marbelli i Torremolinos, gdzie hotele są jak miasta i trzy tworzą megalopolis. Europa, poznawszy alarmujące wiadomości, uderzyła w krzyk, Anarchia, Chaos Społeczny, Zamach na Prywatną Własność, a jakiś francuski dziennik, z tych, co to kształtują opinię publiczną, na całej szerokości pierwszej strony umieścił sybilliczny tytuł, Nie Można Uciec Od Natury. Ten wyrok, choć tak mało oryginalny, przypadł do gustu Europejczykom, kiedy mówili o dawnym Półwyspie Ibe-

ryjskim, wzruszali ramionami i powtarzali jedni drugim, Cóż można zrobić, nie można uciec od natury, a jedyny wyjątek od potepiającego chóru stanowił neapolitański i ma-kiaweliczny niezbyt znany dziennik, który obwieścił, Problemy mieszkaniowe Hiszpanii i Portugalii rozwiązane.

Przez trzy dni, które nasi przyjaciele spędzili w Albufeiri, policja wspomagana oddziałami specjalnymi próbowała siłą opróżnić hotele, lecz wspólna i skoordynowana akcja nowych mieszkańców i właścicieli, jedni byli gotowi bronić się do ostatniego pokoju, drudzy drżeli przed zwyczajowymi zniszczeniami, jakie powodują oswoobodziciele, spowodowała zawieszenie działań i odłożenie ich na inną okazję, kiedy to czas i obietnice uspią czujność. Kiedy Pedro Orce, Joaquim Sassa i José Anaię wyruszyli w podróż do Lizbony, były już w hotelach demokratycznie wybrane komitety mieszkańców, tworzące wyspecjalizowane komisje, higieny i konserwacji, kuchni, pralni, świąt i zabaw, kultury, oświaty i wychowania obywatelskiego, gimnastyki i sportu, a więc wszystkiego, co jest niezbędne do dobrego funkcjonowania każdej społeczności. Na masztach, dawnych i tych postawionych naprędce, powiewały chorągiewki i proporczyki we wszystkich kolorach, wszystko nadawało się do tego celu, flagi zagranicznych krajów, klubów sportowych, różnych stowarzyszeń, pod egidą symbolu ojczyzny wciągniętego na najwyższy maszt, były nawet kapy wywieszane w oknach w tym zdrowym dekoracyjnym współzawodnictwie.

Ale, spójnik łączący zdania współrzędne przeciwstawne, który zawsze wprowadza opozycję, restrykcję albo różnicę, w tym zaś przypadku przypomina, że nawet najlepsze rzeczy dla jednych, dla innych mają zawsze jakieś ale, i zajęcie hoteli w ten tak dziki sposób było kroplą, która przepełniła czarę niepokoju, w jakim od pierwszych godzin żyli bogaci i możni. Wielu ze strachu, że półwysep zatonie wraz z ich życiem i majątkiem, wyjechało natychmiast razem z rzeszą turystów, co, rzecz jasna, nie oznacza, że byli turystami ci obcokrajowcy we własnym kraju, choć istnieją różne stopnie przynależności

człowieka do jego naturalnej i administracyjnej ojczyzny, co historia wykazała już po wie- lekroć.

Teraz, wobec ogólnego potępienia społecznej bezczelności, bardziej powszechnej niż ogólnej, o ile wyłączymy niestosowny postępek owej neapolitańskiej gazetki, nastąpiła druga fala emigracji, tak masowej, że nawet zaczęto podejrzewać, iż ją szczegółowo przygotowywano od chwili, gdy dla wszystkich stało się jasne, że rany tego organizmu, który wtedy jeszcze był całą Europą, nie mogą się zablźnić, że struktura półwyspu, któż mógł to sobie wyobrazić, rozerwała się na dobre. Zasobne konta bankowe nagle stały się skromne, pozostały jak symboliczne resztki, w Portugalii jakieś pięćset escudów, w Hiszpanii około pięciuset peset, albo niewiele więcej, opróżniono w ten sposób konta a vista, lokaty terminowe ze skromnymi stratami, i wszystko, złoto, srebro, szlachetne kamienie, dzieła sztuki, tytuły własności, wszystko zostało wymiecione przez silny podmuch od morza, we wszystkich trzydziestu dwóch kierunkach różny wiatrów, dobra ruchome uchodźców, jest nadzieja, że resztę odzyska się któregoś dnia, o ile wystarczy czasu i cierpliwości. Rzecz jasna tak wielkie zmiany nie mogły zająć w dwadzieścia cztery godziny, ale wystarczył tydzień, aby zmienić, wzdłuż i wszerz, z góry do dołu, radykalnie, przekrój społeczny obu iberyjskich krajów. Obserwator nieświadom faktów i przyczyn, dający się zwieść pozorom, stwierdziłby, że Hiszpanie i Portugalczycy nagle zbiednieli, z godziny na godzinę, podczas gdy w gruncie rzeczy tylko wyjechali bogaci, a kiedy ich zabrakło, zaraz ucierpiała na tym statystyka.

Tym obserwatorom, którzy potrafią dostrzec cały olimp pełen bogów i bogiń tam, gdzie tylko przepływają zwykle chmury, a także tym, którzy mają przed oczyma Jowisza Gromowładnego i nazywają go atmosferyczną parą, nigdy nie przestaniemy przypominać, iż nie wystarczy mówić o okolicznościach z ich bipolarnym podziałem na poprzedzające i wynikające, jaki dla zaoszczędzenia wysiłku

umysłowego się stosuje, lecz że należy wziąć pod uwagę to, co nieuchronnie sytuuje się pomiędzy jednymi i drugimi, powiedzmy w całej rozciągłości i we właściwej sekwencji, czas, miejsce, motywy, środki, postać, fakt, sposób, jeśli nie zmierzy się wszystkiego i nie wyważy, popełni się tragiczny błąd podczas wydawania pierwszego sądu. Człowiek jest istotą inteligentną, bez wątpienia, lecz nie na tyle, na ile byśmy chcieli, i jest to stwierdzenie faktu i pokorne wyznanie, które zawsze powinno rozpoczynać się od nas samych, jak mawia się o dobrze rozumianej filantropii, zanim zostanie nam to rzucone w twarz.

Dotarli do Lizbony o zmierzchu, w porze, w której delikatność nieba wlewa w dusze słodką melancholię, teraz widać, że słuszność miał ów godzin podziwu znawca odczuć i wrażeń, który stwierdził, że pejzaż jest odzwierciedleniem stanu duszy, nie potrafił nam jednak powiedzieć, jakie były widoki w czasach, kiedy świat zamieszkiwały jedynie pitekantropusy, o ubogich duszach, i nie dość, że ubogich, to jeszcze do tego mętnych. Po upływie tylu milleniów i dzięki stopniowemu doskonaleniu może już Pedro Orce rozpoznać w melancholii miasta wierny obraz swego wewnętrznego smutku. Przyzwyczał się do towarzystwa tych Portugalczyków, którzy przyjechali po niego do tych niegościnnych miejsc, w których się urodził i mieszkał, a teraz niedługo się rozdziela, każdy pojedzie w swoją stronę, nawet rodziny nie wytrzymują erozji takiej konieczności, cóż zatem mają zrobić zwykli znajomi, koledzy świeżej daty i wątych korzeni.

Dwa Konie powoli przejeżdża przez most, najniższą dozwoloną prędkością, żeby dać Hiszpanowi czas na pozachwycanie się pięknem morsko-ładowych widoków, a także dziełem sztuki inżynierskiej łączącym brzegi rzeki, ta konstrukcja, mówimy o zdaniu, jest peryfrastyczna, używamy jej tylko po to, by nie powtarzać słowa most i uniknąć błędu z rodzaju pleonastycznych albo redundantnych. W różnych sztukach, a szczególnie w sztuce pisania, najlepsza droga łącząca dwa punkty,

nawet jeśli są one bardzo sobie bliskie, nie była, nie jest i nie będzie linią, którą nazywamy prostą, nigdy, przenigdy, w ten sposób energicznie i emfaticznie odpowiadamy na wątpliwości i zagłuszamy je. Nasi podróżni tak byli pochłonięci pięknem grodu i zauroczeni wspaniałą konstrukcją, że nawet nie zwrócili uwagi na szaleństwo, które nagle ogarnęło szpaki. Upojone wysokością, ocierały się niebezpiecznie o ogromne słupy wznoszące się z wody, by wesprzeć się o niebo, z tej strony miasto z szybami w ogniu, dalej morze i słońce, a w dole przepływa wielka rzeka, niczym powolny strumień lawy płonącej pod pokrywą popiołu, ptaki nagle zmieniały kierunek lotu, szybko bijąc skrzydłami, rytmicznie, i było tak, jakby ziemia krążyła wokół mostu, zmieniając północ we wschód, a potem w południe, południe w zachód, a potem w północ, w jakimś miejscu świata znajdziemy się któregoś dnia, kiedy przyjdzie nam zmienić aż tyle albo jeszcze więcej. Powiedziano już, że ludzie, nawet kiedy patrzą na takie rzeczy, nie pojmują ich, tym razem też nie zrozumieli.

Byli w połowie mostu i Pedro Orce wyszeptał, Ładne miasto, takie słowa, miłe, nie wymagają żadnego komentarza, chyba że skromnego No. Było jeszcze dość wcześnie, żeby zostawić Pedra Orce w jakimś hotelu i kontynuować podróż, przynajmniej do ribatejańskiej wioski, w której mieszka Jose Anaię i gdzie Joaquim Sassa mógłby spędzić jeszcze jedną noc pod figowcem, gdyby przyszła mu na to ochota, lecz niegrzecznie byłoby zostawić gościa, wspólnie zdecydowali obaj Portugalczycy zostać tu jeszcze jeden czy dwa dni, wystarczająco dużo czasu, by Hiszpan mógł poznać miasto i po powrocie do Orce podpisać się pod słowami naszej niewinnej i odwiecznej próżności, Widzieć Lizbonę to szczęście szalone, błogosławiony niech będzie Bóg, który dał nam rymy.

Joaquimowi Sassie i Jose Anaięowi nie brak pieniędzy, zgromadzili tyle, ile trzeba na zagraniczne przygody i na powrót, a jeszcze mogli zaoszczędzić, jak wiemy, raz śpiąc pod gołym niebem i raz w domu andaluzyjskiego

farmaceuty, a w Algarve, wykorzystując panującą anarchię, nie wystawiono im rachunku za pobyt w hotelu. W Lizbonie, do której już wjechaliśmy, tylko na obrzeżach dochodziło do szturmów i zajmowania hoteli, pozostałe, w centrum, ochronił zbiór czynników perswazji, przede wszystkim fakt, iż jest to stolica, a więc jak to zwykle bywa, miejsce największej koncentracji sił porządku publicznego albo też ucisku, z drugiej strony zaś specyficzna nieśmiałość mieszczaucha, który często cierpi i hamuje się, czując, iż jest obserwowany przez oceniającego go sąsiada, i vice versa, pierwotniak w kropli wody z pewnością niepokoi soczewkę i oko, które go zza niej obserwuje i również go niepokoi. Z braku gości niemal wszystkie hotele zamknęły podwoje, z powodu remontu, takie jest wyjaśnienie, ale niektóre dalej pracują, pobierając opłaty według taryfy posezonowej albo obniżonej do tego stopnia, że niektóre rodziny rozważyły możliwość porzucenia swych mieszkań, za które płaciły bardzo wysoki czynsz, i przeprowadzenia się do hotelu Méridien i jemu podobnych. Tak wielkich aspiracji nie mieli trzech podróżni, dlatego zainstalowali się w skromnym hotelu, w górze ulicy Rozmarynowej, po lewej stronie, gdy schodzi się w dół, i którego nazwa nic nie wniesie do tej historii, jeden raz wystarczył, a i tego można było uniknąć.

Szpaki są szpakami, a o ludziach lekkomyślnych i niefrasobliwych mówi się tak samo, co oznacza, że zarówno jedni, jak i drudzy nie są skłonni zastanawiać się nad tym, co robią, są niezdolni przewidywać albo wyobrażać sobie, koncentrują się na terażniejszości, nie pozostaje to jednak w sprzeczności ze szlachetnością pewnych ich zachowań, są zdolne do poświęcenia nawet życia, co mogliśmy zobaczyć przy okazji zdarzenia na granicy, kiedy tyle ciałek padło bez ducha, przelewając cenną krew za nie swoją sprawę, przypominamy, że mówimy o ptakach, nie o ludziach. Lecz lekkomyślność i niefrasobliwość to cechy tysięcy ptaków, które beztrudno usiądą na dachu jakiegoś hotelu, zwracając uwagę ludu i policji, ornitologów i amatorów smażonych ptaszków i w ten

sposób zdradzając obecność trzech mężczyzn, którzy co prawda mają czyste sumienia, ale znaleźli się w kręgu zainteresowań władz. Wszak, o czym podróżni nie wiedzą, prasa portugalska, na stronie poświęconej teraz nieodmiennie niesamowitym zjawiskom, przyniosła wieści o ataku szpaków na niczego się nie spodziewających strażników granicznych, odwołując się, choć wcale nie było to oryginalne, do wspomnianego już przez nas filmu Hitchcocka o życiu ptaków.

Prasa, radio i telewizja, zaraz poinformowane o zdarzeniach na Cais de Sodre, wysłały reporterów, fotografów i operatorów kamer na miejsce, co w zasadzie nie miałoby żadnego znaczenia, poza wzbogaceniem kolorytu Lizbony, gdyby nie metodyczne i, dlaczego tego nie powiedzieć, naukowe zacięcie jednego z reporterów nie skłoniło go do zadania sobie pytania o możliwą skutkowo-przyczynową zależność pomiędzy obecnością szpaków na dachu hotelu i jego mieszkańcami, stałymi i tymczasowymi, w środku. Nieświadomi niebezpieczeństwa, dosłownie wiszącego im nad głową, Joaquim Sassa, Jose Anaięo i Pedro Orce, każdy w swoim pokoju, porządkowali swój niewielki bagaż, po kilku minutach mieli wyjść na ulicę i po raz pierwszy przejść się po mieście przed kolacją. Właśnie w tej samej chwili wnikliwy dziennikarz przegląda książkę meldunkową, czyta zapisane w niej nazwiska i oto dwa z nich delikatnie stymulują jego zwoje mózgowie, Joaquim Sassa, Pedro Orce, nie byłby dobry w swoim fachu, gdyby ich nie zauważył, być może jego uwagę zwróciłoby także inne nazwisko, Ricardo Reis, lecz książka, w której tamten został któregoś dnia zapisany, znajduje się w archiwum na strychu, wszak minęło już tyle lat, pokryta kurzem, na stronie, która prawdopodobnie nigdy nie ujrzy światła dziennego, a gdyby nawet tak się zdarzyło, być może nie będzie można przeczytać nazwiska, bo linijka będzie zamazana, albo nawet cała strona, takie są skutki działania czasu, wymazuje wszystko. Do tego dnia szczytowym osiągnięciem sztuki kulinarnej było upieczenie dwóch pieczeni na jednym ogniu, od tej chwili

zwiększa się do trzech liczbę mięs narażonych na ludzkie łakomstwo, należy więc poprawić rejestry porzekadeł, tam, gdzie jest dwa, czytaj trzy, a może i jeszcze więcej będzie.

Poproszeni o zejście do recepcji, Joaquim Sassa i Pedro Orce siedzieli później w salonie przed wielkim zwierciadłem prawdy i wobec nalegania dziennikarzy musieli przyznać, iż są tymi od rzuconego kamienia i żywego sejsmografu.

A te szpaki, nie może być przypadkiem, że tyle ich się tu zebrało, zauważył inteligentny reporter, wtedy Jose Anaię, solidarny wobec swych przyjaciół, złożył oświadczenie, Szpaki są ze mną. Większość pytań skierowanych do Joaquina Sassy pokrywała się z wyobrażonym dialogiem pomiędzy nim i starostą, dlatego ich tu nie powtórzymy, ani też odpowiedzi, lecz Pedro Orce, który w swoim kraju nie mógł być w pełni uznanym prorokiem, rozwlekłe rozprawiał o niedawnych wydarzeniach ze swego życia, że tak, oczywiście, że ciągle czuje drżenie ziemi, intensywne i głębokie, niczym wibracja wspinająca się po jego kościach, i że w Granadzie, Sewilli i Madrycie poddano go rozlicznym testom, zarówno uczuciowym, jak i intelektualnym, zarówno sensorycznym, jak i motorycznym, i że jest gotów poddać się takim samym albo innym badaniom, jeśli uznają je za stosowne uczeni portugalscy Tymczasem zapadła noc, szpaki odpowiedzialne za ujawnienie podróży rozproszyły się po drzewach pobliskiego parku, wyczerpawszy pytania i zaspokoiwszy ciekawość, oddalili się dziennikarze, kamery i reflektory, lecz i tak nie było spokoju w hotelu, służący i kelnerzy wymyślali preteksty, aby przyjść do recepcji i zajrzeć do salonu, ciekawe, jak wyglądają te zjawiska.

Zmęczeni nieustającymi wstrząsami, trzej przyjaciele postanowili nie wychodzić i zjeść kolację w hotelu. Pedro Orce martwił się konsekwencjami gadatliwości, której uległ, Tyle mnie ostrzegali, żeby nie otwierał dzioba, w Hiszpanii im się to nie spodoba, kiedy się dowiedzą, ale jeśli tu zostanie jeszcze parę dni, może o mnie zapomną.

Jose Anaię powątpiewał, Jutro nasza historia pojawi się we wszystkich gazetach, telewizja pewnie jeszcze dzisiaj będzie o nas mówić w wiadomościach, a ci z radia będą głądzić bez ustanku, są niezmordowani, a Joaquim Sassa dodał, I tak z nas trzech ty jesteś w najlepszej sytuacji, zawsze możesz powiedzieć, że to nie twoja wina, że szpaki za tobą latają, ani nie gwizdziesz na nie, ani im nie dajesz jeść, ale my dwaj wpadliśmy w tarapaty, na Pedra Orce patrzy, jakby był zwierzakiem w zoo, nauka portugalska nie pozwoli uciec królikowi doświadczalnemu, a mi nie dadzą spokoju z powodu tego kamienia, Macie samochód, przypomniał Pedro Orce, wyjedziecie wcześniej rano albo jeszcze dziś w nocy, ja zostanę, jeśli mnie zapytają, dokąd pojechaliście, powiem, że nie wiem, Teraz już jest za późno, jak tylko pojawię się w telewizji, zaraz zadzwoni ktoś z mojej wioski, choćby po to, żeby powiedzieć, że mnie zna, że jestem nauczycielem i że już coś podejrzewali, bardzo pragną sławy, powiedział to Jose Anaię i dodał, Lepiej już zostańmy tutaj, nie będziemy wiele gadać, w końcu muszą się zmęczyć.

Tak jak przewidzieli, w ostatnim dzienniku pojawił się obszerny reportaż, widać było lecącą chmurę szpaków, fasadę hotelu, dyrektora składającego oświadczenie, które było fałszywe, co zaraz zobaczymy, To pierwsze wielkie wydarzenie w historii tego hotelu, i trzy fenomeny, Pedro, Jose i Joaquim, odpowiadają na pytania.

Jak zawsze kiedy uważa się za konieczne podsumowanie w wykonaniu przekonującego autorytetu, siedział w studiu biegły, w tym przypadku specjalista od nowoczesnej dyscypliny naukowej zwanej psychologią dynamiczną, który wygłosiwszy wiele opinii o istocie zagadnienia, stwierdził, iż nie można wykluczyć możliwości, że chodzi o zwykłą szarlatanerię, Powszechnie wiadomo, powiedział, że w sytuacjach takich jak ta, kryzysowych, zawsze pojawiają się oszuści, jednostki opowiadające niesamowite historie i wykorzystujące łatwowierność szerokich mas społecznych, jakże często z zamiarem wprowadzenia natychmiastowej destabilizacji

społecznej lub stopniowego przejścia władzy, Jeśli ten punkt widzenia się przyjmie, jesteście załatwieni, zauważył Joaquim Sassa, A szpaki, jaka jest pańska opinia na temat szpaków, chciała wiedzieć spikerka, To, w rzeczy samej, fascynująca zagadka, albo osoba, za którą szpaki zmierzają, jest w posiadaniu niemożliwego do zignorowania wabi-ka, albo chodzi o przypadek zbiorowej hipnozy, Zahipnotyzować ptaki na pewno nie jest łatwo, Wręcz przeciwnie, kurę można zahipnotyzować zwykłym kawałkiem kredy, nawet dziecko jest w stanie to zrobić, No tak, ale dwa czy trzy tysiące szpaków jednocześnie, jak mogłyby latać, gdyby były zahipnotyzowane, Proszę zwrócić uwagę, że stado dla każdego osobnika już jest czynnikiem hipnotyzującym, czynnikiem i wypadkową jednocześnie, Proszę o wybaczenie, ale niektórzy z naszych widzów mogą nie rozumieć specjalistycznego języka, W takim razie, by być bardziej zrozumiałym, powiem, że każda grupa skłania się do homogenicznej hipnozy, Nie jestem pewna, czy teraz to będzie bardziej zrozumiałe, niemniej dziękuję panu za wizytę w studiu, ta sprawa z pewnością doczeka się jeszcze licznych komentarzy, wtedy nadejdzie czas na głębszą analizę, Jestem do pani dyspozycji, uśmiechnął się biegle. Za to Joaquimowi Sassie w ogóle się to nie spodobało, burknął, To dopiero palant, Rzeczywiście, tak wygląda, ale zdarzają się sytuacje, kiedy nawet palantów należy uważnie wysłuchać, wtrącił José Anaięo, a Pedro Orce dodał, Nic nie zrozumiałem, po raz pierwszy całkowicie mu umknął sens luzytańskiej mowy, gdybyśmy wszystko rozumieli dosłownie, świetną rozmowę przeprowadziliby ze sobą Viriato i Nuno Alvares Pereira, bohaterowie tej samej ojczyzny, z tego, co mówią. Podczas gdy w salonie hotelu dyskutowano nad tymi poważnymi kwestiami, dyrektor, odpoczywając w swym gabinecie, przyjmował delegację właścicieli pobliskich restauracji, która przybyła, by zaproponować mu interes, Ile pan chce za pozwolenie rozwieszenia sieci na dachu pańskiego hotelu, wcześniej czy później szpaki tu wrócą, nie będziemy ich łapać na

drzewach, bo byłoby to jak zrobienie dziecka żonie sąsiada, ci mężczyźni należą do tych, którzy wierzą, że jedynym wewnętrznym sensem wszystkich rzeczy jest całkowity jego brak, dyrektor waha się, boi się, że mu pośluką dachówki, lecz w końcu się decyduje, proponuje sumę, To drogo, mówią pozostali i zaczynają się targować.

Nazajutrz, z samego rana, inna delegacja, z poważnymi minami, wszyscy nienagannie ubrani, bardzo grzeczni, przyszła poprosić Joaquima Sasse i Pedra Orce, aby jej towarzyszyli, z rozkazu rządu, w grupie był też przedstawiciel hiszpańskiej ambasady, który pozdrowił Pedra Orce, lecz z oschłością tak ostentacyjną, że można ją było złożyć jedynie na karb urażonej dumy narodowej. Chcą przeprowadzić szybkie badanie, wyjaśnili, bardzo proste, rutynowe działanie, aby dołączyć wyniki do obszernej już dokumentacji na temat oderwania się Półwyspu Iberyjskiego, najwyraźniej już nieodwracalnego, jeśli weźmiemy pod uwagę jego nieustanne przemieszczanie się, fatalne, by tak powiedzieć. Od José Anaiça niczego nie chcieli, prawdopodobnie wątpiono, że jest wyposażony we właściwości przyzywające i wabiące, porównywalne jedynie ze zdolnościami flecisty z Hamelin, zresztą i tak w tej chwili szpaków niemal nie widać, prowadzą rozpoznanie pod miejskim niebem, razem, a w podstępnie rozciągnięte na dachu sieci wpadły tylko cztery wróble, które miały skończyć inaczej, jednakże los zgotował im takie przeznaczenie, Które przeznaczenie, pyta ironiczny głos, i dzięki temu niespodziewanemu wtrąceniu dowiadujemy się, że nie ma tylko jednego przeznaczenia, wbrew temu, co mówi fado i zwykle piosenki, Nikt nie umknie swemu przeznaczeniu, może się nam zdarzyć, niespodziewanie, przeznaczenie innej osoby, tak się zdarzyło wróblom, przypadło im przeznaczenie szpaków.

José Anaiço spokojnie czekał w hotelu na powrót przyjaciół, poprosił o gazety, wywiady z nimi zajmowały wszystkie pierwsze strony, z sensacyjnymi fotografiami i dramatycznymi tytułami, Wyzwanie Rzucone Nauce,

Nieznane Siły Umysłu, Trzej Niebezpieczni Mężczyźni, Tajemnica Hotelu Bragança, tak bardzo chcieliśmy umknąć ujawnienia nazwy hotelu, a tu proszę, niedyskretna prasa, Czy Hiszpan Zostanie Deportowany, znak zapytania, Jesteśmy w Wielkich Opałach, to pomyślał José Anaięo, nie jest to tytuł. Minęło kilka godzin, nadeszła pora obiadu, a od Pedra Orce i Joaquina Sassy żadnej informacji ani posłańca, zostali aresztowani, osadzeni w więzieniu, przy takim niepokoju człowiek traci apetyt, Nie wiem nawet, dokąd ich zabrali, głupi, powinienem był zapytać, też mi, powinienem z nimi pojechać, nie opuszczać ich, spokojnie, prawdopodobnie nawet gdybym chciał, nie pozwolono by mi, prawdopodobnie nie mam racji, cieszyłem się, że nie chcieli mnie zabrać, tchórzostwo jest gorsze niż ośmiornica, ośmiornica zarówno kurczy, jak i wyciąga macki, tchórzostwo tylko je kurczy, dzięki tej surowości widzimy, jak bardzo José Anaięo jest na siebie zły, trzeba nam tylko się dowiedzieć, na ile szczerze są te sprzeczne wybuchy i myśli, najlepiej, jak to zwykle we wszystkich życiowych przypadkach, poczekać na czyny. Najpierw poszedł wypytać dyrektora, czy słyszał jakiś adres, nazwisko, ale hotelarz odpowiedział, Nie proszę pana, nie znał nawet żadnego z tych kawalerów, widział ich po raz pierwszy w życiu, zarówno Portugalczyków, jak i Hiszpana, w tej samej chwili rozjaśnił się umysł José Anaięa, i czas był najwyższy, pójść do ambasady, ambasada wie z całą pewnością, a potem zaskoczyła go inna inspirująca myśl, genialne pomysły nigdy nie przychodzą pojedynczo, prasa, rzecz jasna, wystarczyło udać się do redakcji gazet, w kilka godzin redakcyjni argosowie, holmesi i lupinowie wytropiliby zaginionych, potrzeba rzeczywiście jest matką wynalazków, w tej sytuacji ojcem jest ostrożność, ale nie zawsze jest tak samo.

José Anaięo lekko wszedł po schodach do pokoju, miał zamiar zmienić buty, umyć zęby, zwyczajne te czynności nie są niekompatybilne z duchem rozwagi, weźmy na przykład Otella, który będąc przeziębiony i nie będąc

świadomy tego, co robi, w żalospny sposób się wysmarkał, zanim zabił Des- demonę, która to, pomimo straszliwych przeczuć, nie zamknęła się na klucz, wszak żona mężowi nigdy nie odmawia, nawet kiedy wie, że ten ją zabije, poza tym Desdemo- na doskonale wiedziała, że pokój ma tylko trzy ściany, tak więc w tym dramacie José Anaięo myje zęby i spluwa do umywalki, kiedy słyszy stukanie do drzwi, Kto tam, pyta, choć głos wydaje się nie należeć do niego, słycać w nim ton radosnego oczekiwania, Joaquim Sassa odpowie mu, Już jesteśmy, ale pomyłka szybko wyszła na jaw, Proszę bardzo, jest to pokojówka, Chwileczkę, José zakończył higieniczną operację, umył ręce, wypłukał usta, wytarł się, w końcu poszedł otworzyć. Pokojówka jest przeciętną pracownicą hotelu, ze znakami i przeznaczeniem tak szczególnymi, że jest to jedyny moment jej życia, w którym lekko zbliży się, i to jedynie na czas przekazania prostej wiadomości, do José Anaięa i jego towarzyszy, obecnych i przyszłych, bardzo często dzieje się tak w teatrze i w życiu, potrzebujemy osoby, która zastuka do drzwi tylko po to, by oznajmić, W salonie czeka na pana jakaś kobieta. Dziwi się José Anaięo i daje wyraz swemu zdziwieniu, Na mnie, i służąca dodaje to, co wcześniej uważała za zbędne, Zapytała o trzech panów, ale skoro dwóch pozostałych nie ma w hotelu, To pewnie dziennikarka, pomyślał José Anaięo i powiedział, Zaraz zejde, Służąca odeszła, jak ktoś odchodzący z życia, nie będziemy już jej potrzebować, nie ma żadnego powodu, byśmy ją zapamiętali, nawet obojętnie. Przyszła, zastukała do drzwi, przekazała wiadomość, która nie wiadomo dlaczego nie została przekazana telefonicznie, być może życie lubi wprowadzać od czasu do czasu element dramatyczny, kiedy dzwoni telefon, myślimy, Co to może być, a kiedy stukają do drzwi, zastanawiamy się, Kto to może być, i wypowiadamy myśli na głos, pytając, Kto tam. Już wiemy, że była to pokojówka, lecz na pytanie udzielono jedynie połowicznej odpowiedzi, albo nawet nie, dlatego José Anaięo, schodząc po schodach, myśli, Kto to może być, zapomniał już o możliwości, że jest to

dziennikarka, niektóre nasze myśli już takie są, służą jedynie do zaprzątnięcia uwagi i zajęcia miejsca innych, które dają więcej do myślenia.

W hotelu panuje niezmacony spokój, niczym w wielkim domu, w którym zamarło niespokojne życie, lecz jeszcze jest za wcześnie, by opustoszały budynek zaczął się starzeć, zostały echa kroków i głosów, płacz, szepty pożegnania przeciągające się na ostatnim półpiętrze. Dyrektor stoi w recepcji, za sobą ma szafkę z kluczami i przegródkami na wiadomości, korespondencję i rachunki, zapisuje w książce numery albo przepisuje je z niej na kartkę, to człowiek aktywny, nawet gdy brakuje pracy. Kiedy José Anaięo przechodzi, dyrektor kiwa głową w kierunku salonu, na co José Anaięo odpowiada skinieniem, Już wiem, co chce powiedzieć, pierwszy gest znaczy mniej więcej tyle co, Jakaś pani tam na pana czeka. Zatrzymał się José Anaięo przed wejściem do salonu, zobaczył młodą kobietę, dziewczynę, nie może to być nikt inny, nie ma tu nikogo innego, choć widzi ją pod światło wpadające przez firany, zdaje mu się sympatyczna, albo nawet ładna, ma na sobie niebieskie spodnie i marynarkę, chyba w odcieniu indygo, może być dziennikarką, ale nie musi, obok krzesła, na którym siedzi, ma niewielką torbę podróżną, a na kolanach kij, nie duży i nie mały, metr lub półtora, wrażenie jest niepokojące, kobieta ubrana w taki sposób nie spaceruje po mieście z kijem w rękę, Pewnie nie jest to dziennikarka, pomyślał José Anaięo, przynajmniej nie widać właściwych dla tego zawodu przyborów, notesu, długopisu, magnetofonu.

Kobieta wstała i ten ruch niespodziewany, wszak zostało powiedziane, że panie, wedle podręcznika etykiety i dobrych manier, powinny oczekiwać na swym miejscu, aż mężczyźni się zbliżą i je pozdrowią, wtedy podadzą dłoń albo nadstawią policzek, w zależności od poufałości i stopnia zażyłości oraz jej natury, po czym przywołają na usta uśmiech kobiety dobrze wychowanej albo coś insynuującej, albo porozumienia, albo wyznania, zależy. Jeden gest, być może nawet nie gest, ale sama obecność, o

cztery kroki, czekającej kobiety, albo świadomość, że czas będzie stał w miejscu, dopóki nie zostanie zrobiony pierwszy krok, to prawda, że lustro jest świadkiem, lecz wcześniejszej chwili, w lustrze José Anaięo i kobieta jeszcze są dwojgiem nieznanym, z tej strony nie, tutaj się poznają, już się znają. A więc ten gest kobiety, o którym wcześniej nie można było powiedzieć wszystkiego, sprawił, że deski podłogi zakołysały się niczym pokład, kołysanie się statku na fali, powolne i szerokie, tego wrażenia nie można pomylić z drżeniem odczuwanym przez Pedra Orce, trzęsą się nie tylko kości José Anaięo, ale całe jego ciało poczuło, fizycznie, że półwysep, z przyzwyczajenia i wygody jeszcze tak nazywany, rzeczywiście płynie po morzu, do tej pory wiedział to dzięki zewnętrznym obserwacjom, teraz dowiedział się dzięki własnym odczuciom. Tak więc dzięki tej kobiecie, choć może tylko dzięki chwili, w której ona się pojawiła, bo bardziej niż cokolwiek innego ważne są chwile, w których coś się wydarza, przestał José Anaięo być tylko bezwiednym wabikiem szalonych ptaków. Zbliży się do niej, wykonując ruch równoległy do siły go pchającej, bez punktu przyłożenia ni oporu, kształt tratwy, której hotel Braganęa w tej właśnie chwili jest maszkaronem i kasztelem dziobowym, choć słowa te wyraźnie nie przystają do sytuacji.

Moich przyjaciół tu nie ma, oznajmił José Anaięo, zabrali ich dziś rano jacyś naukowcy, żeby złożyli wyjaśnienia, zaczynam się już o nich niepokoić, zresztą miałem zamiar wyjść, żeby ich poszukać, José Anaięo jest świadomy, że nie potrzebował tylu słów, żeby powiedzieć to, co istotne w takiej sytuacji, ale nie potrafi ich powstrzymać. Ona odpowiada, głos ma przyjemny, niski, lecz czysty, To, co mam do powiedzenia, może zostać wysłuchane równie dobrze przez jednego z panów, w tej sytuacji może nawet będę potrafiła lepiej wszystko wyjaśnić. Jej oczy mają kolor młodego nieba, Co to jest młode niebo, jaki ma kolor, skąd mi się wzięło takie porównanie, tak myśli José Anaięo, a głośno mówi, Proszę

usiąść, nie ma potrzeby, byśmy stali. Usiadła ona, usiadł i on, Pan nazywa się José Anaięo, ja jestem Joana Carda, Bardzo mi przyjemnie. Nie uścisnęli sobie dłoni, teraz, gdy siedzą, byłoby to śmieszne, poza tym, aby to zrobić, musieliby się wykręcać na krzesłach, co byłoby jeszcze śmieszniejsze, albo przynajmniej jemu przypadłaby połowa śmieszności, gdyby połowa śmieszności nie była równa całej, Jest naprawdę ładna, włosy, niemal czarne, zupełnie inne niż oczy, w kolorze młodym za dnia, w kolorze młodego nieba w nocy, doskonale harmonizują jedno z drugimi, Czy mogę być pani w czymś pomocny, na to uprzejme pytanie przełożyły się skrywane myśli. Nie wiem, czy możemy tu rozmawiać, wyszeptła Joana Carda, Jesteśmy sami, nikt nas nie słyszy, Ale ciekawość jest ogromna, niech pan spojrzy. Chodząc w niezbyt naturalny sposób, dyrektor hotelu przechadzał się przed wejściem do salonu, przechodził raz za razem, pozornie zamyślony, jak ktoś, kto dopiero co zrezygnował z wymyślania sobie nowego zajęcia, skoro poprzednie już było bezużyteczne. José Anaięo surowo zmierzył go wzrokiem, bez rezultatu, zniżył głos, w ten sposób czyniąc ich rozmowę jeszcze bardziej podejrzaną, Nie mogę zaprosić pani na górę, oprócz tego, że wydaje się to niestosowne, goście pewnie nie mogą przyjmować wizyt w pokojach, Jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko temu, nie musiałabym się chyba bronić przed kimś, kto nie ma zamiaru mnie napastować, Rzeczywiście nie mam takiego zamiaru, zwłaszcza że, jak widzę, jest pani uzbrojona. Oboje się uśmiechnęli, ale w uśmiechach było coś wymuszonego, sztywnego, nagle zaniepokojenie, w rzeczywistości rozmowa stała się zbyt intymna dla ludzi znających się od trzech minut i to tylko z imienia. W razie potrzeby ten kij mógłby posłużyć do obrony, powiedziała Joana Carda, ale nie dlatego go ze sobą wożę, szczerze mówiąc, to on mnie tu przywiódł. Wyznanie, tak niesamowite, oczyściło atmosferę, wyrównało ciśnienie, atmosferyczne i ciśnienie krwi. Joana Carda trzymała kij na kolanach, czekała na odpowiedź, w końcu José Anaięo

powiedział, Lepiej stąd wyjdźmy, porozmawiamy na ulicy, w jakiejś kawiarni albo w parku, jak pani uważa. Chwyciła torbę, on wyjął jej ją z ręki, Możemy zostawić ją w moim pokoju, kij też, Kija nie zostawię, torbę też zabiorę, może nie będzie rozsądne tu wracać, Jak pani chce, szkoda, że pani torba jest taka mała, można by było wsadzić do niej kij, Nie zawsze rzeczy są dla siebie stworzone, odpowiedziała Joana Carda, co choć jest oczywiste, zawiera w sobie sporą dozę filozofii.

Wychodząc, José Anaię powiedział do dyrektora, Gdyby przyjechali moich przyjaciele, proszę im przekazać, że niedługo wrócę, Tak, proszę pana, proszę się nie niepokoić, odparł dyrektor, nie spuszczając oczu z Joany Cardy, ale w jego wzroku nie było pożądanego, jedynie jakaś niejasna nieufność, jaką można zaobserwować u wszystkich dyrektorów hoteli. Zeszli po schodach, na dole, przy końcu poręczy, stoi figura z żelaza, ozdobna, wyobrażająca szlachcica lub operowego paza, oto postać, którą można by umieścić, z jej oświetloną kulą, na którymkolwiek z wielkich przylądków Portugalii i Galicji. Sao Vicente, Espichel, Cabo da Roca, Finisterre, i na innych mniej ważnych, choć z tego powodu nie mają mniej pracy przy rozbijaniu fal, niemniej jednak nie znamy przeznaczenia tego szlachcica czy paza, być może już kiedyś ktoś zwrócił na niego uważne oczy, ale nie zrobili tego José Anaię ani Joana Carda, może dlatego, że trapiły ich znacznie poważniejsze niepokoje, jednakowoż zapytani, pewnie nie potrafiliby powiedzieć jakie. Przebywając w odwiecznym i chłodnym półmroku hotelu, trudno sobie wyobrazić, że na zewnątrz panuje tak wielki upał. Jest sierpień, o ile jeszcze pamiętamy, klimat nie zmienił się przez to, że półwysep przesunął się nieznacznie o sto pięćdziesiąt kilometrów, przyjmując, że szybkość utrzymała się na tym samym poziomie, jak podało Radio Nacional de España, minęło zaledwie pięć dni, a wydaje się, że upłynął już cały rok. Jak należało się spodziewać, José Anaię powiedział, Spacerowanie w tym upale z torbą i kijem w rękę nie ma sensu, w ciągu dziesięciu minut

będziemy wykończeni, lepiej wejdźmy do jakiejś kawiarni i napijmy się czegoś, Lepiej chodźmy do parku, usiądziemy na jakiejś ustronnej ławce, w cieniu, Tu w pobliżu jest park, na placu Dom Luís, zna go pani, niepotrzebnie podkreślił José Anaiço, Ja nie mieszkam w Lizbonie. Zeszli w dół ulicą Rozmarynową, on niósł torbę i kij, przechodnie myśleliby o nim niepochlebnie, gdyby nie niósł torby, a o niej rzeczy niegodne, gdyby niosła kij, tak bardzo nieugiętymi obserwatorami jesteście, czasami złośliwymi, bardziej niż wypada. Na okrzyk zaskoczenia José Anaiça Joana Carda odpowiedziała, że przyjechała tego samego dnia, pociągiem, i że zaraz potem pójdzie do hotelu, reszty dowiemy się za chwilę.

Siedzą, na szczęście, w cieniu drzew, on zapytał, Cóż więc panią sprowadza do Lizbony, dlaczego nas pani szukała, a ona odpowiedziała, Bo pewnie jest prawda, że pan i pańscy przyjaciele macie swój udział w tym, co się dzieje, To znaczy, Dobrze pan wie, o czym mówię, o półwyspie, o rozerwaniu się Pirenejów, o tej niespotykanej podróży, Czasem ja też myślę, że to z naszego powodu, kiedy indziej sędzę jednak, że wszyscy zwariowaliśmy, Planeta krążąca wokół gwiazdy, kręci się, kręci, czy to w dzień, czy w nocy, czy jest zimno, czy ciepło, i w przestrzeni niemal pustej, gdzie znajdują się gigantyczne obiekty, mające taką nazwę, jaką im nadamy, i czas, który dokładnie nie wiadomo, czym jest, to wszystko też muszą być wariactwa, Jest pani astronomem, zapytał José Anaiço, wspominając w tej chwili Marię Dolores, antropologa z Granady, Nie jestem astronomem ani półgłówkiem, Proszę wybaczyć mi tę impertynencję, wszyscy jesteście podenerwowani, słowa nie wyrażają tego, co powinny, albo za dużo, albo za mało, proszę o wybaczenie, Wybaczam panu, Prawdopodobnie wydają się pani sceptykiem, bo mnie nie przydarzyło się nic poza tymi szpakami, chociaż, chociaż przed chwilą w hotelu, kiedy zobaczyłem panią w salonie, poczułem się, jakbym był na statku, pierwszy raz mi się to przytrafiło, A ja widziałam pana, jakby pan nadchodził z bardzo daleka, A były to tylko trzy

czy cztery kroki.

Zlatując się ze wszystkich stron horyzontu, szpaki nagle opadły na drzewa w parku. Z najbliższych ulic zbiegli się ludzie, patrzyli w górę, pokazywali rękoma, Znowu tu są, powiedział niecierpliwie José Anaięo, a najgorsze jest to, że nie będziemy mogli rozmawiać przy tych wszystkich ludziach tutaj. W tej chwili szpaki jednocześnie zerwały się do lotu, wielką, czarną i drżącą chmurą zawisły nad parkiem, ludzie krzyczeli, jedni grożąc, inni z ekscytacji, inni ze strachu, José Anaięo i Joana Carda patrzyli, nie wiedząc, co się dzieje, nagle wielka chmura przybrała kształt klina, skrzydła, strzały i po trzech szybkich okrążeniach szpaki ruszyły na południe, przeleciały przez rzekę, znikły w oddali, na horyzoncie. Ciekawscy i gapie wydali okrzyki zdziwienia, a także zawodu, po kilku minutach park opustoszał, upał znowu zaczął dawać się we znaki, zostali tylko siedzący na ławce mężczyzna i kobieta, mieli ze sobą wiązowy kij i podróżną torbę. José Anaięo powiedział, Myślę, że już nigdy nie wrócą, a Joana Carda, Teraz opowiem panu, co mi się przytrafiło.

Ze względu na powagę opowiedzianych wydarzeń, roztropność nakazywała, by Joana Carda nie zamieszkała w znamienitym hotelu, na którego dachu jeszcze czekały sieci, teraz już bezowocnie, aż wpadną w nie szpaki. Była to rozsądna decyzja, przynajmniej uniknięto ponownego potwierdzania zmian wprowadzonych w porzekadle o ogniu i pieczeniu, a byłoby nim wpadnięcie we wnyki, wraz z trzema podejrzanymi, jeśli jeszcze nie aresztowanymi mężczyznami, kobiety wygłaszającej metafizyczne tyrady. Przekładając powyższe zdania na mniej barokowe, a bardziej przejrzyste konstrukcje gramatyczne, powiedzmy, że Joana Carda zainstalowała się trochę wyżej, w hotelu Borges, w samym środku Chiado, wraz ze swą torbą i wiązowym kijem, który niestety nie jest teleskopowy, więc ludzie przypatrują jej się zaintrygowani, gdy przechodzi, a recepcjonista w hotelu dowcipkuje, aby ukryć ciekawość, z pełnym szacunkiem robi dyskretną aluzję do kijów,

które nie są laskami, Joana Carda odpowiedziała mu milczeniem, w końcu nie ma prawa zabraniającego hotelowemu gościowi wnoszenia do sw^Tego pokoju dębowych konarów, a tym bardziej cienkiego kija, który nie ma nawet dwóch metrów długości, bardzo łatwego do przetransportowania w windzie i który postawiony w kącie w ogóle nie będzie się rzucał w oczy.

Jose Anaięo i Joana Carda rozmawiali bardzo długo, aż do zmroku, proszę sobie wyobrazić, rozpatrzyli zagadnienie ze wszystkich możliwych punktów widzenia i za każdym razem dochodzili do wniosku, że choć nie było w nim nic naturalnego, wszystko wydarzało się, jakby nowa normalność zainstalowała się na dawnej normalności, ale bez wstrząsów, ciosów czy zmian kolorów, które, gdyby nawet zaszły, niczego by nie wyjaśniły. Tb wyłącznie nasz błąd, z tym naszym upodobaniem do dramatów i tragedii, z tym łaknieniem koturnu i szerokiego gestu, zachwycamy się na przykład narodzinami, tym spektaklem westchnień i jęków, i krzyków, ciała pękającego jak dojrzała figa i wydającego z siebie inne ciało, i to jest cud, tak, proszę państwa, lecz nie mniejszym cudem było to, czego nie mogliśmy zobaczyć, gorący wytrysk we wnętrzu kobiety, śmiertelny maraton, a potem powolne i samoczynne tworzenie się ludzkiej istoty, kim ona może być, aby nie szukać daleko, tym, kto to pisze, na zawsze nieświadomy tego, co mu się wtedy przydarzyło, a także, wyznajmy to, niezbyt dobrze zorientowany, co się z nim dzieje w tej chwili. Joana Carda nie wie

i nie może powiedzieć więcej, Kij leżał na ziemi, zrobiłam nim kreskę, czy dlatego, że to zrobiłam, wydarzają się te wszystkie rzeczy, nie wiem, kim jestem, aby to stwierdzać, musicie tam pojechać, żeby to zobaczyć. Dyskutowali i dyskutowali, zapadał już zmierzch, kiedy się rozstali, ona poszła do Borgesa u góry, on do Braganey na dole, dręcą go wyrzuty sumienia, bo nie zainteresował się tym, co się działo z przyjaciółmi, niewdzięczny, wystarczyło, że pojawiła się kobieta opowiadająca historie dla grzecznych

dzieci, i słuchał jej przez całe popołudnie, Musicie tam pojechać, powtarzała, odrobinę zmieniając zdanie, być może po to, by go wreszcie przekonać, w wielu przypadkach jest to jedyne rozwiązanie, powiedzcie coś w inny sposób. Przed wejściem do swego hotelu José Anaięo unosi wzrok, po szpakach nie zostało nawet piórko, przemknął skrzydlaty cień, szybki i miękki, niczym dyskretna pieszczoła, był to nietoperz polujący na muchy i ćmy. Szlachcic przy poręczy trzyma zapalone światło, stoi tam, aby witać wchodzących, lecz José Anaięo nie obrzuca go nawet znudzonym spojrzeniem, na pewno zła to będzie noc, jeśli Pedro Orce i Joaquim Sassa nie wrócili.

Wrócili. Czekają w salonie, siedzą na tych samych krzesłach, na których wcześniej siedzieli Joana Carda i José Anaięo, są jeszcze ludzie nie wierzący w zbiegi okoliczności, podczas gdy na świecie najwięcej się spotyka i przygotowuje właśnie zbiegów okoliczności, jeśli nie są one po prostu logiką świata. José Anaięo zatrzymuje się przed wejściem do salonu, wygląda na to, że wszystko się powtórzy, ale jeszcze nie nadeszła pora, drewniana podłoga pozostaje nieruchoma, cztery kroki odległości są zaledwie czterema krokami, żadnej próżni międzygwiazdnej, żadnego skoku życia albo śmierci, nogi poruszały się same, po czym usta wypowiedziały to, czego oczekiwano, Szukałeś nas, zapytał Joaquim Sassa, ale na tak proste pytanie José Anaięo nie może odpowiedzieć w równie prosty sposób, Tak albo Nie, oba słowa wyrażałyby prawdę, oba by kłamały, potrzebowałby wiele czasu, aby odpowiedzieć, dlatego sam zadał pytanie, tak samo słuszne i naturalne jak Joaquima, Gdzie, do diabła, byliście przez cały ten czas. Widać, że Pedro Orce jest zmęczony, nic dziwnego, w tym wieku, ale nawet człowiek młody i pełen wigoru wyszedłby wykończony z rąk doktorów, rozlicznych testów, analiz, rentgenów, kwestionariuszy, uderzeń młotkiem w kolana, badania uszu, siatkówki, elektroencefalogramów, nic dziwnego, że powieki ciążyą mu jak ołów, Nadaję się tylko do łóżka, ci portugalscy uczeni z mordowali mnie. Zdecydowali, że

Pedro Orce odpocznie w pokoju do kolacji, że zejdzie później na rosół i pierś z kurczaka, choć apetyt mu nie dopisuje, wydawało mu się, że żołądek ma jeszcze pełen radiologicznej papki, Ale nie zrobili ci rentgena żołądka, zauważył Joaquim Sassa, No nie, ale czuję się tak, jakby mi zrobili, jego uśmiech był słaby jak zwiędła róża. Odpocznij, powiedział José Anaięo, my pójdziemy z Joaquimem na kolację do jakiejś restauracji, porozmawiamy o tym, co się wydarzyło, a kiedy wrócimy, zapukamy do twojego pokoju, żeby sprawdzić, jak się czujesz, Nie pukajcie, na pewno będę spał, najlepiej przez dwanaście godzin bez przerwy, do jutra, i Pedro się oddalił, powłócząc nogami. Biedny, w jakie kłopoty go wpędziliśmy, powiedział José Anaięo, Mnie też wymęczyli badaniami i pytaniami, ale to nic w porównaniu z tym, co zrobili z nim, wiesz, co mi to przypomina, opowiadanie, jakie czytałem przed laty, miało tytuł Niewinny pośród lekarzy, Rodriguesa Migueia, Właśnie to.

Na ulicy zdecydowali się wsiąść do samochodu i pojeździć po mieście, żeby móc spokojnie porozmawiać, zresztą na kolację było jeszcze za wcześnie. Są kompletnie zdezoorientowani, zaczął Joaquim Sassa, a jeśli tak bardzo się nas uczepili, to dlatego, że nie mają nic innego, to znaczy teraz zaczynają mieć nawet w nadmiarze, pewnie przez te wczorajsze telewizyjne wiadomości i dzisiejsze gazety, wszyscy zwariowali, zwałił się na nich tłum ludzi, którzy się zarzekają, że ziemia im się trzęsie, że rzucili kamień do rzeki i wyszła z niej nimfa, a kanarki wydają dziwne dźwięki, Zawsze tak się dzieje, jedna wiadomość pociąga za sobą drugą, naszych kanarków pewnie już nie zobaczymy, Dłaczego, co się stało, Wydaje mi się, że odleciały, Po prostu odleciały, ot, tak sobie, po tym, jak przez tydzień nie odstępowały cię na krok, Tak mi się wydaje, Widziałeś je, Widziałem, przeleciały przez rzekę, udały się na południe i nie wróciły, Skąd wiedziałeś, że odleciały, stałeś w oknie pokoju, Nie, byłem w parku, tu niedaleko, Zamiast tego

równie dobrze mogłeś próbować nas znaleźć, Miałem taki zamiar, ale potem poszedłem do parku i tam zostałem, Wietrzyłeś się, Rozmawiałem z kobietą, To ci dopiero, ale mi się trafił przyjaciel, my cierpimy męki kalwaryjskie, a ty wychodzisz na podryw, nie mogłeś capnąć tej dziewczyny, tej pani archeolog, w Granadzie, to teraz sobie odbijasz, To nie była pani archeolog, tylko antropolog, Co za różnica, Ta jest astronomką, Nie nabijaj się ze mnie, Tak naprawdę to nie wiem, kim ona jest, ta astronomia wyszła w rozmowie, No dobra, to twoja sprawa i nie ma żadnego powodu, żebym mieszał się w życie innych ludzi, Jest powód, to, co ona mi opowiedziała, ma związek z nami wszystkimi, Już wiem, to jakaś od kamyków, Nie, No to ziemia jej drży, Ciągłe nie możesz zgadnąć, Kanarek zmienił kolor, Jak będziesz taki ironiczny, nigdy nie uda ci się zgadnąć, Przepraszam, tak naprawdę jestem zły, nie mogę zrozumieć, że za nami nie poszedłeś, Już ci mówiłem, że miałem taki zamiar, ale wtedy pojawiła się ta kobieta, dokładnie w chwili, kiedy przygotowywałem się do wyjścia, miałem zamiar zacząć od hiszpańskiej ambasady, ale ona się pojawiła i miała historię do opowiedzenia, trzymała kij w ręce, torbę podróżną, miała na sobie niebieskie spodnie i marynarkę, ma czarne włosy i bardzo białą cerę, oczy, sam nie wiem, trudno powiedzieć, Interesujące szczegóły jak na historię o półwyspie, jeszcze tylko powinienes powiedzieć, że jest piękną kobietą, Jest, Młoda, Powiedzmy, że tak, jest młoda, choć raczej nie jest już dziewczyną, Ze sposobu, w jaki o niej opowiadasz, wnioskuję, że się zakochałeś, To bardzo mocne słowo, ale poczułem, jak podłoga się kołysze, O takim efekcie nigdy nie słyszałem, Daj spokój, Chyba że sobie wypileś i nie pamiętasz, Daj spokój, No dobra, niech będzie, co chciała Panna o Oczach Sam Nie Wiem, i co to za kij, Kij jest z wiązu, Nie znam się wcale na botanice, co to jest wiąz, Wiaz to olmo, albo ulmus, a jeśli w tym punkcie rozmowy mogę zrobić dygresję, to oświadczam ci, że masz doskonale opracowaną technikę przesłuchań. Joaquim Sassa zaśmiał się, Pewnie

nauczyłem się dzisiaj od tych znakomitych mistrzów, którzy mnie męczyli, przepraszam, opowiadaj dalej o tej kobiecie, ma jakieś inne imię poza Panna o Oczach Sam Nie Wiem, Nazywa się Joana Carda, Została przedstawiona, przejdźmy teraz do sedna sprawy, Wyobraź sobie, że znajdujesz na drodze kij i że w roztargnieniu, albo bez żadnego konkretnego celu, robisz kreskę na ziemi, Kiedy byłem dzieckiem, robiłem to bardzo często, I co się działo, Nic, nigdy nic się nie wydarzyło, a szkoda, prawdę powiedziawszy, No to wyobraź sobie, że ta kreska, poprzez swoje działanie magiczne albo jemu pokrewne, spowodowała pęknięcie Pirenejów, rozpekły się z góry na dół i Półwysep Iberyjski wypłynął na szerokie wody, Twoja Joana oszalała, Bywały już szalone kobiety, ale żadna nie przyjechała do Lizbony, żeby nam powiedzieć, że przez kreskę na ziemi półwysep oddzielił się od Europy, Dzięki Bogu, rozum jeszcze panuje na świecie, Ona mówi, że kreska, którą zrobiła, nie znika, nawet wiatr jej nie rusza ani woda, ani drapanie, ani zamiatanie, ani deptanie, Baniałuki, Tak samo jak ty jesteś największym miotaczem wszech czasów, sześć kilo ciśniętych na pięćset metrów, sam Herkules, choć w połowie bóg, nie pobiłby twojego rekordu, Chcesz, żebym uwierzył, że kreska narysowana na ziemi utrzymuje się wbrew wiatrowi, wodzie i miotle, A kiedy zasypujesz ją piaskiem, odnawia się, To niemożliwe, Nie jesteś oryginalny, ja też tak powiedziałem, a Joana o Oczach Sam Nie Wiem odpowiedziała tylko Musicie Tam Pojechać, Żeby To Zobaczyć albo Żeby To Zobaczyć, Musicie Tam Pojechać, nie jestem pewien. Zamilkł Joaquim Sassa, w tej chwili przejeżdżali przez Złamany Krzyż, jakież świętokradczy przypadek skrywa się za tymi dziś niewinnymi słowami, i José Anaię powiedział, Wszystko to byłoby absurdalne, gdyby nie wydarzyło się naprawdę, a Joaquim Sassa zapytał, A wydarzyło się.

Było jeszcze trochę dziennego światła, niewiele, ale wystarczająco dużo, by zobaczyć morze aż po horyzont, z tego wzniesienia, z którego schodzi się do Caxias, ogarnia się przestrzeń wielkiej wody, pewnie dlatego José Anaię

wyszeptał, Są inne, a Joaquim Sassa, który nie mógł wiedzieć,
o jakie inne chodzi, zapytał, Kto, Wody, te wody są inne, tak przemienia się życie, zmieniło się, a my nie zdawali-śmy sobie z tego sprawy, siedzieliśmy sobie spokojnie i wydawało nam się, że się nie zmieniamy, złudzenie, pomyłka, życie płynęło. Morze z furją uderzało o betonową ścianę oddzielającą ulicę od wody, nic dziwnego, te fale też są inne, przyzwyczajone do swobodnych ruchów, bez świadków, chyba że akurat przepływa jakiś niewielki stateczek, a nie taki lewiatan prujący ocean. José Anaię powiedział, Zjemy kolację tu niedaleko, na Paço de Arcos, potem wrócimy do hotelu zobaczyć, jak się ma Pedro, Biedny, nieźle go załatwili. Zaparkowali Dwa Konie na wewnętrznej ulicy, poszli poszukać jakiejś restauracji, a przed wejściem Joaquim Sassa powiedział, Podczas badań i przesłuchań usłyszałem coś, o czym wcześniej nie pomyśleliśmy, były to tylko dwa słowa, ale wystarczyło, ten, któremu się wymknęły, myślał, że nie słucham, Co to takiego, Jak dotychczas półwysep, właściwie to nie jest półwysep, ale jak, do cholery, mamy to coś nazywać, przemieszczał się praktycznie po linii prostej, pomiędzy równoleżnikami trzydziestym szóstym i czterdziestym trzecim, I co z tego, Może jesteś dobrym nauczycielem wszystkich innych dyscyplin, ale z geografii jesteś cieniutki, Nie rozumiem, Zrozumiesz, jak sobie przypomnisz, że Azory leżą pomiędzy równoleżnikami trzydziestym siódmym i czterdziestym, O do diabła, Wołaj go wołaj, Półwysep zderzy się z wyspami, Dokładnie tak, To będzie największa katastrofa w historii, Może tak, a może nie, i, jak sam powiedziałeś, wszystko to byłoby absurdalne, gdyby nie działa się naprawdę, a teraz chodźmy jeść.

Usiedli, wybrali potrawę, Joaquim Sassa był bardzo głodny, rzucił się na chleb, masło, oliwki, na wino, z żarłocznością, za którą przeproszał uśmiechem, To ostatni posiłek skazanego na śmierć, dopiero po upływie kilku minut zapytał, A nasza mistrzyni patyków gdzie jest w tej

chwili, Zatrzymała się w hotelu Borges, na Chiado, Myślałem, że jest z Lizbony, Nie, nie jest, tyle mi powiedziała, ale nie zdradziła, gdzie mieszka, ja też nie zapytałem, pewnie dlatego, że pomyślałem, że z nią pojedziemy, A po co, Zobaczyć kreskę na ziemi, Ty też masz wątpliwości, Nie, raczej nie wątpię, ale chcę to zobaczyć na własne oczy i dotknąć własnymi rękoma, Jesteś jak ten facet od osła Srebrzynka, pomiędzy Sierrami Morena i Aracena, Jeśli to, co ona mówi, jest prawdą, zobaczymy więcej niż Roque Lozano, który znajdzie tylko wodę, kiedy dotrze do miejsca przeznaczenia, Skąd wiesz, że on się nazywa Roque Lozano, nie przypominam sobie, żebyśmy go pytali o imię, o osła tak, ale o niego nie, Pewnie mi się przyśniło, A Pedro, będzie chciał z nami pojechać, człowiek, któremu ziemia trzęsie się pod nogami, potrzebuje towarzystwa, Tak jak i człowiek, który poczuł, że się kołyszą deski podłogi, Spokojnie, Biedny Dwa Konie zaczyna być za mały na tyle ludzi, cztery osoby i ich bagaże, a przecież biedaczek jest starutki, Nikt nie może żyć dłużej niż mu pisane, Jesteś mędrcem, Całe szczęście, że wreszcie to zauważyłeś, Wyglądało na to, że nasze podróże już się zakończyły, że teraz każdy uda się do swego domu, do swego życia, Pożyjmy tym, co przyniosą następne dni, zobaczymy, jak się to skończy, Dopóki półwysep nie zderzy się z Azorami, Jeśli taki ma być koniec, do tego czasu mamy zagwarantowane życie.

Skończyli jeść, spokojnie ruszyli z powrotem truchtem Dwóch Koni, na ulicach panował mały ruch, pewnie z powodu kłopotów z benzyną, szczęście, że silnik nie jest zbyt żarłoczny, Ale może się zdarzyć, że staniemy gdzieś po drodze i wtedy podróż zakończy się naprawdę, zauważył Joa- quim Sassa i nagle, przypominając sobie, dodał, Dlaczego powiedziałaś, że szpaki cię zostawiły, Każdy jest w stanie uchwycić różnicę pomiędzy żegnaj i do zobaczenia, ja pojąłem, że to było żegnaj, Ale dlaczego, Nie potrafię powiedzieć, jest jednak pewien zbieg okoliczności, szpaki odleciały, kiedy pojawiła się Joana, Joana, Tak ma

na imię, Mogłeś powiedzieć, dziewczyna, laska, w ten sposób mężczyźni skromnie tytułują kobiety, kiedy wymienienie ich imienia wskazywałoby na zbytnią zażyłość, W porównaniu z twoją wiedzą ja ucze się dopiero pierwszych literek, ale, jak mogłeś sam stwierdzić, wypowiedziałem jej imię w sposób naturalny, co dowodzi, że nie ma tu żadnej zażyłości, Chyba że jesteś znacznie bardziej makiaweliczny, niż to okazujesz, i udajesz, chcąc udowodnić coś przeciwnego, niż w rzeczywistości myślisz albo czujesz, żebym ja myślał, że twoje uczucia i myśli są naprawdę takie, jak starasz mi się dowieść, nie wiem, czy jasno się wyraziłem, Niejasno, ale to nie ma znaczenia, jasność i ciemność są tym samym mrokiem i tym samym światłem, ciemne jest jasne i jasne jest ciemne, a co do zdolności wyrażenia dokładnie tego, co się czuje albo myśli, proszę cię, nie wierz, że jest to możliwe, nie dlatego, że się nie chce, ale dlatego, że się nie jest w stanie, Wobec tego dłaczego ludzie tyle gadają, Tylko tyle możemy zrobić, gadać, albo w ogóle nic nie mówić, wszystko to próby i doświadczenia, Odleciały szpaki, przyszła Joana, odszedł jeden towarzysz, pojawił się następny, możesz się chwalić, że jesteś szczęściarzem, To trzeba jeszcze sprawdzić.

W hotelu była wiadomość od Pedra Orce dla Joaquina Sassy, towarzysza jego mąk, Nie budźcie mnie, była też druga, telefoniczna, dla José Anaiça od Joany Cardy, Wszystko to prawda, nie śniło się panu. Zza ramienia José Anaiça rozbrzmiał sarkastyczny głos Joaquina Sassy, Panna

O Oczach Sam Nie Wiem zapewnia cię, że jest rzeczywista, dlatego nie trać czasu na śnienie o niej dziś w nocy. Wchodzili po schodach do pokojów i José Anaiço powiedział, Jutro z samego rana zadzwonię do niej, żeby powiedzieć, że do niej przyjedziemy, jeśli się na to zgadzasz, Zgadzasz się

1 nie bierz sobie do serca tego, co mówię, jak możesz się domyślać, przemawia przeze mnie zazdrość, Zazdrość o coś, co tylko wydaje się istnieć, to strata czasu, Moja

wiedza szepcze mi do ucha, że wszystko tylko się nam wydaje, nic nie jest prawdziwe i musimy się tym zadowolić, Dobranoc, uczony człowieku, Miłych snów, przyjacielu.

W tak wielkiej tajemnicy, że przygotowań nie zauważyły społeczności, ani trochę ich nie podejrzewały, rządy i instytuty naukowe przygotowały badania subtelnego ruchu półwyspu po morskich odmętach, tajemniczo stałego i niewzruszenie stabilnego. Z dowiedzenia się, dlaczego pękły Pireneje, już zrezygnowano, porzucono tę nadzieję po kilku dniach. Pomimo zebrania niebywałych ilości informacji komputery chłodno żądały nowych danych lub udzielały szalonych odpowiedzi, jak na przykład w znanym Instytucie Technologii z Massachusetts, gdzie programiści zacerwienili się ze wstydu po otrzymaniu z terminali stanowczego wyroku, Zbyt Duże Nasłonecznienie, proszę sobie wyobrazić. W Portugalii, być może z racji niemożności, aż do dzisiaj, usunięcia z języka pewnych zatwardziałych archaizmów, najbliższą odpowiedzią, jaką udało nam się uzyskać, było, Póty Dzban Wodę Nosi, Póki Mu Się Ucho Nie Urwie, metaforę przyjęto z mieszanymi uczuciami, wszak nie chodziło o ucho ani o noszenie, ani o dzban, niemniej jednak można w niej uchwycie czynnik albo zasadę powtarzania się, której cykliczna natura nigdy nie wiadomo dokąd nas zawiedzie, wszystko zależy od trwałości zjawiska, od efektu kumulacji działań, coś w rodzaju Kropla Częsta Kamień Zdziurawi, powiedzenie to, o dziwo, nigdy nie zostało dostarczone przez komputery, a przecież mogły je znaleźć, wszak między tym a poprzednim nie brak podobieństwa każdego rodzaju, w pierwszym przypadku duży ciężar wody w dzbanie, w drugim przypadku też woda, ale spadająca kropla po kropli, i czas, następny wspólny czynnik.

Są to mądrości ludowe, o których moglibyśmy debatować w nieskończoność, ale niewiele interesują one uczonych geologów i oceanologów. W intencji prostych dusz zagadnienie musiałoby rzeczywiście zostać

rozpatrzone poprzez zadanie prostego pytania, swą prostotą przywodzącego na myśl to, które zadał Galisyjczyk spoglądający na rzekę Irati, gdy ta nikła w ziemnej szczelinie, o ile sobie jeszcze przypominacie, Dokąd spływa ta woda, chciał wiedzieć, teraz powiemy to w inny sposób, Co się dzieje pod tą wodą. Dla obserwatora z zewnątrz, twardo stojącego na ziemi, patrzącego na horyzont albo w przestrzeń, gdzie też niezmiernie trwają obserwacje, półwysep jest masą ziemi, która zdaje się, upieramy się przy tym czasowniku, zdaje się unosić na powierzchni wody. Jednakowoż oczywiście jest, że nie może się unosić. Aby móc się unosić, musiałby oderwać się od podłoża, a w takim przypadku niewątpliwie rozpadłby się na grudy ziemi i skończyłyby na dnie, bo zakładając nawet, że w tych okolicznościach zachowana by została bez większych odchyień zasada pędu, to siła wody i morskich prądów redukowałaby stopniowo grubość płynącej platformy, aż w końcu całkowicie by się ona rozpuściła. Dlatego, i uciekając się do procesu wykluczania, musimy stwierdzić, że półwysep ślizga się po samym sobie, na nieznanej nam głębokości, jak gdyby poziomo się podzielił na dwie płaszczyzny, dolna tworzy wewnętrzną warstwę skorupy ziemskiej, górna, co już zostało wyjaśnione, ślizga się powoli przez mroczne odmęty, pośród zwałów błota i przerażonych ryb, w taki sposób pewnie żegluje w otchłani, w jakimś miejscu na oceanie, niesławnej pamięci Latający Holender. Teza jest kusząca i zawiera w sobie tajemnicę, przy odrobinie fantazji mogłaby dać najbardziej fascynujący rozdział Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi. Jednakże żyjemy w innych czasach, nauka jest znacznie bardziej wymagająca i skoro nie można już odkryć, co powoduje przesuwanie się półwyspu po morskim dnie, no to niech ktoś się tam uda, aby na własne oczy zobaczyć ten cud, sfilmować przesuwanie się wielkiej skalnej masy, nagrać, kto wie, ten swego rodzaju śpiew wieloryba, to skrzywienie, to niekończące się rozdzielanie. Nadeszła więc pora na płetwonurków.

Na bezdechu, wiemy o tym doskonale, nie można

nurkować bardzo głęboko ani przez długi czas. Poławiacz pereł albo gąbek, albo koralu schodzi najwyżej na pięćdziesiąt metrów, a mistrzowie nawet na siedemdziesiąt, wytrzymuje trzy albo cztery minuty, wszystko jest kwestią treningu i konieczności. Tutaj głębokości są inne, a i woda znacznie zimniejsza, nawet dla tych, którzy osłaniają ciała piankowymi kombinezonami przekształcającymi każdego, czy to kobietę, czy mężczyznę, w czarnego trytona w żółte paski albo ciapki. Korzystając więc ze skafandrów, z butli ze sprężonym powietrzem, i dzięki tym najnowocześniejszym technikom i przyrządom, zachowując ostrożność w tysiącach szczegółów, można zejść na głębokość dwustu czy trzystu metrów. Głębiej lepiej nie próbować szczęścia, tam wysyła się bezzałogowe urządzenia z kamerami filmowymi i telewizyjnymi, sensorami, sondami dotykowymi i ultradźwiękowymi, wszystkimi odpowiednimi urządzeniami.

Dyskretnie, o tej samej godzinie, aby móc porównać wyniki obserwacji, zaczęto operacje na północnym, południowym i zachodnim wybrzeżu pod pretekstem morskich manewrów Paktu Północnotlentyckiego, żeby wieść o badaniach nie wywołała nowej fali paniki, zważywszy na to, że jak dotąd nikomu nie przyszło do głowy, że półwysep może ślizgać się po swej starożytnej podstawie. Czas już wyjawic, że naukowcy skrywają jeszcze jedną przygnębiającą przyczynę niepokoju, wynikającą, by tak rzec, nieuchronnie z tego samego twierdzenia opartego na hipotezie o poziomym pęknięciu w głębinach, a można ją streścić w następnym przerażającym prostym pytaniu, Co się stanie, jeśli na trasie półwyspu pojawi się przeogromny dół, to znaczący przestanie istnieć płaska powierzchnia ślizgu. Posiłkując się, co zawsze jest użyteczne dla lepszego zrozumienia faktów, własnym doświadczeniem, w tym przypadku jako plażowiczów, świetnie zrozumiemy, co to może znaczyć, gdy przypomnimy sobie, co się dzieje, kiedy nagle traci się grunt pod nogami, a umiejętność pływania jest szczątkowa. Utraciwszy grunt pod nogami, półwysep

nieuchronnie pograży się w odmętach, zachłyśnie się, udusi, któż by powiedział, po tylu latach małostkowego życia, że przeznaczony nam jest los Atlantydy.

Oszczędźmy sobie szczegółów, które kiedyś zostaną podane do publicznej wiadomości, celem oświecenia zainteresowanych podmorskim życiem, a które póki co obłożone są klauzulą tajności, spoczywając spokojnie w dziennikach pokładowych, poufnych protokołach i innych zapiskach, niektórych zaszyfrowanych. Ograniczmy się do powiedzenia, że szczegółowo przebadano płytę kontynentalną, nie otrzymując żadnych wyników. Nie znaleziono żadnego pęknięcia, żadne niezwykle tarcie nie zostało wychwycone przez mikrofony. Po tym niepowodzeniu zwrócono się ku otchłaniom. Dźwigi spuściły w dół urządzenia odporne na wielkie ciśnienie, które w cichych odmętach poszukiwały, poszukiwały i niczego nie znalazły. Archimede, sprzęt pierwszej klasy w badaniach podwodnych, obsługiwany przez Francuzów, jego właścicieli, zszedł na maksymalną głębokość peryferyczną, od strefy eufotycznej do strefy pelagialnej, a z niej do strefy batypelagialnej, wykorzystał reflektory, szczytce, elektroniczne macki, sondy różnego rodzaju, przecesał podwodny horyzont panoramicznym sonarem, na próżno. Długie stoki, strome skarpy, pionowe przepaście, objawiały się w swym ponurym majestacie, w swym dziewiczym pięknie, instrumenty rejestrowały, z mnóstwem pstryknień, zapalających się i gasnących światełek, prądy wstępujące i zstępujące, fotografowały ryby, ławice sardynek, kolonie morskich much, brygady tuńczyków i dorszy, flotyle śledzi, armie ryb mieczy, a gdyby Archimede miał na pokładzie laboratorium wyposażone w niezbędne odczynniki, rozpuszczalniki i całą resztę chemicznych gratów, wyszczególniłby pierwiastki rozpuszczone w oceanicznych wodach, w kolejności od najczęściej występujących, również dla poszerzenia horyzontów ludności, której nawet się nie śni, że może istnieć tyle rzeczy w morzu, w którym zażywa kąpiele, chlor, sód, magnez, siarka, wapń, potas, brom, węgiel, stront, bor, krzem, fluor, argon, azot, fosfor, jod,

bar, żelazo, cynk, aluminium, ołów, cyna, arsen, miedź, uran, nikiel, mangan, tytan, srebro, wolfram, złoto, cóż za bogactwo, mój Boże, a jakież mamy braki na stałym lądzie, nie można jedynie odkryć szczeliny, która wyjaśniłaby ten fenomen, który w końcu objawił się na oczach wszystkich ludzi. Zrozpaczony amerykański uczony, i to z tych najlepszych, doprowadzony do ostateczności, oświadczył na pokładzie statku hydrograficznego, w obliczu wiatrów i horyzontów, Stwierdzam, że jest niemożliwe, żeby półwysep się poruszał, lecz pewien Włoch, choć znacznie mniej uczony, jednak mając za sobą precedens historyczny i naukowy, wymamrotał, ale nie tak cicho, by go nie usłyszała ta opatrnościowa istota, która wszystko podśluchuje, E pur si muove. Z pustymi rękoma, szorstkimi od soli, upokorzone niepowodzeniem, rządy ograniczyły się do oświadczenia, że pod auspicjami Narodów Zjednoczonych przeprowadzi się badania ewentualnych zmian spowodowanych przemieszczaniem się półwyspu w siedliskach ryb morskich. Co prawda góra nie urodziła myszy, ale za to ocean wydał małą przynętę.

Podróźni usłyszeli wiadomość, wyjeżdżając z Lizbony, i nie zwrócili na nią żadnej uwagi, wszak podano ją pośród innych, odnoszących się do oddalania się półwyspu, które też wydawały się nie mieć szczególnego znaczenia. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, społeczeństwa zaś z jeszcze większą łatwością i szybkością, w gruncie rzeczy jest tak, jakbyśmy teraz wszyscy podróżowali na ogromnym statku, tak wielkim, że może nawet byłoby można spędzić na nim resztę życia, nie widząc ani dziobu, ani rufy, półwysep nie był statkiem, kiedy jeszcze trwał przyczepiony do Europy, a już wtedy wielu ludzi znało tylko okolice, w której się urodziło, powiedzcie mi więc, czy jest jakaś różnica. Teraz, kiedy Joaquim Sassa i Pedro Orce zdają się ostatecznie wolni od analitycznej furii nauki i nie będą musieli się już więcej obawiać władzy, mogliby wrócić do domu, także Jose Anaię, którego szpaki porzuciły w sposób zgoła nieoczekiwany, lecz ta objawiona kobieta, by tak powiedzieć, sprawiła, że

wszystko wróciło do punktu wyjścia, co zresztą jest cechą wszystkich kobiet, choć nie zawsze odbywa się to w sposób tak radykalny. Po spotkaniu w tym samym parku, gdzie poprzedniego dnia siedzieli José Anaiço i Joana Carda, we czwórkę zdecydowali, po kolejnej analizie faktów, razem udać się do miejsca oznaczonego kreską na ziemi, jedną z tych, jakie narysowaliśmy w życiu, ale jedyną w swoim rodzaju, jeśli mamy wierzyć temu, kto ją zrobił, i świadkowi, w tym przypadku jest to jedna i ta sama osoba. Joana Carda jeszcze nie wyjawiała nazwy miejscowości ani nawet najbliższego miasta, ograniczyła się do wskazania kierunku, Jedziemy na północ, autostrada, później wskażę drogę. Pedro Orce dyskretnie odciągnął na bok José Anaiça, żeby zapytać, czy uważa za stosowne wyjeżdżanie ot tak, na ślepo, ulegając widzimisie jakiejś wariatki z kijem w ręku, czy to nie jest pułapka, porwanie, podstępny fortel, Czyj, chciał wiedzieć José Anaiço, Tego nie wiem, może chcą nas zabrać do laboratorium jakiegoś zwariowanego uczonego, jakich pokazują w filmach, jakiegoś frankensteina, odpowiedział Pedro Orce już ze śmiechem, Nie bez powodu tyle się mówi o andaluzyjskiej wyobraźni, Wrze w kropli wody, zauważył José Anaiço, Nie chodzi o to, że jest mało wody, tylko duży ogień, odpowiedział Pedro Orce, No dobra, zakończył rozmowę José Anaiço, co ma być, to będzie, i wrócili do pozostałych, którzy oddawali się mniej więcej takiej rozmowie, Nie wiem, dlaczego tak się stało, kij leżał na ziemi, wzięłam go do rąk i zrobiłam kreskę, Przyszło pani później do głowy, że to czarodziejska różdżka, Jak na różdżkę wydał mi się za duży, poza tym zawsze słyszałam, że czarodziejskie różdżki są zrobione ze srebra i ze szkła, z gwiazdką na czubku, i błyszczą, wiedziałam, że patyk jest z wiązu, O drzewach wiem niewiele, ale sądzę, że w tym przypadku zapalka zadziałałaby tak samo, Dlaczego pan to mówi, Co ma być, to będzie, i nie można się temu przeciwstawić, Wierzy pani w przeznaczenie, Wierzę w to, co ma być, No to jest pani jak José Anaiço, on też w to wierzy. Poranek z lekkim wietrzykiem nie zapowiadał upalnego dnia. Jedziemy, zagadnął José Anaiço,

Jedziemy, odpowiedzieli pozostali, w tym Joana Carda, która po nich przysłała.

Życie obfituje w drobne zdarzenia, które wydają się nie mieć żadnego znaczenia, inne zaś w pewnym momencie pochłaniają całą uwagę, a kiedy później, w świetle konsekwencji, ponownie im się przyglądamy, widać, że o tych nie pamiętaliśmy, podczas gdy tamte zyskały decydujące znaczenie albo przynajmniej stały się zacznym następujących po sobie znaczących wydarzeń, w których, aby dać oczekiwany przykład, nie ma miejsca na ten pośpiech, pozornie tak usprawiedliwiony, z jakim pakuje się bagaże czterech osób do tak małego samochodu, jakim jest Dwa Konie. Trudna operacja zaprzętnęła uwagę wszystkich, każdy coś sugeruje, proponuje i próbuje pomóc, ale najważniejszą kwestią w tym zamieszaniu, może nawet określającą chwilowe ustawienie całej czwórki wokół samochodu, jest ustalenie, obok którego z nich będzie siedzieć Joana Carda. To, że Joaquim Sassa powinien prowadzić Dwa Konie, jest z góry wiadome, na początku podróży samochód powinien być prowadzony przez swego pana, chodzi o bezdyskusyjną kwestię prestiżu, przywileju i poczucia własności. Jego zmiennikiem, kiedy nadejdzie pora, zostanie Jose Anaięo, ponieważ Pedro Orce, nie tyle z racji wieku, ile z powodu zamieszkiwania tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, i poświęcania się nie wymagającemu ruchu zajęcia, nigdy nie zgłębił skomplikowanego mechanizmu kierownicy, pedałów i biegów, co się zaś tyczy Joany Cardy, zbyt wcześniej jeszcze na to, by pytać, czy potrafi prowadzić. Przedstawiwszy w ten sposób szczegóły zagadnienia, można by uznać, że tych dwoje powinno podróżować na tylnym siedzeniu, podczas gdy z przodu powinien jechać, rzecz jasna, kierowca i pilot. Ale Pedro Orce jest Hiszpanem, Joana Carda Portugalką, żadne z nich nie mówi językiem drugiego, poza tym dopiero co się poznali, później pewnie nie powiemy nie, kiedy trochę się zaprzyjaźnią. Miejsce obok kierowcy, choć dla przesądnych i przy poparciu doświadczeń może być nazwane miejscem trupa, zwykle jest uważane za wyróżnienie, a więc powin-

no zostać ofiarowane Joanie Cardzie przez Joaquima Sasse, a pozostali zajęliby miejsca z tyłu i nie rozumieliby się źle po tyłu wspólnie przeżytych przygodach. Ale wiazowy kij jest zbyt duży, by jechać z przodu, a Joana Carda za nic w świecie by się z nim nie rozstała, co wszyscy już zdążyli zrozumieć. Tak więc, skoro nie ma innych możliwości, Pedro Orce pojedzie z przodu z dwóch łatwych do wyjaśnienia przyczyn, obie są niezwykle istotne, po pierwsze dlatego, że chodzi o miejsce wyróżniające, po drugie, skoro Pedro Orce jest ze wszystkich obecnych najstarszy, jest też najbliższy śmierci, z racji tego, co z czarnym humorem nazwalibyśmy naturalnym prawem życia. Ale to, co naprawdę jest w tym przypadku najważniejsze, ponad tymi rozwidlającymi się rozważaniami, to fakt, że Joana Carda i José Anaięo chcą jechać razem na tylnym siedzeniu i pośród rozmów, milknięcia i pozornego rozkojarzenia coś w tym kierunku zrobili. Wsiądźmy więc i jedźmy.

Podczas podróży nic się nie wydarzyło, oto co mówią pochopni narratorzy, kiedy zdaje im się, że zdołają nas przekonać, iż podczas dziesięciu minut czy dziesięciu godzin jazdy nie zaszło nic godnego uwagi. Deontologicznie byłoby poprawniej i sprawliwiej powiedzieć tak, Jak to podczas wszystkich podróży, bez względu na to, jaką przebyto odległość i jak długo trwały, wydarzyło się tysiąc zdarzeń, wypowiedziano tysiąc słów, pojawiło się tysiąc myśli, a kto mówi tysiąc, mówi dziesięć tysięcy, ale opowiadanie już się dłuży, dlatego pozwolę sobie je skrócić, używając trzech linii, aby przebyć dwieście kilometrów, przyjmując, że cztery osoby jechały samochodem pogrążone w milczeniu, bez ruchu i myśli, udając, że odbywana podróż nie ma znaczenia dla historii. Na przykład w naszym przypadku trudno byłoby nie znaleźć żadnego znaczenia w tym, że Joana Carda z taką naturalnością przesiadła się wraz z José Anaięo, kiedy ten zajął za kierownicą miejsce Joaquima Sassy, który zapragnął odpocząć, i dzięki nie wiadomo jakim gimnastykom udało jej się z przodu umieścić wiazowy kij, tak by nie przeszkadzał w kierowaniu i nie ograniczał

widoczności. W tej sytuacji nie musimy dodawać, że kiedy José Anaięo usiadł z tyłu, Joana Carda wróciła na poprzednie miejsce razem z nim, i tak już było zawsze, tam, gdzie był José, tam była i Joana, choć żadne z nich nie potrafi jeszcze powiedzieć ani dlaczego, ani po co, albo wiedzą to, ale nie odważają się tego wyznaczyć, każda chwila ma własny smak, a smak tej chwili jeszcze nie zniknął.

Na szosie widać było niewiele opuszczonych samochodów, niezmiennie były niekompletne, brakowało im kół, świateł, lusterek, wycieraczek, drzwi, siedzeń, kilka zostało zredukowanych do szkieletu, niczym odarte z mięsa kraby. Jednak z pewnością z powodu braków w zaopatrzeniu w paliwo ruch był niewielki, z rzadka tylko mijał ich jakiś samochód. Napotykali też pewne sytuacje nietypowe na autostradzie, jak na przykład wózek ciągnięty przez osła albo grupę rowerzystów, których maksymalna prędkość była znacznie niższa od minimalnej szybkości niepotrzebnie narzucanej przez znaki, nieczułe na radykalne zmiany rzeczywistości. Znaleźli się też ludzie podróżujący pieszo, zwykle z plecakiem na plecach albo na sposób wiejski z dwoma związanymi sznurkiem i przerzuconymi przez ramię workami, jak końskie juki, kobiety zaś z koszami na głowach. Wielu podróżowało samotnie, ale zdarzały się też rodziny, wyglądające na kompletne, ze starcami, a także młodymi i niewinnymi. Kiedy Dwa Konie zjechał z autostrady, częstotliwość pojawiania się piechurów zmieniła się proporcjonalnie do ważności arterii komunikacyjnej. Trzykrotnie zapytał Joaquim Sassa, dokąd się wybierają, i za każdym razem odpowiedź była taka sama, Przed siebie, zobaczyć świat. Nie mogli nie wiedzieć, że świat, ten najbliższy, ostatnio znacznie się skurczył, być może dlatego stało się możliwe poznanie go, kiedy zaś José Anaięo zapytał, No dobrze, a co z waszym domem, z waszą pracą, odpowiadali spokojnie, Dom został na miejscu, pracę się załatwi, są to rzeczy ze starego świata, które nie powinny przeszkadzać w nowym. I dzięki dyskrecji pytanych osób, albo zaprzęgnięciu myśli własnymi problemami, ludzie nie odwzajemniali się im tym samym pytaniem, śmiesznie

byłoby im odpowiedzieć, Je-
dziemy z tą kobietą zobaczyć
kreskę, którą zrobiła na ziemi tym patykiem, a na temat
pracy odpowiedzieliby w nie mniej żenujący sposób,
pewnie powiedziałby Pedro Orce, Pod kiepską opieką
zostawiłem moich chorych, a Joaąim
Sassa, E tam, nigdzie nie brak urzędników, na pewno im
mnie nie brakuje, poza tym wreszcie zrobiłem sobie
porządne wakacje, a José Anaię, Jestem w takiej samej
sytuacji, gdybym teraz poszedł do szkoły, nie zastałbym
tam uczniów, do października mogę robić, co chcę, Joana
Carda zaś powiedziała, O sobie nie będę mówić, skoro
jeszcze nic nie powiedziałam tym, z którymi podróżuję, na
pewno nie będę rozmawiać z nieznajomymi.

Minęli miasto Pombal, kiedy Joana Carda się
odezwała, Tam skręca droga do Soure, pojedziemy nią, po
wyjeździe z Lizbony była to pierwsza wskazówka co do ich
miejsca przeznaczenia, jak dotąd wydawało im się, że
podróżują spowici mgłą, albo, dopasowując tę szczególną
sytuację do ogólnych okoliczności, byli jak antyczni i
niewinni żeglarze, znajdujemy się na morzu, morze nas
niesie, dokądże to morze nas zawiedzie. Niebawem mieli
się już tego dowiedzieć. Nie zatrzymali się w Soure,
wjechali w wąskie drogi, które się krzyżowały, rozdwajały,
roztrajały, a czasem nawet zdawały się kręcić wokół
siebie, aż dotarli do wioski, która na rogatkach
obwieszczała swą nazwę na tablicy, Ereira, i Joana Carda
powiedziała, To tu.

Zaskoczony José Anaię, który akurat prowadził Dwa
Konie, gwałtownie wcisnął hamulec, jak gdyby kreska
znajdowała się właśnie tam, pośrodku drogi, i on miał na
nią najechać, nie chodzi o to, że istniała możliwość
zniszczenia niesamowitego dowodu, niezniszczalnego
według Joany Cardy, ale z powodu tego świętego
niepokoju, jaki ogarnia nawet największych sceptyków,
kiedy narusza się rutynę, tak jakby przerwała się nić,
którą przesuwaliśmy w palcach, pełni zaufania i
pozbawieni jakiegokolwiek odpowiedzialności, chyba że
weźmiemy pod uwagę odpowiedzialność za zachowanie,
wzmocnienie i przechowanie rzeczonyj nici, a także dłoni,

dopóki będzie to możliwe. Joaquim Sassa wyjrzał na zewnątrz, zobaczył domy, drzewa ponad dachami, równe pola, dostrzec można moczary, pola ryżowe, to leniwa rzeka Mondego, lepiej ona niż naga skała. Była to myśl Pedra Orce, i w wyobraźni pewnie nieodwołalnie pojawił mu się Don Kichot i jego smętne oblicze, to, kim był i co zrobił, na golasa, jak szaleniec pośród skał Sierra Morena, nie miałyby sensu przywoływanie takich wydarzeń z historii błędnego rycerstwa, dlatego Pedro Orce, wysiadłszy z samochodu, ograniczył się do stwierdzenia, stanąwszy na własnych nogach, że ziemia dalej się trzęsie. José Anaięo obszedł Dwa Konie dookoła, po rycersku otworzył drzwi z drugiej strony, udając, że nie dostrzega ironicznego i dobrodusznego uśmiešku Joaquima Sassy, a otrzymawszy od Joany Cardy wiązowy kij, podaje jej dłoń, by pomóc przy wysiadaniu z samochodu, ona podaje mu swoją, ręce ściskają się mocniej, niż potrzeba dla zapewnienia wsparcia, ale to nie pierwszy raz, po raz pierwszy i, jak dotąd jedyny, zdarzyło się to na tylnym siedzeniu, jeden impuls, ale nie powiedzieli wtedy i teraz też nie wypowiadają żadnego głośniejszego albo cichszego słowa, które mocno przylgnęłoby do słowa drugiego.

Nadeszła chwila wyjaśnień, to prawda, ale wyjaśnień na inny temat, wymaga ich pytanie Joaquima Sassy, niczym kapitana rozpieczętowanego rozkaz i podejrzewającego, że zobaczy czystą kartkę, I co teraz, Teraz pójdziemy tą drogą, odpowiedziała Joana Carda, po drodze opowiem resztę, nie żeby miała ona jakieś znaczenie dla powodów, dla których was tu przywiozłam, ale dlatego że nie miałyby sensu pozostawać nieznaną dla kogoś, kto przyjechał ze mną aż tutaj, Mogła to pani opowiedzieć wcześniej, w Lizbonie, albo podczas podróży, zauważył José Anaięo, Po co, albo przyjechalibyście ze mną, bo uwierzylibyście w jedno słowo, albo to słowo wymagałoby wielu innych, żeby was przekonać, w takim razie na niewiele by się zdało, A więc dostajemy nagrodę za to, że pani uwierzyliśmy, Do mnie należy wybór nagrody i chwili jej przyznania. Na takie dictum nie chciał José Anaięo odpowiedzieć, udał, że nie słyszy, wpatrzył się

w przysłaniającą horyzont linię topól, ale usłyszał szept Joaquima Sassy, Co za dziewczyna. Joana Carda uśmiechnęła się, Dziewczyną już nie jestem, ani herod-baba, którą się panu wydaje, Nie powie działałbym herod-baba, tylko kobieta władcza, zadzierająca nosa, zarozumiała, przemądrzała, O Boże, ależ wiazanka, proszę powiedzieć tajemnicza i już, bo jest tajemnica, bo nie przywozłabym tu nikogo, kto by nie uwierzył, nie widząc, w to, w co inni nie wierzą, nawet was bym tu nie przywozła, Teraz już dostąpiliśmy tego zaszczytu, Większe szczęście miałam ja, bo musiałam powiedzieć tylko jedno słowo, Miejmy nadzieję, że teraz też nie będzie potrzebowała pani wielu słów. Ten cały dialog toczył się pomiędzy Joaną Cardą i Joaquinem Sassa, przy braku zrozumienia ze strony Pedra Orce i źle maskowanej niecierpliwości Jose Anaięa, wyłączonego z rozmowy z własnej winy. Lecz ta dziwaczna sytuacja, proszę zwrócić uwagę, jest zaledwie powtórzeniem, z drobnymi różnicami, które zawsze pojawiają się w powtarzających się sytuacjach, spotkania w Granadzie, kiedy to Maria Dolores rozmawiała z jednym Portugalczykiem, a wolałaby rozmawiać z drugim, jednakże w tej obecnej sytuacji znalazł się czas, aby wszystko wyjaśnić, prawdziwie spragniony nie zostanie bez wody.

Idą już ścieżką, bardzo wąską, Pedro Orce musi iść z tyłu, pozostali później wszystko mu wyjaśnią, jeżeli Hiszpana rzeczywiście będzie interesować życie Portugalczyków. Nie mieszkam w tej wiosce, zaczęła Joana Carda, pochodzę z Coimbry, jestem tu od czasu separacji z mężem, od miesiąca, powody, jaki sens ma mówienie o powodach, czasem wystarczy tylko jeden, czasem nie ma sensu nawet łączyć ich wszystkich, jeśli wasze życia was tego nie nauczyły, biedaczki, i mówię życia, a nie życie, bo mamy różne, szczęśliwie jedno życie zabija drugie, bo inaczej nie moglibyśmy żyć. Przeskoczyła przez szeroki rów, pozostali poszli w jej ślady, a kiedy znowu się złączyli, teraz stąpając po piaszczystej i miękkiej ziemi, zasypanej piaskiem przez powódź, Joana Carda mówiła dalej, Zatrzymałam się tu u krewnych, chciałam wszystko

przemyśleć, ale nie zrobić tradycyjny bilans, może go zrobiłam dobrze, może źle, ale już dawno jest zrobiony, chciałam pomyśleć o życiu, po co nam ono, do czego ja w nim jestem potrzebna, tak doszłam do wniosku i wydaje mi się, że nie może być innego, że nie wiem, jakie jest życie. Widać po twarzach Joaquina Sassy i Jose Anaięa, że są zdezorientowani, kobieta, która przybyła do miasta z kosturem w dłoni, by głosić nierealne teorie geometryczne, tu, na polach nad rzeką Mondego, okazała się filozofem, i to z tych o negatywnym nastawieniu, albo jeszcze bardziej skomplikowanych, z tej specyficznej kategorii filozofów, którzy mówią tak, mówiąc nie, którzy powiedzą nie, powiedziawszy tak. Jose Anaięo, z wykształcenia nauczyciel, jest lepiej przygotowany do zrozumienia tych sprzeczności, czego nie można powiedzieć o Joaquinie Sassy, za ledwie je przeczują, dlatego podwójnie go niepokoją. Joana Carda nie przerywa, teraz się zatrzymała, bo znajdują się w pobliżu miejsca, do którego prowadzi mężczyzna, a należy powiedzieć jeszcze kilka rzeczy, pozostałe, jeśli jakieś są, zostaną na kiedy indziej. Pojechałam po was do Lizbony nie z powodu tych niesamowitych zjawisk, z jakimi jesteście związani, ale dlatego, że zobaczyłam was jako osoby oderwane od pozornej logiki świata, i tak właśnie ja się czuję, bardzo bym była rozczarowana, gdybyście tu ze mną nie przyjechali, ale przyjechaliście, być może jest jeszcze coś, co ma sens, albo znowu go zyska po wcześniejszej utracie, teraz chodźcie za mną.

Są na łące oddalonej od rzeki, otoczonej jesionami, zdaje się, że nigdy nie uprawiano tego skrawka ziemi, tego rodzaju łąki częściej się zdarzają, niż nam się wydaje, stawiamy na niej stopy i czas zdaje się zatrzymywać, cisza zapada w inny sposób, czuje się bryzę na twarzy i dłoniach, nie, nie chodzi o czary ani gusła, nie jest to miejsce sabatów czarownic ani przejście do innego wszechświata, jedynym powodem są te zasadzone kołem drzewa i ziemia jakby nietknięta od początku świata, jedynie naniesiono piasek, dzięki czemu stała się miękka, lecz pod spodem ciąży gleba, a więc winę za to ponosi ten, kto w taki sposób zasadził drzewa. Joana Carda kończy

swe wyjaśnienie, To tutaj przychodziłam, żeby myśleć o życiu, pewnie nie ma na świecie bardziej spokojnego miejsca, a zarazem niespokojnego, nie musicie mi tego mówić, ale nie przyjechawszy tutaj, nie moglibyście tego zrozumieć, pewnego dnia, dziś mijają dokładnie dwa tygodnie, przechodziłam przez łąkę, żeby usiąść w cieniu drzewa, o tam, i natrafiłam na ten kij, leżał na ziemi, nigdy wcześniej go nie widziałam, byłam tu dzień wcześniej i go nie było, wydawało się, że ktoś rozmyślnie go tu położył, a nie było widać żadnych znaków ani śladów, te, które widzicie, należą do mnie, albo są stare, należą do ludzi, którzy dawniej tu przychodzili. Stoją na krawędzi łąki, Joana Carda jeszcze powstrzymuje mężczyzn, wypowiada ostatnie słowa, Podniosłam patyk z ziemi, czułam, że jest żywy, jakby był całym drzewem, z którego został wycięty, albo też takim czuję go teraz, gdy to sobie przypominam, i w tamtej chwili, gestem bardziej właściwym dziecku niż osobie dorosłej, nakreśliłam kreskę oddzielającą mnie od Coimbrы, od mężczyzny, z którym żyłam, definitywnie, kreskę, która dzieli świat na dwie połowy, oto ona.

Podeszli do środka kręgu drzew, zbliżyli się, kreska nadal tam była, jakby dopiero co ją narysowano, ziemia odrzucona na boki, wilgotna pomimo palącego słońca. Teraz milczą, nie wiedzą, co powiedzieć, Joana Carda nie musi nic więcej dodawać, nie chce ryzykować wyszydzenia swej niesamowitej historii. Przesuwa stopą po ziemi, zdeptuje kreskę, depta i trąta, jest to jak bluźnierstwo. W chwilę później, ku zdumieniu wszystkich, kreska się odtwarza, robi się dokładnie taka sama jak przed chwilą, niewielkie grudki, ziarenka piasku rozsuwają się, zajmują swe miejsca i kreska znowu się pojawia. Pomiędzy częścią, która została zniszczona, i resztą, z jednej i z drugiej strony, nie widać żadnej różnicy. Joana Carda mówi głosem trochę piskliwym z nerwów, Już zamiotłam całą kreskę, polewałam wodą, zawsze się pojawia, możecie spróbować, jeśli chcecie, nawet zasypałam ją kamieniami, kiedy je odrzuciłam, wszystko było jak wcześniej, spróbujcie, żebyście uwierzyli. Joa-

quim Sassa pochylił się, zanurzył palce w miękkiej ziemi, chwycił garść piasku i wyrzucił daleko od siebie, w chwilę potem kreska się odnowiła. Nadeszła kolej Jose Anaięa, ale ten poprosił Joanę Cardę o kij, zrobił nim głęboką kreskę, równoległą do pierwszej, po czym zdeptał ją na całej długości. Kreska się nie odnowiła. A teraz niech pani zrobi to samo, powiedział Jose Anaięo do Joany Cardy. Czubek kija zagłębił się w ziemię, został przeciągnięty, otworzył głęboką ranę, zaraz zamkniętą niczym brzydka blizna. José Anai-ęo powiedział, To nie kij ani osoba, tylko chwila, chwila jest istotna. Wtedy Joaquim Sassa zrobił to, co musiało zostać zrobione, podniósł z ziemi jeden z kamieni, których wcześniej użyła Joana Carda, kształtem i ciężarem przypominał ten rzucony przez niego w morze, i używszy wszystkich swych sił, cisnął go przed siebie, najdalej jak potrafił, kamień spadł, rzecz jasna, tam, gdzie powinien, kilka kroków dalej, na tyle tylko stać ludzkie siły.

Pedro Orce przyglądał się próbom i doświadczeniom, ale nie chciał wziąć w nich udziału, może wystarczyło mu drżenie ziemi pod stopami. Wziął kij z rąk Joany Cardy i powiedział, Może go pani połamać i wyrzucić, spalić, do niczego już się nie przyda, pani kij, kamień Joaquina Sassy, szpaki José Anaięa, posłużyły raz, więcej się nie przydadzą, są jak mężczyźni i kobiety, co też przydają się tylko raz, ma rację José Anaięo, najważniejsza jest chwila, nasza rola jest służebna, Może i tak jest, odpowiedziała Joana Carda, ale ten kij zostanie ze mną na zawsze, chwile nie obwieszczają swego nadejścia. Za drzewami pojawił się pies. Spojrzał na nich przeciągle, po czym przeszedł przez łąkę, było to duże, silne zwierzę o zlocistej sierści, nagle w promieniach słońca wydawał się płonąć żywym ogniem. Zdenerwowany Joaquim Sassa cisnął w niego kamieniem, całkiem zwyczajnym, Nie lubię psów, ale nie trafił w niego. Pies zatrzymał się, w ogóle się nie przestraszył, nie wyglądał na groźnego, zatrzymał się jedynie, żeby popatrzeć, nawet nie zaszczekał. Doszedłszy do drzew, odwrócił się, widziany z daleka wydawał się jeszcze większy, następnie powoli się oddalił i zniknął.

Joaquim Sassa chciał zażartować, rozluźnić napięte nerwy, Niech Joana zatrzyma kij, może jej być potrzebny, skoro pałętają się po tej okolicy takie bestie, Z zachowania niewiele miał z bestii.

Wrócili tą samą drogą, teraz trzeba było rozwiązać kilka kwestii praktycznych, na przykład, skoro zrobiło się już za późno, żeby wracać do Lizbony, gdzie mają przenocować mężczyźni, Ale przecież wcale nie jest późno, odezwał się Joaquim Sassa, wcale się nawet nie spiesząc, dojedziemy do Lizbony przed kolacją, Według mnie powinniśmy zatrzymać się w Figueira da Foz albo w Coimbrze, jutro tu wrócimy, może Joana będzie czegoś potrzebować, powiedział Jose Anaięo i w jego głosie słychać było wielkie pragnienie, Skoro tego sobie życzysz, powiedział Joaquim Sassa z uśmiechem, a pozostała część zdania, miast zostać wypowiedziana, została wyrażona spojrzeniem, Doskonale cię rozumiem, chcesz pomyśleć tej nocy, chcesz się zastanowić nad tym, co powiedzieć rano, chwile nie obwieszczają swojego nadejścia. Teraz przodem idą Joaquim Sassa i Pedro Orce, popołudnie jest tak spokojne, że ścisła w gardle wzruszenie nie kierowane w niczyją stronę, jedynie w stronę światła, bladego nieba, nieruchomych drzew, leniwej rzeki, której obecność się przeczuwa, a później zauważa, gładkie lustro, nad którym z wolna szybują ptaki. Jose Anaięo chwyta za rękę Joane Cardę i mówi, Jesteśmy po tej stronie kreski, razem, jak długo jeszcze, i Joana Carda odpowiada, Niewiele brakuje, żebyśmy się dowiedzieli.

Kiedy doszli do samochodu, zobaczyli psa. Joaquim Sassa ponownie chwycił kamień, ale go nie rzucił. Zwierzę, pomimo tego gwałtownego gestu, nie poruszyło się, Pedro Orce zbliżył się do niego, wyciągnął rękę na znak pokoju, jakby chciał go pogłaskać. Pies stał nieruchomo z wyciągniętym łbem. Z pyska zwieszał mu się kawałek wilgotnej niebieskiej wełny. Pedro Orce pogłaskał go po grzbiecie, po czym odwrócił się do towarzyszy, Zdarzają się chwile, które obwieszczają swe nadejście, ziemia drży pod łapami tego psa.

Człek układa, a pies włada, to nowe przysłowie jest

tyle warte co stare, musimy dać imię temu, co w ostateczności decyduje, nie zawsze wszystko jest załatwiane przez Boga, jak powszechnie się uważa. Pożegnano się, mężczyźni pojechali do Figueira da Foz, najbliższej miejscowości, kobieta do domu gościnnych krewnych, lecz kiedy zwolniono hamulec i Dwa Konie zaczął się powoli toczyć, wszyscy z zaskoczeniem zobaczyli, że pies staje przed Joaną Cardą, nie pozwalając jej ruszyć z miejsca. Nie zaszczekał, nie pokazał kłów, zamachnięcie kijem nie zrobiło na nim wrażenia, bo było to tylko zamachnięcie. Kierujący Jose Anaięo pomyślał, że ukochana znalazła się w niebezpieczeństwie, i, po raz kolejny błędny rycerz, gwałtownie zatrzymał samochód, wyskoczył i pospieszył na pomoc, dramatyczne to działanie, zupełnie niepotrzebne, co zaraz zrozumiał, pies po prostu położył się na drodze. Pedro Orce się zbliżył, nadszedł też Joaquim Sassa, ten drugi maskował niechęć udawaną obojętnością, Czego chce ten zwierzak, zapytał, ale nikt nie potrafił mu odpowiedzieć, nawet sam pies. Pedro Orce, jak to już wcześniej zrobił, zbliżył się do psa i położył mu dłoń na łbie. Ten zamknął oczy pod wpływem pieszczoty, jakby z bólem, o ile to słowo może zostać tutaj użyte, mówimy o psach, a nie o wrażliwych ludziach, po czym wstał, obrzucił spojrzeniem wszystkich po kolei, dał im czas na zrozumienie, po czym ruszył przed siebie. Przeszedł jakieś dziesięć metrów, zatrzymał się i czekał.

Otóż doświadczenie nauczyło nas, a także filmy i powieści często podobnie obrazują zagadnienia, na przykład Lassie doskonale opanował tę technikę, a więc mówi nam doświadczenie, że pies zawsze tak robi, kiedy chce, żebyśmy za nim poszli. W tym przypadku jest bardziej niż oczywiste, że pies zagroził drogę Joanie Cardzie, żeby zmusić mężczyzn do wyjścia z samochodu, a skoro teraz, kiedy są już razem, wskazuje im drogę, którą, wedle jego psiej logiki, powinni się udać, to dlatego, i proszę wybaczyć powtórzenia, że chce, żeby razem za nim poszli. Nie trzeba być tak inteligentnym jak ludzie, żeby to zrozumieć, skoro zwykły pies tak zgrabnie potrafi to zakomunikować. Lecz ludzie zostali w życiu tyle razy

oszukani, że nauczyli się być eksperymentalistami, upewniają się co do każdej rzeczy, szczególnie poprzez powtarzanie, co jest najłatwiejsze, a kiedy, tak jak w tym przypadku, osiągnęli średni poziom kultury, nie zadowolają się drugim doświadczeniem, które jest takie samo jak pierwsze, wprowadzają nieznaczne zmiany, nie zmieniające jednak radykalnie podstawowych danych, aby zilustrować to zagadnienie, powiemy, że Joana Carda i Jose Anaiço poszli do samochodu, a na miejscu zostali Joaquim Sassa i Pedro Orce, teraz zobaczymy, co zrobi pies. Powiedzmy, że zrobił to, co powinien. Pies, który świetnie wie, że nie może zatrzymać samochodu, chyba że przed nim stanie, ale to oznacza pewną śmierć, bo żaden kierowca nie kocha zwierząt, naszych przyjaciół, tak bardzo, żeby się zatrzymać i asystować przy ich ostatnim tchnieniu albo odciągnąć do rowu zmasakrowane ciało, przeciął drogę Pedrowi Orce i Joaquimowi Sassie, tak jak wcześniej zrobił z Joana Carda. Trzecią i ostatnią próbą było wejście wszystkich czworo do samochodu i ruszenie z miejsca, a ponieważ traf chciał, że Dwa Konie ruszył we właściwym kierunku, pies stanął przed nim, tym razem nie po to, żeby nie pozwolić mu odjechać, ale żeby wskazywać drogę. Wszystkie te działania odbyły się bez towarzystwa ciekawskich, ponieważ, jak już wcześniej się zdarzyło w tym opowiadaniu, pewne istotne wydarzenia zaszły na skraju wioski i miast, a nie w ich środku, jak to zwykle bywa, a to bez wątpliwości zasługiwałoby na wyjaśnienie, jednakowoż nie czujemy się władni go udzielić, cierpliwości.

José Anaiço zatrzymał samochód, pies też się zatrzymał, wlepił w nich wzrok, i Joana Carda w końcu stwierdziła, Chce, żebyśmy za nim poszli. Potrzebowali tyle czasu, żeby zrozumieć coś, co było oczywiste od chwili, w której pies przebiegł przez łąkę, powiedzmy, że chwila zaraz to obwieściła, ale ludzie nie zawsze postrzegają znaki z odpowiednią czujnością. Jednak nawet kiedy zabrakło miejsca na wątpliwości, jeszcze się upierali przy niezrozumieniu nauki, na przykład Joaquim Sassa zapytał, A po co mamy za nim iść, co to za

wariactwo, że cztery dorosłe osoby idą za wałęsającym się kundlem, który nawet nie ma żadnej wiadomości na obroży, wybaczenie, ani blaszki identyfikacyjnej, nazywam się Pilot i jeśli ktoś mnie znajdzie, proszę mnie zaprowadzić do mojego właściciela, pana takiego a takiego, adres taki i taki, Nie wysiłaj się, odezwał się José Anaiço, ta historia jest równie absurdalna jak wszystkie pozostałe, które nam się przytrafiły i też wydawały się nie mieć sensu, Jeszcze wątpię, czy w ogóle mają jakiś sens, Nie przejmuj się sensem rzeczy, powiedział Pedro Orce, jedynym sensem podróży jest jej koniec, a my jeszcze jesteśmy w połowie drogi, albo na początku, kto to może wiedzieć, powiedz mi, jaki miałeś koniec, a ja ci powiem, jaki mogłeś mieć sens, Bardzo dobrze, a póki nie nastanie ten dzień, jaką podejmujemy decyzję. Zapadła cisza. Światło staje się mniej intensywne, dzień oddala się, kładąc cienie pośród drzew, śpiew ptaków już stał się inny. Pies podchodzi i kładzie się przed samochodem, o trzy kroki, kładzie łeb na wyciągniętych przednich łapach, czeka bez oznak niecierpliwości. Wtedy odzywa się Joana Carda, Jestem gotowa udać się tam, dokąd on nas zaprowadzi, jeśli po to tu przyszedł, kiedy dotrzemy do miejsca przeznaczenia, dowiemy się. José Anaiço odetchnął głęboko, nie było to westchnienie, choć zdarzają się westchnienia ulgi, Ja też, powiedziała pani wszystko, Ja też, dodał Pedro Orce, Skoro wszyscy się zgadzają, nie będę złośliwcem, który zmusza was do chodzenia pieszo za pilotem, pojedziemy razem, do czegoś w końcu muszę służyć wakacje, podsumował Joaquim Sassa.

Podjąć decyzję to powiedzieć tak albo nie, puścić parę z ust, dopiero później pojawiają się kłopoty, w praktyce, jak uczy solidne ludowe doświadczenie, zdobyte dzięki upływającemu czasowi i cierpliwemu jego znoszeniu, z niewielką nadzieją i jeszcze mniejszymi zmianami. Pójdziemy śladem psa, proszę bardzo, ale trzeba wiedzieć jak, taki przewodnik, ponieważ nie potrafi niczego wyjaśnić, nie może jechać w samochodzie, skręć w lewo, skręć w prawo, teraz prosto aż do trzecich świateł, poza tym jest jeszcze jeden poważny kłopot, jak zwierzak tej

wielkości zmieściłby się w samochodzie, w którym są zajęte wszystkie miejsca, nie mówiąc już o bagażach i wiazowym kiju, choć tego raczej nie widać, kiedy Joana Carda i Jose Anaięo jadą obok siebie. A skoro już mowa o Joanie Cardzie, to jeszcze brakuje jej bagażu, a do tego, zanim się go upchnie w pełnym już bagażniku, trzeba będzie po niego pojechać, usprawiedliwić przed kuzynami niespodziewany wyjazd, ale nie może pojawić się przed domem trzech mężczyzn, Dwa Konie i pies, Jadę z nimi, byłby to głos naprawdę niewinny, ale kobieta, która tak niedawno odeszła od męża, nie musi się nikomu tłumaczyć, szczególnie w tak niewielkim środowisku jak Ereira, wioska, głośne zerwania dobre są w stolicach i ważnych miastach, a Bóg jeden wie, ile kosztują walki i zmagania ciała i ducha.

Słońce już zaszło, niedługo zapadnie zmrok, nie jest to dobra chwila na rozpoczynanie podróży w nieznaną i Joana Carda źle by zrobiła, gdyby tak po prostu znikła, powiedziała krewnym, że jedzie do Lizbony załatwić pewne sprawy, pojedzie jednym pociągiem i wróci drugim. Kłopoty tego rodzaju wydają się węzłami gordyjskimi, taką siłę mają konwenanse społeczne i rodzinne. Oto szkopuł, kiedy Pedro Orce wysiadł z samochodu, pies wstał i zbliżył się do niego, i w półmroku stanęli obaj, oddając się rozmowie, przynajmniej tak byśmy powiedzieli, choć wiemy, że ten pies nie jest w stanie nawet szczekać. Potem Pedro Orce wrócił do samochodu i powiedział, Joana już chyba może iść do domu, pies zostanie z nami, dogadajcie się, gdzie możemy się przespać, i umówcie się na jutro. Nikt nie podał gwarancji w wątpliwość, Joaquim Sassa rozwinął mapę i w trzy sekundy zdecydowali, że zostaną w Montemor-o-Velho, w jakimś skromnym pensjonacie, A jeśli takiego tam nie będzie, zapytał Joaquim Sassa, Pojedziemy do Figueiry, odparł José Anaięo, zresztą lepiej chyba nie jechać w ciemno, od razu pojedźmy do Figueiry, a ty jutro wsiądź w autobus, poczekamy na ciebie koło kasyna, na parkingu, nie trzeba dodawać, że te wskazówki były skierowane do Joany Cardy, która je przyjęła, nie podając w wątpliwość kompetencji tego, który ich udzielał.

Joana powiedziała do jutra i w ostatniej chwili, kiedy jedną nogą już stała na ziemi, odwróciła się i pocałowała José Anaíça w usta, w owej chwili, nie było udawania, że jest to pocałunek w policzek albo w kącik ust, przeszyły ich dwie błyskawice, jedna szybkości, druga zaskoczenia, lecz efekt tej drugiej trwał dłużej, co nie miałyby miejsca, gdyby dotyk tak słodkich ust się przedłużył. Gdyby wiedzieli kuzyni z Ereiry, co tu zaszło, na pewno by powiedzieli, A więc jednak jesteś latawicą, my wierzymy, że winny jest twój mąż, a w końcu musiał to być bardzo ciepły człowiek, tego tu poznałaś dopiero wczoraj, a już go całujesz, nie pozwoliłaś mu nawet przejąć inicjatywy, kobieta zawsze powinna czekać, bo w końcu trzeba mieć godność, poza tym powiedziałaś, że wrócisz tego samego dnia, a spałaś w Lizbonie, poza domem, nieładnie zrobiłaś, o nieładnie, lecz kuzynka wstaje z łóżka, kiedy wszyscy już śpią, i idzie do pokoju Joany zapytać ją, jak było, ona odpowiada, że sama dobrze nie wie, i to całkowita prawda, Dlaczego to zrobiłam, Joana zadaje sobie pytanie, oddalając się w cieniu drzew, ma wolne ręce i dlatego może unieść je do ust, jak człowiek, który chce zatrzymać duszę. Walizka została w samochodzie, zaznacza miejsce dla reszty bagażu, wiazowy kij jest w dobrych rękach, strzeżona przez trzech mężczyzn i psa, który na wezwanie Pedra Orce wskoczył do samochodu i usadowił się na miejscu Joany Cardy, kiedy w Figueira da Foz wszyscy już będą spać, w Ereirze dwie kobiety jeszcze będą oddawać się rozmowie pod osłoną nocy, Szkoda, że nie mogę z tobą pojechać, mówi kuzynka Joany, nieszczęśliwa w małżeństwie.

Następny dzień wstał zasnuty chmurami, nie można ufać pogodzie, wczorajszy wieczór zdawał się rajski, czysty i delikatny, drzewa lekko kołysały gałęziami, rzeka Mondego gładka niczym powierzchnia nieba, nikt by tu nie powiedział, że to ta sama rzeka, pod ciężkimi chmurami wygląda jak spienione morze, ale starzy tylko wzruszają ramionami, Pierwszy sierpnia, pierwszy dzień zimy, mawiają, dużo szczęścia mieliśmy, że pierwszy dzień spóźnił się prawie

o cały miesiąc. Joana Carda przyjechała bardzo wcześnie, ale José Anaięo już na nią czekał w samochodzie, tak zdecydowali pozostali mężczyźni, żeby zakochani mogli porozmawiać sam na sam, zanim rozpoczną podróż, nie wiadomo jeszcze tylko w którą stronę. Pies spędził noc w samochodzie, teraz jednak spacerował po plaży w towarzystwie Pedra Orce i Joaquina Sassy, delikatnie pocierając pyskiem

O spodnie Hiszpana, którego towarzystwo najwyraźniej sobie upodobał.

Na parkingu, pośród innych samochodów o lepszej pre-zenji, Dwa Konie nieszczególnie się odznacza, poza tym, co zostało już wyjaśnione, poranek jest nieprzyjemny, nikogo nie ma w pobliżu i dlatego nic dziwnego, że Joana Carda

I José Anaięo zaraz się do siebie przytulili, jak gdyby nie widzieli się przez cały rok i strasznie tęsknili od pierwszego dnia rozłąki. Pocałowali się namiętnie, łąpczywie, nie była to pojedyncza błyskawica, lecz ich seria, słowa nie były tak gorące, trudno mówić, gdy się całuje, lecz po kilku minutach wreszcie można było usłyszeć, Podobasz mi się, wydaje mi się, że cię kocham, powiedział szczerze José Anaięo, Też mi się podobasz i też mi się wydaje, że cię kocham, dlatego wczoraj cię pocałowałam, nie, to niezupełnie tak, nie pocałowałabym cię, gdybym nie czuła, że cię kocham, ale mogę cię kochać jeszcze bardziej, Nie znasz mnie, Gdybym chciała cię poznać, żeby móc stwierdzić, czy cię kocham, nie starczyłoby mi życia, Wątpisz w to, że dwie osoby mogą się poznać, A ty w to wierzysz, To ja spytałam, Najpierw mi powiedz, co to znaczy znać kogoś, Nie mam tu słownika, Szukanie w słowniku oznacza sprawdzanie czegoś, co już się wie, Słowniki mówią tylko to, co może służyć wszystkim, Powtarzam pytanie, co to znaczy znać kogoś, Nie wiem, A jednak możesz kochać, Mogę kochać ciebie, Nie znając mnie, Na to wygląda, Skąd się wzięło to nazwisko, Anaięo, Jeden mój dziadek nazywał się Inacio, ale w wiosce zmienili mu imię, wołali na niego Anaięo, z czasem stało się to nazwiskiem rodziny, a ty, dlaczego nazywasz się

Car- da, Kiedyś rodzina nazywała się Cardo, ale jedną babcię, która owdowiała i musiała sama zajmować się rodziną, zaczęto nazywać Carda, doskonale sobie zapracowała na własne nazwisko, Myślałem, że chodzi o łepiek⁶ gwoździa, Teraz już mogłoby tak być, i jeszcze jedno, kiedyś sprawdziłam w słowniku i dowiedziałam się, że carda to też urządzenie do darcia pasów, biedni męczennicy, odzierani ze skóry, paleni, zarzynani, cardados, Czy to właśnie mnie czeka, Gdybym wróciła do nazwiska Cardo, niewiele byś zyskał, Zawsze będziesz kąsać, Nie, ja nie jestem swoim nazwiskiem, No to kim jesteś, Sobą. Jose Anaięo wyciągnął dłoń, dotknął jej twarzy, wyszeptał, Ty, ona zrobiła to samo, powtórzyła po cichu, Ty, i oczy wypełniły jej się łzami, może dlatego, że jeszcze rozczuła ją jej minione życie, teraz musi do tego dojść, będzie chciała się dowiedzieć czegoś o jego życiu, Jesteś żonaty, masz dzieci, co robisz, Byłem żonaty, nie mam dzieci, jestem nauczycielem. Odetchnęła głęboko, chyba że było to raczej westchnienie ulgi, po czym powiedziała, uśmiechając się, Lepiej ich zawołać, na pewno umierają z zimna. Jose Anaięo odezwał się, Kiedy opowiadałem Joaąumowi o naszym pierwszym spotkaniu, chciałem mu powiedzieć, jakiego koloru są twoje oczy, powiedziałem oczy sam nie wiem i on uczył się tych słów i zaczął cię tak właśnie nazywać, Jak, Panna o Oczach Sam Nie Wiem, rzecz jasna w twojej obecności nie ma na to odwagi, Podoba mi się to imię, Ty mi się podobasz, a teraz będziemy musieli ich zawołać. Machanie ręką, druga ręka odpowiada, po piachu powoli zbliżyli się Pedro Orce i Joaąum Sassa, wielki, łagodny pies pomiędzy nimi. Ze sposobu machania, powiedział Joa- quim Sassa, wnoszę, że spotkanie zakończyło się sukcesem, każde ucho z odrobiną życiowego doświadczenia nie miałooby kłopotów z wychwyceniem w tonie głosu skrywanej melancholii, będącej szlachetnym uczuciem maskuj ą- cym zazdrość, albo żal, jeśli ktoś woli

6 Carda to zgrzebło do czesania lnu, mały gwóźdź szewski oraz, dawniej, przyrząd do darcia pasów (przyp. tłum.).

bardziej wyszukane wyrażenie. Tobie też podoba się ta dziewczyna, zapytał Pedro Orce ze zrozumieniem, Nie, nie o to chodzi, chociaż może nawet można by tak powiedzieć, moim problemem jest to, że nie wiem, kogo kochać i jak to się robi, żeby nie przestawać kochać. Na to oświadczenie, bezbrzeżnie smutne, nie potrafił Pedro Orce znaleźć odpowiedzi. Wsiedli do samochodu, dzień dobry, szczęście to wielkie panią zobaczyć, witamy na pokładzie, dokąd zawiedzie nas ta przygoda, zdania banalne i radosne, niemniej jednak ostatnie jest błędne, należałoby powiedzieć, dokąd nas zawiedzie ten pies. Jose Anaiego włączył silnik, skoro znalazł się za kierownicą, może kontynuować, zawrócił, żeby wyjechać z parkingu, teraz co mam robić, skrócić w lewo, skrócić w prawo, udawał niezdecydowanie, żeby dać psu czas, wtedy nagle pies obrócił się dookoła siebie i szybkim krokiem, tak regularnym, że zdawał się mechaniczny, ruszył w kierunku północnym. Z niebieską wólczką zwisającą z pyska.

Był to pamiętny dzień, w którym odległa już Europa, wedle ostatnich znanych pomiarów znajdowała się już o około dwieście kilometrów, została targnięta, od fundamentów po dach, wstrząsem natury psychologicznej i społecznej, który dramatycznie w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa postawił kwestię jej tożsamości, negowaną w tym decydującym momencie u swych szczególnych i zawiłych fundamentów, mianowicie kwestię narodowości, tak pracowicie wykształconych przez wieki. Europejczycy, od najwyższych dygnitarzy po zwykłych obywateli, szybko się przyzwyczaili, podejrzewamy, że z uczuciem niewysłowionej ulgi, do braku swych zachodnich rubieży, a jeśli nowe mapy, szybko wprowadzone do obiegu w celach oświatowych, jeszcze powodowały pewien dyskomfort optyczny, to tylko z powodów estetycznych, wywoływały wrażenie nieokreślonego niepokoju, który dawniej budził, i jeszcze dzisiaj budzi w nas, brak rąk u Wenus z Milos, bo to jest bardziej właściwa nazwa wyspy, na której znaleziono posąg, A więc Milos nie jest imieniem rzeźbiarza, Nie, proszę pana, Milos to wyspa, na której znaleziono

biedaczkę, powstała z grobu niczym Łazarz, lecz nie zaaranżowano żadnego cudu, który by jej przywrócił ręce.

Wraz z upływem wieków, o ile wieki dalej będą upływać, Europa nie będzie już pamiętać, że była wielka i że wysuwała się daleko w morze, tak jak my teraz nie potrafimy sobie wyobrazić Wenus z rękoma. Rzecz jasna nie sposób ignorować strat i niepokoju na Morzu Śródziemnym, wielkie przypiły, nadbrzeżne miasta zniszczone, hotele, które miały schody prowadzące do morza, teraz nie mają ani schodów, ani plaży, i Wenecja, która jest jak bagno, jest niczym zagrożona wioska na palach, skończyła się era turystyki, moje dzieci, ale jeśli Holendrzy się pospieszą, w ciągu kilku miesięcy miasto dożów, Aveiro Italii, będzie mogło otworzyć swe podwoje niecierplivej publiczności, znacznie ulepszone, już bez niebezpieczeństwa nagłego pogrążenia się w morzu, wszak działa system hydraulicznego systemu naczyń połączonych, grobli, zapór, zaworów, nieustanna kontrola poziomu wody, teraz Włosi są odpowiedzialni za wzmocnienie wewnętrznych struktur miasta, żeby żałośnie samo nie pogrążyło się w błocie, najtrudniejsze zadanie, proszę pozwolić mi to stwierdzić, wykonujemy właśnie w tej chwili, dziękujemy za to potomkom owego dzielnego chłopca, który zaledwie za pomocą czubka swego palca wskazującego zapobiegł wymazaniu z map, z powodu ulewy i zalewu, miasta Haarlem.

Skoro udało się załatwić problem Wenecji, reszta basenu Morza Śródziemnego też jakoś da sobie radę. Ileż to razy przeszły tędy zaraza i wojny, trzęsienia ziemi i pożary, i zawsze te okoliczne miasta powstawały z pyłów i popiołów, przekształcając gorycz cierpienia w słodycz życia, z barbarzyńskiej pokusy tworząc cywilizację, pole golfowe i basen, jacht w marinie i kabriolet na nabrzeżu, człowiek jest najłatwiej przystosowującym się stworzeniem, szczególnie kiedy idzie ku lepszemu. Jednak nie będzie świadczyło o próżności stwierdzenie, że dla niektórych Europejczyków uwolnienie się od niezrozumiałych ludów z zachodu, teraz dryfujących po morskich odmętach, z

których nigdy nie powinni się byli wyłonić, było samo w sobie ulepszeniem, nadzieją na nadejście jeszcze lepszych dni, każdy trzyma ze swoimi, w końcu dowiadujemy się, czym jest Europa, choć może zostały w niej jeszcze jakieś trefne części, które wcześniej czy później, z jakiegoś powodu też się odłączają. Załóżmy się, że w końcu zostaniemy zredukowani do jednego zaledwie kraju, czystego destylatu europejskiego ducha, doskonałego i prostego sublimatu, do Europy, czyli Szwajcarii.

Jednakże skoro są tacy Europejczycy, są też owacy. Niespokojny lud, diabelski ferment, nie jest łatwy do wyplenia, bez względu na to, jak się trudzą wróżbici czy pro- gnostycy. Mamy takich, którzy obserwują przejeżdżający pociąg i popadają w przygnębienie z tęsknoty za podróżą, w którą nie wyruszą, takich, którzy nie mogą patrzeć na ptaka na niebie, nie odczuwając pragnienia alkionicznego lotu, takich, którym nikt nie widzą horyzontem statek wyrwa z piersi drżące westchnienie, narzeczona pomyślała, że to z powodu jej bliskości, tylko on wiedział, że to z powodu dali. Był więc jedną z tych niepokornych i niespokojnych osób człowiek, który odważył się napisać te skandaliczne słowa, oznakę oczywistej deprawacji, *Nous aussi, nous sommes ibériques*, zapisał je w jednym z narożników ściany, ze strachu, jak ktoś, kto, jeszcze nie mogąc wyjawic swego pragnienia, nie potrafi już dłużej go skrywać. Ponieważ zostało to napisane w języku francuskim, co widać, można by przypuszczać, iż zdarzyło się to we Francji, jednak musimy tutaj nadmienić, że równie dobrze mogło to być w Belgii albo Luksemburgu. Ta inaugurująca deklaracja natychmiast się rozprzestrzeniła, pojawiła się na fasadach wielkich budynków, na frontonach, asfalcie ulic, w korytarzach metra, na mostach i wiaduktach, prawowierni, konserwatywni Europejczycy protestowali, Ci anarchiści poszaleli, zawsze tak jest, wszystko składa się na karb anarchii.

Jednak zdanie to przekroczyło granice, a gdy je przekroczyło, stwierdzono, że już wcześniej pojawiło się w innych krajach, po niemiecku *Auch wir sind Iberisch*, po

angielsku *We are Iberians too*, po włosku *Anche noi siamo iberici*, i nagle stało się jak lont, płonęło wszędzie literami czerwonymi, czarnymi, niebieskimi, zielonymi, żółtymi, fioletowymi, ogień, zdawało się, nie do ugaszenia, po niderlandzku i flamandzku *Wij zijn ook Iberiers*, po szwedzku *Vi också är iberiska*, po fińsku *Me myöskin olemme iberialaisia*, po norwesku *Vi også er iberer*, po duńsku *Ogsaa vi er iberiske*, po grecku *Eimaste iberoi ki emeis*, po fryzyjsku *Ek Wv Bin- ne Ibeariers*, a także, choć z wyraźną nieśmiałością, po polsku *My też jesteśmy Iberyjczykami*, po bułgarsku *Nie sas- to sme iberijci*, po węgiersku *Mi is iberek vagyunk*, po rosyjsku *My тоже iberici*, po rumuńsku *Și noi sintem iberici*, po słowacku *Ai my sme iberčamia*. Ale szczytem wszystkiego, apogeum, rzadkie to słowo, którego więcej używać nie będziemy, było pojawienie się tego samego zdania po łacinie na murach Watykanu, na czcigodnych ścianach i kolumnach bazyliki, na cokole Piety Michała Anioła, na kopule, wielkimi błękitnymi literami na płytach placu Świętego Piotra, *Nos quoque iberi sumus*, niczym boski wyrok w pluralis maiestaticus, swego rodzaju manetekelfares nowej ery, a papież w oknie swych apartamentów żegnał się z przerażenia, robił znak krzyża, bezskutecznie, bo farba była z tych mocnych, dziesięć całych kongregacji nie da rady, wyposażonych w druciane szczotki, wybielacz, pumeks, drapak, przy wsparciu rozpuszczalników, będą mieli pracę do przyszłego konsylium.

W ciągu jednej nocy Europa została pokryta tymi napisami. To, co początkowo było zapewne tylko zwykłym wyrazem uczuć marzyciela, w końcu przerodziło się w krzyk, protest, manifestację uliczną. Zjawisko początkowo było lekceważone, jego przejawy stawały się przedmiotem kpin. Lecz niebawem władze zaniepokoiły się procesem, który tym razem nie mógł zostać przypisany działaniom czynników zewnętrznych, choć na zewnątrz też pleniły się działania wywrotowe, i te okoliczności oszczędziły przynajmniej kłopotów z ustalaniem, o jakie czynniki zewnętrzne może chodzić. Stało się modą wychodzenie demonstrantów na ulice z plakietkami w klapach

marynarek, albo bardziej dowolnie, z plakatami przyczepionymi z przodu i z tyłu, na nogach, na wszystkich częściach ciała i we wszystkich językach, a także w lokalnych dialektach, w różnych slangach, w końcu nawet w esperanto, ale te trudno było zrozumieć. Przeciwdziałania podjęte przez europejskie rządy polegały na organizacji debat i okrągłych stołów w telewizji, w rolach głównych występowały osoby, które zbiegły z Półwyspu Iberyjskiego, kiedy w sposób widoczny nastąpiło jego oderwanie, nie z tymi, którzy byli tam w charakterze turystów i najedli się strachu, ale z krajowcami, z tymi, którzy pomimo ścisłych związków tradycji i kultury, własności i władzy, odwrócili się plecami, gdy nastąpił geologiczny obłęd, i wybrali stabilizację kontynentu. Owe osoby kreśliły czarny obraz rzeczywistości iberyjskiej, dawały rady, z wielką filantropią i znawstwem zagadnienia, wszystkim niespokojnym, którzy stanowili niebezpieczeństwo dla europejskiej tożsamości, i kończyły swój udział w debacie stanowczym zdaniem, patrząc w oczy widzów, aby wykazać swą szczerą, Zróbcie tak jak ja, wybierzcie Europę.

Wynik nie był szczególnie budujący, chyba że podczas protestów przeciwko dyskryminacji tych, którzy byli ofiarami zwolenników półwyspu, którzy to, gdyby brak uprzedzeń i pluralizm demokratyczny nie były pustymi frazesami, powinni być obecni w telewizji, aby wyłożyć swe raq'e, jeśli je posiadali. Zrozumiała jest ta ostrożność. Uzbrojeni w racje, które dyskusje o racjach zawsze stwarzają, młodzi, bo to szczególnie oni dokonywali najbardziej spektakularnych wyczynów, mogliby z większym przekonaniem uzasadnić swój protest, zarówno w szkole, jak i na ulicy, i w rodzinie, nie zapominajmy o tym. Można by dyskutować, czy młodzi, dysponując racjami, woleliby odrzucić bezpośrednie działania, choćby tylko z powodu uspokajającego wpływu inteligencji, wbrew temu, co zwykło się głosić od początku świata. Można by dyskutować, ale nie warto, bo tymczasem budynki telewizji zostały obrzucone kamieniami, splądrowano sklepy sprzedające telewizory mimo rozpaczliwej sprze-

dawców nawołujących, Ale to nie moja wina, względna niewinność na niewiele im się zdała, kineskopy wybuchały jak petardy, puste skrzynki aparatów walały się po ulicach, płonęły, zmieniały się w popiół. Przyjeżdżała policja, rozpędzała buntowników, i na takich przepychankach minął tydzień, aż nadszedł dzień dzisiejszy, kiedy to z Figueira da Foz wyruszyli w ślad za psem trzech mężczyźni i kobieta jednego z nich, była nią, jeszcze nie będąc, albo nie będąc nią jeszcze, już była, kto wie cokolwiek o porozumieniu i spotkaniach serc, zrozumie ten bezsensowny wers. Podczas gdy zmierzali na północ, Joaaquim Sassa powiedział, Jeśli pojedziemy do Porto, możemy wszyscy zatrzymać się u mnie w domu, setki tysięcy, miliony młodych ludzi na całym kontynencie wyszło na ulicę o tej samej godzinie, byli uzbrojeni nie w racje, lecz w pałki, w łańcuchy rowerowe, bosaki, noże, szydła, nożyczki, jakby oszaleli z wściekłości, a także z frustracji i spodziewanego bólu, i krzyczeli, My też jesteśmy Iberyjczykami, z taką samą rozpaczą, która ogarnęła sprzedawców, Ale to nie nasza wina.

Kiedy nastroje się uspokoją, po upływie dni i tygodni, pojawiają się psychologowie i socjologowie, aby dowieść, że ci młodzi ludzie w gruncie rzeczy nie chcieli być Iberyjczyka- mi, tylko wykorzystali sytuację, aby dać wyraz marzeniu, które trwając tak długo jak życie, zwykle w młodości po raz pierwszy się objawia, w sposób sentymentalny lub gwałtowny. Tymczasem ustały batalie polowe, albo uliczne i placowe, aby wyrazić się z większą ścisłością, rannych liczone na setki, trzy czy cztery osoby zginęły, choć władze usiłowały zatuszować te smutne wypadki poprzez wprowadzanie zamieszania i podawanie sprzecznych wiadomości, nigdy matki nie dowiedziały się dokładnie, ile ich dzieci zginęło, z tej prostej przyczyny, że nie potrafiły się zorganizować, zawsze kilka z nich nie przyłączało się, były zajęte opłakiwaniem swej pociechy albo pielęgnowaniem nadprogramowego dziecka, albo zajęte robieniem następnego, dlatego matki zawsze przegrywają. Gazy łzawiące, armatki wodne, pałki, tarcze i hełmy, kamienie wyrywane z bruku, sztachety z

ogrodzenia, oto niektóre przykłady broni użytej przez każdą ze stron, pewne nowości o bardziej bolesnym działaniu perswazyjnym zostały tu wykorzystane po raz pierwszy przez policjantów, wojny są jak nieszczęścia, nigdy nie pojawiają się pojedynczo, pierwsza próbuje, druga doskonali, trzecia dopiero jest doskonała, a każda z nich, w zależności od tego, kiedy zaczniemy liczyć, jest trzecią, drugą i pierwszą. W almanachach zachowało się to zdanie rycerskiego chłopaka z Holandii, trafionego gumową kulą, która w wyniku błędów produkcyjnych wyszła twardsza niż stal, ale legenda zaraz zajmie się tym zdarzeniem i każdy kraj będzie się zarzekał, że chłopaczek należał do niego, a kula pozostanie bezpieczna, zdanie zaś nie zostało zapamiętane przez wzgląd na swe obiektywne znaczenie, ale z uwagi na swe piękno, romantyzm, chłopiec był bardzo młody, a państwa to lubią, szczególnie gdy chodzi o sprawy stracone, tak jak ta, Wreszcie jestem Iberyjczykiem, a powiedziawszy to, wyzionął ducha. Chłopiec ów wiedział, czego chce, nie jest jak Joaquim Sassa, który nie wie, kogo ma kochać, ale on dalej żyje, może nadejdzie jego dzień, o ile uważnie będzie wypatrywał możliwości.

Poranek przeszedł w popołudnie, popołudnie zmieni się w noc, a drogą biegnącą niemal nad samym morzem pędzi pies przewodnik swym pewnym krokiem, ale nie jest to wyścigowy chart, daleko mu do niego, nawet Dwa Konie, choć zgrzybiały, potrafiłby gnać szybciej, czego też dowiódł ostatnimi czasy, A taka jazda nie jest dla niego dobra, niepokoi się Joaquim Sassa siedzący teraz za kierownicą, jeśli jakaś awaria miałaby się przytrafić sfatygowanej maszynie, niech będzie w jego rękach. Radio, z nowymi bateriami, podało wiadomość o tragicznych wydarzeniach w Europie i wspomniało dobrze poinformowane źródła, wedle których czyniono międzynarodowe naciski na rządy Hiszpanii i Portugalii, aby położyły kres tej sytuacji, jak gdyby w ich możliwościach leżało spełnienie takiego żądania, jak gdyby sprawowanie rządów na dryfującym półwyspie było tym samym co prowadzenie Dwóch Koni. Protesty zostały

godnie odrzucone, z męską dumą ze strony Hiszpanów i kobietą wyższością ze strony Portugalczyków, jednak bez pogardy albo próżności cechującej płcie, i ogłoszono, że premierzy wystąpią wieczorem, każdy w swoim kraju, rzecz jasna, ale jednocześnie. Swego rodzaju rozterkę spowodowała wstrzemięźliwość Białego Domu, zwykle gotowego szybko wmieszać się w każde międzynarodowe wydarzenie, bez względu na to, jakie z tego popłyną korzyści, choć są tacy, którzy utrzymują, że Amerykanie nie chcą się w nic mieszać, zanim nie zobaczą, dokąd to wszystko zaprowadzi. Tymczasem to ze Stanów Zjednoczonych nadchodzą zapasy paliwa, z pewną nieregularnością, co prawda, ale powinniśmy być im wdzięczni za to, że w leżących na uboczu miejscach jeszcze można czasem znaleźć benzynę. Gdyby nie Amerykanie, podróżnicy musieliby iść piechotą, jeśli upieraliby się przy podążaniu tropem psa.

Kiedy zatrzymali się na obiad, zwierzak nie wszedł do restauracji, pewnie zrozumiał, że jego towarzysze muszą się pożywić. Po posiłku Pedro Orce wyszedł wcześniej niż pozostali, wyniósł resztki jedzenia, ale pies nie chciał jeść, i Hiszpan zaraz zobaczył dlaczego, pies miał ślady krwi na sierści i wokół pyska. Polował, powiedział Jose Anaięo, Ale nadal ma tę niebieską nitkę, zauważyła Joana Carda, był to bardziej zaskakujący fakt niż ten pierwszy, w końcu nasz pies, jeśli to ten, o którym myślimy, prowadzi życie włóczęgi już od jakichś dwóch tygodni, a jeśli przeszedł cały półwysep, od Pirenejów aż tutaj, i kto wie, gdzie jeszcze się kręcił, na pewno nie miał nikogo, kto by mu regularnie napelniał miskę albo cieszył go kością. Co do niebieskiej nitki, mógł ją odkładać na ziemię, a później znowu brać, jak myśliwy, który wstrzymuje oddech przed strzałem, a potem wypuszcza powietrze. Powiedział Joaquim Sassa, w końcu dobrodusznie, Dobry piesek, jeśli potrafisz się zająć nami, tak jak dbasz o siebie, to znaleźliśmy się w dobrych rękach. Pies potrząsnął łbem, ale nie nauczyliśmy się tłumaczyć jego ruchów. Potem wstał i wyszedł na drogę, nie oglądając się za siebie. Popołudnie jest pogodniejsze niż poranek, świeci słońce, a

ten diabelny ciemnorudy pies niezmordowanie prze
naprzód, ze spuszczoneym łbem, wydłużonym pyskiem, z
ogonem będącym jakby przedłużeniem grzbietu, Jakiej on
może być rasy, zapytał Jose Anaięo, Gdyby nie ten ogon,
mógłby być potomkiem charta i wilczura, powiedział Pedro
Orce, Biegnie szybciej, zauważył Joacjuim Sassa z
zadowoleniem, a Joana Carda, może tylko po to, żeby nie
siedzieć cicho, rzuciła, Jak on może się wabić, wcześniej
czy później musi pojawić się problem nazwania, to
nieuniknione.

Premier przemówił do Portugalczyków, Portugalczycy,
w ciągu ostatnich dni, a zwłaszcza podczas ostatnich
dwudziestu czterech godzin, nasz kraj stał się
przedmiotem nacisków, które bez zbytej przesady
mógłbym nazwać niedopuszczalnymi, pochodzących z
niemal wszystkich krajów europejskich, gdzie, jak
wiadomo, doszło do poważnego naruszenia porządku
publicznego, my jednak nie ponosimy odpowiedzialności
za wyjście na ulice wielkich mas demonstrantów, którzy
entuzjastycznie chcieli wyrazić swą solidarność z
państwami i narodami półwyspu, co przeczy temu, nad
czym debatują rządy krajów Europy, a mianowicie, że już
do niej nie należymy, w obliczu głębokich przemian spo-
łecznych i kulturowych w tych krajach, które widzą w na-
szej historycznej przyszości zapowiedź szczęśliwszej przy-
szłości i, aby powiedzieć wszystko, nie nadużywając słów,
nadzieję odmłodzenia ludzkości. Otóż owe rządy, miast
nas poprzeć, co dowodziłoby ich elementarnych ludzkich
uczuc i świadomości rzeczywiście europejskiej,
zdecydowały zrobić z nas kozły ofiarne i obarczyć winą za
własne problemy wewnętrzne, absurdalnie żądając od nas
powstrzymania dryfowania półwyspu, choć właściwiej i w
zgodzie z faktami byłoby mówić o żegludze. Takie
zachowanie jest tym bardziej godne ubolewania, gdy
weźmiemy pod uwagę, że wraz z upływem kolejnych
godzin oddalamy się o siedemset pięćdziesiąt metrów od
tego, co teraz jest zachodnim wybrzeżem Europy, a więc
europejskie rządy, które nigdy wcześniej nie wykazywały
szczególnej radości z posiadania nas u swego boku,

nakłaniają nas teraz do zrobienia czegoś, czego tak naprawdę nie chcą, a dodatkowo jeszcze wiedza, że nie posiadamy możliwości spełnienia ich żądań. Miejsce o niemożliwej do podważenia historii i kulturze, Europa, w tych pełnych zamieszania dniach wykazuje całkowity brak rozsądku. Do nas, zachowującego spokój, silnego i sprawiedliwego, legalnego i konstytucyjnego rządu, należy kategorycznie sprzeciwić się naciskom, jakimkolwiek i pochodzącym skądkolwiek, musimy też stwierdzić, że we wszystkich naszych działaniach kierujemy się wyłącznie interesem narodowym, lub szerzej ujmując zagadnienie, interesem narodów i państw półwyspu, w tym miejscu mogę uroczyście i stanowczo to zadeklarować, gdyż rządy Portugalii i Hiszpanii pracowały wspólnie i będą razem pracować nad badaniami i podejmowanymi koniecznymi wysiłkami dla osiągnięcia szczęśliwego końca wydarzeń, zapoczątkowanych historycznym rozerwaniem się Pirenejów. Należy jeszcze skierować słowa uznania dla humanitarnej i politycznej postawy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, dzięki którym utrzymano na rozsądnym poziomie zaopatrzenie w paliwa, a także w produkty spożywcze, sprowadzane dotychczas z Europy w ramach umów unijnych. W sytuacji normalnej kwestie te zostałyby, oczywiście, załatwione poprzez odpowiednie kanały dyplomatyczne, jednakowoż w tak poważnych okolicznościach rząd, któremu przewodniczę, zdecydował, że natychmiast należy przedłożyć fakty całemu narodowi, dając tym samym wyraz ufności w godność Portugalczyków, którzy jednomyślnie, czemu dano już niejednokrotnie wyraz w przeszłości, poproszonych legalnie wybranych reprezentantów, okazując światu, że są narodem solidarnym i zdeterminowanym w szczególnie trudnej chwili swej historii, viva Portugal.

Czterej podróżni usłyszeli przemówienie już na przedmieściach Porto, weszli do kawiarni, w której podawano też lekkie posiłki, i zabawili tam wystarczająco długo, by zobaczyć w telewizji zdjęcia z wielkich manifestacji i akcji policyjnych, skóra cierpła na widok szlachetnych

młodzieńców dzierżących plakaty i transparenty, na których widniało znane nam zdanie. Dlaczego, pytał Pedro Orce, tak bardzo się nami martwią, na co José Anaięo odpowiedział, powtarzając bezwiednie, choć bardziej dobitnie, teżę premiera, Oni martwią się tylko o siebie, prawdopodobnie nie potrafiłby lepiej wyrazić swych myśli. Skończyli jeść i wyszli, tym razem pies zaakceptował resztki przyniesione mu przez Pedra Orce, i ruszyli przed siebie, znacznie wolniej, bo trudniej było dojrzeć przed sobą przewodnika, Joaquim Sassa odezwał się, Po przejechaniu przez most spróbujemy przekonać psa, żeby wszedł do samochodu, pojedzie z tyłu, na kolanach José i Joany, przez miasto nie możemy jechać tak, jak jechaliśmy dotychczas, a i on pewnie nie będzie chciał iść dalej w nocy.

Przewidywania okazały się trafne i spełniono życzenia Joaquima Sassy, gdy tylko pies zrozumiał, czego od niego chciano, wskoczył do samochodu, powoli, ciężko rozciągnął się na kolanach podróżników jadących na tylnym siedzeniu, złożył głowę na przedramieniu Joany Cardy, lecz nie zasnął, jechał z otwartymi oczyma, światła miasta przesuwwały się w nich niczym po powierzchni z czarnego kryształu. Prześpimy się u mnie, powiedział Joaquim Sassa, mam szerokie łóżko i wersalkę, na której zmieszczą się dwie osoby, jeśli nie są zbyt grube, jeden z nas trzech, mówił o mężczyznach, rzecz jasna, będzie musiał spać na krześle, wypada na mnie, bo jestem właścicielem domu, albo pójdę spać do pensjonatu, tu niedaleko. Pozostali nie odpowiedzieli, okazując w ten sposób, że się zgadzają, albo może dyskretnie postanowili zostawić na później drażliwą kwestię, teraz wyczuwało się w powietrzu napięcie, niezręczność, wydawało się, że Joaquim Sassa powiedział tak specjalnie, a był do tego zdolny, tylko po to, żeby się zabawić kosztem innych. Nie minęły jednak nawet dwie minuty, a Joana Carda już mówiła, My będziemy spali razem, rzeczywiście, świat się kończy, skoro kobiety przejmują inicjatywę tego rodzaju, dawniej istniały zasady, zaczynano zawsze od początku,

gorące i zaczepne spojrzenia ze strony mężczyzny, wstydlive spuszczenie wzroku kobiety, isynu- ujące spojrzenie spod rzęs, a potem, aż do pierwszego dotknięcia rąk, wiele rozmawiano, były listy, dasy, godzenia się, znaki chusteczką, dyplomatyczne kaszlnięcia, rzecz jasna finalny skutek był ten sam, panienska w łóżku na plecach, na niej galant, po ślubie albo i bez niego, lecz nigdy, przynigdy takie szaleństwo, ten brak szacunku w obliczu mającego już swoje lata mężczyzny, a jeszcze mówią, że Andaluzijki mają gorącą krew, popatrzcie na tę Portugal- kę, Pedrowi Orce jeszcze nigdy żadna kobieta nie powiedziała prosto w oczy, My będziemy spali razem. Lecz czasy niebywale się zmieniły, oj zmieniły się, jeśli Joaquim Sassa chciał się zabawić uczuciami innych, to wyszła mu poważna rozmowa, i być może Pedro Orce źle zrozumiał, słowo razem nie mówi się tak samo po kastylijsku i po portugal- sku. José Anaięo nie otworzył ust, co niby miałby powiedzieć, wyglądałoby dość głupio, uderzyć teraz w ton wielkiego podrywacza, a wypadłby jeszcze gorzej, gdyby wyraził swe zgorzenie, najlepszym wyjściem było milczenie, nie trzeba zbyt wiele się namyślać, żeby stwierdzić, że tylko Joana Carda mogła wypowiedzieć te słowa kompromisu, wyobraźmy sobie grubiaństwo, jakim byłoby wypowiedzenie przez niego tych słów, bez uprzedniego skonsultowania się z nią, a nawet gdyby ją spytał, czy się zgadza, są takie zachowania, które przystoją tylko kobiecie, wszystko zależy od okoliczności i od chwili, właśnie, od chwili, dokładnie tej sekundy pomiędzy dwoma innymi, które mogłyby doprowadzić do błędu i katastrofy. Na grzbiecie psa leżą razem dłonie Joany Cardy i José Anaięa, Joaquim Sassa przygląda im się dyskretnie we wstecznym lusterku, uśmiechają się, w sumie dowcip dobrze się zakończył, Ta Joana jest ostra, i Joaquim Sassa po raz kolejny odczuwa ukłucie zazdrości, ale wina, już wyznana, jest jego, sam powiedział, że nie wie, kogo kochać.

Mieszkanie nie jest pałacem, mała sypialnia, duży pokój, mniejszy, w którym stoi wersalka, kuchnia,

łazienka, oto mieszkanie osoby samotnej, a i tak ma szczęście, że nie musi błąkać się po wynajętych pokojach. Spizarnia jest pusta, ale apetyt zaspokojono na ostatnim postoju. Oglądają telewizję w oczekiwaniu na kolejne wiadomości, jak na razie nie zareagowały ministerstwa spraw zagranicznych europejskich państw, lecz żeby nie udawały, że nie zostały powiadomione, premier ponownie wystąpił w ostatnim dzienniku, Portugalczycy, całą resztę już znamy. Przed snem zwołano naradę wojenną, nie chodzi o to, że trzeba było podejmować jakiegokolwiek decyzje, należały one do psa drzemiącego u stóp Pedra Orce, ale by wszyscy wyrazili swoje przypuszczenia, Może koniec podróży jest właśnie tutaj, mówił Joaąuim Sassa, bardzo tym zainteresowany, Albo trochę dalej na północ, zgadzał się Jose Anaięo, myśląc O czymś zupełnie innym, Wydaje mi się, że trochę dalej na północ, dodała Joana Carda, myśląc o tym samym, ale to Pedro Orce podsumował wszystko najrozsądniej, Tylko on coś wie na ten temat, potem ziewnął i dodał, Chce mi się spać.

Teraz już nie trzeba było odbywać kontredansu propozycji, kto z kim będzie spał, Pedro Orce pomógł Joaąuimowi Sassie rozłożyć wersalkę, Joana Carda dyskretnie się usunęła, a Jose Anaięo został jeszcze przez chwilę, czuł się niezręcznie, udając, że sprawa nie ma z nim nic wspólnego, lecz serce waliło mu w piersi niczym werbel na alarm, rozbrzmiewało w brzuchu, trzęsło całym budynkiem aż do fundamentów, choć te wstrząsy w niczym nie są podobne do sejsmicznych, w końcu powiedział, Dobrej nocy, do jutra, 1 wyszedł, to prawda, że wielkość słów nigdy nie wspina się na poziom wymagany przez wielkość chwili. Sypialnia jest tuż obok, ma okno wychodzące na dach, dzięki czemu światło dnia gości w pokoju trochę dłużej, i nawet nie ma zasłon, zrozumiała jest ten rzekomy brak dyskrecji, mieszkanie należy do samotnej osoby, nawet gdyby Joaąuim Sassa miał perwersyjne skłonności, nie mógłby podglądać samego siebie, powiedzmy w tym miejscu, że byłoby

niezwykle zajmujące oraz wychowawcze podglądanie od czasu do czasu samych siebie, prawdopodobnie nie spodobalibyśmy się sobie. Tymi krasomówczymi wywodami nie chcemy insynuować, że Joaąuim Sassa i Pedro Orce chcą dopuścić się takiej dziecinady, lecz to okno, teraz jedynie duch okna, słabo widoczne w ciemności salonu, jest niepokojące, burzy krew, jakby to wszystko było jednym pomieszczeniem, jedną wielką sypialnią, jednym współzyciem, i Joaąuim Sassa, leżąc na plecach, nie chce myśleć, lecz unosi głowę z poduszki, aby wczuć się w atmosferę ciszy i lepiej słyszeć, ma wyschnięte usta, lecz dzielnie oddala od siebie pokusę udania się do kuchni, aby napić się wody i po drodze podsłuchać szepty. Pedro Orce był tak zmęczony, że zaraz zasnął, odwrócił się na bok, jedna ręka zwiesza się z łóżka i spoczywa na grzbiecie psa, który położył się obok niego, drżenie jednego jest drżeniem drugiego, sen być może jest ten sam. Z sypialni nie dobiega żaden szelest, żaden nieartykułowany dźwięk, nawet westchnięcie, zduszony jęk, Co za cisza, myśli Joaąuim Sassa, i wydaje mu się to dziwne, nawet on nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia jest to dziwne, ani się nie dowie, ani nigdy sobie nie wyobrazi, bo te sprawy zwykle objęte są tajemnicą przez tych, którzy je przeżyli, Jose Anaię wszedł w Joane Cardę i ona go przyjęła, bez żadnego ruchu, on twardy, ona łagodna, i tak zostali, palce ściskające palce, usta wpijają się w siebie w ciszy, podczas gdy wstrząsała nimi gwałtowna fala, bezszelestnie, aż do ostatniego drgnienia, do ostatniej miękkiej kropli, powiedzmy to w ten sposób, dyskretnie, aby nie oskarżono nas o nieumiarkowane wplatanie scen kopulacji, okropne to słowo, całe szczęście, że popada w zapomnienie. Nazajutrz, kiedy Joaąuim Sassa się obudzi, pomyśli, że tych dwoje miało dość cierpliwości, by zaczekać, Bóg jeden wie, jakim kosztem, o ile Bóg cokolwiek wie o tych sublimacjach ciała, poczekali, aż ci obok zasną, myli się, bo dokładnie w chwili, kiedy on zasypiał, Joana Carda po raz drugi przyjęła Jose Anaię, teraz nie będą już tak cisi jak

poprzednio, pewne wyczyny są niepowtarzalne, Już pewnie śpia, powiedziało jedno z nich, i w ten sposób ciała mogły się rozluźnić, bo na to zasłużyły.

Pedro Orce obudził się jako pierwszy, przez cienką szparę w oknie dotknął jego zmęczonych ust szary palec poranka, śnił wtedy, że całuje go jakaś kobieta, ach jakże walczył

O to, by sen się utrzymał i trwał, lecz oczy się otworzyły i usta były suche, żadne inne usta nie zostawiły na jego wargach prawdziwej śliny, żywej wilgoci. Pies uniósł łeb, wsparł się na łapach i w gęstym półmroku pokoju wlepił spojrzenie w Pedra Orce, nie można było odkryć, skąd docierało światło odbijające się w jego źrenicach. Pedro Orce pogładził zwierzę, a ono jeden jedyny raz polizało jego chudą dłoń. Te ruchy obudziły Joaquina Sassa, początkowo nie mógł on rozpoznać miejsca, w którym się znajdował, choć było to jego własne mieszkanie, czyżby to z powodu łóżka, w którym rzadko sypiał, i towarzystwa, jakie w nim zastał. Leżąc na plecach, z łbem psa na piersi, Pedro Orce powiedział, Zaczyna się kolejny dzień, co też nam przyniesie, a Joaquim Sassa, Może on zmienił zdanie, może po przespaniu się zgubił kierunek, często się to zdarza, ludzie idą spać i to wystarczy, żeby wszystko zmienić, jesteście tacy sami, a siebie nie rozpoznajemy. W tym wypadku nie wyglądali na zmienionych. Pies całkowicie wstał, wielki, przysadzisty, i podszedł do zamkniętych drzwi. Widać było jego rozmazany zarys, kształt, błysk ślepi, Czekają na nas, powiedział Joaquim Sassa, lepiej go zawołać, jeszcze jest za wcześnie. Pies przyszedł na zawołanie Pedra Orce, położył się potulnie, obaj mężczyźni rozmawiali teraz po cichu, mówił Joaquim Sassa, Wezmę z banku pieniądze, nie ma tego za dużo, i trochę pożyczę, A kiedy one się skończą, Może przygoda się skończy, zanim skończą się pieniądze, Nie wiemy, co nas czeka, Jakoś przeżyjemy, jeśli będzie trzeba, możemy nawet kraść, słowa te wypowiedział Joaquim Sassa ze śmiechem. Jednak może nie trzeba będzie się uciekać do tak ekstremalnych i nielegalnych środków, tutaj, w Porto,

także Jose Anaięo uda się do banku, w którym przechowuje swe oszczędności, Pedro Orce przywiózł wszystkie pesety, jakie miał, o Joanie Cardzie nic nie wiemy, nic konkretnego o jej środkach, przynajmniej już mieliśmy okazję stwierdzić, że nie jest kobietą żyjącą z łaski lub na koszt mężczyzny. Wątpliwe jest to, że cała czwórka znajdzie jakąś pracę, wszak praca wymaga stałości, stabilizacji, stałego miejsca zamieszkania, podczas gdy ich najbliższym przeznaczeniem jest podążanie tropem psa, który, miejmy nadzieję, wie cokolwiek o własnym przeznaczeniu, lecz nie są to czasy, w jakich zwierzęta, ponieważ mówią, mogłyby powiedzieć, dokąd chciałyby pójść, gdyby nie brakowało im strun głosowych.

W pokoju obok spali zmęczeni kochankowie, przytuleni do siebie, cud to, który, niestety, nie może trwać wiecznie, i rzecz to naturalna, ciało jest tym ciałem, a nie innym, ciało ma początek i koniec, zaczyna się skóra i na niej się kończy, co znajduje się w środku, należy do niego, ale potrzebuje spokoju, niezależności, autonomii działania, spanie w objęciach wymaga harmonijnego dopasowania się, które bywa zakłócanie przez sen każdego z kochanków, budzi się ze zdrętwiałą ręką, z łokciem wbitym pod żebro, i wtedy mówimy po cichu, siłac się na możliwie wielką czułość, Kochanie, posuń się trochę. Spia zmęczeni Joana Carda i Jose Anaięo, którzy w środku nocy złączyli się po raz trzeci, są jeszcze na początku, dlatego przestrzegają dobrej zasady nieodmawiania ciału tego, czego ciało, z sobie znanych przyczyn, się domaga. Poruszając się z największą ostrożnością, Joaquim Sassa i Pedro Orce wyszli z psem, poszli po jedzenie na śniadanie, Joaquim Sassa nazywa je z francuska pequeno-almoço, Pedro Orce desayuno, lecz wspólny apetyt pogodzi kwestie lingwistyczne. Kiedy wróca, Joana Carda i Jose Anaięo będą już na nogach, słyszymy ich w łazience, splywa woda z prysznica, oboje są szczęśliwi i są wielkimi piechurami, bo w tak krótkim czasie zdołali tak wiele przejść.

Przed wyruszeniem w podróż, jeszcze w domu, we czwórkę wpatrywali się w psa, z niezdecydowaniem na twarzach, jakby czekając na rozkazy, wąpili zarówno w tego, co je wydaje, jak i w sens ich słuchania. Miejmy nadzieję, że zawierzy nam przy wyjeżdżaniu z Porto, jak zawierzył przy wjeżdżaniu, powiedział Joaquim Sassa, i pozostali zrozumieli powód poczynionej obserwacji, proszę sobie wyobrazić, że psu Wiernemu, wiernemu urojeniu, że musi kierować się na północ, przysłoby do głowy tutaj, w mieście, ruszyć ulicami jednokierunkowymi, gdzie północ byłaby dokładnie w przeciwnym kierunku, nie zabrakłoby konfliktów z policją, wypadków, korków, przy całej ludności Porto zebranej, żeby naśmiewać się z widowiska. Lecz ten pies nie jest byle jakim kundlem, o ojcostwie nieznanym lub skrywanym, jego drzewo genealogiczne sięga korzeniami piekła, które to, jak wiemy, jest miejscem gromadzenia całej wiedzy, starożytnej, która już tam jest, nowoczesnej i przyszłej, które podąża tym samym śladem. Dlatego, albo dlatego że Pedro Orce powtórzył sztukę magiczną szeptania mu na ucho słów, których jak dotąd nie udało nam się poznać, pies wskoczył do samochodu najspokojniej w świecie, jak zwierzę przez całe życie podróżujące samochodem. Lecz, uwaga, tym razem nie złożył łba na przedramieniu Joany Cardy, zachowuje czujność, podczas gdy Joaquim Sassa prowadzi Dwa Konie krętymi uliczkami miasta, biegnącymi we wszystkich kierunkach, człowiek zwracający na takie rzeczy uwagę, widząc ich, powiedziałby, Jada na południe, po chwili dodałby, Jada na zachód, albo, Jada na wschód, a to kierunki główne, gdybyśmy wspomnieli kierunki całej ręki wiatrów, nie wyjechalibyśmy z Porto i z zamieszania.

Istnieje umowa pomiędzy tym psem i tymi ludźmi, cztery istoty racjonalne zdecydowały się zawierzyć zwierzęcemu instynktowi, chyba że wszyscy oni są przyciągani przez magnes umieszczony na północy albo wleczeni na drugim końcu niebieskiej nitki, bliźniaczej do tej, której pies nie wypuszcza z pyska. Wyjechali z miasta,

wiadomo, że droga, pomimo zakrętów, prowadzi w słusznym kierunku, pies daje znaki, że chce wysiąść, otwierają mu drzwi i on wyskakuje, ożywiony nocnym odpoczynkiem i obfitym jedzeniem, jakie zaserwowano mu w domu. Bieży szybkim krokiem, Dwa Konie rażno mu towarzyszy, nie musi gryźć wędzidła z niecierpliwości. Teraz droga nie biegnie nad morzem, znajduje się w głębi łądu, tylko dlatego nie widzimy plaży, na której Joaąim Sassa wykazał się siłą większą, niż kiedykolwiek miał Samson. Sam to powiedział, Szkoda, że pies nie chce iść nad brzegiem, pokazałbym wam miejsce, gdzie przytrafiła mi się ta historia z kamieniem, nawet biblijny Samson nie byłby w stanie zrobić tego co ja, ale powinien skromnie zamilknąć, większym cudem był i nadal jest wyczyn Joany Cardy, dokonany na polach Ereiry, bardziej enigmatyczne jest drżenie odczuwane przez Pedra Orce, a skoro tutaj na ziemi naszym przewodnikiem jest pies, to powiemy o tysiącach szpaków, które przez tyle czasu towarzyszyły José Anaiçowi i zostawiły go dopiero w momencie, kiedy zaczęli następną podróż.

Droga wznosi się, opada, po czym znowu się wznosi, ciągle jadą pod górę, a kiedy droga opada, to tylko po to, żeby przez chwilę odpoczęli, nie są zbyt wysokie te góry, ale męczą serce Dwóch Koni, odsapującego na zjazdach, pies dumnie idzie przodem. Zatrzymali się na obiad w małym barze przy drodze, pies znowu zniknął, żeby zatroszczyć się o własną strawę, a kiedy wrócił, miał krew na pysku, ale powód już znamy, nie ma żadnej tajemnicy, jeśli nie masz nikogo, kto ci napełni miskę, zaspokój głód tym, co znajdziesz. Znowu w drodze, ciągle na północ, w pewnym momencie José Anaiço powiedział, zwracając się do Pedra Orce, Jak tak dalej pójdzie, to wjedziemy do Hiszpanii, wrócimy do twego kraju, Moim krajem jest Andalużja, Kraj i państwo to to samo, Nie to samo, możemy nie znać naszego państwa, ale znać nasz kraj, Byłeś już kiedyś w Galicji, Nigdy tam nie byłem, Galicia to inny kraj.

Zobaczmy, czy tam wjadą, bo tej nocy jeszcze będą

spali w Portugalii. Joana Carda i José Anaięo zameldowali się w pensjonacie jako mąż i żona, dla oszczędności zostaną w jednym pokoju Pedro Orce i Joaquim Sassa, a pies musiał iść spać z Dwoma Końmi, pies o tak okazałych rozmiarach wzbudzał strach we właścicielce, Nie chcę w domu potworów tego rodzaju, niech zostanie na ulicy, to jest dobry salon dla psów, jeszcze mi pcheł naniesie, Ten pies nie ma pcheł, zaprotestowała Joana Carda, bezskutecznie, bo nie to było najważniejsze. W środku nocy Pedro Orce wstał z łóżka, przekonany, że drzwi na ulicę nie będą zamknięte na klucz, i rzeczywiście nie były, przez dwie godziny spał w samochodzie, przytulony do psa, kiedy nie można zostać kochankiem, tym razem z powodu oczywistych przeszkód natury biologicznej, trzeba się zaprzyjaźnić. Wydało się Pedro Orce, kiedy wsiadł do samochodu, że pies zaskamlał cichutko, ale musiało to być złudzenie, jak to zwykle, kiedy bardzo czegoś pragniemy, mądre ciało okazuje nam litość, samo udaje, że zaspokaja pragnienia, sny są tym samym, a co myślicie, Gdyby tak nie było, to, powiedzcie sami, jakbyśmy wytrzymali to życie, komentarz wygłosił nieznajomy głos, który od czasu do czasu się odzywa.

Kiedy Pedro Orce wrócił do pokoju, pies poszedł za nim, ale ponieważ zabroniono mu wchodzić do budynku, położył się przed wejściem i tam pozostał, nie istnieją słowa mogące opisać przerażenie i wrzaski w pierwszych promieniach wstającego słońca, będąca porannym ptaszkiem właścicielka pensjonatu wyszła zainauguować kolejny dzień pracy, otworzyła drzwi na świeży poranek, a z wycieraczki powstał lew nemejski, o skrwawionej paszczy, było to zaledwie ziewnięcie kogoś, kto jeszcze nie spał, ale nie można ufać nawet ziewnięciom, kiedy okazują wspaniałe zęby i jęzor, który z racji czerwonej barwy zdaje się zakrwawiony. Harmider wszczął się taki, że wyjazd gości więcej miał z wyrzucenia niż z pokojowego wycofania się, Dwa Konie już jechał w Oddali, niemal niknął na zakręcie, a jeszcze właścicielka pensjonatu przeklinała na progu milczące zwierzę, bo takie są

najgorsze, jeśli wierzyć w to, co się mówi, że Pies, który szczeka, nie gryzie, to prawda, że ten jeszcze nie ugryzł, ale gdyby moc szczęk była powodem jego milczenia, Boże, chroń nas przed taką bestią. Podróżni jadą dalej, śmiejąc się ze zdarzenia, Joana Carda przez kobiecą solidarność stwierdziła, Gdybym to ja była na miejscu tej kobieciny, też bym się przeraziła, a wy nie udawajcie odważnych, przede wszystkim nie bądźcie odważni z obowiązku, trafiła tym zdaniem w sedno, każdy z mężczyzn zważył, w tajemnicy, własne tchórzostwa, najbardziej interesującym przypadkiem był ten Jose Anaię, z którego postanowił się zwierzyć Joanie Cardzie przy pierwszej okazji, kiepsko jest z miłością, jeśli nie mówi wszystkiego, najgorzej jest, kiedy miłość się kończy, żałuje wtedy wyznający, a nierzadko ta druga osoba nadużywa zaufania, niech Joana Carda i Jose Anaię się postarają, żeby tym razem tak nie było.

Granica już jest niedaleko. Podróżni tak bardzo byli przyzwyczajeni do biegłości wywiadowczej przewodnika, że nie zwrócili uwagi na żwawość, bez cienia wahania czy rozważnej ostrożności, z jaką Wierny, albo Pilot, jedno z tych albo innych imion trzeba mu będzie kiedyś nadać, wybiera drogę na rozstajach. Nawet gdyby przebiegły zwierz przebył już tę drogę z północy na południe, a pewności w tej kwestii nikt nie może mieć, doświadczenie na niewiele by mu się zdało, jeśli wspomnimy różnice punktów widzenia, do której, co szczęśliwie nie jest nam obce, wszystko się sprowadza. To prawda, że ludzie na co dzień obcuja z cudami, lecz O cudach nie wiedzą nawet połowy, a w sprawie znanej im, bardziej powszechnej połowy, najczęściej się mylą, przede wszystkim dlatego, że chcą na siłę, jak Bóg Nasz Pan, aby ten i inne światy zostały stworzone na nasze podobieństwo, a tak naprawdę niezbyt istotne jest to, kto je stworzył. Instynkt prowadzi tego psa, lecz nie wiemy kto albo co prowadzi instynkt, a jeśli któregoś dnia dostaniemy jakieś wyjaśnienie na temat tego dziwnego przypadku, jest wielce prawdopodobne, że będzie ono tylko pozornym wyjaśnieniem, chyba że dostarczy się nam

wyjaśnienie wyjaśnienia

I tak dalej, i tak dalej, aż do chwili, kiedy nie będzie nic do wyjaśniania w tym, co wyjaśnione, poza tym będzie już pewnie tylko chaos, ale nie mówimy tu o tworzeniu wszechświata, o tym nie mamy zielonego pojęcia, chodzi nam tylko o psy.

I o ludzi. O tych, którzy jadą za psem w kierunku granicy, która jest już blisko. Przed wieczorem wyjadą z ziem Portugalii i nagle, być może z powodu zbliżającego się zmierzchu, zdają sobie sprawę z tego, że pies zniknął, i zniemacka zostają niczym dzieci, które zgubiły się w lesie, co teraz zrobimy, Joaquim Sassa wykorzystuje moment, aby pogardzić psią wiernością, na szczęście Pedro Orce ma doświadczenie nabyte przez lata swej spokojnej egzystencji, Prawdopodobnie przepłynął przez rzekę i czeka na nas po drugiej stronie, gdyby ludzie rzeczywiście zwracali uwagę na kwestię wartościowości pierwiastków, łączącą egzystencję z chemią, zaraz by stwierdzili, chodzi nam o Jose Anaię i Joaquina Sasse, że tok myślenia psa może być zbliżony do toku myślenia tysiąca szpaków, jeśli Wiemy przybył z północy i przeszedł przez to przejście graniczne, może nie chciał powtórzyć doświadczenia, bez obroży ani kagańca, może podejrzewano go o wściekliznę, może strzelano do niego.

Strażnicy graniczni od niechcienia przeglądają dokumenty, każą przejeżdżać, widać, że praca nie ciąży zbyt tym funkcjonariuszom, to prawda, że ludzie, co już mieliśmy okazję stwierdzić, dużo podróżują, ale póki co wewnątrz granic, wygląda na to, że obawiają się zgubić poza swym większym domem, którym jest kraj, nawet porzuciwszy swój mały domek, ten, w którym prowadzili własne nędzne życie. Po drugiej stronie rzeki Minho panuje takie samo znużenie, widać zaledwie przeblysk zainteresowania ze względu na to, że towarzyszy tym Portugalczykom Hiszpan o pokolenie od nich starszy, gdybyśmy znajdowali się w okresie większego nasilenia ruchu, nawet na to nie zwrócono by uwagi. Joaquim Sassa przejechał kilometr i zatrzymał Dwa Konie na

poboczu, Poczekamy tutaj, jeśli pies, jak mówi Pedro, wie, co robi, przyjdzie tu po nas. Nie mieli nawet czasu na to, by stracić cierpliwość. Dziesięć minut później pies pojawił się przed maską samochodu, jeszcze z mokrą sierścią. Pedro Orce miał rację, a my, gdybyśmy nie byli trochę niedowiarkami, zostalibyśmy na brzegu rzeki, żeby przyglądać się odważnemu przepłynięciu, które z wielką przyjemnością byśmy opisali, zamiast banalnego przejścia przez punkt graniczny, ze strażnikami, którym tylko zmieniają się mundury, Proszę przejeżdżać, oto do czego zredukowane zostało to wydarzenie, nawet przebłysk zainteresowania był zaledwie mizernym wymysłem, aby ubarwić zagadnienie.

Inne, ciekawsze pomysły pojawiają się teraz, aby ubarwić resztę podróży, z dwiema nocami i dwoma dniami pomiędzy, noce przesypiane w wiejskich pensjonatach, dni spędzane na starych drogach, zawsze prowadzących na północ, ziemie Galicji i mgły, z mżawką zwiastującą jesień, tylko tyle ma się ochotę powiedzieć i nie trzeba było niczego wymyślać. Więcej można by powiedzieć o nocnych uściskach Joany Cardy i Jose Anaiea, o przerywanej insomnii Joa- quima Sassy, o dłoni Pedra Orce na grzbiecie psa, tutaj pozwolono wpuszczać psa do pokojów. A dni na szosie, w kierunku horyzontu, który nie pozwala się do siebie zbliżyć. Joaquim Sassa ponownie powiedział, że wszystko to jest szaleństwem, jechać za głupim psem na koniec świata, nie wiedząc dlaczego i po co, na co Pedro Orce odparł oschle i drażliwie, Na koniec świata nie dojedziemy, wcześniej dojedziemy do morza. Widać, że pies idzie już zmęczony, zwiesił głowę, zwiśla mu flaga ogona, a poduszeczki łap, pomimo grubej skóry, pewnie bardzo bołą od szurania po ziemi i kamieniach, wieczorem Pedro Orce pójdzie je obejrzeć i zobaczy krwawiące otarcia, nic dziwnego, że tak szorstko odpowiedział Joaquimowi Sassy, który przygląda się z boku i mówi, jakby próbował się usprawiedliwić, Trochę wody utlenionej dobrze by mu zrobiło, jest to jak uczenie księdza pacierza, Pedro Orce zna się na sztuce

farmakologii, nie potrzebuje porad. Jednakowoż ta odrobina wystarczyła, by zawrzeć pokój.

W okolicy Santiago de Compostela pies skręcił na północny zachód. Pewnie był już blisko miejsca przeznaczenia, znać to po wigorze, jaki w niego wstąpił, po napiętych mięśniach, po tym jak podniósł łeb, po sztywności ogona. Joaquim Sassa musiał przyspieszyć odrobinę, aby utrzymać się w pobliżu, a ponieważ zbliżyli się tak bardzo, że niemal dotykali zwierzęcia, Joana Carda zawołała, Zobaczcie, zobaczcie tę niebieską nitkę. Wszyscy zobaczyli. Nitka nie wydaje się taka sama. Tamta z powodu brudu mogła być uznana za czarną albo brunatną, a ta błyszczy swym naturalnymi kolorem, błękitem ni to nieba, ni to morza, któż ją tak zafarbował i pozwijał, kto wyprał, jeśli była to ta sama osoba, i ponownie umieścił w pysku psa, mówiąc, Idź. Szosa stała się wąska, to niemal ścieżka obiegająca wzgórze. Słońce schodzi do morza, którego stąd jeszcze nie widać, natura jest mistrzynią komponowania odpowiednich spektakli dla stosownych okoliczności, jeszcze tego samego poranka i popołudniem niebo było zasnuwane chmurami i smutne, wokoło panowała galisyjska melancholia, a teraz złociste światło rozlewa się po polach, pies jest niczym lśniący klejnot, złote zwierzę. Nawet Dwa Konie nie wydaje się tym samym, znanym nam sfatygowanym samochodem, a w środku wszyscy pasażerowie są pięknymi postaciami, światło pada na nich od przodu i jada jak ludzie szczęśliwi. Jose

Anaięo spogląda na Joanę Cardę i przebiega go dreszcz od tego, jaka jest piękna, Joaquim Sassa zmienia położenie lusterka, żeby zobaczyć własne, błyszczące oczy, a Pedro Orce przygląda się własnym, starym dłoniom, nie są stare, nie, przeszły alchemiczny zabieg, stały się nieśmiertelne, nawet jeśli reszta jego ciała musi umrzeć.

Nagle pies się zatrzymuje. Słońce ociera się o szczyty wzgórz, wyczuwa się morze po ich drugiej stronie. Droga wije się w dół, dwa zbocza zdają się ją ścisnąć w dole, ale to złudzenie oczu i odległości. Z przodu, w połowie zbocza

stoi duży dom, prosty, wygląda na opuszczony, stary, pomimo że pola wokół niego są uprawiane. Część domu znajduje się już w cieniu, światło słabnie, cały świat zdaje się pogrążyć w omdleniu i samotności. Joaauim Sassa zatrzymał samochód. Wszyscy wysiedli. Słysząc ciszę, drży niczym ostatnie echo, może to tylko odległe uderzenie fal o skały, to zawsze najlepsze wyjaśnienie, nawet we wnętrzu muszli rozbrzmiewa nieskończone wspomnienie fal, jednakże to nie ten przypadek, tutaj słysząc ciszę, nikt nie powinien umrzeć, nie usłyszawszy jej, ciszy, słyszałeś ją, no to możesz iść, już wiesz, jaka jest. Lecz ten czas nie nadszedł jeszcze dla nikogo z tej czwórki. Wiedzą, że ich przeznaczeniem jest ten dom, tutaj przywiódł ich cudowny pies, nieruchomy teraz niczym posąg, czeka. Jose Anaię stoi obok Joany Cardy, ale jej nie dotyka, rozumie, że nie powinien jej dotykać, ona też to rozumie, zdarzają się chwile, w których nawet miłość powinna pojąć, jak nikle jest jej znaczenie, proszę wybaczyć, że tak degradujemy największe z uczuć, podczas gdy w innych sytuacjach jest ono niemal wszystkim. Pedro Orce jako ostatni wysiadł z samochodu, stawia nogi na ziemi i czuje jej drżenie z przerażającą intensywnością, tutaj połamałyby się wszystkie igły sejsmografów, i te doliny zdają się falować w rytm fal, które na morzu zwalają się jedna na drugą, popychane przez kamienną tratwę półwyspu, rzucające się na nią z mocą silnych prądów, które przecinamy.

Słońce się schowało. Wtedy niebieska nić zafalowała w powietrzu, niemal przezroczysta, jakby poszukiwała oparcia, otarła się o dłonie i twarze, Joaauim Sassa chwycił ją, czy był to przypadek, czy było to przeznaczenie, pozwólmy pozostać tym hipotezom bez odpowiedzi, choć tyle mamy powodów, by nie wierzyć ani w jedno, ani w drugie, i cóż teraz zrobi Joaauim Sassa, nie może wejść do samochodu, z dłonią na zewnątrz, trzymającą i podążającą za nitką unoszoną wiatrem, biegnącą wzdłuż drogi, Co mam z tym zrobić, zapytał, ale pozostali nie potrafili odpowiedzieć, pies tak, zszedł z

drogi i zaczął schodzić w dół łagodnego zbocza, Joaquim Sassa udał się za nim, jego uniesiona dłoń podążała za niebieską nitką, jakby dotykał skrzydła albo piersi ptaka nad swoją głową. Jose Anaię wrócił do samochodu z Joaną Cardą i Pedrem Orce, zapalili silnik i powoli, nie spuszczać oczu z Joaquina Sassy, ruszyli drogą w dół, nie chcieli przyjechać przed nim, ale dużo później też nie, możliwa harmonia zdarzeń zależy od równowagi i czasu ich zajścia, nie za wcześnie, nie za późno, dlatego tak trudno nam osiągnąć stan doskonałości.

Kiedy zatrzymali się na podwórku domu, Joaquim Sassa znajdował się o dziesięć kroków od drzwi, które były otwarte. Pies wydał z siebie westchnienie, które zdawało się ludzkie, i położył się, kładąc łeb na łapach. Pazurami wydrapał z pyska kawałek nitki, strząsnął go na ziemię. Z ciemnego wnętrza domu wyszła kobieta. Miała w dłoniach nitkę, taką samą jak ta, którą dalej trzymał w dłoniach Joaquim Sassa. Kobieta zeszła z jednego stopnia przed drzwiami, Wejdźcie, na pewno jesteście zmęczeni, powiedziała. Joaquim Sassa ruszył pierwszy, miał zawiniętą wokół nadgarstka końcówkę niebieskiej nitki.

Któregoś dnia, opowiadała Maria Guavaira, mniej więcej o tej samej porze, przed zapadnięciem zmroku, pojawił się pies, wyglądał, jakby przyszedł z bardzo daleka, miał brudną sierść, z łap płynęła mu krew, przyszedł i uderzył łbem w drzwi, a kiedy poszłam otworzyć, myśląc, że to jeden z tych żebraków, co to chodzą z wioski do wioski, wała w drzwi kosturem i mówią, Jałmużna dla biednego, droga pani, zobaczyłam psa, dyszał, jakby przebiegł przez cały świat, a krew plamiła ziemię pod łapami, najdziwniejsze w tym wszystkim było jednak to, że się nie przestraszyłam, a było czego, jak się nie wie, jaki on jest spokojny, myśli się, że to najstraszliwsza z bestii, biedaczek, jak tylko mnie zobaczył, wsunął mi łeb pod rękę, jakby tylko na mnie czekał, żeby odpocząć, i zdawało się, że płacze, jak ktoś, kto chciałby coś powiedzieć, ale nie potrafi, przez cały czas, który tu był, nigdy nie słyszałam, żeby szczełał, Z nami jest od sześciu dni i też

jeszcze ani razu nie zaszczekał, odezwała się Joana Carda, Zabrałam go do domu, podleczyłam, nie jest to pies włóczęga, widać to po sierści i widać, że właściciele dobrze o niego dbali, żeby zobaczyć różnicę, wystarczy porównać go z psami galisyjskimi, które rodzą się zagłodzone i zdychają zagłodzone, po pełnym głodu życiu, a traktuje się je kijem i kamieniami, dlatego galisyjski pies nie jest w stanie unieść ogona, podkula go pod siebie w nadziei, że nikt go nie zauważy, w zamian gryzie, kiedy tylko może, Ten nie gryzie, powiedział Pedro Orce, Pewnie nigdy się nie dowiemy, skąd przyszedł, wtrącił się Jose Anaięo, i może nie ma to wielkiego znaczenia, intryguje mnie tylko, że poszedł po nas i nas tu przyprowadził, trudno nie zadać sobie pytania po co, Nie wiem, wiem tylko, że pewnego dnia oderwał zębami kawałek nitki, popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć, Nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę, i ruszył w górę zbocza, którym teraz zszedł na dół, Co to za nitka, zapytał Joaąuim Sassa, zawijając i odwijając na nadgarstku końcówkę włóczki, jeszcze łączącej go z Marią Guavaira, Też bym chciała wiedzieć, odpowiedziała, zwijając nitkę palcami i w ten sposób naprężając ją niczym cieniutką gitarową strunę, ale zdawało się, że ani on, ani ona nie zwracali uwagi na to, że byli ze sobą związani, ale pozostali owszem, przyglądali się, myśli swe zachowując dla siebie, choć nie tak trudno ich się domyślić, Ja tylko sprułam starą skarpetkę, z tych, co to służyły do przechowywania pieniędzy, ale ze sprutej skarpetki powinnam zyskać garść wełny, a ta tutaj pochodzi pewnie ze stu owiec, a jak ktoś mówi sto, mówi sto tysięcy, jak to wyjaśnić, Za mną przez kilka dni latało dwa tysiące szpaków, powiedział Jose Anaięo, Rzuciłem do morza kamień, który ważył mniej więcej tyle co ja, a upadł bardzo daleko, dodał Joaąuim Sassa, zdając sobie sprawę z tego, że przesadza, a Pedro Orce dodał tylko, Ziemia drży, tak jak drżała.

Maria Guavaira wstała, żeby otworzyć drzwi, powiedziała, Popatrzcie, Joaąuim Sassa stał obok niej, ale nitka go nie pociągnęła, i zobaczyli niebieską chmurę o

kolorze ciemniejącym niemal aż do czerni w środku, kiedy zostawiam otwarte drzwi, zawsze wymykają się stamtąd końcówki, takie jak ta, co to przed chwilą poleciała do drogi i pana tu przywiodła, powiedziała Maria Guavaira do Joaquina Sassy i kuchnia, w której wszyscy się zgromadzili, jakby opustoszała, stało tam tylko tych dwoje, złączonych niebieską nitką, i niebieska chmura, która zdawała się oddychać, słychać było strzelanie drew w kominku, a na palenisku kipiała zupa z kapusty i żeberek.

Nie mogą Joaquim Sassa i Maria Guavaira stać tak ze sobą złączeni dłużej, niż potrzeba, by pozbyć się wątpliwości co do uczucia połączenia, dlatego ona zwija całą nitkę, docierając do jego nadgarstka, odwija go, jakby w niewidzialny sposób ponownie go oplatała, po czym chowa mały kłębek na piersi, co do znaczenia tego gestu, tylko głupiec miałby wątpliwości, ale musiałby być rzeczywiście wielkim głupcem, by je mieć. Jose Anaíeo odsunął się od parzącego ognia, Choć wydaje się to absurdalne, w końcu uwierzyliśmy, że istnieje związek pomiędzy tym, co nam się przytrafiło, i oddzieleniem się Hiszpanii i Portugalii od Europy, na pewno pani słyszała, Słyszałam, ale w tych okolicach nikt niczego nie zauważył, jeśli przeskoczmy przez te góry i zejdziemy na wybrzeże, zobaczymy, że morze jest takie samo, Pokazywali to w telewizji, Nie mam telewizora, Radio podawało wiadomości, Wiadomości to słowa, nigdy tak do końca nie wiadomo, czy słowa to wiadomości.

Po tym sceptycznym wyroku rozmowa zamilkła na kilka minut, Maria Guavaira poszła po miseczki do kredensu, nałała do nich zupy, przedostatnia była przeznaczona dla Joaquina Sassy, ostatnia dla niej samej, nagle wydało się wszystkim, że zabraknie jednej łyżki, ale nie, wystarczyło dla wszystkich, dlatego Maria Guavaira nie musiała czekać, aż Joaquim Sassa skończy jeść. Wtedy on zapragnął się dowiedzieć, czy ona mieszka sama, bo do tej chwili nie pojawiły się w domu inne osoby, i ona odpowiedziała, że od trzech lat jest wdową, że

czasem przychodzą robotnicy uprawiać ziemię, Żyję pomiędzy morzem i górami, bez dzieci ani żadnej innej rodziny, moi bracia wyemigrowali do Argentyny, ojciec umarł, matka zwariowała i jest w La Coruni, pewnie nie ma na świecie wielu ludzi bardziej samotnych ode mnie, Mogła pani wyjść za mąż drugi raz, zauważyła Joana Carda, ale zaraz pożałowała tych słów, nie miała prawa mówić takich rzeczy, ona, która kilka dni wcześniej zerwała z mężem i już miała następnego mężczyznę, Byłam zmęczona, a kobieta w moim wieku, jeśli wychodzi za mąż po raz drugi, to tylko przez wzgląd na posiadaną ziemię, mężczyźni żenią się z ziemią, nie z kobietą, Jeszcze jest pani młoda, Byłam młoda i ledwie już pamiętam te czasy, a powiedziawszy to, nachyliła się nad kominkiem, żeby ogień lepiej ją oświetlił, patrzył Joaquim Sassa ponad ogniem i zdawało się, że ona do niego mówi, Oto jaka jestem, dobrze mi się przypatrz, przyszedłeś do moich drzwi, prowadzony nitką, którą trzymałam w ręku, mogę, jeśli będę chciała, pociągnąć cię do mego łóżka, i ty przyjdiesz, jestem tego pewna, ale piękna nigdy nie będę, chyba że ty przemienisz mnie w najpiękniejszą kobietę, jaka kiedykolwiek istniała, tylko mężczyźni mogą zrobić coś takiego i robią to, szkoda, że nie może to trwać wiecznie.

Joaquim Sassa przyglądał jej się z drugiej strony ognia i stwierdził, że tańczące płomienie stopniowo zmieniają jej twarz, raz żłobiąc rysy, potem wygładzając cienie, jednak blask ciemnych oczu pozostawał niezmienny, może tylko zwisająca z rzęs łza stała się źródłem czystego światła, Nie jest piękna, pomyślał, ale też nie jest brzydka, ma zmęczone i zniszczone dłonie, nie można ich porównać z moimi, z dłońmi pracownika biurowego podczas płatnych ferii, a tak à propos, jutro, jeśli nie pomyliłem się w obliczeniach, jest ostatni dzień miesiąca, pojutrze muszę wrócić do pracy, ale nie, tak nie może być, jakbym mógł tu zostawić José i Joannę, Pedra i Psa, nie mają powodów, by wracać ze mną, a jeśli zabiorę Dwa Konie, będą mieli duży problem, żeby wrócić do

domu, ale prawdopodobnie i tak tego nie chcą, jedyną prawdziwą rzeczą, jak istnieje w tej chwili na powierzchni ziemi, jest to, że jesteśmy teraz tutaj, razem, Joana Carda i José Anaięo, rozmawiający po cichu, może o wspólnym życiu, może o życiu każdego z nich, Pedro Orce z dłonią na głowie Pilota, pewnie mierzą wibracje i wstrząsy, których nikt inny nie czuje, podczas gdy ja ciągle patrzę na Marię Guavaire, która patrzy tak, jakby nie patrzyła, ale pokazywała oczy, ubiera się na czarno, wdowa, której wdowieństwo zostało już złagodzone przez czas, ale jeszcze jest czernione przez przyzwyczajenie i tradycję, na szczęście błyszczą jej oczy, a tam oto jest błękitna chmura, która zdaje się nie należeć do tego domu, włosy ma brązowe i okrągłą brodę, i pełne usta, i zęby, jeszcze przed chwilą je widziałem, są białe, dzięki Bogu, jednak ta kobieta jest piękna, a ja tego nie zauważyłem, byłem z nią związany i nie wiedziałem z kim, muszę zdecydować, czy wracam, czy zostaję tutaj, nawet jeśli wrócę do pracy za kilka dni, będę usprawiedliwiony, w tym całym zamieszaniu nikt nie będzie zwracał uwagi na spóźnienia pracowników biura, można wykręcić się problemami z transportem, teraz stała się przeciętna, teraz ładniejsza, a teraz, teraz przy Marii Guavaire Joana Carda okazuje się nic nie warta, moja jest znacznie piękniejsza, panie Jose Anaięo, proszę spojrzeć, czy można porównać pańską próżną mieszczkę z tą dziką kobietą, która na pewno smakuje solą niesioną wiatrem przez góry i pod tymi czarnymi ubraniami ma białe ciało, gdybym teraz mógł, powiedziałbym ci coś Pedro Orce, Co byś mi powiedział, Ze wiem już, kogo kochać, No to gratuluje, są tacy, którym zajęło to więcej czasu albo nigdy się tego nie dowiedzieli, Znasz kogoś takiego, Na przykład ja, a odpowiedziawszy w ten sposób, powiedział Pedro Orce na głos, Pójdę na spacer z psem.

Zmrok jeszcze do końca nie zapadł, ale jest zimno. W kierunku góry, zasłaniającej morze, biegnie ścieżka, która trochę dalej zaczyna piąć się pod górę zygzakiem, raz w prawo, raz w lewo, jak zwijana nić, aż w końcu niknie w

przestrzeni, której oczy nie mogą przeniknąć. Niebawem ta dolina będzie tak czarna jak w noc zaciemnienia, o ile nie byłoby słuszniej zauważyć, że w tym miejscu wszystkie noce wyglądają tak właśnie, aby zapadły nieprzeniknione ciemności, nie musiały się zerwać linie wysokiego napięcia łączące półwysep z cywilizowaną i wykształconą częścią Europy. Pedro Orce wyszedł z domu, bo nie był tam do niczego potrzebny. Idzie przed siebie, nie oglądając się, najpierw tak szybko jak pozwalają mu siły, potem, gdy ich brakuje, znacznie wolniej. Nie odczuwa strachu w tej ciszy pośród ścian, którymi są góry, jest człowiekiem, który urodził się i całe życie spędził na pustyni, pośród kurzu i kamieni, nietrudno znaleźć tam szczęki konia, kopyto jeszcze z przybitą podkówną, są tacy, którzy mówią, że nawet jeźdźcy Apokalipsy tam nie przeżyli, zginął na wojnie koń wojny, zdechł na zarazę koń zarazy, zdechł z głodu koń głodu, śmierć jest ostateczną przyczyną wszystkich rzeczy i ich niezłomnym podsumowaniem, nas zwodzi jeszcze ta linia żywych, na której się znajdujemy, która zmierza do tego, co zwiemy przyszłością tylko dlatego, że jakoś musimy to nazwać, zbierając z niej niezmiennie coraz to nowe istoty, zostawiając w tyle stare, które musimy nazwać zmarłymi, żeby nie wyszły z przeszłości.

Stare już się robi serce Pedra Orce. Teraz musi on często odpoczywać, ale nie rezygnuje, cieszy go obecność psa. Wymieniają ze sobą znaki, niczym kod komunikacyjny, który choć nie rozszyfrowany wystarczy przez sam fakt istnienia, grzbiet psa ociera się o biodro człowieka, ręka człowieka gładzi miękką sierść we wnętrzu ucha psa, świat jest wypełniony szelestami kroków, oddechów, tarcia, i teraz słycać dobiegający z za szczytu głuchy lament morza, coraz głośniejszy, coraz wyraźniejszy, aż wyłania się przed oczyma ogromna powierzchnia, niewyraźnie skrząca się w bezkسیężycową noc o niewielu gwiazdach, a w dole, niczym żywa linia oddzielająca życie od śmierci, gwałtowna biel piany, wiecznie się rozbijającej i odnawiającej. Kamienie,

o które fale się rozbijają, są czarniejsze, jakby skały miały tam większą gęstość albo spoczywały w wodzie od początku czasów. Wiatr wieje od morza, jedna jego część jest naturalna, druga, nieznaczną, jest pewnie wynikiem przemieszczania się półwyspu, lekki to podmuch, doskonale o tym wiemy, a jednak nigdy nie było tu takiego huraganu, jak świat światem.

Pedro Orce mierzy spojrzeniem ocean i w tej chwili zdaje mu się niewielki, bo gdy wciąga do płuc powietrze, tak bardzo rozszerzają mu się płuca, że mogłyby w nie wtargnąć strumieniem wszystkie płynne otchłanie, a jeszcze zostałyby miejsca na tratwę, która swą ostrogą toruje sobie drogę pośród fal. Pedro Orce nie wie, czy jest człowiekiem, czy rybą. Schodzi do morza, pies podąża przodem i wybiera drogę, niezbędny był ten rozważny i wrażliwy tropiciel, przed światem Pedro Orce nie odnalazłby wejścia ani wyjścia z tego kamiennego labiryntu. W końcu dotarli do wielkich płyt, zsuwających się do morza, ryk rozbijanych fal jest ogłuszający. Pod tym niebawale ciemnym niebem, w obliczu krzyku morza, gdyby w tej chwili wzeszedł księżyc, człowiek mógłby umrzeć ze szczęścia, myśląc, że umiera ze smutku, ze strachu, z samotności. Pedro Orce przestał odczuwać chłód. Noc stała się jaśniejsza, pojawiło się więcej gwiazd, a pies, który zniknął na chwilę, znowu zaczął biec, nie został przyuczony ciągnąć pana za nogawkę, ale znamy go już wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że znakomicie potrafi komunikować swą wolę, i teraz Pedro Orce powinien podążać za nim, by obejrzeć jego znalezisko, topielca wyrzuconego na brzeg, kufer ze skarbem, resztki Atlantydy, szczątki Latającego Holendra, ta obsesyjna pamięć, a kiedy tam dotarł, zobaczył, że były to tylko kamienie na kamieniach, ale ponieważ ten pies nigdy się nie myli, coś tam jednak musiało być, dopiero po chwili spostrzegł, że sam stoi na znalezisku, na ogromnym głazie przypominającym kształtem wyciosany statek, a obok leżał drugi, długi i wąski niczym maszt, i jeszcze jeden, ten byłby pewnie sterem z rumplem, choć złamanym.

Pedro, myśląc, że myli go słabe światło, obchodził głazy dookoła, dotykając i obmacując, i w ten sposób pozbył się wątpliwości, ta strona, wysoka i spiczasta, to dziób, ta druga, w kształcie rombu, to rufa, niemożliwy do pomylenia maszt, a ster mógłby być na przykład wiosłem olbrzyma, gdyby nie był tam, gdzie jest, na prawdziwym kamiennym statku. Geologiczny fenomen, niewątpliwie, Pedro Orce zna się na chemii wystarczająco dobrze, aby sobie wyjaśnić to znalezisko, stary drewniany żaglowiec wyrzucony tu przez morze albo porzucony przez marynarzy, leży na tych skałach od niepamiętnych czasów, później przykryła go ziemia, substancja organiczna skamieniała, ponownie odsunęła się ziemia, i tak aż do dzisiaj, konieczne byłyby tysiące lat, żeby zaokrąglić i zatrzeć kontury, wiatr, deszcz, pilnik zimna i gorąca, pewnego dnia nie będzie już można odróżnić kamienia od kamienia. Pedro Orce usiadł na dnie statku, w tej pozycji widzi tylko niebo i odległe morze, gdyby ta łódź kołysała się nieco, przysiągłby, że płynie, i wtedy, ileż może zdziałać wyobraźnia, przedstawił sobie absurdalną myśl, jak by to było rzeczywiście żeglować na tym skamieniałym okręcie wlokącym za sobą cały półwysep, nie można zawierzać majakom fantazji, to prawda, że nie jest to niemożliwe, widziano już znacznie bardziej wyszukane rzeczy, lecz, jak na ironię, statek ma rufę zwróconą ku morzu, żaden prawdziwy okręt nigdy nie żeglowałby do tyłu. Pedro Orce wstał, teraz jest mu zimno i pies wyskoczył za burtę, nadszedł czas, by wrócić do domu, pan, mój panie, nie jest w wieku na takie nocne eskapady, nie przeżył ich pan jako młodzieniec, teraz już jest za późno.

Kiedy dotarli na szczyt góry, Pedro Orce ledwie stał na nogach, a jego biedne płuca, które jeszcze niedawno były zdolne wchłonać cały ocean, rzeziły niczym dziurawe miechy, szorstkie powietrze drapało w nosie, wysuszało mu gardło, takie górskie wyprawy nie są właściwe dla aptekarzy w podeszłym wieku. Opadł na kamień, żeby odpocząć, z łokciami wspartymi na kolanach, z głową w dłoniach,

pot skrzy mu się na czole, wiatr targa rzadkie włosy, to człowiek zniszczony, zmęczony i smutny, niestety, jeszcze nie wymyślono procesu mineralizacji człowieka w kwiecie wieku i przekształcenia go w wieczny pomnik. Oddech mu się uspokoił, powietrze zmiękło, wchodzi i wychodzi bez drapania papieru ściernego. Zdając sobie sprawę z tych zmian, pies, który czekał, leżąc na ziemi, zabrał się do wstawania. Pedro Orce podniósł głowę, spojrział w dół, w dolinę, w której stał dom. Zdawało się, że jest spowita nimbem, matowym blaskiem, swego rodzaju nieświatlistym światłem, o ile takie zdanie, jak wszystkie pozostałe stworzone ze słów, dociera do różnych umysłów z jednakim znaczeniem. W głowie Pedra Orce pojawiło się wspomnienie tego epileptyka z Orce, który po spadających na niego atakach usiłował wyjaśnić nieokreślone uczucia, jakimi zwiastowały swe nadejście, miało to być drżenie niewidocznych cząsteczek powietrza, promieniowanie energii jak nadciągającej fali ciepła, zakrzywienie promieni światła poza jego zasięgiem, owa noc w rzeczy samej pełna była zdumiewających zjawisk, nitka i chmura błękitnej wełny, kamienny statek wyrzucony na brzeg, teraz dom, który w cudowny sposób ulega wstrząsom, albo tak byśmy powiedzieli, patrząc nań z tego miejsca. Obraz się kołysze, zacierają się kontury, nagle zdaje się oddalać, aż niemal traci się go z oczu, potem powraca, powolnie pulsując. Przez chwilę Pedro Orce przestraszył się, że zostanie porzucony na tym pustkowiu, ale strach minął, był to jedynie moment zrozumienia, że tam w dole złączyli się ze sobą Joaquim Sassa i Maria Guavaira, czasy bardzo się zmieniły, teraz trzeba szybko napchać, zawiązać i powiesić w kominie do uwędzenia, jeśli wolno użyć mi w tym miejscu wulgarnego, wiejskiego i dawnego porównania. Wstał Pedro Orce i chciał ruszyć w dół zbocza, ale usiadł ponownie i cierpliwie poczekał, skostniały z zimna, aż dom wróci do swego poprzedniego obrazu, w którym nie będzie innych płomieni niż te gorejące na kominku, ale jeśli długo tam będzie siedział, zastanie jedynie

popioły miast ognia.

Maria Guavaira obudziła się wraz z pierwszym promieniem słońca. Znajdowała się w swoim pokoju, w swoim łóżku, a obok niej spał mężczyzna. Słuchała, jak oddycha, głęboko, jakby z głębi kostnego szpiku wydobywał odnowienie sił, i, na wpół nieświadomie, chciała, by jej oddech zrównał się z jego oddechem. To odmienny ruch piersi sprawił, iż stwierdziła, że jest naga. Przesunęła dłońmi po ciele, od połowy ud, omijając włosy łonowe, potem po brzuchu aż do piersi, i nagle przypomniała sobie swój okrzyk zdumienia, kiedy w jej wnętrzu rozkosz eksplodowała niczym nowe słońce. Teraz już całkowicie rozbudzona, zagryzła palce, aby nie wydać z siebie tego samego krzyku, ale chciała rozpoznać w powstrzymanym okrzyku te same odczucia, sprawić, by na zawsze pozostały już nierozłączne, a może było to przypomniane pożądanie, kto wie, czy nie wyrzut sumienia, niepokój wyrażany przez to znane pytanie, I co teraz ze mną będzie, myśli są nierozzerwalnie związane, wrażenia nie są oczyszczone z innych wrażeń, ta kobieta żyje na wsi, z dala od sztuki miłości cywilizacji, a niebawem przybędą tu dwaj mężczyźni, żeby pracować na jej ziemi, co im powie, z domem tak nagle wypełnionym nieznajomymi, nie ma to jak dzieńne światło, aby zmienić obraz rzeczy. Lecz ten człowiek, który śpi tu obok, cisnął skałę do morza, a Joana Carda przecięła ziemię na pół, a Jose Anaięto był królem szpaków, a Pedro Orce sprawił swymi stopami, że zadrżała ziemia, a pies przyszedł nie wiadomo skąd, aby złączyć tych ludzi, I bardziej niż innych złączył mnie z tobą, pociągnęłam nitkę i przyszedłeś do mych drzwi, do mego łóżka, do mojego wnętrza, do mojej duszy, bo tylko z niej mógł się wydobyć wydany przeze mnie krzyk. Na kilka chwil zamknęły się jej oczy, a kiedy je otworzyła, zobaczyła, że Joaquim Sassa się zbudził, poczuła twardość jego ciała i jęcząc z niecierpliwości, otworzyła się dla niego, nie krzyczała, ale śmiała się przez łzy, i nastał jasny dzień. Nie warto czynić niedyskretnego zapisu tego, co powiedzieli, niech każdy to

sobie wymyśli, niech zmusi do wysiłku swą wyobraźnię, najprawdopodobniej i tak nie trafi, pomimo pozornego ograniczenia miłosnego słownictwa.

Wstała Maria Guavaira i jej ciało jest tak białe, jak to sobie wyobrażał Joaquim Sassa, powiedziała, Nie chciała-bym wkładać tych czarnych ubrań, ale teraz nie mam czasu na szukanie innych, zaraz przyjdą robotnicy. Ubrała się, wróciła do łóżka, nakryła włosami twarz Joaquina Sassy

i pocałowała go, po czym uciekła z pokoju. Joaquim Sassa przewrócił się na bok, zamknął oczy, będzie spał. Na jego policzku lśni łza, może należeć zarówno do Marii Guavairy, jak i do niego, mężczyźni też płaczą, to żaden wstyd i tylko dobrze im to robi.

Oto pokój, w którym zostali Jose Anaięo i Joana Carda, mają zamknięte drzwi, jeszcze śpią. Te drugie drzwi są przymknięte, pies wyszedł popatrzeć na Marię Guavairę, po czym wrócił do środka, znowu się położył, czujnie strzeże snu Pedra Orce, odpoczywaj ącego po swych przygodach i odkryciach. Tb, że dzień dzisiejszy będzie gorący, czuje się w powietrzu. Chmury nadpływają od morza i zdają się gnać szybciej niż wiatr. Przy Dwóch Komach stoi dwóch mężczyzn, to robotnicy, którzy przyszli do pracy, mówi jeden do drugiego, że wdowa, która tak bardzo się skarży na wyniki ich roboty, w końcu kupiła sobie samochód, Po śmierci męża one zawsze wychodzą na swoje, to sarkastyczne stwierdzenie należy do starszego. Maria Guavaira zawołała ich i kiedy rozpalala ogień i parzyła kawę, powiedziała, że przenocowała kilku zagubionych podróżnych, trzech są Portugalczykami, a jeden Hiszpanem, jeszcze śpią, biedacy, Pani, sama tutaj, musi uważać, powiedział młodszy, ale to zdanie ludzkiej solidarności jest jedynie wariantem innych zdań, które już wcześniej zostały wypowiedziane i miały zdecydowanie inne znaczenie, Powinna pani wyjść za mąż po raz drugi, potrzebuje pani chłopca, który zajmie się domem, nie znajdzie pani, i nie chce się chwalić, mężczyzny lepszego

niż ja do pracy i do całej reszty, proszę mi uwierzyć, że bardzo mi się pani podoba, któregoś dnia przyjdę tu do pani i już zostanę, z pani powodu tracę głowę, myśli pani, że mężczyzna jest z kamienia, Nie wiem, ale mogę sprawdzić, jak się do mnie zbliżysz, dostaniesz polanem w pysk, oto co kiedyś powiedziała Maria Guavaira i młodszy mężczyzna nie miał innego wyjścia, jak wrócić do poprzedniego zdania, modyfikując je nieco, Potrzebuje pani mężczyzny, który będzie się panią zajmował, ale nawet w ten sposób do dzisiaj nic nie wskórał.

Robotnicy poszli w pole, a Maria Guavaira wróciła do pokoju. Joaquim Sassa spał. Powoli, żeby się nie zbudził, otworzyła kufer i zaczęła wybierać ubrania z czasów swej jasności, różne odcienie różu, zieleni, błękitu, bieli, czerwieni, pomarańczu i fioletu oraz innych pomieszanych kobiecych kolorów, nie żeby była to teatralna garderoba, nie jest też bogatą chłopką, ale wszyscy wiedzą, że dwie kobiece sukienki już czynią święto, a przy dwóch spódniczkach

i dwóch bluzkach już tworzy się tęcza. Ubrania pachną naftaliną i zamkniętym kufrem, Maria Guavaira powiesi je na słońcu, żeby wywietrzały wyziewy chemii i martwego czasu, a kiedy zejdzie na dół, z naręczem różnorodnych kolorów, spotka Joanę Cardę, która też zostawiła swego mężczyznę w ciepłe pościeli i która, ponieważ od razu rozumie, co tu się dzieje, chce pomóc. Śmieją się obie przy sznurach do suszenia bielizny, wiatr targa ich włosy, ubrania łopoczą i wiją się jak flagi, chciałoby się krzyknąć, niech żyje wolność.

Wracają do kuchni, żeby przygotować posiłek, pachnie świeżo parzoną kawą, jest mleko, czerstwy, lecz smaczny chleb, twardy ser, marmolada, te zmieszane zapachy obudzą mężczyzn, pierwszy pojawił się Jose Anaięo, potem Joaquim Sassa, trzeci nie był mężczyzną, lecz psem, pojawił się w drzwiach, obrzucił wszystkich spojrzeniem i wrócił do środka, Poszedł zawołać swojego pana, powiedziała Maria Guavaira, która teoretycznie ma do psa większe prawo,

ale zrzekła się go. W końcu pojawił się Pedro Orce, pozdrowił wszystkich, usiadł w milczeniu, widać w jego spojrzeniu swego rodzaju irytację, kiedy spostrzeża i tak dyskretne czułości, którymi obdarza się ta czwórka, zarówno parami, jak i wszyscy razem, świat zadowolonych ma własne i odmienne słońce.

Źle wygląda ten gniew Pedra Orce, który wie, że jest stary, ale my musimy go zrozumieć, jeśli jeszcze całkowicie się nie poddał. Jose Anaięo chce go wciągnąć do rozmowy, pyta, czy podobał mu się nocny spacer, czy pies wiernie mu towarzyszył, i Pedro Orce, już uspokojony, w duchu dziękuje za wyciągniętą dłoń, uczynił to w odpowiednim momencie, zanim gorycz spotęgowała poczucie odrzucenia, Poszedłem nad morze, powiedział, i wprawił tym wszystkich w wielkie zdumienie, w największe Marię Guavairę, która doskonale wie, gdzie jest morze i jak trudno tam dotrzeć. Ale gdybym nie zabrał ze sobą psa, nie udałoby mi się, wyjaśnił Pedro Orce i nagle przyszło mu do głowy wspomnienie kamiennego statku, zmieszał się, nie mógł zrozumieć przez kilka sekund, czy był to tylko sen, czy też wspomnienie czegoś rzeczywistego, Jeśli mi się to nie śniło, on istnieje, jest tam dokładnie w tej chwili, siedze tu, pijąc kawę, a statek tam stoi, oto jak wielka jest potęga wyobraźni, chociaż zobaczył go tylko w słabym świetle kilku gwiazd, teraz objawiał się w jego głowie spowity światłem dnia, ze słońcem i błękitnym niebem, z czarną skałą w górze, Znalazłem statek, powiedział, a nie myśląc, że może się mylić, rozwinął swą teorię, wyłożył, choć z pewnymi niedociągnięciami terminologicznymi, proces chemiczny, ale niebawem zaczęło mu brakować słów, zaniepokoił go wyraz twarzy Marii Guavairy, pełen dezaprobaty, zakończył więc inną hipotezę, ochronną, Przyznając też, że może chodzić o zdumiewający rezultat erozji, rzecz jasna.

Joana Carda powiedziała, że chciałyby pójść zobaczyć, Jose Anaięo i Joaquim Sassa zaraz się zgodzili, tylko Maria Guavaira nic nie mówiła, patrzyli na siebie, ona i

Pedro Orce. Stopniowo pozostali zamilkli, zrozumieli, że ostatnie słowo nie zostało jeszcze wypowiedziane, o ile w ogóle istnieje dla każdej rzeczy jakieś ostatnie słowo, co porusza delikatną kwestię tego, jakie będą rzeczy, kiedy zostanie

O nich powiedziane wszystko. Maria Guavaira wzięła za rękę Joaquim Sasse, jakby składała przysięgę, To jest kamienny statek, oświadczyła, Tak też powiedziałem, zmienił się w kamień wraz z upływem czasu, może z powodu mineralizacji, ale może też być dziełem przypadku i jego dzisiejszy kształt został wyrzeźbiony przez wiatr i inne czynniki atmosferyczne, na przykład deszcz, samo morze, kiedyś poziom morza był tu wyższy, To jest kamienny statek i zawsze był kamienny, ten statek przybył tu z bardzo daleka

1 został tam po tym, jak wysiedli podróżujący na nim ludzie, Ludzie, zapytał José Anaico, Albo jeden człowiek, tego dokładnie nie wiem z całą pewnością, A co wiadomo z pewnością i jaką pewność można mieć, wątpił Pedro Orce, Mówiono dawniej, że na tym wybrzeżu wylądowali w kamiennych statkach ludzie przybyli z pustyni po drugiej stronie świata, święci, niektórzy przybyli żywi, inni martwi, jak na przykład święty Jakub, statki zostały tu od tamtego czasu, to jest jeden z nich, Wierzy pani w to, co mówi, Nie chodzi

o to, czy wierzy się, czy nie, wszystko, co mówimy, dodaje się do tego, co jest, co istnieje, najpierw powiedziałam granit, teraz mówię statek, kiedy skończę mówić, choćbym nie wierzyła w to, co powiedziałam, muszę wierzyć, że to powiedziałam, często tyle wystarczy, także woda, mąka i drożdże czynią chleb.

Przytrafiła się Joaquimowi Sasse uczona pasterka, mi-nerwa z galisyjskich gór, zwykle tego nie zauważamy, ale prawda jest taka, że wszyscy ludzie wiedzą znacznie więcej, niż nam się wydaje, większości z nich nawet się nie śni, jaką posiadają wiedzę, najgorsze jest to, że chcą uchodzić za takich, jakimi nie są, traci na tym ich wiedza i wdzięk, róbcie raczej tak jak Maria Guavaira, która

ogranicza się do powiedzenia, Przeczytałam w życiu kilka książek, to cudowne, że zdołała tak na nich skorzystać, oczywiście ta kobieta nie jest na tyle pretensjonalna, by tak o sobie powiedzieć, to narrator, lubujący się w sprawiedliwości, nie może powstrzymać się od komentarza. Teraz Joana Carda pyta, kiedy pójda zobaczyć kamienny statek, w chwili, w której Maria Guavaira, może po to, by nie przenosić rozmowy na grunt, na którym nie czuje się kompetentna, włączyła radio, które stoi w kuchni, świat musi mieć jakieś informacje do opublikowania, tak jest co rano, i wiadomości są niepokojące, pomimo utraty pierwszych słów, później zrekonstruowanych, Od wczorajszej nocy szybkość przemieszczania się półwyspu w niewyjaśniony sposób uległa zmianie, ostatnie pomiary wykazały prędkość przekraczającą dwa tysiące metrów na godzinę, praktycznie pięćdziesiąt kilometrów dziennie, to znaczy około trzykrotnie więcej niż na początku dryfowania.

W tym momencie panuje pewnie na półwyspie cisza, słychać wiadomości w mieszkaniach i na placach, choć nie brak takich, co dowiedzą się o nich znacznie później, jak na przykład pracujący dla Marii Guavairy mężczyźni, są w polu, daleko, możemy się założyć, że młodszy odłoży na bok zalecanie i zacznie myśleć już tylko o własnym życiu i bezpieczeństwie. Ale najgorsze dopiero zostanie powiedziane, kiedy spiker przeczyta wiadomość z Lizbony, wcześniej czy później musiano o tym powiedzieć, tajemnica i tak długo się uchowała, Panuje wielki niepokój w środowisku polityków i naukowców portugalskich, wszak archipeląg Azorów znajduje się dokładnie na kursie przemieszczania się półwyspu, wyczuwa się już pierwsze niepokoje wśród mieszkańców, jak dotąd nie można mówić o panice, lecz należy się spodziewać, że w ciągu najbliższych godzin zostanie wprowadzony w życie plan ewakuacji miast i mniejszych miejscowości wybrzeża bezpośrednio zagrożonych zderzeniem, co się tyczy nas, Hiszpanów, możemy stwierdzić, że nie grozi nam bezpośrednie niebezpieczeństwo, wszak

Azory rozciągają się pomiędzy trzydziestym siódmym i czterdziestym równoleżnikiem, a cała Galicja znajduje się ponad czterdziestym drugim równoleżnikiem, z łatwością możemy stwierdzić, że przy utrzymaniu obecnego kursu półwyspu jedynie nasz sąsiad, zawsze nieszczęśliwy, wystawiony zostanie na bezpośrednie zderzenie, nie powinniśmy jednakowoż zapominać o samych, nie mniej nieszczęśliwych wyspach, które z racji swej niedużej wielkości są wystawione na niebezpieczeństwo zniknięcia pod masą skał, które obecnie przemieszczają się, jak już wspomnieliśmy, z nieprawdopodobną prędkością pięćdziesięciu kilometrów dziennie, choć nie należy wykluczyć, że rzeczony wyspy zadziałają jak zbawienny hamulec, który zatrzyma to, jak dotąd niepohamowane, przemieszczanie się, wszyscy jesteśmy w rękach Boga, bo siły ludzkie nic nie będą w stanie zdziałać, jeśli dojdzie do katastrofy, szczęśliwie, powtarzamy, my, Hiszpanie, jesteśmy mniej więcej bezpiecznie, niemniej nie popadajmy w zbyt ni optywizm, zawsze należy obawiać się drugorzędnych skutków zderzenia, zalecamy zatem maksymalną ostrożność, powinny zbliżyć się do galisyjskiego wybrzeża jedynie osoby, które z racji swych obowiązków nie mogą schronić się w centralnych regionach kraju. Zamilkł spiker, rozbrzmiała muzyka skomponowana na zdecydowanie odmienną okoliczność i José Anaięo, przypominając coś sobie, odezwał się do Joaquima Sassy, Miałeś rację, kiedy mówiłeś o Azorach, ileż może zdziałać ludzka próżność, nawet w sytuacji zagrożenia życia spodobało się Joaquimowi Sassie, że w towarzystwie Marii Guavairy publicznie potwierdzono, że miał rację, choć nie było w tym jego zasługi, wszak zdobył informację pod drzwiami laboratorium, do którego zabrano Pedra Orce.

Niby w powtarzającym się śnie, José Anaięo robił rachunki, poprosił o kartkę i ołówek, tym razem nie powie, ile dni będzie potrzebował Gibraltar na przepłynięcie przed ogniami Sierra de Gádor, wtedy panował świąteczny nastrój, teraz trzeba przeliczyć, ile dni brakuje do rozbicia się przylądka Roca o wyspę

Terceira, dreszcz przebiega ciała i włosy stają dęba od samego wyobrażania sobie tej zadziwiającej chwili, kiedy to Wyspa Świętego Michała wejdzie w miękkie ziemie Alentejo jak w masło, zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, nie ma tego złego, co się nie wydarzy. Mówi José Anaięo po skończeniu obliczeń, Dotychczas przepłynęliśmy jakieś trzysta kilometrów, no dobrze, ponieważ odległość pomiędzy Lizboną i Azorami wynosi mniej więcej tysiąc dwieście kilometrów, musimy jeszcze przepłynąć jakieś dziewięćset, dziewięćset kilometrów po pięćdziesiąt dziennie, okrągłe to liczby, daje osiemnaście, to znaczy, że około dwudziestego września, a pewnie jeszcze wcześniej, dopłyniemy do Azorów. Neutralność wniosku była wymuszona i gorzką ironią, która nie wzbudziła śmiechu u nikogo. Maria Guavaira przypomniała, ale my jesteśmy w Galicji, poza zasięgiem, Nie należy zbyt ufać, przestrzegł Pedro Orce, wystarczy, że kierunek odrobinę się zmieni na południe, i uderzymy w sam środek, najlepiej, w zasadzie jedyne, co możemy zrobić, to uciec do interioru, jak ogłosił spiker, a i tak nie ma nic pewnego, Zostawić dom i ziemię, Jeśli zdarzy się to, co zapowiadają, nie będzie więcej domu ani ziemi. Siedzieli, póki co mogli siedzieć, mogli siedzieć jeszcze przez osiemnaście dni. Płomienie tańczyły w kominku, chleb leżał na stole, były tam jeszcze inne rzeczy, mleko, kawa, ser, ale to chleb przyciągał spojrzenie wszystkich, połowa wielkiego bochna, z grubą skórką i gęstym mięszem, czuli jeszcze w ustach jego smak, dawno przestali go jeść, ale język rozpoznawał okruszki pozostałe po pogryzieniu, kiedy nadejdzie dzień końca świata, spojrzymy na ostatnią mrówkę w bolesnej ciszy jak ktoś, kto wie, że żegna się na zawsze.

Joaquim Sassa powiedział, Moje wakacje dzisiaj się kończą, żeby wszystko było tak, jak nakazują zasady, jutro powinienem się znaleźć w Porto, w pracy, te obiektywne słowa były zaledwie wstępem do oświadczenia, Nie wiem, czy dalej zostaniemy razem, jest to kwestia, którą należy w tej chwili rozstrzygnąć, ale ja

chcę być tam, gdzie będzie Maria, jeśli ona to zaakceptuje i będzie chciała tego samego. No dobrze, ponieważ wszystkie słowa powinny zostać wypowiedziane w odpowiednim czasie, ponieważ każda rzecz powinna zostać dopasowana według porządku i kolejności, poczekano, aż Maria Guavaira, wezwana, przemówi jako pierwsza, i ona powiedziała, Tego chcę, bez żadnych niepotrzebnych rozwinięć tematu. Powiedział Jose Anaięo, Jeśli półwysep uderzy w Azory, szkoły nie zostaną otwarte tak szybko, jeżeli w ogóle, zostaną z Joaną i z wami, jeśli ona zdecyduje się zostać. Teraz nadeszła pora na Joanę Cardę, która tak jak Maria Guavaira powiedziała zaledwie dwa słowa, kobiety niewiele mówią, Zostanę z tobą, tylko tyle, bo patrzyła dokładnie na niego, ale pozostali zrozumieli resztę. W końcu jako ostatni, bo ktoś musiał być ostatni, odezwał się Pedro Orce, Dokąd pojedziemy, pojedę i ja, i to zdanie, które przeczy gramatyce i logice, być może z nadmiaru logiki i gramatyki, powinno zostać nie poprawione, tak jak zostało powiedziane, może znajdzie się dla niego szczególne znaczenie, które je usprawiedliwi i rozgrzeszy, kto ma doświadczenie ze słowami, wie, że można się po nich wszystkiego spodziewać. Psy, jak wiadomo, nie mówią, a ten nie może nawet wydać z siebie wesołego szczeknięcia na znak radosnej zgody.

Tego dnia poszli na wybrzeże zobaczyć kamienny statek. Maria Guavaira miała na sobie kolorowe ubranie, nawet nie zadała sobie trudu, żeby je przeprasować, wiatr i słońce wyprostowały oznaki długiego przebywania w głębokiej otchłani. Na czele grupy szedł Pedro Orce, doświadczony przewodnik, choć bardziej ufano instynktowi i zmysłowi psa aniżeli oczom Pedra, dla których, prawdę powiedziawszy, w świetle dnia wszystko zdaje się nowe. Od Marii Guavairy jednakowoż nie możemy oczekiwać orientacji w terenie, jej trasa jest inna, ciągle wynajduje preteksty, by chwycić za rękę Joaquina Sassę i pozwolić się przygarniać, ciało przy ciele na czas pocałunku, miara, która, jak wiemy, jest zmienna, dlatego

bardziej opóźniają eskapadę, niż jej towarzyszą. Jose Anaięo i Joana Carda są bardziej powściągliwi, są razem od tygodnia, mieli czas na zaspokojenie pierwszego głodu, ugaszenie pierwszego pragnienia, powiedzmy, że pożądanie nachodzi ich, jeśli je przyzywają, a prawdę powiedziawszy, nie oszczędzają go. Jeszcze tej minionej nocy, kiedy Pedro Orce zobaczył z oddali lunę, to nie tylko dlatego, że kochali się Maria Guavaira i Joaquim Sassa, nawet gdyby spało tam dziesięć par, kochałyby się w tym samym czasie.

Chmury nadciągają od morza i szybko mkną, tworzą się i natychmiast rozpierzchają, jakby każda minuta nie trwała dłużej niż sekunda albo jej ułamek, i wszystkie gesty tych kobiet i tych mężczyzn są wykonywane, albo zdaje się, że tak jest, w tej samej chwili, powolne i gwałtowne, można by powiedzieć, że świat zwariował, jeśli do zrozumienia wystarczy pełne znaczenie tego skromnego ludowego powiedzenia. Dotarli na szczyt góry, morze było wzburzone. Pedro Orce ledwie rozpoznaje miejsca, ogromne poprzewracane kupy kamieni, niemal niewidoczną ścieżkę w dół, jak to możliwe, że przeszedł tędy w nocy, nawet przy pomocy psa, jest to wyczyn, którego sam sobie nie potrafi wyjaśnić. Poszukuje oczyma kamiennego statku i nie może go dostrzec, ale teraz to Maria Guavaira staje na czele grupy, nadszedł już czas, lepiej niż ktokolwiek inny zna drogę. Dotarli na miejsce i Pedro Orce otwiera usta, żeby powiedzieć, To nie tutaj, ale zamilkł, ma przed oczyma kamień steru ze złamanym rumplem, wielki maszt, w świetle słonecznym zdaje się grubszy, i statek, ale to na nim zauważa największe zmiany, jakby erozja, o której mówił tego poranka, w ciągu jednej nocy wykonała pracę miliona lat, gdzie jest, nie widzę go, dziób wysoki i spiczasty, wklęsły kadłub, to prawda, że skała w ogólnych zarysach ma kształt statku, ale nawet największy ze świętych nie zdołałby dokonać cudu utrzymania na wodzie tak nietrwalej łodzi, bez nadburcia, wątpliwość nie dotyczy tego, że jest z kamienia, chodzi o to, że niemal zaniknął kształt statku, w

końcu ptak lata tylko dlatego, że jest podobny do ptaka, myśli Pedro Orce, ale teraz mówi Maria Guavaira, To na tym statku przyplynał ze wschodu święty, tutaj jeszcze widać ślady jego stóp, które odcisnęły się, gdy wylądował i ruszył w głąb łądu, ślady były zagłębieniami w skale, teraz małymi kałużami, które morskie fale podczas przyplwy nieustannie odnawiają, to prawda, że wątpliwości są uzasadnione, lecz wszystko zależy od tego, czy zgadzamy się z rzeczami, czy je negujemy, jeśli święty przybył z daleka, żeglując na skalnej płycie, nie ma powodu, by jego ogniste stopy nie wypaliły w skale odcisków, które przetrwały do dnia dzisiejszego. Pedro Orce nie ma innego wyjścia, jak przyjąć to do wiadomości i potwierdzić, ale zachowuje dla siebie wspomnienie innego statku, który tylko on zobaczył w niemal bezgwiezdnej noc, pełną jednak wspaniałych wizji.

Morze podskakuje na głazach, jakby walczyło z niepokonanym nawałem tych skał i ziemi. Już nie patrzą na mityczny statek, patrzą na rozbijające się fale i José Anaię mówi, Ruszajmy w drogę, znamy ją, a nie czujemy jej. A Joana Carda spytała, Jakie jest nasze przeznaczenie. Wtedy odezwał się Joaquim Sassa, Jest nas pięć osób i pies, nie zmieścimy się w Dwóch Koniach, ten problem będziemy musieli rozwiązać, jakimś rozwiązaniem byłoby poszukanie jakiegoś większego samochodu pomiędzy tymi porzuconymi na drogach, trudno będzie znaleźć jakiś w dobrym stanie, tym, które widzieliśmy, zawsze czegoś brakowało, Jak przyjdziemy do domu, zdecydujemy, co robić, powiedział José Anaię, mamy czas, Ale dom, ziemia, szeptała Maria Guavaira, Nie ma wyboru, albo stąd wyjedziemy, albo wszyscy umrzemy, słowa te wypowiedział Pedro Orce i były definitywne.

Po obiedzie Joaquim Sassa i José Anaię ruszyli w Dwóch Koniach na poszukiwanie większego samochodu, najlepiej dżipa, najlepiej pasowałby im wojskowy albo jeszcze lepiej jakaś dostawcza furgonetka, którą można by przekształcić w dom i sypialnię na kółkach, ale tak jak

przewidział Joaquim Sassa, nie znaleźli niczego, co by im odpowiadało, zwłaszcza że nie byli w regionie szczególnie dobrze wyposażonym w park maszynowy. Wrócili po popołudniu drogami, na których stopniowo nasilał się ruch samochodowy, z zachodu na wschód, był to początek ucieczki ludności zamieszkującej na wybrzeżu, były samochody, wozy, znowu odwieczne, objuczone osły, i rowery, choć nieliczne w tak pagórkowatych terenach, i motory, i autobusy o pięćdziesięciu i więcej miejscach, przewożące całe wioski, była to największa fala migracyjna w historii Galicji. Niektórzy ludzie ze zdziwieniem spoglądali na podróżnych zmierzających w przeciwnym kierunku, nawet ich zatrzymano, może nie wiedzą, co się stało, Wiemy, wielkie dzięki, jedziemy tylko po jeszcze kilka osób, póki co nie ma zagrożenia, po czym dodał José Anaięo, Jeżeli tutaj jest tak, to co dopiero dzieje się w Portugalii, i nagle przysła mu do głowy zbawienna myśl, Ależ my jesteśmy głupi, rozwiązanie jest proste, obrócimy dwa razy albo trzy, jeśli będzie trzeba, wybierzemy jakieś miejsce w interiorze, jakiś dom, nie powinno to być trudne, ludzie wszystko porzucają. To była wiadomość, którą przywieźli, uczczona tak, jak na to zasługiwała, następnego dnia zaczęli wybierać i odkładać na bok to, co należało zabrać, a żeby popchnąć prace naprzód, zwołali zebranie, dokonano inwentaryzacji potrzeb, sporządzono listę, wykreślono, dodano, Dwa Konie miał przed sobą wiele ciężkich podróży.

Następnego dnia nie pojawili się robotnicy i silnik Dwóch Koni nie zadziałał. Powiedziane to w ten sposób zdaje się sugerować, że istnieje jakiś związek pomiędzy tymi dwoma faktami, na przykład, że dwaj nieobecni rolnicy ukradli jakąś istotną część samochodu, powodowani nagłą potrzebą albo chwilową złośliwością. Nie jest tak. Zarówno starszy, jak i młodszy zostali poniesieni falą migracji, która nagle wymiotła wszystkich z rejonów nadmorskich w pasie ponad pięćdziesięciu kilometrów, ale za trzy dni, kiedy mieszkańcy domu już wyjadą, wróci w to miejsce młodszy robotnik, ten, który

zalecał się do Marii Guavaii i do jej ziemi, w tej kolejności albo w odwrotnej, a my nigdy nie dowiemy się, czy wrócił, żeby zrealizować swój sen o staniu się właścicielem dóbr, choćby przez kilka dni przed śmiercią w wyniku katastrofy geologicznej, która zabierze ze sobą nie tylko ziemię, ale i marzenia, albo zdecydował zostać strażnikiem, zmagając się z samotnością i strachem, ryzykując wszystko, aby móc wygrać wszystko, rękę Marii Guavairy i jej pieniądze, jeśli przerażająca przepowiednia się nie spełni, kto wie, może zamysł zostanie zrealizowany. Któregoś dnia Maria Guavaira tutaj powróci, a jeśli wróci, zostanie mężczyzną uprawiającego ziemię albo śpiącego, zmęczonego pracą, w chmurze niebieskiej wełny.

Przez cały dzień Joaquim Sassa walczył z opornym mechanizmem, Jose Anaię pomógł, na ile potrafił, ale wiedza obu nie wystarczyła, by rozwiązać problem. Nie zabrakło części, nie brakowało energii, ale w intymnych wnętrznościach silnika jakaś część się zmęczyła i pękła albo stopniowo się wyeksploatowała, zdarza się to z ludźmi, może się też zdarzyć z maszynami, któregoś dnia, kiedy nic tego nie zwiastuje, ciało mówi, Nie, albo dusza, albo duch, albo woła, i już nic nie może mu tego wyperswadować, do tego doszedł też Dwa Konie, przyniósł tutaj Joaquina Sassa i Jose Anaię, nie zostawił ich na środku drogi, przynajmniej niech mu za to podziękują, niech nie okazują wściekłości, uderzenia nic nie pomogą, kopniaki nie przyspieszą, Dwa Konie zdechł. Kiedy zniechęceni weszli do domu, wybrudzeni olejem, ze skórą otartą na rękach, bo niemal bez narzędzi zmagali się z nakrętkami, śrubami, trybami, i poszli się umyć, panowała atmosfera grozy, Jak teraz stąd wyjedziemy, pytał się Joaquim Sassa, który jako właściciel samochodu czuł się nie tylko odpowiedzialny, ale też winny, wydawało mu się to złośliwością losu, osobistą zniewagą, czasami poczucie obrazy honoru przez to, że absurdalne, nie jest mniej dojmujące.

Następnie zwołano rodzinne konsylium, zdawało się, że będzie to nerwowa sesja, ale Maria Guavaira zaraz

zabrała głos, aby złożyć propozycję, Mam tu stary wóz, który może się przydać, i konia, który nie jest zbyt młody, ale jeśli będziemy go dobrze traktować, jeszcze nas powiezie. Nastąpiło kilka sekund rozterki, normalnej w przypadku ludzi przyzwyczajonych do poruszania się samochodem, którzy niespodziewanie zostają zmuszeni przez splot trudnych sytuacji życiowych do powrotu do dawnych zwyczajów. A wóz jest kryty, zapytał Pedro Orce, człowiek praktyczny i ze starszego pokolenia, Płótno nie będzie już w dobrym stanie, ale połata się, gdzie będzie trzeba, mam tu gruby materiał, który świetnie posłuży na pierwsze naprawy, A jeśli będzie trzeba, zerwie się brezent z Dwóch Koni, nie będzie już go potrzebował. Wszyscy stoją, zadowoleni, wydaje im się to wielką przygodą, starym wozem w świat, tak się zwykło mówić, Chodźmy zobaczyć konia, chodźmy zobaczyć powóz, Maria Guavaira musi im wyjaśnić, że wóz i powóz to nie to samo, ten ma cztery koła, z przodu system kierowania, a pod plandeką, która da im schronienie przed złą pogodą, miejsca wystarczy dla całej rodziny, przy zachowaniu porządku i dobrym zarządzaniu środkami, niewiele będzie się różnić od domu.

Koń jest stary, zobaczył, jak wchodzą do stajni, i zwrócił w ich kierunku swe wielkie, czarne oko, wystraszony światłem i zamieszaniem. Słusznie naucza mędrzec, dopóki nie nadejdzie twa ostatnia godzina, wszystko jeszcze może się zdarzyć, nie rozpaczaj.

Ponieważ jesteśmy daleko, niewiele wiemy o pętlach i węzłach kryzysu, który utajony od oderwania się półwyspu, stale się pogłębiał wewnątrz rządów, szczególnie od znanej inwazji na hotele, kiedy to ciemne masy zignorowały prawo i porządek w taki sposób, że nie wiadomo, jak w najbliższym czasie znaleźć wyjście z sytuacji i zwrócić właścicielom, co do nich należy, jak to określają wyższe racje moralności i sprawiedliwości. Szczególnie dlatego, że nie wiadomo, czy nastąpi jakikolwiek najbliższy czas. Wiadomość, że półwysep spieszy w kierunku Azorów z prędkością dwóch

kilometrów na godzinę, została wykorzystana przez portugalski rząd do złożenia dymisji w związku z oczywistą trudną sytuacją i w obliczu zagrażającego ogółowi niebezpieczeństwa, co pozwala myśleć, że rządy są sprawne i skuteczne tylko w sytuacjach, w których nie ma mocnych powodów, by wymagać od nich natychmiastowej sprawności i skuteczności. Premier w wystąpieniu do narodu wskazał na jednopartyjny charakter swego rządu jako przeszkodę w osiągnięciu szerokiej narodowej zgody, którą w sytuacji nadciągającego okrutnego niebezpieczeństwa uważał za nieodzowną do odbudowy normalności. Kontynuując w tym duchu, zaproponował prezydentowi Republiki utworzenie rządu ocalenia narodowego, z udziałem wszystkich sił politycznych, posiadających albo nie posiadających swych przedstawicieli w parlamencie, mając na uwadze, że zawsze znajdzie się jakieś stanowisko zastępcy podsekretarza jakiegoś zastępcy sekretarza jakiegoś wiceministra, aby wręczyć je partii, która w normalnej sytuacji nie zostałaby powołana nawet do otwierania drzwi. I nie zapomniał wyjaśnić, że zarówno on, jak i jego ministrowie oddają się do dyspozycji kraju, aby na nowych albo odmiennych stanowiskach współdziałać przy ratowaniu ojczyzny oraz dążeniu do szczęścia ludności.

Prezydent Republiki przyjął dymisję i, wypełniając normy przewidziane konstytucją i prawami zarządzania demokratycznymi instytucjami, poprosił zdymisjonowanego premiera, jako najwyższego przedstawiciela partii, która w wyborach otrzymała najwięcej głosów, dotychczas nie potrzebującego do rządzenia żadnej koalicji, poprosił go, jak mówiliśmy, o stworzenie zaproponowanego rządu ocalenia narodowego. Wszak, i dobrze by było, żeby nikt nie miał co do tego żadnej wątpliwości, rządu ocalenia narodowego też są bardzo dobre, można nawet powiedzieć, że są najlepsze ze wszystkich, szkoda tylko, że ojczyzny jedynie od czasu do czasu ich potrzebują, dlatego zwykle nie mamy rządów, które narodowo potrafią rządzić. Na ten niebywale delikat-

ny temat przeprowadzono dziesiątki debat pomiędzy konstytucjonalistami, politologami i innymi znawcami tematu i przez tyle lat nie można było niczego dodać do oczywistego znaczenia tych słów, to znaczy, że rząd ocalenia narodowego, będąc rządem narodowym i rządem ocalenia, jest rządem narodowego ocalenia. Powiedziałyby tak Pero Grulho i miałyby rację. A najciekawsze w tym wszystkim jest to, że ludy zaraz poczuły się ocalone, albo na dobrej drodze do ocalenia, gdy tylko obwieszczono powołanie rzeszonego rządu, choć nie zdołano uniknąć pewnych przejawów wrodzonego sceptycyzmu, kiedy podano do wiadomości listę ministrów i opublikowano w telewizji i prasie ich zdjęcia, W sumie są to te same twarze, a na co my liczyliśmy, skoro tak uparcie odmawiamy udzielenia naszych twarzy.

Mówiono o niebezpieczeństwach, na jakie wystawiona jest Portugalia w przypadku zderzenia się z Azorami, a także o skutkach drugorzędnych, jeśli pierwszorzędne nam nie wystarczają, zagrażających Galicji, lecz znacznie bardziej tragiczna jest sytuacja ludności zamieszkującej wyspy. Bo czymże w sumie jest wyspa. Wyspa, a w tym przypadku cały archipelag, to wystające ponad powierzchnię wody podmorskie szczyty, jakże często zaledwie spiczaste skały cudem zachowujące pion, wspierające się tysiące metrów w głębi odmętów, konkludując, wyspa jest najbardziej przypadkowym z przypadków. A teraz zbliża się tam coś, co w zasadzie też jest tylko wyspą, jest tak wielka i przemieszcza się tak szybko, iż istnieje niebezpieczeństwo, że będziemy świadkami, miejmy nadzieję, że nie naoczniymi, stopniowego ścinania łbów Świętego Michała, Terceiry, Świętego Jerzego i Faial oraz innych wysp Azorów, przy licznych ofiarach, jeżeli rząd ocalenia narodowego, który jutro obejmie władzę, nie znajdzie sposobu na przemieszczenie w krótkim czasie setek tysięcy i milionów osób do okolic bezpiecznych, jeżeli takie istnieją. Prezydent Republiki, jeszcze przed zaprzysiężeniem nowego rządu, zaapelował o międzynarodową solidarność, dzięki której, co znakomicie

pamiętamy, a jest to zaledwie jeden z wielu przypadków, jakie moglibyśmy zaprezentować, uniknięto głodu w Afryce. Europejskie kraje, w których szczęśliwie zanotowano pewne obniżenie tonu w wypowiedziach dotyczących Hiszpanii i Portugalii, po zażegnaniu kryzysu tożsamości, gdy miliony Europejczyków postanowiły ogłosić się Iberyjczykami, z sympatią przyjęły apel i zaraz kazały sobie wyjaśnić, jakiej potrzebujemy pomocy, choć jak to zwykle bywa, wszystko zależało od tego, czy nasze potrzeby będą mogły zostać zaspokojone ich nadwyżkami. Co do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, bo tak należy je zawsze nazywać, pełną nazwą, choć stwierdziły, że formuła rządu ocalenia narodowego niezbyt im się podoba, ale no dobra, niech będzie, w takiej sytuacji, oświadczyły, iż są skłonne ewakuować całą ludność Azorów, która nie przekracza dwustu pięćdziesięciu tysięcy, tyle że trzeba jeszcze zdecydować dokąd, do samych niosących pomoc Stanów nie ma mowy, z powodu prawa emigracyjnego, najlepiej by było, jeśli mam być szczery, a jest to skrywane marzenie Departamentu Stanu w Pentagonie, gdyby wyspy zatrzymały półwysep, nawet przy pewnych stratach, tak żeby został pośrodku Atlantyku, dla dobra pokoju na świecie, cywilizacji zachodniej i oczywistych dogodności strategicznych. Pospółstwu ogłosi się, że wszystkie eskadry amerykańskie otrzymały rozkaz udania się w okolice Azorów, tam zaraz załaduje się tysiące ludzi, a resztę się zostawi, żeby czekała na most powietrzny, będący w trakcie przygotowań. Portugalia i Hiszpania będą musiały rozwiązać swe lokalne problemy, Hiszpanie mniej niż my, bo ich historia i przeznaczenie zawsze traktowały z oczywistą stronniczością.

Z wyjątkiem Gali cii, będącej przypadkiem i regionem czysto peryferyjnym, albo innymi słowy, wyrostkowym, Hiszpania nie jest zagrożona najbardziej zgubnymi skutkami zderzenia, zważywszy na to, że Portugalia posłuży jej za odbijacz albo zderzak. Istnieje kilka złożonych problemów do rozwiązania, na przykład jak

sobie poradzą ważniejsze miasta, Vigo, Pontevedra, Santiago de Compostela i La Coruña, ale co do reszty, ludność wsi jest tak przyzwyczajona do nieszczęść, że niemal nie czekając na rozkazy, rady i opinie, wyruszyła do interioru, pokojowo i z rezygnacją, wykorzystując wspomniane już środki, a także inne, poczynając od najbardziej prymitywnych, to znaczy od własnych nóg.

Lecz sytuacja Portugalii jest całkowicie odmienna. Proszę zwrócić uwagę, że całe wybrzeże, z wyjątkiem południowej części Algarve, jest wystawione na ukamienowanie ze strony azorskich wysp, używamy tego słowa, ukamienowanie, bo w zasadzie nie ma wielkiej różnicy w skutkach pomiędzy uderzeniem w kamień a uderzeniem kamieniem, wszystko jest kwestią szybkości i inercji, nie zapominając jednakowoż, że głowa, nawet poraniona i rozplątana, roztrzaska te wszystkie kamienie w proch. Otóż przy takim wybrzeżu, niemal w całości nizinnym i z większymi miastami nad samym brzegiem, i biorąc pod uwagę nieprzygotowanie Portugalczyków na najmniejszą katastrofę, trzęsienie ziemi, powódź, pożar lasu, długotrwała susza, wątpimy, czy rząd ocalenia narodowego będzie w stanie spełnić swą funkcję. Najlepszym rozwiązaniem byłoby rzeczywiście spowodowanie paniki, skłonienie ludzi, żeby w popłochu opuścili swe domostwa i poszukali schronienia na położonych w głębi lądu polach. Najgorzej, jeśli podczas takiej podróży i instalowania się w bezpiecznym miejscu zabrakłoby ludziom artykułów żywnościowych, w takiej sytuacji trudno przewidzieć, jak daleko posunęłoby się niezadowolenie i bunt. Wszystko to naturalnie martwi nas, lecz wyznajmy szczerze, znacznie bardziej by nas niepokoiło, gdybyśmy nie znaleźli się w Galicji, obserwując przygotowania do podróży Marii Guavairy i Joaquina Sassy, Joany Cardy i Jose Anaię, Pedra Orce i Psa, względna waga spraw jest zmienna, zależy od punktu widzenia, nastroju w danej chwili, osobistych sympatii, obiektywizm narratora jest nowoczesnym wynalazkiem, wystarczy stwierdzić, że nawet Bóg Nasz Pan nie życzył go

sobie w swojej Książce.

Tak więc po dwóch dniach koń otrzymał więcej jedzenia, konkretnie owies i bób, a już otrzymywał tylko podstawowe racje żywnościowe, Joaquim Sassa zaproponował nawet zupę z wina, a wóz, po załataniu dziur w plandecie dzięki brezentowi ściągniętemu z Dwóch Koni, do komfortu jazdy dołączy ochronę przed deszczem, kiedy zacznie padać z większą intensywnością niż obecnie, wszak nadszedł już wrzesień, a znajdujemy się na ziemiach wykazujących skłonność do wodnych ekscesów. Podczas tych zabiegów półwysep przemieścił się o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od chwili wykonania przez Jose Anaięa kompetentnych obliczeń. Zostało więc jeszcze jakieś siedemset pięćdziesiąt kilometrów albo piętnaście dni, jeśli ktoś preferuje bardziej empiryczną miarę, po których, minuta wte, minuta wewte, nastąpi pierwsze uderzenie, Jezus Maria Józefie święty, biedni Alentejanos, dobrze chociaż, że są przyzwyczajeni, są jak Galisyjczycy, mają skórę tak twardą, że usprawiedliwiony będzie powrót do starego porównania skóry do rzemienia i zbędne będą jakiegokolwiek wyjaśnienia. Tutaj, na tych północnych ziemiach, w tej rajskiej dolinie w Galicii, czasu jest aż nadto, aby nasza kompania uszła cało. W wozie leżą już materace, prześcieradła i koce, wszystkie bagaże i podstawowy zestaw kuchenny, jedzenie przygotowane na pierwsze dni, tortille, jeśli trzeba konkretnie wyszczególnić, oraz rozliczne wiktuały, z tych wiejskich i domowych, biała i czerwona fasola, ryż i ziemniaki, beczka wody, antałek wina, dwie kury nioski, jedna z nich nakrapiana i z oskubaną szyją, sztokfisz, dzban oliwy, butelka octu i sól, bo bez niej nie można żyć, chyba że się uchowało od chrztu⁷, pieprz i słodka papryka, wszystkich chleb, jaki znajdował się w domu, mąka w worku, siano, owies i bób dla konia, pies nie przysparza kłopotów, potrafi sam o siebie zadbać, kiedy przyjmuje jedzenie to

7 Portugalczyki przy chrzcie używają soli (przyp. tłum.).

tylko po to, żeby się przypodobać. Maria Guavaira, nie mówiąc dlaczego, a może po prostu nie potrafiłaby wytłumaczyć, gdyby ją zapytać, splotła bransoletki z niebieskiej wełny dla każdego i obroże dla psa i konia. Góra wełny jest tak wielka, że ubytek pozostał niezauważony. Zresztą, powiedzmy to, nawet gdyby chcieli ją zabrać, nie zmieściłaby się do wozu, ale w ogóle o tym nie pomyśleli, bo gdzieżby się położył ten młodszy robotnik, który tutaj przyjdzie.

Ostatniej nocy spędzonej w domu położyli się późno, rozmawiali przez wiele godzin, jakby nazajutrz miały nastąpić bolesne pożegnania i rozstania, każdy w swoją stronę. Jednak takie wspólne siedzenie służyło podbudowaniu ducha, wiadomo, że patyki łamią się, gdy wyciągnąć je z wiązki, wszystko, co można było połamać, już zostało złamane. Rozłożyli na kuchennym stole mapę półwyspu, w tym odwzorowaniu jeszcze niestosownie złączonego z Francją, i wyznaczyli marszrutę na pierwszy dzień, inauguracyjny, starając się wybierać jak najbardziej równinne tereny, przez wzgląd na mizerne siły łazarzowego konia. Musieli jednak zboczyć nieco na północ, do La Coruñi, bo tam przebywała w szpitalu szalona matka Marii Guavairy, miłość córki kazała jej zabrać matkę z tej instytucji, wyobraźmy sobie panikę w domu obłąkańców, wyspa wdziera się do środka przez drzwi, rzuca się na miasto, olbrzymia, pcha przed sobą zakotwiczone statki i wszystkie te szklane werandy na nadmorskim bulwarze tłuką się w jednej chwili, a wariaci sądzą, i w swym wariactwie są do tego zdolni, że w końcu nadszedł dzień sądu. Maria Guavaira jest na tyle lojalna, że mówi, Nie wiem, jak będzie wyglądało nasze życie z matką na wozie, chociaż ona nie jest agresywna, ale to tylko do czasu dojechania w bezpieczne miejsce, bądźcie cierpliwi. Powiedzieli, że będą, żeby się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze, ale my wiemy, że nawet wielka miłość nie jest w stanie łatwo wytrzymać własnego szaleństwa, a co dopiero kiedy trzeba żyć z szaleństwem kogoś innego, w tym przypadku szalonej matki jednego z szaleń-

ców. Dobrze, że Jose Anaię wpadł na genialny pomysł, aby zadzwonić, gdy tylko nadarzy się okazja, bo może się tak zdarzyć, że władze już przeniosły albo przeniosą obłąkanych w bezpieczne miejsce, bo ta morska katastrofa nie należy do klasycznych, najpierw ratuje się tych, którzy są już straceni.

W końcu pary znikły w pokojach, zrobiły to, co zwykle czyni się przy takich okazjach, kto wie, czy kiedyś tu wrócimy, zostaną więc echa cielesnej miłości, niezrównanej w swoim rodzaju, bo jest stworzona z westchnień, z szeptów, z namiętnych słów, ze śliny i potu, niemal z agonii, z błagania

O mękę, Jeszcze nie, umiera się z pragnienia i odtrąca się zbawienną wodę, Teraz, teraz, kochanie, i właśnie to odbierze nam starość i śmierć. Pedro Orce, który już jest stary

1 otrzymał pierwszy znak od śmierci, znak, jakim jest samotność, znowu wyszedł z domu, żeby zobaczyć kamienny statek, poszedł z nim pies, który ma wszystkie imiona i nie ma żadnego, a jeśli ktoś powie, że skoro idzie pies, Pedro Orce nie jest sam, ten zapomina o odległym pochodzeniu zwierzęcia, piekielne psy widziały już wszystko, a mając tak długie życie, nie stanowią dla nikogo towarzystwa, to ludzie, którzy żyją tak krótko, towarzyszą psom. Kamienny statek stoi na miejscu, dziób jest spiczasty i wysoki, jak pierwszego dnia, Pedro Orce nie dziwi się, każdy z nas widzi świat swoimi oczyma, a oczy widzą to, co chcą, oczy sprawiają, że świat jest różnorodny, i stwarzają cuda, choćby były kamienne, i wysokie dzioby statków, choćby były złudzeniem.

Dzień wstał pochmurny, deszczowy, powszechnie to powiedzenie, choć niedokładne, dnie nie wstają, to my wstajemy za dnia i podszedłszy do okna, widzimy, że niebo zasnutę jest niskimi chmurami i że mży, mocząc głupich, którzy pchają się na deszcz, jednakże siła tradycji jest tak wielka, że gdyby istniał dziennik pokładowy podczas tej naszej podróży, skryba zapisałby w nim, Dzień wstał pochmurny i deszczowy, jakby niebo nie

pochwalało tej przygody, zawsze w takich sytuacjach przywołuje się niebo i nieważne, czy pada, czy świeci słońce. Dwa Konie, popchnięty, zajął miejsce wozu pod dachem, to znaczy, pod strzechą, bo to nie garaż tylko wiata, otwarta na cztery wiatry. Porzucony w ten sposób, bez osłony plandeki, która posłużyła do naprawy wozu, wydaje się już kompletnie zgrzybiały, z rzeczami dzieje się dokładnie to samo co z ludźmi, kiedy już nie służą, kończą się, kończą się, gdy przestają służyć. Z wozem jest wręcz przeciwnie, pomimo swej starości odmłodził po wyjściu na świeże powietrze, deszcz zrobił mu odmładzającą kąpiel, zawsze zdumiewa efekt działania, proszę zwrócić uwagę na konia, pod ceratą przykrywającą mu grzbiet, chciałoby się go wyobrazić jako turniejowego rumaka, osiodłanego do walki.

Nie powinno dziwić to rozwlekle opisywanie, służy wykazaniu, jak wiele kosztuje ludzi odejście z miejsc, w których byli szczęśliwi, zwłaszcza że ci nie będą uciekać w szaleńczej panice, teraz Maria Guavaira skrupulatnie zamyka drzwi, wypuszcza kury, króliki z klatek, świnię z chlewa, są to zwierzęta przyzwyczajone do zastawionego stołu, a teraz zostają na boskiej łasce albo diabelskich sztuczek, a Świnia jest zdolna załatwić pozostałe zwierzęta, jeśli dobrze je przyłapie. Kiedy pojawi się młodszy robotnik, będzie musiał wybić szybę, żeby wejść do domu, nie ma nikogo w promieniu wielu mil, żeby zaświadczyć o dokonanym włamaniu, Jeśli to zrobiłem, to w dobrej wierze, to jego słowa i być może taka jest prawda.

Maria Guavaira wskoczyła na kozioł, obok zasiadł Joa- quim Sassa z otwartym parasolem, to jego obowiązek, towarzyszyć kochanej kobiecie i chronić ją przed niepogodą, nie może tylko zastąpić jej w działaniu, bo z tych pięciu osób jedynie Maria Guavaira potrafi powozić. Po południu, kiedy trochę się przejaśni, nastąpi szkolenie, Pedro Orce będzie chciał zostać pierwszym uczniem, to bardzo miło z jego strony, w ten sposób będą mogły obie pary odpocząć pod plandeką, bez niechcianego

rozdzielania się, a ponieważ koziół jest tak szeroki, że mogą na nim jechać trzy osoby, jest to znakomitym rozwiązaniem dla intymności pozostałych, nawet jeśli mają tylko leżeć cicho obok siebie. Maria Guavaira potrząsnęła lejcami, koń zaprzęgnięty do dyszla, bez towarzystwa po drugiej stronie, szarpnął po raz pierwszy, poczuł napór uprzęży, potem ciężar ładunku, pamięć powróciła do jego starych kości i mięśni i ponownie usłyszał niemal zapomniany dźwięk ziemi miażdżonej kołami o żelaznych obręczach. Wszystkiego się uczy, zapomina i ponownie uczy, jeśli tego wymaga konieczność. Przez jakieś sto metrów pies szedł obok wozu, w deszczu. Potem zrozumiał, że może podróżować, choć na własnych łapach, chroniąc się przed deszczem. Wszedł pod wóz, zrównał krok z krokiem konia, tak go będziemy oglądać przez cały czas trwania tej podróży, czy to będzie padał deszcz, czy świeciło słońce, chyba że zapragnie odgrywać rolę przewodnika albo postanowi zabawić się bieganiem wte i z powrotem, co pozornie jest pozbawione sensu, a tak bardzo upodabnia do siebie ludzi i psy.

Tego dnia nie zajechali daleko. Trzeba było oszczędzać konia, tym bardziej że nierówności terenu wymagały od niego zwiększonego wysiłku, czy to ciągnięcia na podejściach, czy to hamowania na zjazdach. W zasięgu wzroku nie było widać żywego ducha, Pewnie jesteśmy ostatnimi, którzy wyjeżdżają z tych okolic, powiedziała Maria Guavaira, i niskie niebo, szarawe powietrze, strapiiony pejzaż, były już ostatecznym omdlewaniem świata, wyludnionego, zmaltretowanego cierpieniem i znojem, życiem i śmiercią, zawziętym życiem i stopniowym umieraniem. Lecz tym wozem jadą młode miłości, co wiedzą obserwatorzy, to najsilniejsza z rzeczy istniejących na świecie, dlatego nie dbają

o wypadki, bo miłości, jak to najczęściej się zdarza, same są najwyższym odwzorowaniem wypadku, gwałtowną błyskawicą, radosnym upadkiem, niecierpliwym potrąceniem. Nie powinno się więc całkowicie ufać pierwszemu wrażeniu, temu grobowemu pożegnaniu

opuszczonego kraju, w melancholijnej mżawce, lepiej by było, gdybyśmy nie byli tak dyskretni i nadstawili uszu na rozmowę Joany Cardy i José Anaiça, Marii Guavairy i Joaquima Sassy, milczenie Pedra Orce jest jeszcze bardziej dyskretnie, o nim samym można by powiedzieć, iż zdaje się, że w ogóle go tam nie ma.

Pierwsza wioska, przez którą przejechali, nie została porzucona przez wszystkich swych mieszkańców. Niektórzy starcy oświadczyli niecierpliwym dzieciom i krewnym, że i tak trzeba umrzeć, lepiej w ten sposób niż z głodu albo złośliwej zarazy, skoro człowiek miał szczęście zostać wybranym, by umrzeć ze swym własnym światem, choć nie jest Wagnerowskim bohaterem, czeka na niego wyższa Walhalla, do której odchodzą ci, co zginęli w wielkich katastrofach. Starzy Galisyjczycy i Portugalczycy, bo wszystko jest tą samą galisyjskością i portugalskością, nic nie wiedzą o tych sprawach, ale z jakichś niewyjaśnialnych powodów byli w stanie powiedzieć, Nie ruszę się stąd, jedźcie, jeśli się boicie, i nie znaczy to, że są oni obdarzeni większą odwagą, a jedynie to, że w tej życiowej sytuacji posiadli wiedzę, że odwaga i strach są zaledwie dwiema kołyszącymi się szalami tej samej wagi, której języczek zastygł w bezruchu, sparaliżowany niepotrzebnym natłokiem emocji i uczuć.

Kiedy wóz przejeżdżał przez wioskę, ciekawość, będąca pewnie ostatnią cechą, jaką tracimy, wypchnęła staruszków na ulicę, machali podróżnym powoli i wyglądali, jakby żegnali samych siebie. Powiedział wtedy José Anaiço, że byłoby przejawem zdrowego rozsądku wykorzystanie sytuacji i przespanie się w jednym z opuszczonych domów, tutaj albo w jakiejś innej wiosce, albo w pustelni, na pewno znajdują się łóżka i będzie wygodniej niż w wozie, lecz Maria Guavaira oświadczyła, że przenigdy nie zostałaby w żadnym domu bez pozwolenia właścicieli, bywają tacy ludzie, pełni skrupułów, inni widzą zamknięte okno, stłuką szybę, ale powiedzą, To było w dobrej wierze, i czy było to dla dobra

własnego albo czyjegoś, zawsze pozostanie wątpliwość co do pierwszego i ostatniego motywu. José Anaieo pożałował swej propozycji, nie dlatego że była niedobra, ale dlatego że była absurdalna, wystarczyły słowa Marii Guavairy, aby zdefiniować zasadę godności, Musisz wystarczyć samemu sobie, dopóki możesz wytrzymać, potem powierz się temu, na kogo zasługujesz, i lepiej jeśli ten ktoś będzie kimś, kto na ciebie zasługuje. Patrząc na to, jak się sprawy mają, zdaje się, że tych pięcioro na siebie zasługuje, wzajemnie i komplementarnie, zostaną więc w wozie, zjedzą tortille, pogawędzą o przebytej drodze i o tej, która jeszcze została do przebycia, Maria Guavaira wzmocni teorią odbyte już praktyczne lekcje powożenia, pod drzewem koń zajada swą ragę siana, pies tym razem zaspokoił się domowym zaopatrzeniem, kręci się po okolicy, węsząc i płosząc nocnych marków. Przestało padać. Latarnia oświetla od środka plandekę wozu, ktoś, przechodząc tędy, mógłby powiedzieć, Popatrz, jaki teatr, to prawda, że są to postacie, ale nie aktorzy.

Kiedy rano Maria Guavaira w końcu będzie mogła zadzwonić do La Coruni, powiedzą jej, że jej matka wraz z innymi pensjonariuszami została już ewakuowana, I jak z nią jest, Jest taką samą wariatką, jaką była wcześniej, ale taka odpowiedź jest dobra dla wszystkich. Będą kontynuować podróż, aż ziemia znowu się zaludni. Tam będą czekać.

Ukonstytuował się rząd ocalenia narodowego Portugalczyków i zaraz zabrał się do pracy, wysyłając premiera, tego samego, do telewizji, gdzie wypowiedział on zdanie, które z pewnością przejdzie do historii, coś w rodzaju, Krew, pot i łzy albo Pochować poległych i zająć się żywymi, albo Czcić ojczyznę, albowiem ojczyzna ma na was baczenie, albo Siew poświęcenia męczenników przyniesie obfite żniwa w przyszłości. W obecnym przypadku, i mając na względzie szczególne okoliczności, premier uznał za stosowne powiedzieć jedynie, Portugalczycy i Portugalki, ocalenie w wycofaniu się.

Jednakowoż rozlokowanie na tyłach milionów osób

zamieszkujących pas nadmorski było zadaniem tak złożonym, że nikt nie rościł sobie pretensji, co byłoby co najmniej głupkowate, do przedstawienia narodowego planu ewakuacji, powszechnego i zdolnego uwzględnić inicjatywy lokalne. W kwestii na przykład miasta Lizbony analiza sytuacji i dostępnych środków opierała się na założeniu, obiektywnym i subiektywnym, które może zostać streszczone w taki sposób, Znakomita większość, dlaczego tego nie przyznać, przytłaczająca większość mieszkańców Lizbony nie urodziła się w tym mieście, a ci, którzy się w niej urodzili, posiadają związki rodzinne z ludźmi spoza niej. Konsekwencje tego są znaczące i decydujące, a mianowicie takie, że jedni i drudzy powinni przenieść się do swego miejsca pochodzenia, gdzie zwykle mają krewnych, choćby takich, których życiowe okoliczności usunęły z pola widzenia, wykorzystana więc ta wymuszona okoliczność, aby na nowo tchnąć harmonię w życie rodzinne, zblizniając dawne nieporozumienia, nienawiść spowodowaną niesprawiedliwymi spadkami i okropnymi podziałami majątku, kłótniami o pomówienia, wielkie nieszczęście, które na nas spadło, przyczyni się do zbliżenia serc. Druga konsekwencja, naturalnie wynikająca z pierwszej, dotyczy wyżywienia przesiedleńców. Tak więc również w tej sprawie i bez koniecznej interwencji państwa społeczność rodzinna będzie miała wielką rolę do odegrania, co też, przekładając wszystko na liczby, można wyrazić, przenosząc na poziom makroekonomiczny stare powiedzenie, gdzie jedzą dwie osoby, trzy też się najedzą, znana to rezygnacja arytmetyczna i rodzinna z okresu, kiedy rodzina spodziewa się dziecka, teraz zaś można powiedzieć tonem bardziej stanowczym, Gdzie je pięć milionów, naje się dziesięć, i okraszając to łagodnym uśmiechem, dodać, Wszak państwo to jedna wielka rodzina.

Samotni pozostaną bez środków, ci pozbawieni rodziny, mizantropi, lecz nawet oni nie zostaną automatycznie wykluczeni ze społeczeństwa, trzeba ufać w spontaniczną solidarność, w tę nieodpartą miłość

blizniego, która objawia się przy każdej okazji, proszę oto zwrócić uwagę na podróże pociągami, szczególnie drugą klasą, kiedy nadchodzi pora otworzenia koszyka z prowiantem, matka rodziny nigdy nie zapomni zaprosić na posiłek nieznajomych podróżnych, zajmujących sąsiednie miejsca, Proszę się częstować, mówi, jeśli ktoś skorzysta z oferty, nie bierze mu się tego za złe, choć liczy się na to, że wszyscy odpowiedzą chórem, Dziękujemy, smacznego. Bardziej kłopotliwe będzie zakwaterowanie, jedną rzeczą jest zaproponowanie rybnego paszteciku i kieliszka wina, a zupełnie inną odstąpienie połowy łóżka, na którym będziemy spali, lecz jeśli uda nam się wtłoczyć w głowy ludzi, że ci samotni i opuszczeni są nowymi wcieleniami Pana Naszego, jak to bywało w czasach, kiedy chadzał On po świecie przebrany za biedaka, żeby wystawiać na próbę ludzką dobroć, wtedy zawsze znajdzie się dla nich trochę miejsca pod schodami, na strychu albo, mówiąc po wiejsku, dach nad głową i wiązka słomy. Bóg, tym razem bez względu na to, jak się rozmnoży, zostanie potraktowany tak, jak na to zasługuje stwórca ludzkości.

Mówiliśmy o Lizbonie, z różnicą zaledwie ilościową mogliśmy też zabrać głos na temat Porto albo Coimbrы, Se- tubalu i Aveiro, Viany albo Figueiry, nie zapominając o tej drobnicy miasteczek i wiosek rozrzuconych wszędzie dookoła, choć w niektórych przypadkach pojawi się niepokojąca kwestia ustalenia, dokąd mają się udać ludzie, którzy mieszkają w miejscu swego urodzenia, a także ci, którzy co prawda urodzili się gdzie indziej, ale też na wybrzeżu. Po przedłożeniu tych kwestii radzie ministrów rzecznik przyniósł odpowiedź, Rząd ufa, że duch prywatnej inicjatywy rozwiąże, być może w sposób oryginalny i ku zadowoleniu wszystkich, te sytuacje, które nie znajdują rozwiązania według zasad powszechnego planu ewakuacji i przesiedlenia ludności. W ten sposób, upoważnieni odgórnymi wytycznymi, by odłożyć na bok osobiste przeznaczenia, ograniczymy się do przedstawienia przypadku szefów i kolegów z pracy Joa-

quima Sassy, z Porto. Wystarczy powiedzieć, że gdyby powodowany dyscypliną i sumieniem zawodowym przybył o oznaczonej godzinie do pracy, zostawiając swojemu losowi miłość i przyjaciół, zastałby zamknięte biuro, a na drzwiach kartkę z ostatnią decyzją dyrekcji, Pracownicy powracający z urlopu powinni zgłosić się w nowej siedzibie w Penafiel, gdzie mamy nadzieję nadal odbierać nieocenione dyspozycje naszych drogich klientów. A kuzyni Joany Cardy, ci z Ereiry, znajdują się teraz w Coimbrze, w domu porzuconego męża, który nie przyjął ich z uśmiechem na ustach, jest to zrozumiałe, wszak cierpi, miał jeszcze przeblask nadziei, liczył na to, że kuzyni przyjechali przodem, żeby przygotować powrót zbiegłej, lecz kiedy zapytał, po przedłużającej się jej nieobecności, A Joana, kuzynka wyjaśniła, skruszona, Nie wiemy, była u nas w domu, ale znikła jeszcze przed tym zamieszkaniem, więcej nie mieliśmy od niej żadnych wiadomości, zatrzymała dla siebie resztę tego, co wiedziała o tej historii, ale skoro przestraszył się tą odrobiną, dobrze, że nie wie wszystkiego.

Świat zastygł więc w zawieszeniu, w niecierpliwym oczekiwaniu, co się stanie, co też się nie stanie z plażami luzytańskimi i galisyjskimi, tymi zachodnimi. Lecz, powtórzmy to jeszcze raz, choć już ze zmęczeniem, nie ma tego złego, co by brzuchowi nie przyniosło czegoś dobrego, taki jest przynajmniej punkt widzenia Europy, która z dnia na dzień, dzięki zbawiennym skutkom represji wspomnianym w swoim czasie, zmniejszyła, a nawet zgasła rewolucyjny zapal młodych ludzi, którym rozsądni rodzice teraz powtarzają, Widzisz, synu, w jakie kłopoty byś się wpędził, gdybyś dalej się upierał przy tym byciu Iberyjczykiem, a chłopak, w sumie podbudowany, odpowiada, Tak, tato. Podczas gdy trwają te sceny rodzinnej zgody i pacyfikacji społecznej, satelity geostacjonarne, ustawione tak, by utrzymywać w miarę możliwości tę samą pozycję, przesyłają na Ziemię zdjęcia i pomiary, pierwsze przedstawiają naturalnie niezmienny w kształcie przemieszczający się obiekt, drugie rejestrują co

minutę różnicę około trzydziestu pięciu metrów w odległości dzielącej wielką wyspę od małych wysepek. W czasach takich jak nasze, akceleratorów cząsteczek, trzydzieści pięć metrów na minutę jako powód niepokoju powinno nas rozśmieszyć, ale jeśli przypomnimy sobie, że za tym miękkim i przyjemnym piaskiem, za tym urozmaiconym i malowniczym wybrzeżem, za tymi klifowymi nadmorskimi tarasami, nadciąga pięćset osiemdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni i nieprzeliczona, astronomiczna liczba ton, jeśli, żeby wspomnieć tylko o górach i ich łańcuchach, zastanowimy się nad tym, czym jest inercja całego systemu orograficznego półwyspu, znajdującego się teraz w ruchu, nie zapominając przy tym o Pirenejach, choć zredukowanych o połowę, wtedy możemy tylko podziwiać odwagę tych ludów o tak przemieszanej krwi, a także cenić fatalistyczny zmysł egzystencji, która przy wiekowym doświadczeniu zawiera się w znamienitej formule, Pośród martwych i rannych ktoś musi się uchować.

Lizbona jest opuszczonym miastem. Jeszcze krążą po niej wojskowe patrole, wspomagane przez lotnictwo, helikoptery, jak we Francji i w Hiszpanii, kiedy nastąpiło rozerwanie i w następujących po nim dniach. Dopóki nie zostaną odwołani, co, jak się przewiduje, nastąpi na dwadzieścia cztery godziny przed spodziewanym zderzeniem, żołnierze mają za zadanie czuwać i pilnować, choć prawdę powiedziawszy, nie warto, bo wszystkie precjoza zostały już dawno wyniesione z banków. Ale nikt nie wybaczyłby rządowi, gdyby porzucił miasto tak jak stoi, piękne, harmonijne, doskonale w proporcjach i szczęściu, jak niewątpliwie będzie się o nim mówić, kiedy w końcu zostanie zburzone. Dlatego żołnierze znajdują się tu jako przedstawiciele nieobecnych mieszkańców, warta honorowa, która odda honorową salwę, jeśli wystarczy jeszcze czasu w tej wspaniałej chwili, kiedy miasto pogrąży się w wodzie.

Tymczasem żołnierze strzelają do szabrowników i włamywaczy, doradzają i wskazują drogę tym nielicznym,

którzy upierają się przy nieopuszczaniu swych mieszkań, i tym, którzy w końcu zdecydowali się wyjechać, a kiedy spotykają czasem wariatów wałęsających się po ulicach, z rodzaju tych spokojnych, którzy szczęśliwym trafem w dniu ewakuacji byli na przepustce z domu wariatów i nie dostali, albo nie zrozumieli, polecenia powrotu i zostali na łasce losu, zachowują się na dwa sposoby. Niektórzy wyżsi stopniem uważają, że wariat jest zawsze groźniejszy niż szabrownik, bo ten ostatni zachował przynajmniej rozumowanie zbliżone do ich rozumowania. W tej sytuacji nie zastanawiają się wcale, od razu każą otwierać ogień. Inni, mniej tolerancyjni, a przede wszystkim świadomi zasadniczej konieczności odprężenia się podczas wojny albo zdarzeń jej podobnych, pozwalają, aby podwładni zabawili się kosztem wariata, troszkę, a później każą mu odejść w spokoju, ale nie jeśli zamiast wariata trafi się wariatka, dokładnie w takim samym stanie, a to dlatego że nie brakuje w wojsku, ale też poza nim, takich, którzy nadużywają elementarnego i oczywistego stwierdzenia, że seks, kiedy się traktuje sprawę instrumentalnie, nie ma nic wspólnego z głową.

Lecz kiedy w tym mieście, na alejach, ulicach i placach, na osiedlach i w ogrodach, nie będzie można dostrzec ani jednej osoby, kiedy z okien nie wychyli się żadna postać, kiedy kanarki, które jeszcze nie zdechły z głodu i pragnienia, będą śpiewać w absolutnej ciszy w domach albo na tarasach i w opustoszałych ogrodach, kiedy woda w fontannach będzie się skrzyć i nie orzeźwiać żadnej dłoni, kiedy pomniki zaczną się rozglądać dokoła w poszukiwaniu oczu, które mogłyby je zobaczyć, kiedy otwarte bramy cmentarzy pokażą, że nie ma różnicy między nieobecnością chwilową i wieczną, kiedy w końcu miasto znajdzie się na krawędzi agonii, czekając, aż jakaś morska wyspa je zburzy, wtedy wydarzy się niesamowita i cudowna historia ocalenia samotnego żeglarza.

Minęło dwadzieścia lat, odkąd żeglarz wyruszył na morze. Odziedziczył statek albo kupił go, albo dostał od innego żeglarza, który też na nim żeglował przez

dwadzieścia lat, a przed nim, o ile wspomnienia po tylu latach nam się nie mieszają, zdaje się, że jakiś inny, pierwszy żeglarz samotnie przemierzał ocean przez dwadzieścia lat. Historia statków i żeglujących nimi marynarzy pełna jest perypetii, z okropnymi sztormami i sztilami tak przerażającymi jak najgorsze tajfuny, ażeby nie zabrakło elementu romantycznego, powszechnie się mawia, a nawet układa piosenki na ten temat, że w każdym porcie jest zawsze jakaś kobieta czekająca na swego marynarzyka, bardzo optymistyczny to sposób na wymyślanie sobie życia, lecz fakty i czyny kobiet najczęściej zadają im kłam. Samotny żeglarz schodzi na ląd po to, żeby uzupełnić zapas wody, kupić tytoń i części do silnika albo żeby zaopatrzyć się w naftę i ropę, lekarstwa, igły do żagli, sztormiak, haczyki, żyłkę wędkarską, gazetę, żeby potwierdzić to, co już wie, że nie warto, ale nigdy, przenigdy, samotny żeglarz nie postawił stopy na lądzie z zamiarem zabrania sobie do towarzystwa kobiety. Jeśli rzeczywiście zdarza się, że jakaś kobieta czeka w porcie, byłoby nierozsądne pogardzać nią, ale zwykle to ona chce czekać tak długo, jak jej odpowiada, nigdy samotny żeglarz jej nie powiedział, Czekaj na mnie, ani nie mógłby zagwarantować, że będzie z powrotem konkretnego dnia, albo w ogóle, a wracając, ileż to razy zdarzyło mu się zastać puste nabrzeże albo stojącą na nim kobietę czekającą na innego marynarza, choć nierzadko zdarza się, że z braku jednego marynarza pociesza się innym. Wina, jeśli trzeba o tym mówić, nie leży po stronie marynarzy ani kobiet, winę ponosi ta samotność, której czasem nie można znieść, także ona może przywieść marynarza do portu, a kobietę na nabrzeże.

Jednakże są to rozważania natury duchowej i metafizycznej, nie możemy się od nich powstrzymać, czy to przed, czy też po opowiedzeniu prostych faktów, co nie zawsze pomaga w wyjaśnieniu. Mówiąc krótko, powiedzmy, że samotny marynarz żeglował wzdłuż tego półwyspu, który przemienił się w wędrującą wyspę, ze

swym żaglem i silnikiem, radiem i dalekosiężną lunetą oraz tą nieskończoną cierpliwością właściwą tym, którzy któregoś dnia zdecydowali się podzielić swe życie na połowę nieba i połowę morza. Wiatr niespodziewanie przestał wiać i żeglarz zwinął żagle, nagle ucichła bryza i szeroka fala, na której płynął statek, powoli zaczęła tracić impet, obniżyła grzbiet, nim minie godzina, morze będzie gładkie, może nam się wydawać niemożliwe, by ta otchłań wodna, o tysiącach metrów głębokości, mogła utrzymać się w równowadze, nie przewracając się na jedną albo na drugą stronę, uwaga ta wyda się głupkowata tylko temu, kto uważa, iż wszystkie fakty na tym świecie można wyjaśnić tym, że jest, jak jest, co też, rzecz oczywista, przyjmuje się do wiadomości, ale to nie wystarcza. Silnik pracuje, brum-brum, brum-brum, morze, dokąd sięga wzrok, odpowiada migotaniem, jest jak lustrzana tafla, i żeglarz, choć przez wiele lat nauczył się panować nad snem i czuwaniem, zamyka oczy, oszłomiony słońcem, i zasypia, może wydawało mu się, że na kilka minut albo godzin, a były to zaledwie sekundy, obudził się wstrząśnięty czymś, co wydało mu się wielką eksplozją, śnił, że przycumował do zwierzęcego cielska, do wieloryba. Wyrwany ze snu, z sercem nierówno walącym, starał się znaleźć przyczynę hałasu, nie mógł zrazu zrozumieć, że zatrzymał się silnik. Obudziła go nagła cisza, lecz ciało, aby móc się obudzić w sposób bardziej naturalny, wymyśliło lewiatana, zderzenie, grzmot. Uszkodzony silnik, nietrudno o to, zarówno na morzu, jak i na ziemi, wiemy o jednym, którego nijak nie da się już naprawić, pękła mu dusza i został odholowany pod wiatr, gdzie stoi wystawiony na wszystkie wiatry świata, bardziej na północ, i pokrywa się rdzą. Lecz ten żeglarz nie jest taki jak tamci automobiliści, jest doświadczony i zna się na rzeczy, kupił części zapasowe, kiedy ostatnim razem dotykał lądu i kobiety, rozłoży silnik na tyle, na ile się da, wybada mechanizm. Strata to czasu. Problem leży w przekładniach, konie tego silnika są śmiertelnie ranne.

Rozpacz, wszyscy to wiemy, jest uczuciem ludzkim,

historia naturalna milczy o rozpaczy zwierząt. Lecz sam człowiek, nierozzerwalnie złączony z rozpaczą, nauczył się z nią żyć, wstrzymuje ją na ostatniej granicy, i z powodu awarii silnika na środku morza marynarz nie będzie sobie rwał włosów, błagał niebios albo im wygrażał, jedno i drugie nie miałyby sensu, lekarstwem jest czekanie, to, co zabrało wiatr, z powrotem go przyniesie. Ale wiatr, który odszedł, nie wrócił. Minęły godziny, nadeszła spokojna noc, nastał następny dzień i morze się nie poruszyło, spadł tu kawałek wełny, jakby leciał pionowo, woda ani trochę się nie kołysze, jest to kamienny statek na kamiennej płycie. Żeglarz nie jest zbyt zmartwiony, nie pierwsza to jego flauta, ale radio też nagle zamilkło, w niewyjaśniony sposób, słychać zaledwie burczenie, fala nośna, jeśli w ogóle jeszcze jest, przynosi jedynie ciszę, jakby poza kręgiem tej zastygłej wody świat zamilkł, aby towarzyszyć, niewidzialny, rosnącemu niepokojowi żeglarza, szaleństwu, może śmierci na morzu. Nie brakuje mu żywności ani wody do picia, ale mijają godziny, każda następna coraz dłuższa, cisza gęstnieje wokół statku, oplata go niczym pierścienie jedwabistego węża, czasem marynarz uderza bosakiem w burtę, chce usłyszeć jakiś dźwięk, który nie jest pulsowaniem jego własnej gęstej krwi w żyłach, albo serca, o którym czasem się zapomina, i wtedy budzi się po tym, jak zdawało mu się, że już się obudził, bo śnił, że jest martwy. Żagiel wciągnięty dla ochrony przed słońcem, ale nieruchome powietrze zatrzymuje upał, samotny żeglarz ma spaloną skórę, spierzchnięte usta. Minał ten dzień, a następny był taki sam. Żeglarz ucieka w sen, zszedł do niewielkiej kabiny, choć jest ona jak piec, jest tam jedna jedyna koja, wąska, dowód na to, że rzeczywiście jest samotnym żeglarzem, i, całkowicie nagi, najpierw złany potem, następnie z suchą skórą, wstrząsany dreszczami, walczy ze snami, szpaler bardzo wysokich drzew kołyszących się na wietrze, który wstrząsa liśćmi z jednej strony na drugą, a porzuciwszy je, wraca i znowu je chwyta, i tak bez końca. Żeglarz budzi się, żeby napić się wody, i woda się kończy. Wraca

do snu, drzewa już się nie ruszają, ale mewa przyleciała i usiadła na maszcie.

Od horyzontu nadciąga wielka i ciemna masa. Gdy się zbliży, będzie można dostrzec domy wzdłuż plaż, latarnie morskie niczym wzniesione białe palce, wąską linię piany, a po jednej stronie szerokiego ujścia rzeki wielkie miasto zbudowane na wzgórzach, czerwony most łączący oba brzegi z tej odległości wygląda jak rysunek naszkicowany wąskim piórkiem. Żeglarz nadal śpi, pogrążył się w ostatnim odrętwieniu, lecz sen wrócił zniemacka, nagła bryza wstrząsnęła gałęziami drzew, statek zakolysał się na krótkich falach ujścia, i, połknięty przez rzekę, ruszył w kierunku lądu, ocalony od morza, jeszcze nieruchomy, w przeciwieństwie do ziemi. Samotny żeglarz poczuł w kościach i mięśniach kołysanie, otworzył oczy i pomyślał, Wiatr, powrócił wiatr, i niemal bez sił spłynął z koi, powlókł się na pokład, wydawało mu się, że w każdej chwili może umrzeć i w każdej chwili może zmartwychwstać, słońce go oślepiło, ale było to lądowe światło, przynosiło ze sobą to, co mogło odebrać zieleni drzew, głębokiej czerni pól, delikatnym kolorom domów. Jest uratowany, początkowo nie wiedział jak, powietrze było nieruchome, podmuch wiatru okazał się iluzją. Zajął mu trochę czasu zrozumienie, że uratowała go wyspa, dawny półwysep, który przemieszczał się i otworzył mu ramiona rzeki. Wydaje się to tak niesamowite, że temu samotnemu żeglarzowi, który przez wiele dni wysłuchiwał wiadomości o geologicznym rozerwaniu, choć wiedział, iż znajduje się na trasie ziemskiego okrętu, nigdy nie przeszło przez myśl, że mógłby zostać ocalony w taki sposób, po raz pierwszy, odkąd zdarzają się katastrofy morskie i rozbitkowie. Lecz na łodzi nie było widać nikogo, na pokładach zacumowanych albo zakotwiczonych statków nie zarysowała się żadna sylwetka, znowu panowała cisza okrutnego morza, To jest Lizbona, wymamrotał marynarz, ale gdzie są ludzie. Okna błyszczą, widać stojące samochody i autobusy, wielki plac otoczony podcieniami, w głębi łuk triumfalny z

kamiennymi statuami i brązowymi koronami, sądząc po kolorze to pewnie brąz. Samotny żeglarz, który zna Azory i wie, gdzie je znaleźć zarówno na mapie, jak i na morzu, przypomniał sobie wtedy, że wyspy znajdują się na kursie, to, co go uratowało, zniszczy je, to, co je zniszczy, zniszczy również i jego, jeśli szybko się stąd nie oddali. Nie ma wiatru, silnik zepsuty, nie może popłynąć w górę rzeki, jedynym ratunkiem jest napełnić powietrzem gumowy ponton, rzucić kotwicę, żeby utrzymać statek, choć niepotrzebny to gest, i wiosłując, uciekać na brzeg. Energia wraca zawsze, kiedy wraca nadzieja.

Samotny żeglarz ubrał się przed wyjściem na brzeg, spodnie, koszula, czapka na głowie, buty, wszystko śnieżnobiałe, oto chwila chwały marynarzy. Wciągnął ponton na pochyłe schody nabrzeża, przez kilka sekund stał nieruchomo, patrząc, czekając też na przyплыw nowych sił, ale przede wszystkim, aby dać czas komuś na wyjście z cienia pod arkadami, albo żeby nagle samochody i autobusy ruszyły z miejsca, a plac zapełnił się ludźmi, mogło się nawet przytrafić, że zbliży się jakaś kobieta z uśmiechem na ustach, delikatnie kołysząc biodrami, bez przesady, zaledwie subtelne wyzwanie, przyciągające męskie spojrzenie, głównie dlatego, że ten mężczyzna dopiero co wysiadł na brzeg. Ale to, co było pustkowiem, pustkowiem pozostało. Żeglarz w końcu zrozumiał to, co jeszcze zostało do zrozumienia, Uciekli wszyscy z powodu tej kolizji z wyspami. Obejrzał się za siebie, zobaczył swój statek na środku rzeki, to był ostatni raz, był tego pewien, nawet pancernik nie uchowałby się przy tak straszliwej kolizji, a co dopiero łupinka orzecha z żaglem, porzucona przez właściciela. Żeglarz przeszedł przez plac, jeszcze niezgrabnie z powodu długiego bezruchu, wygląda jak strach na wróble ze swą spaloną skórą, kręconymi włosami wychodzącymi spod czapki, w rozczłapanych butach. Podnosi oczy, zbliżywszy się do wielkiego łuku, widzi łaciński napis, *Yirtutibus Majorum ut sit omnibus documento* P. P. D., nigdy nie nauczył się łaciny, ale domyśla się, że

pomnik został wzniesiony ku czci cnót przodków tutejszego ludu, rusza przed siebie wąską ulicą z jednakowymi budynkami po obu stronach, aż wychodzi na drugi plac, mniejszy, z budynkiem greckim albo rzymskim w głębi, a pośrodku dwie fontanny z żelaznymi figurami nagich kobiet, płynie woda, i nagle odczuwa wielkie pragnienie, żądzę zanurzenia ust w tej wodzie i ciała w tej nagości. Idzie z rozłożonymi ramionami, niczym w delirium albo we śnie, albo w transie, idzie, szepcząc, nie wie, co mówi, wie tylko, czego chce.

Patrol pojawił się na rogu, pięciu szeregowców dowodzonych przez chorążego. Ujrzeni szaleńca czyniącego gesty szaleńca, nie trzeba było nawet wydawać rozkazu. Samotny żeglarz rozciągnął się na ziemi, od wody dzieliła go jeszcze spora odległość. Kobiety, jak wiemy, są z żelaza.

Te dni były też dniami trzeciego exodusu. Pierwszy, o którym w swoim czasie przekazano wyczerpującą wiadomość, był exodusem zagranicznych turystów, uciekających w popłochu od tego, co wtedy jeszcze zdawało się, jakże ten czas szybko leci, zaledwie niebezpieczeństwem rozpołowienia się Pirenejów aż do poziomu morza, i szkoda, że niespodziewany wypadek nie zatrzymał się w tamtym miejscu, proszę sobie wyobrazić, jak wielka duma przepelniałaby Europę z posiadania i dysponowania, w dowolny sposób, geologicznym kanionem, przy którym kanion Kolorado nie wyglądałby lepiej niż rów melioracyjny. Drugi exodus dotyczył bogatych i możnych, kiedy pęknięcie zdawało się już nieodwracalne, kiedy to dryfowanie półwyspu, choć jeszcze opieszale, jakby dopiero nabierał on szybkości, dowiodło w sposób, który wydaje nam się definitywny, wąłości struktur i ustanowionych idei. Zobaczono wtedy, że cała konstrukcja społeczna, z całą swą złożonością, jest zaledwie domkiem z kart, jedynie z pozoru solidnym, jeśli grzmotniemy pięścią w stół, na którym stoi, runie. A stół, w tym przypadku i po raz pierwszy w historii, ruszy samoistnie, mój Boże, mój Boże, żeby zachować cenne dobra i cenne życie, zmykajmy.

Trzeci exodus, ten, o którym mówiliśmy, zanim wrócili-

śmy do dwóch poprzednich, miał, by tak powiedzieć, dwa składniki albo części, które to, jeśli rozpatrzmy zasadnicze różnice pomiędzy nimi, w opinii niektórych osób powinny zostać określone jako trzeci i czwarty exodus. Nazajutrz, to znaczy w odległej przyszłości, historycy poświęcający się badaniu wydarzeń, które, w znaczeniu nie tylko metaforycznym, ale też dosłownym, zmieniły oblicze świata, zdecydują, i miejmy nadzieję, że zrobią to z umiarem i obiektywizmem ludzi chłodno obserwujących fenomeny przeszłości, czy powinno się, czy też nie dokonać dodatkowych podziałów. Twierdzą więc zwolennicy podziału, że dowodzi poważnych braków zmysłu krytycznego i wycucia proporcji stawianie na równi odpływu milionów ludzi z pasa nadbrzeżnego w kierunku interioru oraz ucieczki kilku tysięcy za granicę, tylko dlatego, że oba zjawiska niewątpliwie zbiegły się w czasie. Nie chcemy zajmować stanowiska w tym sporze, a już z pewnością nie wydawać sądy, niemniej jednak nie będziemy się powstrzymywać od stwierdzenia, że skoro strach jednych i drugich był podobny, środki, jakimi mogli mu zaradzić, podobne w żadnym razie nie były.

Pierwszy przypadek dotyczył przede wszystkim ludzi o skromnych majątkach, którzy w obliczu narzuconego przez władze oraz trudną sytuację obowiązku przeniesienia się na inne miejsce oczekiwali co najwyżej uratowania życia za pomocą tradycyjnych metod, cudu, szczęścia, przypadku, przeznaczenia, dobrej gwiazdy, modlitwy, wiary w Ducha Świętego, gwiazdy Dawida, amuletu i kropielnicy, zawieszonych na szyi, poświęconego medalika oraz innych rzeczy, które pomijamy dla oszczędności miejsca, ale które mogą zostać sprowadzone do tej kolejnej formuły, tak znamiętej jak najbardziej znamienite z nich, Jeszcze nie przyszedł na mnie czas. W drugim przypadku uciekający dysponowali potencjałem średnim i wysokim oraz byli dyspozycyjni, zostali na miejscu, żeby zobaczyć, do czego doprowadzą te nowe mody, ale teraz nie było już wątpliwości, wypełniły się samoloty nowego mostu powietrznego, wypełniły się do granic możliwości ładownie statków pasażerskich, statków handlowych i innych o mniejszym tonażu, na

zdarzenia, w żadnym razie nie budujące moralnie, spuścimy litościwie zasłonę milczenia, łapownictwo, intrygi, zdrady, nawet zbrodnie, zdarzały się przypadki zabójstw za bilet, obraz to nikczemny, lecz ponieważ świat jest, jaki jest, byłibyśmy naiwni, oczekując od niego czegoś innego. W końcu, po przyjrzeniu się i zważeniu wszystkiego, najbardziej prawdopodobne jest to, że rzeczywiście historyczne książki zanotują cztery, a nie trzy fale exodusu, nie przez nadmiar skrupulatności klasyfikacyjnej, lecz po to, by nie mieszać grochu z kapustą.

Zastrzeżmy jednak, że to, co zostało powiedziane w po-
bieżnej analizie, może wykazywać, choć bez świadomej in-
tencji z naszej strony, pewne umysłowe nastawienie skażone
manicheizmem, to znaczy skłonnością do idealizowania
niższych klas społecznych i potępienia a priori klas wyż-
szych, złośliwie napiętnowanych mianem, nie zawsze wła-
ściwym, bogatych i możnych, które w naturalny sposób po-
woduje nienawiść i antypatię wraz z niewątpliwie niskim
uczuciem zazdrości, źródłem wszelkiego zła. Bez wątplenia
biedni istnieją, trudno zaprzeczyć faktowi tak oczywistemu,
lecz nie powinno się ich przeceniać. Szczególnie że nie są
oni, i nie byli, co w tych okolicznościach wypadnie po-
twierdzić, wzorem cierpliwości, pogodzenia się z życiem,
dobrowolnie przyjętej dyscypliny. Kto, znajdując się z dala
od tych wydarzeń i miejsc, wyobraził sobie, że Iberyjczycy
uchodzący, stłoczeni w domach, przytułkach, szpitalach,
koszarach, magazynach, szopach albo namiotach i polo-
wych barakach, które zdołano zarekwirować, a także tych
oddanych i przygotowanych przez wojsko, oraz ci inni, jesz-
cze liczniejsi, którzy nie zdołali zdobyć zakwaterowania i żyją
pod mostami, pod osłoną drzew, w porzuconych sa-
mochodach, jeśli nie po prostu pod gołym niebem, kto wy-
obraził sobie, że Bóg zstąpił, aby żyć z tymi aniołkami, wie
pewnie wiele o Bogu i aniołkach, ale o ludziach nie wie
absolutnie nic.

Można powiedzieć, nie przesadzając, że piekło, w mitolo-
gicznych czasach równomiernie rozłożone po całym półwys-
pie, co zostało przypomniane zaraz na początku tego opo-

wiadania, koncentruje się teraz w pionowym pasie o mniej więcej trzydziestokilometrowej szerokości, od północnej Galicji aż do Algarve, mając na zachodzie nie zamieszkane tereny, w których działanie jako zderzaka tak naprawdę niewielu ludzi wierzy. Na przykład o ile rząd hiszpański nie musiał opuszczać Madrytu, tak wygodnie położonego w interiorze, o tyle już rządu portugalskiego należy poszukiwać w Elvas, mieście najbardziej odległym od wybrzeża, kreśląc linię prostą, mniej więcej poziomą i równoleżnikową, poczynając z Lizbony. Pośród uchodźców, źle odżywionych, niewyspanych, z umierającymi starcami, rozkrzyczanymi i płaczącymi dziećmi, mężczyznami bez pracy, kobietami dźwigającymi na plecach całą rodzinę, wybuchają konflikty, padają złe słowa, dochodzi do zamieszek i napaści, kradzieży ubrań i jedzenia, do wygnań i zamachów, a także, któż by przypuszczał, zapanowała rozwiązłość, która zmieniła te obozowiska w lupanary, co za wstyd, jakiż zły przykład dla dorastających dzieci, które, dowiadując się właśnie, jakich mają rodziców, nie wiedzą, gdzie i z kim płodzą oni kolejne potomstwo. Rzecz jasna znaczenie tej kwestii jest mniej istotne, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka, wzięwszy pod uwagę, jak niewielką wagę przywiązują współcześni historycy do okresów, które z tego czy owego powodu były podobne w szczegółach do tego okresu. Prawdopodobnie dowolne poczynanie sobie w sprawach ciała w sytuacjach kryzysowych jest tym, co najbardziej odpowiada żywotnym interesom ludzkości i człowieka, zwykle prześladowanym moralnością. Lecz skoro hipoteza jest kontrowersyjna, nie będziemy kontynuować, zwykła aluzja zaspokaja poczucie obowiązku postronnego obserwatora.

W tym rozgardiaszu istnieje jednakowoż oaza spokoju, tych siedem istot prowadzących żywot w doskonałej harmonii, dwie kobiety, trzech mężczyzn, jeden pies i jeden koń, choć ten ostatni ma powody, by przemilczać uzasadnione niezadowolone wynikające z podziału pracy, a mianowicie obowiązku samotnego ciągnięcia wyładowanego wozu, choć nawet to się polepszy któregoś dnia. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn tworzą dwie pary, i to szczęśliwe, tylko trzeci

mężczyzna nie ma pary, może nie doskwiera mu jej brak, biorąc pod uwagę jego wiek, przynajmniej jak dotąd nie zauważono tych niemożliwych do pomylenia objawów nerwowości zdradzających nadpobudliwość gruczołów. Co do psa nie wiemy, czy w chwilach, kiedy wyrusza na poszukiwanie stawy, poszukuje i znajduje zaspokojenie, choć psy są w tych sprawach najbardziej ekshibicjonistycznymi ze zwierząt, zdarzają się egzemplarze obdarzone dużą dyskrecją, miejmy nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy śledzić tego psa, zdarza się czasem apetyt na niezdrową ciekawość, który należy higienicznie poskromić. Może te uwagi na temat stosunków i zachowań nie byłyby tak naznaczone seksualnością, gdyby pary, w wyniku intensywności namiętności lub jej świeżości, nie okazywały się tak wylewne w jej okazywaniu, co też, powiedzmy to, uprzedzając złe myśli, nie oznacza, że przez cały czas i wszędzie się oblapiają i obcałowują, trzeźwo myślą nawet w tych sprawach, nie mogą jednakże skryć aury, która ich spowija i która emanują, ledwie kilka dni wcześniej ujrzał Pedro Orce ze szczytu wzgórza łunę. Tutaj, na skraju lasu, gdzie obecnie mieszkają, wystarczająco oddaleni od ludzkich siedzib, aby im się zdawało, że są sami, wystarczająco blisko ludzi, by zaopatrzenie w żywność nie było kłopotliwe, mogliby uwierzyć w szczęście, gdyby nie żyli, przez ile dni jeszcze, w permanentnym zagrożeniu kataklizmem. Ale korzystają z życia, mogliby powiedzieć, tak jak radził poeta, Carpe diem, zaleta tych starych, łacińskich sentencji polega na bogactwie drugich i trzecich znaczeń, nie licząc utajonych i nie-dookreślonych, które, przetłumaczone, na przykład Ciesz się życiem, stają się niedołączne, bezpłciowe, i nie zasługują nawet na wysiłek, by się pokusić o ich użycie. Dlatego upieramy się przy mówieniu Carpe diem i czujemy się jak bogowie, którzy zdecydowali się odrzucić wieczność, aby móc, w dosłownym znaczeniu powyższego zdania, korzystać z czasu.

Ile czasu jeszcze będzie, nie wiadomo. Radia i telewizje działają przez dwadzieścia cztery godziny, nie ma już dzienników o wyznaczonych porach, w każdej chwili przerywa się

programy, aby odczytać ostatni biuletyn, i wiadomości następują jedna po drugiej, znajdujemy się w odległości trzystu pięćdziesięciu kilometrów, znajdujemy się w odległości trzystu dwudziestu siedmiu kilometrów, możemy poinformować, że ludność wysp Świętej Marii i Świętego Michała została całkowicie ewakuowana, w przyspieszonym tempie ewakuuje się pozostałe, znajdujemy się o trzysta-dwanaście kilometrów, w wojskowej bazie w Lajes została mała grupa amerykańskich naukowców, którzy wycofają się drogą powietrzną dopiero, rzecz jasna, w ostatnich minutach, aby móc z góry przyglądać się zderzeniu, bez przymiotników, nie przychylnono się do prośby portugalskiego rządu, aby w charakterze obserwatora dokooptować do rzeczonyj grupy naukowca portugalskiego, znajdujemy się w odległości trzystu czterech kilometrów, odpowiedzialni za programy rozrywkowe i kulturalne w telewizji i radiu dyskutują nad tym, co powinno się puszczać w eter, muzykę klasyczną mówią jedni, mając na względzie powagę sytuacji, muzyka klasyczna jest przygnębiająca, spierają się inni, najlepsza byłaby muzyka lekka, francuskie piosenki z lat trzydziestych, portugalskie fado, hiszpańskie malagueñas i inne sewilliany, i dużo rocka, i dużo folka, zwycięzców Eurowizji, ale wesół muzyka będzie szokować i obrażać ludzi przeżywających prawdziwie decydujące chwile, odpowiadają klasycy, gorzej byłoby grać im żałobne marsze, stwierdzają nowocześni, i poza to się nie wychodzi, i tak nam mija czas, znajdujemy się w odległości dwustu osiemdziesięciu pięciu kilometrów.

Radio Joaquim Sassy było używane oszczędnie, są zapasowe baterie, lecz należy je zachować, nie wiadomo, co przyniesie dzień jutrzejszy, to popularne zdanie, z tych, co to wiele mówią, tutaj niemal moglibyśmy się założyć o to, jaki będzie to dzień, śmierć i zniszczenie, miliony trupów, zatopienie połowy półwyspu. Lecz minuty, podczas których radio jest wyłączone, szybko robią się nie do wytrzymania, czas staje się dotykalny, lepki, ściska w gardle, stale wydaje się, że za chwilę nastąpi zderzenie, choć ciągle jeszcze znajdujemy się daleko, któż byłby w stanie wytrzymać takie

napięcie, Joaquim Sassa włącza radio, Portugalski to dom, bez wątpienia, bez wątpienia dom to portugalski, śpiewa pełen słodczy głos, Dónde vas de mantón de Manila, dónde vas con el rojo clavel⁸, ta sama słodczy, to samo życie, ale inny język, więc wszyscy oddychają z ulgą, znajdują się bliżej śmierci o dwadzieścia kilometrów, ale cóż to ma za znaczenie, śmierć jeszcze nie została zapowiedziana, Azory nie znajdują się w zasięgu wzroku, Śpiewaj, dziewczę, śpiewaj.

Siedzą w cieniu drzewa, właśnie skończyli jeść i po ich ubraniu można by sądzić, że są nomadami, w tak krótkim czasie tak bardzo się zmienili, oto skutek braku wygod, pomięte i brudne ubrania, mężczyźni z kilkudniowym zarostem, nie potępiamy ich ani kobiet, których usta mają już tylko naturalny kolor, teraz bledszy z powodu trosk, być może podczas ostatnich godzin umalują się i przygotowują, aby godnie przyjąć śmierć, życie, ponieważ się kończy, na tyle nie zasługuje. Maria Guavaira wspiera się na ramieniu Joaquina Sassy, chwyciła go za rękę, pomiędzy rzesami pojawiają się dwie lzy, ale nie są to lzy strachu przed tym, co ma się wydarzyć, lecz miłości. I José Anaieo przytula Joane Cardę, całuje ją w czoło, potem w zamknięte powieki, gdyby przynajmniej ta chwila mogła pójść ze mną. tam, dokąd się udaję, nie proszę o więcej, tylko ta chwila, niekoniecznie ta konkretna, teraz, kiedy mówię, chodzi

O inną, wcześniejszą, poprzedzającą tę wcześniejszą, tę, której stąd już niemal nie widać, nie chwyciłem jej, kiedy ją przeżywałem, teraz już jest za późno. Pedro Orce wstał i oddala się, siwe włosy skrzą się w słońcu, także on niesie ze sobą swą lunę zimnego ognia. Pies ruszył za nim, ze spuszczonym łbem. Ale nie zajdą daleko. Teraz trzymają się razem, o tyle, o ile mogą, żaden z nich nie chce być sam, kiedy zdarzy się katastrofa. Koń będący, wedle tego, co mawiają uczeni, jedynym zwierzęciem, które nie wie, że wyzienie ducha, czuje się szczęśliwy, pomimo ciężkiej pracy

8 Hiszp. „Dokąd idziesz w jedwabnej chustce, dokąd idziesz z czerwonym goździkiem” (przyp. tłum.).

wykonanej podczas długich marszów. Żuje słomę, wstrząsa-
nął skórą, żeby odgonić gzy, omiata długimi włosami ogona
szary zad i prawdopodobnie nawet nie wie, że miał dokonać
życia w półmroku rozpadającej się stajni, pośród pajęczyn i
gnoju, dysząc od astmy, nie ma wątpliwości, że coś złego dla
jednych, może być dobre dla innych, choćby na tak krótko.

Minał dzień, nadszedł następny i też przeminał, brakuje
stu pięćdziesięciu kilometrów, wyczuwa się strach narasta-
jący niczym czarny cień, panika jest jak fala powodziowa
wyszukująca słabych punktów w wale, podgryza fundamen-
ty w głębinach, w końcu wyrwała się i ludzie, którzy do tego
czasu zachowywali się mniej więcej spokojnie w miejscach,
w których założyli obozowiska, ruszyli na wschód, nagle
bowiem zrozumieli, że znajdują się za blisko wybrzeża,
zaledwie o siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów,
przedstawili sobie w wyobraźni, że wyspy rozerwą ziemię aż
do tamtego miejsca i morze zaleje wszystko, stożek Pico
niczym zjawa, a kto wie, czy po zderzeniu nie uaktywni się
wulkan, Ale nie ma żadnego wulkanu na wyspie Pico, nikt
nie chciał słuchać tego ani żadnych innych wyjaśnień. Dro-
gi, rzecz jasna, zakorkowały się, każde skrzyżowanie stało
się niemożliwym do rozsoplania węzłem, w końcu nie-
możliwe stało się posuwanie naprzód, wycofanie się także,
wszyscy schwytni niczym myszy, lecz niewielu było takich,
którzy porzucili wiezione ze sobą skromne dobra, aby pró-
bować ratować życie na szerokich polach. Aby powstrzymać
falę dobrym przykładem, portugalski rząd porzucił
bezpieczne Elvas i przeniósł się do Evory, a hiszpański,
wygodniej, zainstalował się w León, stamtąd ogłosili komu-
nikaty, które prezydent Republiki tutaj i król Monarchii tam,
też podpisali, każdy swój, niestety zapomnieliśmy po-
wiedzieć, że prezydent i król towarzyszyli odpowiednim funk-
cjonariuszom we wszystkich przejściach, co wyjaśnilibyśmy
teraz, gdybyśmy nie uzupełnili tego pominięcia, bo jeden i
drugi wyrazili gotowość wyjścia do oszalałych mas, i, z roz-
łożonymi ramionami, ofiarowując życie w gwałtownym geście
albo pośpiechu, znowu Friends, Romans, countrymen, and
so, and so, nie, wasza królewska mość, nie, panie pre-

zydencie, masy w panice, jeszcze do tego ciemne, nie zrozumiałyby, trzeba być bardzo wykształconym i cywilizowanym, żeby zobaczyć króla albo prezydenta na drodze, z rozłożonymi ramionami, i zatrzymać się, żeby dowiedzieć się, czego on chce. Znaleźliby się jednak też i tacy, którzy w przypiływie wściekłości obróciliby się za siebie i zawołali, Lepsza śmierć niż takie życie, skończmy z tym, i ci zostaliby i czekali, spoglądając na spokojne wzgórza na horyzoncie, różowość świtu, głęboki granat gorącego wieczora, rozgwieżdżone, nocne niebo, może ostatecznie, lecz kiedy nadejdzie godzina, nie odwrócę od nich mego wzroku.

I stało się. O jakieś siedemdziesiąt pięć kilometrów od wschodnich rubieży Wyspy Świętej Marii, bez żadnych oznak przygotowania, bez najmniejszego wstrząsu, półwysp zaczął się przemieszczać w kierunku północnym. W ciągu kilku minut, podczas których w instytucjach naukowych Europy i Ameryki Północnej obserwatorzy z niedowierzaniem analizowali dane z satelit i wahali się, czyje opublikować, miliony przerażonych ludzi w Portugalii i Hiszpanii zostały już ocalone od śmierci i jeszcze o tym nie wiedziały. W ciągu tych minut, tragicznie, zdarzali się tacy, którzy prowokowali bójki w nadziei, że stracą życie, i udało im się, oraz tacy, którzy nie wytrzymując więcej strachu, popełniali samobójstwo. Bywali skruszeni, błagający o odpuszczenie grzechów, oraz tacy, którzy w przekonaniu, iż nie ma już czasu na skruchę, błagali Boga i Diabła o wskazówkę, jakie nowe grzechy można by jeszcze popełnić. Były kobiety, które rodziły, pragnąc, by ich dzieci przyszły na świat martwe, i inne, które dowiadywały się, iż są w ciąży i nigdy nie urodzą. I kiedy w całym świecie rozbrzmiał krzyk, Jesteście uratowani, jesteście uratowani, znaleźli się tacy, co nie uwierzyli i dalej oplakiwali zbliżający się koniec, aż w końcu nie było wątpliwości, rządy przysięgały na wszystkie możliwe sposoby, mędrcy dostarczali wyjaśnień, mówiono, że ocalenie zawdzięcza się silnemu prądowi morskemu wytworzonemu w sztuczny sposób, i wiele dyskutowano, czy działał to Amerykanie czy Sowieci.

Radość zrazu wypełniła śmiechem i tańcem cały

półwysep, szczególnie w szerokim pasie zgromadzenia milionów uchodźców. Szczęśliwie wydarzyło się to w biały dzień, gdzieś w porze obiadu dla tych, którzy mieli co jeść, w przeciwnym razie nastąpiłby straszliwy chaos i zamieszanie, oświadczały odpowiedzialne władze, lecz szybko pożałowały przedwczesnego wyroku, bo gdy tylko zyskano pewność, że wiadomość jest prawdziwa, tysiące tysięcy ludzi rozpoczęły podróż powrotną do domu, czym prędzej należało, z odrobiną bezwzględności, wysunąć hipotezę, że półwysep może powrócić na poprzednią trajektorię, tym razem odrobinę bardziej na północ. Nie wszyscy uwierzyli, przede wszystkim dlatego, że nowy niepokój podstępnie wdarł się w dusze ludzi, zobaczyli w wyobraźni porzucone miasta, miasteczka i wioski, w których mieszkali, własną ulicę, dom, splądrowany przez obrotnych ludzi nie wierzących w bajeczki dla grzecznych dzieci albo podejmujących potencjalne ryzyko z naturalnością kogoś, kto z zawodu co noc musiał wykonywać trzykrotnie salto mortale, a nie były to wizje chorej wyobraźni, bo w tych opuszczonych okolicach pojawiły się już oznaki bytności, choć skrywanej, wszelkiego rodzaju złodziei, szabrowników i włóczęgów, dawnych i nowych, pomiędzy którymi krążyło powiedzenie, Kto pierwszy, ten lepszy, kto przyjdzie później, niech szuka innego domu, nie wszczynajcie bójek, dla wszystkich wystarczy. Niech żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy zająć dom Marii Guavairy, to najlepsze, co mogą zrobić, bo siedzący w środku mężczyzna ma ze sobą nabitą strzelbę i otworzy drzwi tylko właścicielce, żeby powiedzieć, Pilnowałem pani własności, czy teraz pani za mnie wyjdzie, chyba że, znużony czuwaniem, ze zmęczenia zaśnie na gorze niebieskiej wełny i w ten sposób nie dopnie swego.

Rozważni mieszkańcy Azorów jeszcze nie wracają na swe wyspy i do swych domów, wyobraźmy sobie siebie na ich miejscu, to prawda, że bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło, ale kręci się po okolicy, wydaje się to nowoczesną wersją historii o garnku żelaznym i glinianym, z tą różnicą, że z gliny można było tutaj wykonać zaledwie miseczkę wysp, nie starczyło na garniec kontynentu, a ten, jeśli kiedykolwiek

istniał, poszedł na dno, zwał się Atlantyda, bylibyśmy wielkimi głupcami, gdybyśmy się niczego nie nauczyli dzięki doświadczeniu, albo jego wspomnieniu, choć jedno i drugie jest fałszywe. Lecz uczucia, które zatrzymują pod tym drzewem pięć osób, nie mają nic wspólnego z rozważą, teraz, kiedy wszyscy ludzie ruszyli w kierunku wybrzeża Portugalii i Galicji, by tak powiedzieć, w triumfalnym powrocie, niosą gałązki, kwiaty, grają orkiestry, strzelają sztuczne ognie, a gdy przechodzą, dzwonią dzwony, rodziny z powrotem wchodzą do domów, może czegoś w nich brakuje, ale życie wróciło z nimi, a to jest najważniejsze, życie, stół, przy którym jemy, łóżko, na którym spimy i gdzie tej nocy, z czystej radości, będzie się kochać najradośniej na świecie. Pod drzewem, z wozem i koniem o odbudowanych siłach, pięć osób, które zostały w tyle, patrzy na psa, jakby od niego powinien wyjść rozkaz albo rada, Ty, który przyszedłeś nie wiadomo skąd, ty, który pewnego dnia pojawiłeś się przede mną tak zmęczony, że padałeś z nóg, ty, który przeszedłeś i spojrzalesz na mnie, gdy pokazywałam tym mężczyznom miejsce, gdzie uczyniłam kreskę na ziemi, ty, który czekałeś na nas przy samochodzie zostawionym teraz pod wiatą, ty, który miałeś w pysku niebieską wełnę, ty, który prowadziłeś nas po tyłu drogach, ty, który poszedłeś ze mną nad morze i znalazłeś kamienny statek, powiedz nam, daj jakiś znak, skoro nawet szczekać nie potrafisz, powiedz nam, dokąd powinniśmy się udać, bo nikt z nas nie chce wrócić do domu w dolinie, byłby to dla nas początek ostatniego powrotu, mnie powie mężczyzna niech pani za mnie wyjdzie, mnie powie dyrektor biura potrzebuję tej faktury, mnie powie mój mąż a jednak wróciłaś, mnie powie ojciec najgorszego z uczniów panie profesorze, proszę dać mu kilka klapsów, mnie powie żona notariusza, że cierpi na ból głowy, proszę dać mi jakieś pastylki, powiedz nam więc, dokąd powinniśmy się udać, wstań i idź, to będzie nasze przeznaczenie.

Pies, leżący pod wozem, uniósł głowę, jakby usłyszał głosy, skoczył żwawo i podbiegł do Pedra Orce, który ujął jego łeb w dłonie, Jeśli chcesz, zabiorę cię z sobą, powiedział, tyle

że słowa zostały wypowiedziane przez mężczyznę. Maria Guavaira jest właścicielką konia i wozu i jeszcze nie zdecydowała, ale Joana Carda spojrziała na Jose Anaię i ten ją zrozumiał, Decydujcie, co chcecie, ja nie wracam, wtedy to Maria Guavaira powiedziała głosem jasnym i donośnym, Jest czas zostawania i czas wyjeżdżania, jeszcze nie nadszedł czas powrotu, i Joaquim Sassa spytał, Dokąd chcemy pojechać, Przed siebie, bez celu, Pojedźmy na drugą stronę półwyspu, zaproponował Pedro Orce, nigdy nie widziałem Pirenejów, Teraz też ich nie zobaczysz, połowa została w Europie, przypomniał Jose Anaię, To nie ma znaczenia, olbrzyma poznaje się po jednym palcu. Ucieszyli się tą decyzją, lecz Maria Guavaira powiedziała, Koń przyciągnął tu nas w pojedynkę, ale nie wytrzyma reszty podróży, jest stary, a wóz jest zrobiony dla dwóch koni, z jednym koniem to jest kulawy wóz, No to co, zapytał Joaquim Sassa, Musimy znaleźć jeszcze jednego, Nie będzie łatwo znaleźć tu konia, poza tym koń, jak sędzę, jest droгим zwierzęciem, może nawet nie będziemy mieli wystarczająco dużo pieniędzy.

Problem zdaje się nie mieć rozwiązania, lecz oto widzimy tutaj jeszcze jeden przykład elastyczności ludzkiego ducha, jeszcze niedawno Maria Guavaira stanowczo odrzuciła pomysł spędzenia nocy w opuszczonym domu, lekcja jeszcze rozbrzmiewa w uszach tych, którym pomysł przyszedł do głowy, a teraz, ileż może zdziałać konieczność, odrzuca Maria Guavaira całe życie prowadzone w czystości moralnej, może nikt jej nie rzuci w twarz zarzutu relatywizmu moralnego, Nie kupimy go, ukradniemy, takie padły słowa, i teraz to Joana Carda stara się poprawić, nie wprost, aby nikogo nie urazić, W całym moim życiu nigdy niczego nie ukradłam. Zaległa nieprzyjemna cisza, ludzie muszą przyzwyczaić się do nowych zasad moralnych, w tym przypadku pierwszy krok zrobił Pedro Orce, wbrew zwyczajowi, według którego to starzy najzacieklej bronią starego prawa, W naszym życiu nigdy niczego nie kradliśmy, zawsze robi się to w życiu innych, mogłaby to być maksyma filozofa cynika, lecz jest to zaledwie stwierdzenie faktu, Pedro Orce się

uśmiechnął, ale słowa zostały wypowiedziane. Bardzo dobrze, decyzja została podjęta, ukradniemy konia, ale jak to zrobimy, będziemy losować, kto pójdzie na wyprawę, Ja będę musiała pójść, powiedziała Maria Guavaira, wy nie znacie się na koniach, nie bylibyście w stanie go przyprowadzić, Ja pójdę z tobą, odezwał się Joaąuim Sassa, ale dobrze by było, żeby pies też z nami poszedł, mógłby nas bronić w przypadku jakiegoś niespodziewanego spotkania.

Tej nocy wyszli we trójkę z obozu, skierowali się na wschód, gdzie być może, skoro jest to rejon, gdzie panował względny spokój, prawdopodobieństwo znalezienia tego, czego szukają będzie większe. "Zanim wyruszyli, Joaąuim Sassa powiedział, Nie wiemy, ile czasu nam to zajmie, poczekajcie tu na nas, Może lepiej by było, jak się tak dobrze zastanowić, przyprowadzić wielki wóz, w którym zmieścilibyśmy się wszyscy, z bagażami i psem, powiedział Jose Anaięo, Nie ma takich wozów, potrzebowalibyśmy ciężarówki, poza tym nie zapominaj, że nie znaleźliśmy żadnego kompletnego samochodu na chodzie i mamy konia, nie możemy go tu porzucić, Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, krzyknęli w swoim czasie trzej muszkietierowie, których było czterech, a teraz jest ich pięcioro, nie licząc psa. I konia.

Ruszyli w drogę Maria Guavaira i Joaąuim Sassa, pies biegł przodem, węsząc wiatr i badając cienie. Wyprawa ma posmak absurdu, znaleźć konia, Muł też może być, powiedziała Maria Guavaira, nie wiedząc, czy będzie istnieć zwierzę tego gatunku w promieniu pięciu mil, może łatwiej byłoby znaleźć wołu, ale nie zaprzęga się konia z wołem, albo osła, w tym przypadku, do takiego ciężaru, byłoby to jak zaprzęć dwie słabości, aby razem dały siłę, rzecz do zaakceptowania tylko w parabolach takich jak ta już cytowana o łożynie. Szli i szli, schodzili z drogi zawsze, gdy na jasnym tle pół widzieli domy i zabudowania gospodarskie, jeśli są tu jakieś konie, to właśnie tam się znajdują, wszak potrzebujemy zwierząt pociagowych, a nie paradnych wierzchowców albo sportowych kłusaków. Ledwie się zbliżali, psy zaczynały ujadać, ale w chwilę potem milkły, nigdy nie dowie-

my się, na czym polegały umiejętności Psa, wiadomo tylko, że najbardziej zajadły i rozszczekany strażnik niespodzianie milkł i wcale nie dlatego, że zagryzała go bestia z tamtego świata, słychać by było odgłosy walki, skomlenie z bólu, cisza nie była grobowa tylko dlatego, że tak naprawdę nikt nie umierał.

Niebawem miało zacząć świtać, Maria Guavaira i Joaquim Sassa już ledwie powłóczyli nogami ze zmęczenia, on powiedział, Musimy znaleźć jakieś miejsce na odpoczynek, ale ona się uparła, Szukajmy, szukajmy, i tyle szukali, że w końcu znaleźli, bo znaleźli, a nie odkryli, a zdarzyło się to w najprostszy na świecie sposób, dniało już, czarna noc na wschodzie zmieniła się w głęboki granat, kiedy dobiegło do ich uszu z małej doliny nieopodal drogi przytłumione parskanie, nieznaczny cud, oto jestem, poszli i zobaczyli uwiązane konia, to nie Bóg Pan Nasz zostawił go w tamtym miejscu dla wzbogacenia katalogu swych cudów, lecz legalny właściciel zwierzęcia, któremu rzekł kowal, Posmaruj mu otarcie tą maścią i zostaw go na noc na dworze, niech tak zostanie przez trzy noce, poczynając od piątku, a jeśli nie zostanie wyleczony, zwrócę ci pieniądze i niech się nie nazywam kowalem. Spętany koń, jeśli nie ma się ostrego noża, żeby przeciąć sznur, nie jest zwierzęciem, które można dźwigać na plecach, ale Maria Guavaira wie, jak z nim rozmawiać, i pomimo nerwowości zwierzęcia nie rozpoznającego tego, kto go prowadzi, daje radę zaprowadzić go w cień drzewa, i tam, ryzykując kopnięcie albo stratowanie, rozwiązuje węzeł na szorstkim sznurze, zwykle w takiej sytuacji robi się konkretny węzeł, prosty do rozwiązania, ale może w tych okolicach wiedza ta już poszła w zapomnienie. Dobrze też, że koń rozumiał, że chcą go uwolnić, wolność zawsze jest dobra, nawet jeśli idziemy w nieznaną.

Wrócili bardzo okrężną drogą, bardziej niż kiedykolwiek zdając się na zdolności psa unikania podejrzanych i niechcianych spotkań. Kiedy dzień wstał na dobre, byli już daleko od miejsca przestępstwa i zaczęli spotykać ludzi na polach i drogach, ale żaden z nich nie znał konia, a nawet gdyby mogli go rozpoznać, pewnie i tak nie zwróciliby na

niego uwagi, tak piękny i niewinny stanowili obrazek, by tak powiedzieć średniowieczny, dziewica niczym amazonka siedzi na rumaku, a przodem kroczy błędny rycerz, prowadząc wierzchowca za uzdę, której szczęśliwie nie zapomnieli ze sobą zabrać. Dog dopełnia wspaniałej wizji, która jednym wydała się snem, innym oznaką życiowych zmian, nie wiedzą ani jedni, ani drudzy, że idzie tam zaledwie dwoje wrednych koniokradów, to święta prawda, że pozory mylą, a zwykle nie zauważa się, że mylą po dwakroć, dlatego też lepiej chyba zawierzyć pierwszemu wrażeniu, a nie wdawać się w dociekania. Dlatego nie zabraknie dzisiaj takich, którzy powiedzą, Dziś rano widziałem Amadisa i Oriane, ona na koniu, on pieszo, szedł z nimi pies, To nie mogli być Amadis i Oriana, bo nigdy nie widziano z nimi żadnego psa, Widziałem go i już, jeden świadek starczy za stu, Ale w historii życia i miłości tych dwojga nie ma mowy o psie, No to trzeba na nowo napisać życie, i to tyle razy, ile trzeba będzie, żeby zmieściło się w nim wszystko, Wszystko, No dobra, tyle ile się da.

Po południu dotarli do obozowiska i zostali powitani uściskami i śmiechem. Kasztan spojrział spode łba na sapiącego gniadego, Ma otarcie na zadzie, prawie wyleczone, na pewno posmarowali go maścią i zostawili w spokoju na trzy noce, poczynając od piątku, to niezawodne lekarstwo.

Podczas gdy ludność wraca do swych domostw i życie stopniowo wraca do normy, jak to się zwykle mawiać, pełną parą ruszają spory naukowców na temat powodów zbroczenia in extremis półwyspu, kiedy katastrofa wydawała się już nieunikniona. Stanowiska są różnorakie, niemal wszystkie są sobie przeciwstawne, co też matematycznie przyczynia się do nieugiętości uczonych dyskutantów.

Pierwsza teza broni absolutnej przypadkowości wyboru nowego kursu, bo choć nowy kurs został obrany dokładnie pod kątem prostym do poprzedniego, nie do przyjęcia jest jakakolwiek myśl, która dopuszczałaby, powiedzmy, jakiś akt woli, który zresztą nie wiadomo komu by przypisać, skoro nikt nie odważyłby się stwierdzić, że potężna masa

skął i ziemi, na której miota się kilka milionów ludzi, mogłaby wytworzyć, dzięki zwykłemu dodaniu albo wzajemnemu rozmnożeniu, inteligencję i moc zdolną do działania, świerzbi język, by to powiedzieć, iście diabelską.

Wedle innej tezy ruch albo konkretnie progresja, później zobaczymy, dlaczego wybraliśmy właśnie to słowo, przebiegać będzie po coraz to nowym kursie, ustanowionym pod kątem prostym do poprzedniego, co, ipso facto, pozwala dopuścić możliwość powrotu półwyspu do punktu wyjścia, po sekwencji albo progresji odcinków, które od pewnego momentu będą mogły wynosić milimetry, aż do ostatecznego doskonałego dopasowania się.

Trzecia teza zakłada istnienie na półwyspie pola magnetycznego, lub podobnej siły, które po zbliżeniu się wystarczająco dużego obcego ciała reaguje i rozpoczyna proces odrzucania o osobliwych właściwościach, przyjmując, że owo odrzucenie, co miano okazje zaobserwować, nie odbywa się w kierunku przeciwnym do ruchu początkowego albo ostatniego, lecz, by użyć porównania z zakresu żeglugi, robiąc zwrot, dlaczego na północ albo dlaczego na południe, tego już zwolennicy tej teorii zapomnieli wyjaśnić.

Na koniec czwarta teza, najmniej ortodoksyjna, odwołuje się do sił zwanych metapsychicznymi i zakłada, że półwysp został sprowadzony z toru kolizji przez wektor stworzony przez koncentrację, podczas jednej dziesiątej sekundy, pragnienia ocalenia i przerażenia wzburzonej społeczności. Wyjaśnienie to zyskało sobie wielką popularność, szczególnie od chwili, kiedy jego obrońca, aby uczynić je jasnym dla nieoświeconych umysłów, odwołał się do porównania z dziedziny fizyki, pokazując, jak rozproszone promienie słoneczne skupiają się w soczewce, tworząc rzeczywisty ośrodek albo ognisko, ze znanym wszystkim wynikiem, ciepło, przypalenie, ogień, tak więc efekt skupiający soczewki to oczywiste podobieństwo ze skumulowaną siłą umysłów, która byłaby niczym chaotyczna energia słoneczna, koncentrowana i wykorzystywana w chwilach kryzysowych aż do paroksyzmu. Nielogiczność teorii nikomu nie przeszkadzała,

wręcz przeciwnie, nie zabrakło takich, którzy utrzymywali, że od tej pory wszystkie fenomeny psychiki, ducha, duszy, woli, tworzenia, będą wyjaśniane na podstawie fizyki, choćby poprzez zwykłą analogię lub niedoskonałą indukcję. Teza ta jest studiowana i rozwijana w celu zastosowania swych podstawowych zasad do życia codziennego, szczególnie do funkcjonowania partii politycznych oraz zawodów sportowych, aby przywołać zaledwie dwa najbardziej pospolite przykłady.

Niemniej niektórzy sceptycy twierdzą, że rzeczywisty dowód tych hipotez, wszak są to tylko hipotezy, zostanie przeprowadzony za kilka tygodni, jeśli półwysep utrzyma obecny kierunek, co zawiedzie go w okolice pomiędzy Islandią i Grenlandią, ziemie niegościnne dla Hiszpanów i Portugalczków, ogólnie nawykłych do łagodności i niefrasobliwości klimatu umiarkowanego, przez większą część roku zbliżającego się do gorącego. Jeśli tak się zdarzy, jedyną logiczną konkluzją płynącą z tego, co dotychczas widziano, będzie stwierdzenie, że nie warto było wyruszać w tę podróż. Co z drugiej strony byłoby, albo będzie, zbyt dużym uproszczeniem problemu, bo żadna podróż nie jest tylko tą jedną podróżą, każda zawiera w sobie mnogość podróży, a jeśli jedna z nich pozornie okaże się mieć tak niewiele sensu, że będziemy czuli się uprawnieni do powiedzenia, Nie było warto, zdrowy rozsądek nakazywałby, gdybyśmy go tak często nie zagłuszali z powodu uprzedzeń albo lenistwa, zweryfikowanie, czy podróże, które w niej się zawierały albo w których ona się zawierała, nie były wystarczająco cenne, aby w końcu było warto. Wszystkie te przytoczone rozważania radzą odsunięcie definitywnych sądów i innych uprzedzeń. Podróże następują po sobie i gromadzą się niczym pokolenia, pomiędzy wnukiem, którym byłeś, i dziadkiem, którym będziesz, jakim jesteś ojcem, No dobrze, może fatalnym, ale koniecznym.

Jose Anaięo dokonał obliczeń trasy czekającej ich podróży, okrężnymi drogami, jeśli chcą ominąć wielkie zbocza Gór Kantabryjskich, i obwieścił wyniki, Z Palas de Rei, gdzie mniej więcej się teraz znajdujemy, do Valladolid

jest jakieś czterysta kilometrów, a stamtąd do granicy, przepraszam, tu na tej mapie jeszcze mam granicę, jest następne czterysta, czyli w sumie osiemset kilometrów, wielka podróż, jeśli się jedzie w tempie kroku konia, Konia nie, to się już skończyło, i nie będzie to krok tylko kłus, poprawiła Maria Guavaira. Odezwał się wtedy Joaquim Sassa, Z dwoma końmi, przerwał w tym punkcie zdania z wyrazem twarzy kogoś, kto widzi światełko we wnętrzu własnej głowy, i wybuchnął śmiechem, To ci dopiero, zostawiliśmy Dwa Konie

i teraz będziemy podróżować następnym, proponuję nazwać nasz wóz Dwa Konie, de facto i de jure, jak, zdaje się, powiedziano by po łacinie, bo ja nie uczyłem się łaciny, to tylko ze słuchu, jak mawiał mój dziadek, który też nie znał języka tych swoich przodków. Dwa Konie jedzą siano z tyłu wozu, otarcie gniadego całkowicie już zablizniło, a kasztan, jeśli nie odmłodził, to lepiej wygląda i wzmocnił siły, rzadziej podnosi łeb niż ten drugi, ale nie ustępuje mu w zaprzęgu. Joaquim Sassa znowu się odezwał, gdy ucichł śmiech, Pytałem o to, ile kilometrów na godzinę możemy zrobić średnio z dwoma końmi w zaprzęgu, a Maria Guavaira odpowiedziała, Jakieś trzy mile, To znaczy około piętnastu kilometrów według nowoczesnej miary, Właśnie tak, Dziesięć godzin po piętnaście kilometrów to sto pięćdziesiąt, za niecałe trzy dni będziemy w Valladolid, za następne trzy dojedziemy do Pirenejów, to szybko. Maria Guavaira miała skonsternowaną minę, odpowiedziała, To bardzo dobry plan, zwłaszcza jeśli chcemy zajeździć zwierzęta w krótkim czasie, Ale ty tak powiedziałaś, Powiedziałam piętnaście kilometrów, ale w płaskim terenie, a i tak konie nigdy nie chodzą dziesięć godzin dziennie, Z odpoczynkami, Dobrze, że nie zapomniałeś o odpoczynkach, z ironicznego tonu wnioskujemy, że Maria Guavaira niemal się zirytowała.

W takich sytuacjach, nawet gdy nie chodzi o konie, mężczyźni stają się pokorni, jest to prawda, z której kobiety zwykle nie zdają sobie sprawy, zwracają uwagę jedynie na to, co wydało im się męskim uchybieniem, reakcją na przeciwstawienie się autorytetowi, w taki sposób prowokuje się pomyłki i nieporozumienia,

prawdopodobnie powodem takiej sytuacji jest niedorozwój aparatu słuchowego istot ludzkich, a szczególnie kobiet, choć pyszną się one tym, że są znakomitymi słuchaczkami, To prawda, o koniach wiem niewiele, jestem z piechoty, wymamrotał Joaquim Sassa. Pozostali przysłuchują się słownemu pojedynkowi, śmieją się, bo przypadek nie jest poważny, nic tak mocno nie wiąże ludzi na świecie jak niebieska nitka, co niebawem zobaczymy. Maria Guavaira powiedziała, Sześć godzin dziennie to maksimum, może damy radę zrobić trzy mile na godzinę, a może nie, zależy od koni, Wyjedziemy jutro, zapytał Jose Anaieo, Jeśli wszyscy się zgadzają, odparła Maria Guavaira i wdzięcznie zwróciła się do Joaquina Sassy, Zgadzasz się, a on, nagle rozbrojony, powiedział, Zgadzam, i uśmiechnął się.

Tej nocy zrobili przegląd środków w gotówce, tyle escudów, tyle peset, trochę zagranicznej waluty Joaquina Sassy, którą zdobył, kiedy wyjeżdżali z Porto, tak niedawno, a zdaje się, że minęły całe wieki, refleksja ta niewiele ma z oryginalności, jeśli w ogóle jakaś refleksja ma coś oryginalnego, ale trudno jej się oprzeć, tak jak tylu innym pospolitym rzeczom. Zapasy zabrane z domu Marii Guavairy zaczynają się kończyć, trzeba uzupełnić spiżarnię, a nie będzie to łatwe, przy całym tym zamieszaniu w zaopatrzeniu, żarłoczny tłum, przechodząc, nie zostawił nawet liścia kapusty, nie mówiąc już o splądrowanych kurnikach, wyniku rozsierdzenia potrzebujących, od których żądano fortuny za wychudzonego kurczaka. Kiedy sytuacja zaczęła się normalować, ceny trochę spadły, ale nie wróciły do poprzedniego poziomu, wiadomo, nigdy nie wracają. Teraz problemem jest brak wszystkiego, nawet gdy się kradnie, nie jest łatwo, gdyby dalej chcieli kroczyć tą drogą deprawacji, przypadek konia był szczególny, gdyby nie cierpiał na otarcie skóry, dalej byłby ozdobą stajni i pomagałby w pracy swemu dawnemu panu, który o losie zwierzęcia wie tylko, że zabrało go dwóch włóczęgów i pies, zobaczył to po śladach. Mówi się i upiera, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, tylu ludzi to potwierdza, tylu potwierdziło, że może chodzić o ogólną prawdę, pod

warunkiem że zadamy sobie trud skrupulatnego rozdzielania zła i dobra i określenia, komu przypadło jedno, a komu drugie. Powiedział więc Pedro Orce, Będziemy musieli pracować, żeby zarobić jakieś pieniądze, pomysł wydał się logiczny, ale po przejrzeniu ich profesji wyciągnięto przygnębiające i spodziewane wnioski, więc Joana Carda pomimo studiów humanistycznych nigdy nie udzielała lekcji, od ślubu zawsze była gospodynią domową, a i tutaj w Hiszpanii zainteresowanie literaturą portugalską nie jest wcale takie wielkie, zwłaszcza że w obecnej sytuacji Hiszpanie mają poważniejsze problemy na głowie, Joaquim Sassa już oświadczył zirytowany, że jest z piechoty, co oznaczało, że należy do obozu drobnych pracowników biurowych, cenna to działalność, nikt tego nie podaje w wątpliwość, ale tylko w okresie spokoju społecznego i niezachwianych interesów, Pedro Orce przez całe swoje życie sporządzał lekarstwa, kiedy go poznaliśmy, przygotowywał opłatki z chininą, szkoda, że nie przyszło mu do głowy zabranie ze sobą apteki, mógłby teraz dawać porady i zarabiać na tym porządne pieniądze, wszak w tych wiejskich okolicach kto mówi aptekarz, mówi lekarz, Jose Anaięto jest nauczycielem nauczania początkowego i to mówi wszystko, nie mówiąc o tym, że znajduje się na ziemi o innej geografii i innej historii, jak by wyjaśnił hiszpańskim dzieciom, że Aljubarrota była zwycięstwem, skoro są przyzwyczajone do zapomniania, że była to klęska, została jeszcze tylko Maria Guavaira, jest jedyną, która w tych okolicach może poprosić o pracę i wykonać ją proporcjonalnie do swej wiedzy i sił, które nie wszystkiemu podoleją. Patrzą jedni na drugich, nie wiedząc, co zrobić z życiem, i Joaquim Sassa, wahając się, mówi, Jeśli będziemy musieli ciągle się zatrzymywać, żeby zarobić jakieś pieniądze, nigdy nie dojedziemy do Pirenejów, pieniądze zarobione w taki sposób, to pieniądze nietrwale, łatwo przyszło, łatwo poszło, najlepszym rozwiązaniem byłoby zrobić tak, jak robią Cyganie, chodzi mi o tych, którzy podróżują z miejsca na miejsce, z czegoś muszą żyć, było to pytanie, była to wątpliwość, może Cyganom spada

manna z nieba. Pedro Orce odpowiedział, pochodzi z południa, a więc z ziem, gdzie najczęściej jest przedstawicielem tej nacji, Niektórzy handlują końmi, inni sprzedają ubrania na jarmarkach, jeszcze inni chodzą z towarem od drzwi do drzwi, kobiety czytają z dłoni, Nie chcemy więcej żadnych historii z końmi, wstydu już nam wystarczy, poza tym w ogóle się na tym nie znamy, a co do czytania z dłoni, miejmy nadzieję, że nie wyczytamy niczego złego o nas samych, Nie mówiąc już o tym, że żeby sprzedać konia, trzeba go najpierw kupić, a na to nie wystarczy nam pieniędzy, skoro nawet tego konia musieliśmy ukraść. Zrobiła się cisza, jak udało jej się zrobić, nie wiadomo, a kiedy już była zrobiona, powiedział Joaquim Sassa, objawiając stosownie praktycznego ducha, Widzę tylko jedno wyjście z sytuacji, kupimy ubrania w jakiejś hurtowni, na pewno jakieś znajdziemy w pierwszym większym mieście, a potem będziemy je sprzedawać w wioskach, z rozsądnym zyskiem, księgowością zajmę się ja. Pomysł wydawał się niezły, z braku lepszego spróbują, skoro już nie mogą być rolnikami ani aptekarzami, ani nauczycielami, ani dzierżawcami, będą domokrażcami i komiwojażerami, będziemy sprzedawać odzież męską, damską i dziecięcą, bo to nie jest powód do wstydu, a przy dobrym zarządzaniu zarobi się na życie.

Nakreśliwszy w ten sposób plan działania, poszli spać, a nadszedł już czas, by przedstawić, w jaki sposób wszyscy mieszcza się w wozie, zwanym teraz Dwa Konie, a więc jest tak, Pedro Orce kładzie się z przodu na wąskim sienniku, który akurat mu wystarczy, potem Joana Carda i Jose Anaiço, wzdłuż, obok przedmiotów, które z nimi podróżują, i tak samo spiąją Maria Guavaira i Joaquim Sassa, bardzo z tyłu. Wiszące prześcieradła symbolicznie dzielą pomieszczenie, panuje wielki wzajemny szacunek, jeśli Joana Carda i Jose Anaiço muszą nocą wyjść z wozu, przechodzą obok Pedra Orce, który nie skarży się, niewygodę dzieli się tutaj tak jak całą resztę. A pocałunki i przytulanie, zapytają ci niepoprawni ciekawscy, których natura wyposażyła w szczególne upodobanie do złośliwości. Powiedzmy, że istnieją dwa sposoby na zaspokojenie przez

zakochanych słodkich impulsów natury, albo wychodzą na pola w poszukiwaniu spokojnego i ustronnego miejsca, albo wykorzystują chwilowe i celowe oddalenie towarzyszy, do czego nie potrzeba nawet słów, istnieją sygnały bardzo wymowne, wystarczy trochę się rozkojarzyć i w takiej sytuacji zabraknie pieniędzy, ale nie zrozumienia.

Nie wyruszyli o brzasku, jak doradza poetyka, po co wstawać tak wcześnie, skoro teraz dysponują swoim czasem, lecz ten powód nie był jedyny ani też najważniejszy, tak się złożyło, że więcej czasu zabrała im poranna toaleta, mężczyźni się golili, kobiety się malowały i czyściły ubrania, w odpowiednim miejscu leśnego zagajnika, dokąd wiadrem nosili wodę ze strumienia, umyli się, jedno po drugim, pary zaś nie wiemy, czy były całkowicie nagie, bo nie było nikogo, żeby zaświadczyć. Pedro Orce wykapał się ostatni, zabrał ze sobą psa, zachowywali się jak dwa rozbrykane zwierzaki, śmiał się tak jeden, jak i drugi, pies popychał Pedra Orce, Pedro Orce ochlapywał psa, człowiek w tym wieku nie powinien wystawiać się tak bardzo na powszechne pośmiewisko, ktoś, przechodząc, zaraz by powiedział, Powinien bardziej się szanować, nie jest już taki młody. Po obozowisku niemal nie zostało śladów, zaledwie ubita ziemia, błoto po kąpieli pod drzewami, popiół pomiędzy poczerniałymi kamieniami, pierwszy wiatr zamiecie wszystko, pierwszy ulewny deszcz wyrówna ziemię, rozpuści popiół, jedynie kamienie zaświadcza, że przeszli tędy ludzie, gdy zajdzie potrzeba, posłużą do rozpalenia innego ogniska.

Jest piękny dzień na podróż. Zbocza pagórka, pod osłoną którego się schronili, schodzą na drogę, woźnicą jest Maria Guavaira, nie powierza lejców nikomu, trzeba umieć przemawiać do koni, są kamienie, koleiny, złamanie na nich osi byłoby końcem kłopotów, oby nie zapeszyć. Gniady i kasztan jeszcze niezbyt dobrze się rozumieją, Al zdaje się nie ufać sile pęcín Piga, a po tym, jak Pig chodził sam w zaprzęgu, ma skłonność do ciągnięcia w bok, jakby chciał oddalić się od towarzysza, zmuszając Ala do dodatkowego wysiłku. Maria Guavaira obserwuje nieporozumienia, gdy dojadą do drogi, zaczną ustawiać

Piga przy zastosowaniu rozsądnych środków perswazji, bat i operowanie lejcami powinny go oduczyć złych nawyków. Imiona Pig i Al wymyślił Joaquim Sassa, mając na względzie, że te Dwa Konie nie są takie same jak te samochodowe, bo tamte, choć żyły tak blisko siebie, były nierozróżnialne i zawsze chciały tego samego w tej samej chwili, podczas gdy te różnią się dokładnie wszystkim, kolorem, wiekiem, siłą, postawą, temperamentem, dlatego jest zasadne i konieczne, by każdy z nich miał własne imię, Ale Pig po angielsku znaczy Świnia, a Al jest skrótem od Alfred, zaprotestował Jose Anaię, na co Joaquim Sassa odpowiedział, Nie jesteśmy w Anglii, Pig to pigareo, kasztan, Al to alazao, gniady, a ja jestem ojcem chrzestnym. Joana Carda i Maria Guavaira wymieniają uśmiechy wobec takiej infantylności swych mężczyzn. A Pedro Orce powiedział niespodziewanie, Gdyby byli kłaczą i koniem i mieli dziecko, moglibyśmy ich nazwać Pigał, bardziej zorientowani w kulturze europejskiej towarzysze spojrzeli na niego zaskoczeni, z jakich to powodów przypomniał sobie Pedro Orce o Pigalle, ale nastąpiła pomyłka, zawsze istniały zbiegi okoliczności i pewne drobne gry słów są wynikiem chwali. Pedro Orce nie wie nic o Pigalle.

Tego pierwszego dnia nie przejechali więcej niż siedemdziesiąt kilometrów, po pierwsze dlatego, że nie byłoby dobre nadwężanie koni po tak długim odpoczynku, a po drugie dlatego, że trzeba było przejechać przez miasto Lugo, które znajdowało się trochę na uboczu obranej przez nich trasy, na północny wschód, gdzie zaopatrzyli się w towar do handlu, dzięki któremu mieli zamiar utrzymywać się przy życiu. Kupili miejską gazetę, aby poznać ostatnie wiadomości, a najciekawszą rzeczą, jaką w niej znaleźli, była fotografia półwyspu z poprzedniego dnia, widać na niej było przemieszczanie się półwyspu na północ od poprzedniego kursu, dydaktycznie zaznaczonego przez redakcję przerywaną linią. Nie było wątpliwości, kąś nie mógł być bardziej prosty. Lecz na temat uczonych dysput, przytoczonych powyżej, niewiele mówiono, a własne stanowisko dziennika zdawało się wynikiem dawnych rozczarowań, swego rodzaju sceptycyzmu, może zdrowego,

ale który też można by przypisać znanej krótkowzroczności małych miasteczek z pro- wincji.

W magazynach odzieżowych kobiety, bo rzecz jasna im przypadł w udziale wybór kolekcji, z Joaąimem Sassą u boku w celu kalkulowania kosztów, długo się wahały co do kryteriów, jakie należy przyjąć przy wyborze ubrań na zbliżającą się zimę. Na ostateczną decyzję wpłynęły ich własne potrzeby, oczywiście wszyscy byli źle zaopatrzeni w ciepłą odzież, w związku z czym trudno się dziwić, że w końcu Maria Guavaira i Joana Carda uległy osobistym pokusom. Pogodziwszy wszystko, można zakończyć zakup towaru z nadzieją na dobre perspektywy, jeśli popyt stanie na wysokości podaży. Joaąim Sassa był trochę zaniepokojony, Straciliśmy połowę wszystkich pieniędzy, jeśli w ciągu tygodnia nie odzyskamy połowy z tej połowy, będziemy mieli problemy, w przypadku takim jak nasz, bez gotówki ani możliwości zaciągnięcia kredytu, dobre zarządzanie towarem to rzecz kluczowa, doskonała harmonia pomiędzy zbytem i uzupełnianiem, bez przestojów. Takie przemówienie wygłosił Joa- quim Sassa na pierwszym postoju po wyjeździe z Lugo, z autorytetem administratora, i zostało ono dobroduszenie przyjęte przez pozostałych.

To, że droga do fortuny nie będzie usłana różami, zrozumieli wszyscy, kiedy talent handlowy jednej klientki doprowadził ich do sprzedania dwóch spódnic niemal bez zysku. Tak się złożyło, że sprzedawczynią była Joana Carda, która później przeprosiła spółkę i obiecała, że w przyszłości będzie najbardziej zawziętą z handlarek działających na półwyspie, No bo jeśli się nie zabezpieczymy już teraz, wszystko wezmą diabli, zostaniemy bez pieniędzy i bez towaru, po raz kolejny upomniał Joaąim Sassa, nie chodzi tylko o nasze utrzymanie, mamy jeszcze trzy gęby do wyżywienia, psa i konie, Pies da sobie radę sam, zauważył Pedro Orce, Jak dotąd sobie radził, ale któregoś dnia nie wyjdzie mu polowanie i wróci do nas z podkulonym ogonem, a skoro nie będziemy mieli jedzenia, żeby mu dać, to co będzie, Połowa z tego, co jest dla mnie, będzie dla niego, Bardzo

piękny jest twój gest, ale naszym zmartwieniem nie powinno być dzielenie biedy, ale zwiększanie bogactwa, Bogactwo i bieda w tej sytuacji, zauważył Jose Anaięo, to sposób mówienia, ale w tej chwili naszego życia jesteście znacznie biedniejsi niż w rzeczywistości, dziwna to sytuacja, żyjemy, jakbyśmy zdecydowali, że będziemy biedni, Gdyby to była kwestia wyboru, to pewnie nie byłby on dobrowolny, lecz byłby wynikiem okoliczności, ale z nich zaakceptowaliśmy tylko niektóre, te, które służyły naszym osobistym celom, jesteście jak aktorzy albo też jesteście zaledwie postaciami, gdybym na przykład ja wróciła do mojego męża, kim bym była, wychodzącym z roli aktorem czy postacią przyjmującą rolę aktora, a pomiędzy jednym i drugim gdzie bym była ja, to pytanie zadała Joana Carda. Maria Guavaira słuchała w milczeniu, teraz zaczęła mówić, jakby z innej beczki, być może nie zrozumiała dobrze, co mówili inni, Ludzie rodzą się codziennie, tylko od nich zależy, czy zdecydują się żyć wczorajszym dniem, czy rozpocząć od początku i od kołyski nowy dzień, dziś, Jest jednak doświadczenie, wszystko, czego się nauczyliśmy, przypomniał Pedro Orce, Tak, masz rację, zgodził się Jose Anaięo, ale zwykle żyjemy, jakbyśmy nie mieli żadnego doświadczenia, albo posługujemy się zaledwie tą jego częścią, która pozwala nam powtarzać ciągle te same błędy, powołując się na wyjaśnienia i lekcje doświadczenia, a teraz przyszło mi do głowy coś, co być może wyda się wam absurdalne, coś, co wydaje się przeczyć zdrowemu rozsądkowi, że może mądrość płynąca z doświadczenia jest znacznie większa w całym społeczeństwie niż w każdym z jego członków, społeczeństwo wykorzystuje doświadczenie wszystkich, ale żadna osoba nie chce, nie potrafi albo nie może wykorzystać całkowicie własnego doświadczenia.

Rozprawia się nad tymi interesującymi zagadnieniami w cieniu drzewa, w porze obiadu, skromnego, co przystoi podróżnym, którzy jeszcze nie wykonali dziennego odcinka drogi, a jeśli niektóre osoby uważają, że zagadnienie było wyrwane z kontekstu, zarówno w kwestii miejsca, jak i okoliczności, czujemy się w obowiązku przypomnieć im, że ogólnie rzecz biorąc, wykształcenie i kultura podróżnych

dopuszczają, bez skandalicznych niestosowności, rozmowę, której treść z wyłącznego punktu widzenia kompozycji literackiej wyszukującej wyłącznie zdarzenia prawdopodobne, prezentowałaby, de facto, niejakię ułomności. Jednakowoż każdy, bez względu na wykształcenie, przynajmniej raz w życiu zrobił albo powiedział rzeczy bardzo wykraczające poza jego naturę i poziom, i gdybyśmy takie osoby mogli wyciągnąć z ich codziennego, szarego życia, w którym stopniowo tracą tożsamość, albo gdyby one same uwolniły się z kajdan i więzień, ileż innych cudów byłyby w stanie zdziałać, jakież fragmenty głębokiej wiedzy mogłyby nam przedstawić, bo każdy z nas wie nieskończenie więcej, niż mu się wydaje, i wszyscy inni wiedzą znacznie więcej, niż chcemy to przyznać. Znajduje się tu pięć osób, z niesamowitych powodów, dziwne by było, gdyby nie potrafiły powiedzieć czegoś odrobinę niebanalnego.

W tych okolicach trudno spotkać samochód. Raz na jakiś czas przejeżdża wielka ciężarówka, wiezie zaopatrzenie dla ludności, przede wszystkim amunicję dla ust, przy tych wszystkich wypadkach nic dziwnego, że zdeorganizował się lokalny rynek żywnościowy, są braki, a nagle sytuacja się zmienia i jest nadmiar, lecz wszystko ma swoje usprawiedliwienie, nie zapominajmy o tym, że ludzkość nigdy nie znalazła się w podobnej sytuacji, żeglować zawsze żeglowała, ale w niewielkich łodziach. Wielu ludzi zdąża pieszo, inni jadą na osłach, gdyby teren nie był tak górzysty, widzielibyśmy więcej rowerów. Zwykle ludzie tutaj mają życzliwe usposobienie, spokojne, lecz uczucie zazdrości jest być może jedynym, które nie przebiera w klasach społecznych i najczęściej objawia się w ludzkich duszach, dlatego nie raz i nie dwa Dwa Konie, przemierzając okolicę w okresie tak wielkich trudności transportowych, rozbudził wielkie pożądanie. Każda grupa zdecydowana i porywcza w mig poradziłyby sobie z zajmującymi wóz osobami, jedna z nich jest stara, pozostali niewiele mają z Samsona i Herkulesa, co się zaś tyczy kobiet, po pokonaniu towarzyszy, stałyby się łatwą zdobyczą, to prawda, że Maria Guavaira jest kobietą zdolną

stawić czoło napastnikom, lecz potrzebowałyby płonącej główki. Mogłoby się więc zdarzyć, że podróżni nie obroniliby się przed zbrodniczą napaścią, zostaliby pokonani, skazani na zatracenie, poturbowane i zgwałcone kobiety, poranieni i upokorzeni mężczyźni, lecz był tam jeszcze pies, który, widząc zbliżających się ludzi, wyłaził spod wozu i przechadzał się z przodu albo z tyłu, z pyskiem spuszczonego do ziemi niczym wilk, wlepiając swe płonące zimnym ogniem oczy w podróżnych niemal zawsze niewinnych, ale odczuwali oni takie samo przerażenie jak zbrodniarze. Pies ten, jeśli przyjrzymy się wszystkiemu, co zrobił do dzisiaj, zasługiwałby na tytuł anioła stróża, pomimo nieustannych insynuacji co do jego potencjalnego piekielnego pochodzenia. Można by przeciwstawić się temu twierdzeniu, przywołując jako autorytet tradycję chrześcijańską, według której anioły zawsze są i były przedstawiane ze skrzydłami, lecz w tych przypadkach, bardzo licznych, w których niezbędny anioł nie musi latać, cóż złego byłoby w tym, gdyby pojawił się poufale pod postacią psa, bez obowiązku szczekania, co zresztą nie pasowałoby duchowej jednostce. Przyjmijmy więc przynajmniej, że psy, które nie szczekają, są wypełniającymi zadanie aniołami.

Rozbili obozowisko pod koniec dnia na brzegu rzeki Minho, na obrzeżach miejscowości zwanej Portomarin. Podczas gdy Jose Anaię i Joaquim Sassa zajęci byli wyprężaniem i oporządzeniem koni, rozpalaniem ognia, obieraniem ziemniaków i warzyw, kobiety, w towarzystwie Pedra Orce i swego anioła stróża, wykorzystały ostatnie promienie słońca, aby zastukać do drzwi kilku domów w wiosce. Z powodu bariery językowej Joana Carda nie otwierała ust, prawdopodobnie wcześniej zwiody ją kłopoty ze zrozumieniem, ale uczy się na przyszłość, bo tylko tam można naprawić błędy. Interes nie poszedł źle, to, co sprzedali, sprzedali za sprawiedliwą cenę. Kiedy wrócili, obóz wydawał się domem, ogień igrał pomiędzy kamieniami, lampa zawieszona na wozie rzucała na wolną przestrzeń półokrąg światła, a zapach gotowanego jedzenia

był jak obecność Boga Pana Naszego.

Kiedy po kolacji rozmawiali przy ogniu, Joaquim Sassa doświadczył przypływu ciekawości i zadał pytanie, Skąd się wzięło to imię, Guavaira, co ono oznacza, i Maria Guavaira odpowiedziała, Z tego, co wiem, imię Guavaira noszę tylko ja, przyśniło się ono mojej matce, kiedy jeszcze byłam w jej brzuchu, chciała, żebym nazywała się Guavaira, i już, ale ojciec upierał się, że musi być jeszcze Maria, i zostało tak, jak nie powinno, Maria Guavaira, No to nie wiesz, co to znaczy, Moje imię przyszło ze snu, Sny zawsze coś oznaczają, Ale nie imię, które napotyka się we śnie, a teraz wy powiedzcie mi o swoich imionach. Opowiedzieli, każdy o sobie. Wtedy Maria Guavaira, machając zapaloną gównią, powiedziała, Imiona, które mamy, są snami, o kim będę śniła, jeśli będzie mi się śniło twoje imię.

Zmieniła się pogoda, formuła to o przykładowej zwiezłości, informująca nas delikatnie, albo neutralnie i obiektywnie, że pogoda, zmieniawszy się, zmieniła się na gorszą. Pada równy deszcz, taki z początków jesieni, taki, który póki nie zaleje kałużami pól, skłania, by w nim spacerować, w kaloszach, przyjmując na twarz słodkie krople i ciesząc się z melancholii, zamglonych dali, pierwszych gubiących liście drzew, i stojących nago, zmarzniętych, jakby prosiły nas o pieśczętę, jest jedno takie, które chciałoby się przytulić do pierśsi z litościwą czułością, przykładamy twarz do mokrej kory i wydaje nam się ona obliczem mokrym od łez.

Lecz plandeka wozu pochodzi z czasów pierwotnych plandek, technologia solidna w doborze materiału i konstrukcji stelażu niewiele sobie robiła z nieprzemakalności, w tamtym wieku i miejscu ludzie zdolni byli wysuszyć ubrania na cieple, mając za jedyną ochronę, i to nie zawsze, kieliszek bimbru. Dochodzi do tego jeszcze efekt pór roku, wysuszenie włókien, prucie się ściągów, łatwo się przekonać, że brezent ściągnięty z samochodu nie może naprawić wszystkiego. Dlatego Dwa Konie przecieka nieustannie, wbrew przekonaniu Joaquim Sassy, który twierdził, że przemoknięcie i napęcznienie nici, z oczywistym w tej sytuacji zmniej-

szeniem się przestrzeni pomiędzy nimi, będzie miało swą dobrą stronę, jeśli będą wystarczająco cierpliwi, aby poczekać. Teoretycznie nic bardziej logicznego, lecz oczywistość praktyczna jest inna, gdyby nie zwinęli i nie zabezpieczyli materaców, nie przespaliłyby się na nich tak szybko.

Kiedy deszcz pada z większą intensywnością i nadarza się okazja, podróżni chowają się pod wiaduktami, lecz na tej drodze nie ma ich zbyt wielu, jest to zaledwie wiejska droga, z dala od wielkich linii komunikacyjnych, takich, które, dla uniknięcia skrzyżowań i by pozwolić na wielkie szybkości, mają nad sobą inne drogi. Któregoś z tych dni wpadł Jose Anaięo na pomysł, by kupić lakier albo niezmywalną farbę, i tak też uczynił, lecz jedynej odpowiedniej farby, jaką udało mu się znaleźć, jaskrawoczerwonej, nie wystarczy nawet na jedną czwartą plandeki. Gdyby Joana Carda nie miała lepszego i rozsądniejszego pomysłu zszycia ze sobą wielkich płacht plastikowej folii i przykrycia całego wozu, a przy okazji także zrobienia drugiego nakrycia, dla koni, i przy bardzo prawdopodobnym założeniu, że przez najbliższe trzydzieści kilometrów nie znaleźliby drugiej puszki niezmywalnej farby o tym samym kolorze i odrieniu, mogłoby się zdarzyć, że wóz podróżowałby po świecie z plandeką we wszystkich kolorach tęczy, w paski, kółka i kwadraty, w zależności od inspiracji artysty, zielono-żół- tych, pomarańczowo-niebieskich, fioletowych, biało-białych, brązowych, może czarnych. Póki co pada.

Po krótkim i bezowocnym dialogu o znaczeniu imion i snów podjęto dyskusję nad tym, jakie imię należy nadać snowi, którym jest ten pies. Mieszają się opinie, które, co też już powinniśmy wiedzieć, są zwykłą kwestią gustu, powiedzmy nawet, że opinia jest nieodmiennie pozornie racjonalnym wyrażeniem gustu. Pedro Orce proponuje i uzasadnia tradycyjne imię wiejskich kundli, Wierny albo Pilot, oba wielce zasadne, jeśli weźmiemy pod uwagę moralną charakterystykę zwierzęcia, nieomylny przewodnik i do tego niezłomnie wierny. Joana Carda waha się pomiędzy Pogranicznik i Bojownik, imionami o wojennym wydźwięku, które zdają się nie licować z osobowością proponującej je osoby, lecz kobieca dusza ma niezbadane głębie, Mał-

gorzata, tkając, przez całe życie będzie walczyć, by poskromić w sobie zapał Lady Makbet, i do ostatniej swej minuty nie będzie pewna, czy jej się to udało. Co do Marii Guavairy, choć nie wiemy dlaczego, a zdarza się to nie po raz pierwszy, proponuje, trochę zawstydzona własnym pomysłem, aby nazwać go Aniołem Stróżem, a powiedziawszy to, zaczerwieniła się, zdawała sobie sprawę, jak bardzo byłoby śmieszne, przede wszystkim przy ludziach, wzywanie anioła stróża, a zamiast świetlistej zjawy, odzianej w nieskazitelnie białą tunikę, obwieszczającej swe przybycie fru-fru skrzydeł, pojawiłby się wytarzany w błocie i krwi po świeżo zagryzionym króliku przerażający pies, słuchający tylko swych właścicieli, jeśli oni nimi są. Chciał Jose Anaięo zgasić promienny uśmiech, wzbudzony propozycją Marii Guavairy, i zaproponował, by nadać psu imię Stały, przypomniał sobie to imię z jakiejś powieści, Teraz nie pamiętam z której, ale Stały zawiera w sobie wszystkie wcześniej proponowane imiona, Wierny, Pilot, Pogranicznik, Bojownik, a nawet Anioł Stróż, bo jeśli któryś z nich nie jest stały, traci się do niego zaufanie, gubi się pilot, pogranicznik schodzi z posterunku, bojownik się poddaje, a anioł stróż pozwala się uwieść dziewczynie, której miał strzec przed pokuszeniem. Wszyscy się zgodzili, choć Joaąuim Sassa jeszcze argumentował, że lepiej byłoby go nazwać po prostu Psem, bo skoro jest tu jedyny, na pewno nie nastąpi żadna pomyłka przy wołaniu i odpowiadaniu. Będzie się więc pies nazywał Stały, choć nie wart był zachodu cały ten chrzcielniczy wysiłek, bo zwierzę odpowiada na wszystkie nadane mu imiona, jeśli rozumie, że słowo, jakiegokolwiek by było, jest skierowane do niego, choć istnieje pewne inne imię, które czasem przepływa mu przez pamięć, Ardent, ale takie imię nikomu nie przyszło tu do głowy. Miał rację ten, który kiedyś powiedział, wbrew opinii Marii Guavairy, że imię jest niczym, zaledwie snem.

Jada, nie wiedząc o tym, dawnym szlakiem pielgrzymkowym do świętego Jakuba z Composteli, mijają miejscowości mające nazwy nadziei albo złego wspomnienia, w zależności od tego, co przytrafiło się w

nich podróżnym w owych odległych czasach, Sarria, Samos albo uprzywilejowana Villafranca del Bierzo, gdzie chory albo zmęczony pielgrzym, dotknąwszy drzwi apostołskiego kościoła, otrzymywał dyspensę i mógł już nie iść do Composteli, a dostępował odpustu, jakby tam poszedł. Już wtedy wiara miała swe udogodnienia, jednakowoż nic nie może równać się ze współczesnymi nam czasami, gdzie udogodnienia są lepiej opłacane niż sama wiara, ta czy jakakolwiek inna. Przynajmniej ci podróżni wiedzą, że jeśli będą chcieli zobaczyć Pireneje, będą musieli rzeczywiście do nich dojechać, dotknąć ich ręką, bo noga nie wystarcza, będąc mniej czułą, a oczy częściej, niż się powszechnie wydaje, pozwalają się oszukać. Deszcz stopniowo zelżał, jeszcze trochę kropi, w końcu w ogóle przestaje. Niebo się nie odsłoniło, noc zapada szybciej. Biwakują pod drzewami, aby uchronić się przed kolejnymi możliwymi ulewami, choć Pedro Orce cytuje iberyjskie powiedzenie, Kto pod drzewem się chowa, dwa razy woda go zalewa, jest to wersja portugalska, zmodyfikowana. Nie było łatwo rozpalić ogień, lecz w końcu zręczność Marii Guavairy przezwyciężyła opór mokrego drewna, które strzelało i wrzało na końcówkach, jakby puszczało życiodajne soki. Zjedli to, co mieli, wystarczająco dużo, żeby żołądek nie burczał z głodu przez sen, bo jak naucza inne powiedzenie, Jest, zje się, nie ma, obejdzie się, wersja oryginalna. Zjedli we wnętrzu wozu, w świetle dymiącej lampy, w ciężkiej atmosferze, w wilgotnych ubraniach, z pozwijanymi i ułożonymi jeden na drugim materacami, reszta rzeczy była zwalona na kupę, dla porządnej gospodyni domowej taki widok mógłby być zabójczy. Ale skoro nic nie może przecieżyć wiecznie trwać, niech tylko przyjdzie choć trochę ładnej pogody, zaraz zrobi się wielkie porządki, materace się porozkłada, aby wyschło nawet najdrobniejsze źdźbło słomy, ubrania porozwiesza na krzakach i kamieniach, kiedy się je pozbiera, będą wydzielaly tę ciepłą woń, którą słońce zostawia na miejscach, przez które przeszło, a robi się to, kiedy kobiety, dopełniając pięknego rodzinnego obrazka, będą dopasowywać i przyszywać długie płachty plastiku, które rozwiążą wszystkie wodne problemy, bło-

gosławiony niech będzie ten, kto wymyślił postęć.

Rozmawiali z ospałością i brakiem precyzji ludzi, którzy muszą pozwolić swobodnie upływać czasowi, dopóki nie nadejdzie pora snu, i wtedy Pedro Orce przerwał to, co sam mówił, i uderzył w te słowa, Czytałem kiedyś, nie wiem gdzie, że Galaktyka, do której należy nasz Układ Słoneczny, zbliża się do konstelacji, której nazwy teraz też nie pamiętam, a ta konstelacja z kolei zbliża się do pewnego punktu w przestrzeni, chciałbym być dokładniejszy, lecz moja głowa nie zachowuje szczegółów, ale chciałem powiedzieć rzecz następująca, zobacźcie, my tutaj poruszamy się po półwyspie, półwysep płynie po morzu, morze krąży wraz z Ziemią, a Ziemia obraca się wokół własnej osi, krąży też wokół Słońca, Słońce obraca się wokół własnej osi, i wszystko to zmierza w kierunku tej tam konstelacji, pytam się więc, czy my na pewno jesteśmy ostatnim elementem w tym łańcuchu, chciałbym wiedzieć, co się przemieszcza w nas i dokąd zmierza, nie, nie chodzi mi o solitery, mikroby i bakterie, te żywe stworzenia, które w nas zamieszkują, mówię

O czymś innym, mówię o rzeczach, które się poruszają i być może poruszają nami, tak jak poruszają konstelacje, Galaktykę, Układ Słoneczny, Słońce, Ziemię, morze, półwysep, Dwa Konie, jak nazwać to, co wszystkim porusza, od jednego końca łańcucha do drugiego, a może łańcuch nie istnieje

" i wszechświat jest pierścieniem, tak cienkim, że wydaje nam się, że tylko my i to, co w nas, w nim się mieścimy, 1 zarazem tak szerokim, że może zmieścić całą rozciągłość wszechświata, którym jest on sam, jak nazwać to, co nastąpi po nas, Wraz z człowiekiem zaczyna się to, co nie jest widzialne, była to zaskakująca odpowiedź Jose Anaieą, który udzielił jej bez zastanowienia.

Na plandekę spadają w pewnych odstępach czasu wielkie krople wody spływające z liścia na liść, słychać dobiegające z zewnątrz odgłosy ruchu Piga i Ala pod nie przykrywającą ich kompletnie ceratą, czemu tak naprawdę służy cisza, nie ma znaczenia, temu, żebyśmy mogli słyseć, co się mówi. Każda z obecnych tu osób myśli, że

jest jej obowiązkiem podzielić się swoją wiedzą na tak poważny temat, lecz wszyscy się obawiają, że gdy otworzą usta, wyjdzie z nich, jeśli nie żaba z legendy, to mieszanina banałów na temat bytu, ontologicznych, nawet jeśli mają wątpliwości co do stosowności słowa w prymitywnym środowisku wozu, kapiących kropel i koni, i nie zapominajmy o psie, który leży pogrążony we śnie. Maria Guavaira, ponieważ ma najskromniejsze wykształcenie, jako pierwsza zabrała głos, Tę niewidzialną rzecz można by nazwać Bogiem, ale ciekawe, że wypowiedziane zdanie zawierało cień pytania, Albo wola, dorzucił Joaquim Sassa, Albo rozumem, dodała Joana Carda, Albo historią, zakończył José Anaiço, Pedro Orce nie miał żadnych sugestii, ograniczył się do tamtego pytania, jeśli ktoś uważa, że tak jest najłatwiej, jest w błędzie, wszak nieprzeliczona liczba odpowiedzi oczekuje na swe pytania.

Uczy rozsądek, że badanie tak złożonych materii wymaga zawieszenia dyskusji, zanim każdy z uczestników zacznie mówić rzeczy odmienne od tych, które początkowo głosił, nie dlatego, że zmiana opinii jest z założenia błędem, lecz dlatego, że różnorodność zdań zwykle prowadzi do punktu wyjścia, a dyskutanci tego nie zauważają. W tym przypadku owa inspirująca wypowiedź José Anaiça, po przejściu przez wszystkich przyjaciół, zakończyła się banalnie stwierdzeniem bardziej niż oczywistym, że Bóg jest niewidzialny, a także wola, także rozum, i może mniej banalnym i trochę mniej oczywistym, że niewidzialna jest też historia. Przygarniając do siebie Joane Cardę, uskarżającą się na zimno, José Anaiço stara się nie zasnąć, chce zastanowić się nad swą myślą, czy historia rzeczywiście jest niewidzialna, czy widzialni świadkowie historii udzielają jej wystarczającej widzialności, czy w ten sposób względna widzialność historii nie jest zaledwie przykrywką, tak jak ubrania noszone przez niewidzialnego człowieka, który dalej pozostaje niewidzialny. Nie wytrzymał zbyt długo tej umysłowej woltyżerki, i dobrze, bo w ostatniej chwili, przed zapadnięciem w sen, jego myśli skoncentrowały się, absurdalnie, na rozwikłaniu różnicy,

jaka istnieje pomiędzy niewidzialnym i nie widzianym, co, będąc oczywistym dla każdego, kto przez chwilę się nad tym zastanowi, nie miało szczególnego znaczenia dla tego przypadku. W świetle dnia wszystkie te meandry są znacznie mniej istotne, Bóg, najznamienitszy z przykładów, stworzył świat, bo była noc, kiedy przyszło mu to do głowy, poczuł w pewnej chwili, że nie wytrzyma więcej mroku, gdyby był dzień, Bóg zostawiłby wszystko tak, jak było. A skoro to niebo tutaj budzi się czyste i wolne i słońce wzeszło nie zasłaniane przez chmury, i takie zostało, nocne filozofowanie rozmyło się, teraz cała uwaga koncentruje się na dobrym posuwaniu się Dwóch Koni po półwyspie i nie ma znaczenia, czy on płynie, czy nie, nawet jeśli droga mego żywota zaprowadzi mnie do gwiazd, nie znaczy to, że nie muszę przemierzać ziemskich dróg.

Tego popołudnia, kiedy byli zajęci handlowaniem, dowiedzieli się, że półwysep, po osiągnięciu pozycji odrobinę na północ od najbardziej wysuniętej na północ wyspy Azorów, Corvo, w prostej linii, a z tego krótkiego opisu powinniśmy zrozumieć, że południowe rubieże półwyspu, Ponta da Tarifa, znajdowały się na innym południku, położonym bardziej na wschód i na północ od północnego końca Corvo, Ponta dos Tarsais, no dobrze, półwysep po tym, co staraliśmy się wyjaśnić, natychmiast wrócił na zachodni kurs, równoległy do poprzedniego, to znaczy, żeby wszystko zostało dokładnie wyjaśnione, o kilka stopni powyżej. Dzięki temu wydarzeniu zatriumfowali autorzy i obrońcy tezy o przesuwaniu się po linii prostej, załamującej się pod kątami prostymi, a jeśli dotychczas nie zauważono jeszcze żadnego ruchu, który potwierdziłby hipotezę powrotu do punktu wyjścia, obwieszoną raczej jako szumne hasło niż przewidywalne ogólne potwierdzenie tezy, nie oznacza to niemożliwości powrotu, lecz trzeba przyznać, że jest też możliwe, że półwysep nigdy więcej się nie zatrzyma i będzie wiecznie krążył po morzach świata, niczym wielokrotnie przywoływany Latający Holender, teraz zaś półwysep, z inną nazwą, tutaj przez roztropność nie przytoczoną, aby uniknąć nacjonalistycznych i ksenofobicznych eksplozji, które byłyby tragicz-

ne w obecnej sytuacji.

Do wioski, w której zatrzymali się podróżni, nie dotarły wiadomości o tych sprawach, zaledwie to, że Stany Zjednoczone Ameryki obwieściły ustami własnego prezydenta, że kraje, które tam zmierzają, mogą liczyć na wsparcie i solidarność moralną i materialną narodu amerykańskiego, Jeśli będą kontynuować swą żeglugę w tym kierunku, zostaną przyjęte z szeroko otwartymi ramionami. Lecz to oświadczenie o nadzwyczajnym zasięgu, tak z punktu widzenia humanitarnego, jak geostrategicznego, przygasło nieco w obliczu wrzawy wszczętej przez agencje turystyczne z całego świata, szturmowane przez klientów, chcących czym prędzej udać się na Corvo, nie bacząc na środki transportu i koszty, a dlaczego, Dlatego, że jeśli kurs się nie zmieni, półwysep przepłynie koło Corvo, tworząc spektakl nieporównywalny z przepływaniem mizernej gibraltarskiej skały, kiedy to półwysep oderwał się od Gibraltaru i zostawił go na pastwę fal. Teraz ogromna masa przepłynie przed oczyma uprzywilejowanych, którym uda się znaleźć miejsce w północnej połowie wyspy, lecz pomimo ogromu półwyspu, zajście nie będzie trwało długo, co najwyżej dwa dni, bo biorąc pod uwagę specyficzną budowę tej tratwy, można będzie zaobserwować zaledwie jej południowe krańce, a i to tylko pod warunkiem że będzie sprzyjająca pogoda. Reszta, z powodu kulistości Ziemi, przepłynie poza zasięgiem wzroku, wyobraźmy sobie, co by było, gdyby zamiast tego wycięcia, półwysep na południu był równy, nie wiem, czy potrafią sobie państwo wyobrazić ten rysunek, przez szesnaście dni można by obserwować paradę, całe wakacje, jeśli utrzymałaby się prędkość pięćdziesięciu kilometrów dziennie. Jakkolwiek by było, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że wyspa Corvo otrzyma wielki zastrzyk kapitału, nigdy wcześniej nie widziany, w związku z czym mieszkańcy już zamówili zamki do drzwi i ślusarzy, aby je zamontować, z łańcuchami i alarmami.

Od czasu do czasu jeszcze pada deszcz, w najgorszym razie szybka ulewa, lecz przez większość dnia świeci słońce, jest niebieskie niebo i wysokie chmury. Zamontowano

wielką pokrywą z folii plastikowej, pozszywaną i wzmocnioną, i teraz, jeśli zbiera się na deszcz, wstrzymuje się marsz i w rytmie na trzy, po pierwsze rozwija się, po drugie zakłada, po trzecie naciąga, osłania się wóz plandeką. W środku jadą materace bardziej suche niż kiedykolwiek, zniknął zaduch stęchlizny i wilgoci, to czyste i posprzątane wnętrza rzeczywiście wygląda jak dom. Teraz jednak widać, jak mocno padało w tych okolicach. Ziemia jest podmokła, trzeba uważać na wóz, nie wjeżdżać w błoto, bez uprzedniego sprawdzenia, wyciągnięcie wozu z bajora dopiero byłoby problemem, dwa konie, trzech mężczyźni i dwie kobiety są niczym w porównaniu do traktora. Pejzaż się zmienił, zostały w tyle góry i pagórki, nikną ostatnie pofałdowania terenu, a przed oczyma zaczyna się wylaniać równina, zdaje się bezkresna, a w górze niebo jest tak ogromne, że w osłupieniu każe wątpić, że jest tylko jedno, niechybnie każde miejsce, a może nawet każdy człowiek ma własne niebo, większe albo mniejsze, wyższe albo niższe, a to teraz było wielkim odkryciem, tak, proszę państwa, niebo jako nieskończoność następujących po sobie i zasklepionych kopuł, przeciwstawność pojęć jest pozorna, wystarczy spojrzeć. Kiedy Dwa Konie osiąga grzbiet ostatniego pagórka, wydaje się, że nigdy więcej, aż do końca świata, ziemia się nie wzniesie, a ponieważ jest powszechne, że różne przyczyny dają taki sam efekt, w tym miejscu zaparło nam dech w piersiach, jakby nas zawiedziono na Mount Everest, niech powie ten, kto tam był, czy nie przytrafiło mu się to samo co nam na tej równinie.

Dobrze rachuje Piotr, ale szefowie lepiej. Jednakże powiedzmy od razu, że ten Piotr to nie Pedro Orce ani narrator, kimkolwiek by był, choć przyznaje, że za tym powiedzeniem stoi apostoł o tym imieniu, co to po trzykroć zaparł się Chrystusa, a to też są obliczenia poczynione przez Boga, prawdopodobnie dlatego, że jest potrójny i nie jest mocny w sztuce rachowania. Zwykło się mawiać, że Piotr dobrze rachuje, a kiedy rachunki Piotrów wychodzą pokręcone, jest to ludowy i ironiczny sposób stwierdzenia, że nie powinno się decydować o rzeczach, których inni

muszą dokonać, to znaczy jeśli Joaquim Sassa popełnił błąd, obliczając prędkość przemieszczania się na sto pięćdziesiąt kilometrów dziennie, także Maria Guavaira nie trafiła, poprawiając obliczenia na dziewięćdziesiąt, na straganach zna się straganiarz, na ciągnięciu wozów znają się konie, i tak jak się mówiło albo mówi, że zła moneta wypiera dobrą, tak samo praca starego konia wpłynęła na pracę młodego, jeśli nie była to raczej litość tego drugiego, dobroć serca, ludzki szacunek, pysznienie się siłą wobec słabego jest oznaką moralnej perwersji. Wszystkie te słowa uznano za konieczne, aby stwierdzić, że poruszamy się wolniej, niż to było przewidziane, ale zwieźłość nie jest największą cnotą, czasem traci się przez rozwlekłe gadanie, to prawda, ale ileż wygrano przez mówienie więcej niż potrzeba. Konie idą krokiem, jaki im odpowiada, pogania się je do kłusu i przyspieszają, aby zaspokoić kaprys albo potrzebę woźnicy, lecz stopniowo, tak subtelnie, że nie sposób tego zauważyć, Pig i Al zmniejszają szybkość, w jaki sposób potrafią to zrobić tak harmonijnie, oto zagadka, nie słyszano, by jeden powiedział do drugiego, Wolniej, a drugi odpowiedział, Za tym drzewem.

Szczęśliwie podróżni nie spieszą się. Początkowo, kiedy wyruszyli z odległych już galisyjskich ziem, zdawało im się, że muszą poruszać się według planu, można było nawet wyczuć swego rodzaju niecierpliwość, jakby każdy z nich musiał uratować ojca od stryczka i dotrzeć na miejsce, zanim kat zwolni zapadnię. Tutaj nie chodzi ani o ojca, ani o matkę, bo nic nie wiemy ani o jednych, ani o drugich, poza matką Marii Guavairy, która jest wariatką i już nie przebywa w La Coruni, albo może już tam wróciła, gdy minęło zagrożenie. O innych ojcach i matkach, dawnych i współczesnych, nic nie powiedziano, kiedy dzieci milkną, powinno się też przemilczać pytania i powstrzymać nagabywania, w sumie każdy z nas zaczyna i kończy świat, jeśli tym stwierdzeniem nie został śmiertelnie obrażony duch rodzinny, zainteresowanie spadkiem i czystość imienia. Droga po kilku dniach stała się światem samym w sobie, jak człowiek, który choć znajduje się na świecie, sam

sobie odkrywa własny świat, i nie jest to trudne, wystarczy zapewnić sobie trochę samotności, tak jak ci podróżni, którzy, jadąc razem, jadą samotnie. Dlatego nie spieszy im się, dlatego przestali zliczać przebyte kilometry, przerwy służą handlowi i odpoczynkowi, i nierzadko mają ochotę zatrzymać się bez żadnej innej przyczyny niż zwykła ochota, by się zatrzymać, a jeśli tylko istnieje jakiś pretekst, od razu go znajdziemy. Wszyscy w końcu docieramy tam, gdzie chcemy dotrzeć, wszystko jest kwestią czasu i cierpliwości, zając biega szybciej niż żółw, być może przybiegnie pierwszy, O ile nie napotka po drodze myśliwego z dwururką.

Zostawiamy równiny Leonu, wkraczamy i przemierzamy rejony Tierra de Campos, gdzie urodził się i działał ów słynny kaznodzieja brat Gerundio de Campazas, którego słowa i czyny szczegółowo opowiedział nie mniej znamienity ojciec Isla, ku przestrodze gadatliwym mówcom, zago-rzałym miłośnikom cytowania, niepoprawnym wielbicielom przysłów i rozwlekłym pisarzom, szkoda, że na tak niewiele zdała nam się nauka, będąc tak oczywistą. Utnijmy więc przy korzeniu polemiczne wprowadzenie i powiedzmy, ze szczerą prostotą, że podróżni prześpią się tej nocy w miejscowości zwanej Villalar, nieopodal Toro, Tordesillas i Siman- cas, a więc miejscowości, o które otarła się portugalska historia, dzięki bitwie, traktatowi i archiwum. Ponieważ Jose Anaięo jest nauczycielem z zawodu, nazwy te z łatwością odnajdują w jego pamięci swoje miejsce, choć niezbyt mocno się dobijają, wszak jego wiedza historyczna, będąc wiedzą ogólną, jest powierzchowna, niewiele bardziej zaopatrzona w szczegóły niż wiedza jego przyjaciół, Hiszpanów

1 Portugalczyków, którzy czegoś się tam w końcu nauczyli i wszystkiego nie zapomnieli o Simancas, Toro i Tordesillas, w zależności od rozrzutności informacyjnej i interesów narodowych podręczników historii po jednej i po drugiej stronie. Lecz o Yillalar nikt tu niczego nie wie, oprócz Pe-dra Orce, który choć pochodzi z ziem Andaluzji, sprawia wrażenie kogoś, kto kiedyś był na całym półwyspie, a jeśli dwa miesiące wcześniej, wjeżdżając do Lizbony, po-

wiedział, że nigdy w niej nie był, to nie podważa to tego stwierdzenia, mógł jej po prostu nie rozpoznać, jakby nie rozpoznali jej dzisiaj fenicyjczy założyciele, rzymscy kolonizatorzy, wizygocy zdobywcy, może coś by tam rozpoznali muzułmanie i z coraz większymi trudnościami Portugalczycy.

Siedzą wokół ogniska, parami, Joaquim i Maria, Jose i Joana, Pedro i Stały, noc jest trochę chłodna, ale niebo jest spokojne i czyste, niemal nie widać gwiazd, bo księżyc, który wzeszedł wcześniej, zalewa poświatą nagie pola i pobliskie dachy Yillalar, którego alkad, sympatyczny człowiek, nie miał nic przeciwko, by ludzie z karawany hiszpańsko-portugalskiej zainstalowali się tak blisko miejscowości, mimo że są nomadami i zajmują się handlem, a więc stanowią konkurencję dla lokalnych przedsiębiorców. Księżyc nie stoi wysoko, ale już ma wygląd taki, jaki najbardziej lubimy u księżycy, wielki jasny dysk, inspirujący łatwe wiersze i jeszcze łatwiejsze uczucia, jedwabne sitko proszące białą mąką na nieruchomy krajobraz. Mówimy wtedy, Ale piękny księżyc, i udajemy, że zapomnieliśmy już dreszcz strachu, jaki nas przebiegł, kiedy ogromna czerwona i groźna kula wyłaniała się zza widnokregu. Po tylu tysiącletniach wschodzący księżyc w dalszym ciągu wydaje się budzić poczucie zagrożenia, przecucie końca, dobrze chociaż, że niepokój trwa tylko kilka minut, wzeszedł księżyc, stał się mały i jasny, możemy odetchnąć z ulgą. I zwierzęta też się niepokoją, jeszcze niedawno, kiedy pojawił się księżyc, pies przyglądał mu się napięty, zjeżony, gdyby nie brakło mu strun głosowych, pewnie by zawył, cały się jeżył, jakby jakaś lodowata dłoń przesunęła mu się po grzbiecie pod włos. Są to chwile, kiedy świat zbacza ze swych torów, rozumiemy, że nie ma nic pewnego, a gdybyśmy potrafili w pełni wyrazić to, co czujemy, powiedzielibyśmy, z wymownym pominięciem retorycznych ozdobników, Mało brakowało.

Jakież to historie zna Pedro Orce o Villalar, dowiemy się teraz, po kolacji, ogień tańczy w brunatnym powietrzu, w zamyśleniu wpatrują się weń podróżni, wyciągają doń ręce, jakby go czarowali albo się poddawali, istnieje stara

tajemnica w tej relacji pomiędzy nami i ogniem, nawet z niebem ponad głowami jest tak, jakbyśmy byli, on i my, we wnętrzu pierwotnej jamy, w grocie albo macicy. Dzisiaj zmywanie naczyń należy do Jose Anaiea, ale nie ma pośpiechu, chwila jest spokojna, niemal słodka, blask płomieni pełga po ogorzałych od słońca twarzach, mają taką barwę, jaką na nich malują pierwsze promienie wschodzącego słońca, słońce ma inną naturę i jest żywe, nie martwe tak jak księżyc, taka jest różnica.

I mówi Pedro Orce, Może nie wiecie, ale dawno, dawno temu, w tysiąc pięćset dwudziestym pierwszym w okolicy Villalar rozegrała się wielka bitwa, większa ze względu na swe konsekwencje niż na liczbę poległych, i gdyby wygrali ci, co wtedy przegrali, świat byłby dzisiaj zupełnie inny. O wielkich bitwach, które przeszły do historii, wie José Anaieo wystarczająco wiele i gdyby nagle go zapytać, bez zająknięcia wyrecytowałby tuzin nazw, zaczynając, klasycznie, od Maratonu i Termopil, a później, nie dbając o chronologię, Austerlitz i Borodino, Mama i Monte Cassino, Arde-ny i Al-Alamein, Poitiers i Alcaacer Quibir, a także Aljubar- rota, która dla świata jest niczym, a dla nas wszystkim, zestawiono je bez żadnego szczególnego powodu, Ale o bitwie pod Villalar nigdy nic nie słyszałem, zakończył José Anaieo. Ta bitwa odbyła się wtedy, wyjaśnił Pedro Orce, kiedy miasta zbuntowały się przeciw cesarzowi Karolowi V, obcemu, ale niezupełnie dlatego, że był obcy, bo w tamtych dawnych czasach na porządku dziennym było uszczęśliwianie narodów królami mówiącymi obcym językiem, cały interes spoczywał w rękach domów królewskich, które grały państwami, nie powiem, że w kości albo w karty, wedle dynastycznych interesów uciekały się do sztuczek z aliansami i tricków z małżeństwami, dlatego nie można powiedzieć, że miasta zbuntowały się przeciw królowi intruzowi, I też nie należy sobie wyobrażać, że była to wielka wojna biednych z bogatymi, dobrze by było, gdyby wszystkie rzeczy, te i inne, były tak proste jak ich wypowiedzenie, prawda jest taka, że hiszpańskiej szlachcie w ogóle się nie spodobało, że obcokrajowcy otrzymali tyle cesarskich

urzędów, a jedną z pierwszych decyzji nowych panów było podwyższenie podatków, jest to niezawodny sposób zapłacenia za luksusy i przygody, tak więc pierwszym zbuntowanym miastem było Toledo, a potem inne miasta poszły za jego przykładem, Toro, Madryt, Ávila, Soria, Burgos, Salamanca i wiele innych, ale powody jednych nie były powodami drugich, czasem się pokrywały, proszę ja was, innym razem były całkowicie rozbieżne, a skoro tak było z miastami, to jeszcze bardziej z żyjącymi w nich ludźmi, bywali szlachcice, którzy kierowali się tylko własnym interesem i ambicjami i zmieniali obóz w zależności od podmuchów wiatru i doraźnych korzyści, i jak to się zwykle zdarza, cały naród był w to wplątany, ze swych własnych powodów, ale przede wszystkim z powodów innych ludzi, jest tak odkaąd świat światem, gdyby chociaż lud był jeden, byłoby dobrze, ale lud nie jest jeden, trudno wtłoczyć ludziom do głów tę myśl, nie mówiąc już o tym, że ludy zwykle żyją oszukiwane, tyle razy wybierały swych przedstawicieli do Kortezów, a kiedy ci już się tam znaleźli, za sprawą łapówki albo groźby głosowali wbrew tym, którzy ich wybrali, cudownym zrządzeniem losu, mimo tylu sprzecznych interesów, miasta były w stanie zorganizować milicję i wyjść w pole przeciw królewskiemu wojskom, nie warto nawet wspominać, że były bitwy wygrane i przegrane, tutaj w Villalar przegrano ostatecznie, a dlaczego, jak zwykle, z powodu błędów i niekompetencji, zdrady, ludzie zmęczeni się oczekiwaniem na żołd i sobie poszli, wydano bitwę, jedni wygrali, drudzy przegrali, nigdy się nie dowiedziano, ilu dokładnie komuneros tutaj poległo, wedle nowoczesnych rachunków nie było ich wielu, jedni mówią, że dwa tysiące, inni zarzekają się, że nie było ich więcej niż tysiąc albo że było ich zaledwie dwustu, nie wiadomo, nie będzie wiadomo, chyba że któregoś dnia komuś przyjdzie do głowy przekopać tę cmentarną ziemię i policzyć czaszki, inne kości tylko by wprowadziły zamieszanie, trzech kapitanów komuneros zostało następnego dnia osądzonych, skazanych na śmierć i ściętych na rynku Villalar, zwali się Juan de Padilla z Toledo, Juan Bravo z Segowii i Francisco Maldonado z

Salamanki, taka była ta bitwa, która gdyby zakończyła się inaczej, zmieniłaby losy Hiszpanii, przy takim księżycu, jak ten dzisiaj, któż by sobie nie wyobrażał, jaka była noc i dzień bitwy, padało, pola były podmokłe, walczone w błocie, niewątpliwie według nowoczesnych miar zginęło niewielu ludzi, ale chciałoby się powiedzieć, że tych niewielu ludzi, którzy ginęli w dawnych bitwach, bardziej ciążyło na kształtowaniu historii niż setki tysięcy i miliony w dwudziestym wieku, tylko poświęca księżyc się nie zmienia, tak samo nad Villalar jak nad Austerlitz czy Maratonem albo, Albo Alcacer Quibir, powiedział José Anaięo, Co to była za bitwa, zapytała Maria Guavaira, Gdyby ona została wygrana, zamiast zostać przegrana, nie wiem, jaka dzisiaj byłaby Portugalia, nie potrafię sobie tego wyobrazić, odpowiedział José Anaięo, Kiedyś przeczytałem w jakiejś książce, że wasz król Dom Manuel wmieszał się w tę wojnę, powiedział Pedro Orce, W podręcznikach, z których ja uczę, nie mówi się o tym, że Portugalczycy wojowali w tym czasie z Hiszpanami, Nie przybyli prawdziwi Portugalczycy, tylko pięćdziesiąt tysięcy krzyżowców, których wasz król wypożyczył cesarzowi, Ach tak, odezwał się Joaquim Sassa, pięćdziesiąt tysięcy krzyżowców w królewskim wojsku, nic dziwnego, że komuneros musieli przegrać, krzyżowcy zawsze wygrywają.

Tej nocy Stały śnił, że wykopywał kości z pola bitwy, zebrał już sto dwadzieścia cztery czaszki, kiedy zaszedł księżyc i ziemię spowił mrok. Wtedy pies ponownie zasnął. Dwa dni później jacyś chłopcy bawiący się w wojnę na polach poszli powiedzieć alkadowi, że znaleźli stos czaszek na polu pszenicy, nigdy się nie dowiedziano, skąd się tam wzięły, tak ładnie poukładane. A o tych Portugalczycach i Hiszpanach, którzy przyjechali wozem do Villalar i już odjechali, mówi się tylko dobrze, Jeśli chodzi o cenę i jakość towarów, to najbardziej uczciwi ludzie, jacy tędy przejeżdżali.

Nie masz takiego dobrego, z czego by skutku nie było złego, mawiali starożytni i mieli rację, przynajmniej wykorystali czas, aby należycie ocenić wówczas nowe fakty w

świetle faktów starych, błędem współczesnych jest obstawianie przy sceptycznym stosunku do antycznych lekcji. Powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, że półwysep zostanie dobrze przyjęty, a Kanadzie, proszę bardzo, nie podobało się to. Chodzi o to, zauważali Kanadyjczycy, że jeśli nie zmieni się kurs, to my będziemy gospodarzami, powstanie tu druga Nowa Ziemia, i wcale nie wiedzą biedni Iberyjczycy, co ich czeka, zabójcze zimno, lód, jedyną korzyścią będzie to, że Portugalczycy znajdują się blisko sztokfisu, którego tak uwielbiają, stracą lato, ale zyskają papu.

Rzecznik prasowy Białego Domu zaraz pospieszył z wyjaśnieniami, że deklaracja prezydenta była spowodowana przede wszystkim względami humanitarnymi, bez żadnych politycznych intencji, zwłaszcza że kraje iberyjskie nie przestały być suwerenne i niepodległe tylko dlatego, że przemieszczają się po morzu, pewnego dnia zatrzymają się i będą takie same jak każdy inny kraj, dodał. Z naszej strony udzielamy solennych gwarancji, że tradycyjny duch dobrosąsiedztwa pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Kanadą nie ucierpi z żadnego powodu, a jako dowód na wolę Stanów Zjednoczonych zachowania przyjaźni wielkiego narodu kanadyjskiego proponujemy zorganizowanie konferencji bilateralnej w celu zbadania różnorodnych aspektów, która w ramach tej dramatycznej transformacji politycznej i strategicznej fizjonomii świata będzie stanowić pierwszy krok na drodze do zbudowania nowej wspólnoty międzynarodowej, stworzonej przez Stany Zjednoczone, Kanadę i oba iberyjskie kraje, zaproszone na rzezoną konferencję w charakterze obserwatorów, ponieważ nie zbliżyły się jeszcze fizycznie na odległość wystarczającą, by w oczywisty sposób móc zdefiniować jakies perspektywy integracji.

Kanada oficjalnie wyraziła zadowolenie z oświadczenia, lecz kazała podać do publicznej wiadomości, że nie uważa za właściwe natychmiastowego zwoływania konferencji, która zorganizowana na takich

warunkach mogła urazić dumę narodową Portugalczyków i Hiszpanów, zaproponowała jednak zwołanie alternatywnej, czwórstronnej konferencji poświęconej działaniom, jakie należy przedsięwziąć na wypadek gwałtownego zderzenia, kiedy półwysep przybije do brzegów Kanady. Stany Zjednoczone natychmiast się zgodziły, a po cichu dziękowały Bogu za stworzenie Azorów. Bo gdyby półwysep nie zboczył na północ, gdyby zdażał przez cały czas w linii prostej po oderwaniu się od Europy, widok z okien Lizbony prawdopodobnie rozciągałby się na Atlantic City, i od słowa do słowa, Amerykanie stwierdzili, że im bardziej na północ podryfuje, tym lepiej, proszę sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby miasta Nowy Jork, Boston, Providence, Filadelfia, Baltimore zostały przekształcone w miasta interioru, z nieuniknionym w związku z tym obniżeniem stopy życiowej, nie ma wątpliwości, że prezydent zadziałał przedwcześnie, wygłaszając pierwsze oświadczenie. W następującej potem wymianie poufnych not dyplomatycznych, po której nastąpiły poufne spotkania przedstawicieli obu rządów, Stany Zjednoczone i Kanada zgodziły się, że najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby tak mogło się wydarzyć, zatrzymanie półwyspu w dowolnym punkcie swego kursu, lecz wystarczająco odległym od Europy, by znaleźć się poza zasięgiem jej wpływów, i wystarczająco odległym od Ameryki, by nie spowodować bezpośrednich strat, albo pośrednich, w interesach Kanady i Stanów Zjednoczonych, jednocześnie należy już rozpocząć studia nad wprowadzeniem zmian w prawie emigracyjnym, szczególnie co się tyczy wzmocnienia zabezpieczeń, niech sobie Hiszpanie i Portugalczycy nie myślą, że rządzą nam się do domu tylko dlatego, że zostaliśmy sąsiadami na tym samym piętrze.

Zaprotestowały rządy Hiszpanii i Portugalii przeciwko lekkości, z jaką chciały mocarstwa decydować o ich losie, z większym zacięciem rząd portugalski, czując się do tego zobowiązany jako rząd ocalenia narodowego. Dzięki inicjatywie hiszpańskiego rządu zostaną nawiązane kontakty

między oboma państwami iberyjskimi dla określenia zgodnej polityki ukierunkowanej na wyciągnięcie maksymalnych korzyści z obecnej sytuacji, jednak podejrzewa się w Madrycie, że portugalski rząd stawia się na tych rozmowach pełen rezerwy, przygotowując się do czerpania w przyszłości większych korzyści z bliższego Ameryce położenia, zobaczymy. I wiadomo, albo uważa się, że się wie, iż w pewnych portugalskich kręgach politycznych formuje się ruch mający na celu porozumienie dwustronne, choć nie o oficjalnym charakterze, z Galicją, co rzecz jasna w żadnym razie nie spodoba się centralnej władzy w Madrycie, niechętniej do tolerowania irrydenty, bez względu na to, jak bardzo byłaby zakamufLOWANA, a są nawet tacy, którzy mówią, z gorzką ironią, że nic takiego by się nie wydarzyło, gdyby Portugalia znajdowała się od strony Pirenejów, i lepiej jeszcze, gdyby przy nich została po oderwaniu się półwyspu od Europy, byłby to znakomity sposób na to, by raz na zawsze skończyć, dzięki zredukowaniu do jednego państwa, z tym problemem bycia Iberyjczykiem, ale tutaj mylą się Hiszpanie, problem dalej by istniał, i więcej nie powiemy. Odlicza się dni do pojawienia się na horyzoncie wybrzeży Nowego Świata, opracowuje się plany postępowania, aby wynegocjować warunki w najbardziej odpowiednim momencie, ani za wcześnie, ani za późno, co zresztą jest złotą zasadą dyplomacji.

Daleki od tych pełnych intryg kulis politycznych, półwysp zdąża na zachód, tak szybko, że z wyspy Corvo znikli już obserwatorzy przeróżnego autoramentu, czy to milionerzy, czy naukowcy, którzy się tam zainstalowali, by tak rzec, w pierwszym rzędzie, aby obserwować przepływanie.

Spektakl był oszalamiający, wystarczy powiedzieć, że południowy kraniec półwyspu przesunął się o pięćset metrów od wyspy Corvo, przy wielkim tumulcie fal, wydawało się to zdarzeniem z Wagnerowskiej opery, lecz inne porównanie byłoby jeszcze lepsze, gdybyśmy się znaleźli w małej łódce pośrodku oceanu, a obok

nas przepływałby ogromny tankowiec bez ładunku, z większą częścią burt ponad wodą, tak więc zawrót głowy, przerażenie, omal nie rzucamy się na kolana, żalując własnych herezji i złych uczynków, Bóg istnieje, tyle może zdziałać w ludzkich duszach, nawet tych cywilizowanych, majestat czystej natury

Podczas gdy półwysep uczestniczy w ruchu wszechświata, podróżni minęli już Burgos, tak świetnie idzie im handel, że zdecydowali ruszyć Dwoma Końmi po autostradzie, która zawsze jest lepszą drogą. Dalej, jak miną Gasteiz, wrócą na boczne drogi, tam wóz znajdzie się w swym środowisku naturalnym, polna droga, konny wóz, a nie to niespotykane i szokujące ślimaczenie się po szosie przeznaczonej do wielkich prędkości, ospały trucht, piętnaście kilometrów na godzinę, o ile nie jest pod górkę i zwierzęta są w odpowiednim humorze. Wszystko się tak zmieniło, że policjanci przypatrujący się im na autostradzie nie każą się zatrzymywać, nie dają mandatów, siedząc na swych szybkich motorach, machają, życząc dobrej podróży, co najwyżej pytają, co oznacza ten czerwony malunek na plandecie, jeśli znajdują się po stronie, z której widać obraz. Pogoda jest ładna, od kilku dni nie pada, moglibyśmy przysiąc, że wróciło lato, gdyby nie ten czasem zimny wiatr, prawdziwie jesienny, szczególnie że jesteśmy tak blisko wysokich gór. José Anaięo, kiedy któregoś dnia kobiety skarżyły się na chłód, rzucił od niechcenia, jakie będą konsekwencje zbytniego przemieszczania się na północ, powiedział dokładnie, Jeśli rzeczywiście dotrzemy do Nowej Ziemi, skończy się nasza podróż, żeby żyć w tamtym klimacie pod gołym niebem, trzeba być Eskimosem, ale one nie zwróciły na niego uwagi, może dlatego, że nie patrzyły na mapę.

A może dlatego, że rozmawiały nie tyle o chłodzie, jaki odczuwały, ile o tym, który inna osoba, któż taki, może czuć, nie o sobie samych, rzecz jasna, mówiły, bo co noc korzystały z ciepłych ramion swych mężczyzn, albo nawet za dnia, jeśli sytuacja była sprzyjająca, ileż to razy jedna para towarzyszyła Pedrowi Orce na kozle, podczas gdy

pozostali, leżąc na wpół rozebrani, pozwalali się usypiać Dwóm Koniom po zaspokojeniu nagłego albo powstrzymanego przyływu pożądania. Kto wiedziałby, że tym wozem podróżuje pięć osób, dwie kobiety i trzech mężczyzn, mógłby, przy pewnym życiowym doświadczeniu, domyślać się, co też się dzieje pod plandeką, wedle składu grupy jadącej na koźle, to znaczy gdyby na koźle siedzieli trzej mężczyźni, znaczyłoby to, że kobiety oddają się pracom domowym, przede wszystkim szyciu, jeśli zaś, co już zostało powiedziane, siedzi na koźle jedna kobieta i dwóch mężczyzn, to druga kobieta i mężczyzna zajmują się swymi sprawami intymnymi, nawet jeśli są ubrani i tylko rozmawiają. Nie są to jedyne możliwe kombinacje, rzecz jasna, ale nie zdarzyło się, by na koźle siedziała kobieta z jednym mężczyzną, który nie byłby jej partnerem, bo taki sam układ musiałby być pod plandeką, a tego należało unikać. Taki schemat sam się ułożył, nie trzeba było zbierać rady rodzinnej, żeby ustanowić zasady ochrony moralności pod i poza plandeką, a w wyniku wprowadzenia tego schematu matematycznie wynikło, że Pedro Orce zawsze jechał na koźle, poza rzadkimi przypadkami, kiedy to trzej mężczyźni razem odpoczywali, a kobiety powoziły, albo kiedy po uspokojeniu zmysłów mogła jechać na przedzie jedna para, podczas gdy druga pod plandeką nie robiła nic, co mogłoby wprawić Pedra Orce w zakłopotanie, obrazić albo niepokoić na jego położonym poprzecznie sienniku, Biedny Pedro Orce, mówiła Maria Guavaira do Joany Cardy, kiedy Jose Anaięo poczynił uwagę na temat Nowej Ziemi i korzyści płynących z bycia Eskimosem, i Joana Carda zgodziła się, Biedny Pedro Orce.

Prawie zawsze rozbijali obóz przed zmrokiem, lubili wybierać dobre miejsce w pobliżu wody, o ile to możliwe z wioską w zasięgu wzroku, a jeśli jakieś miejsce przypadło im do gustu, zatrzymywali się tam, mając jeszcze przed sobą dwie albo trzy godziny słońca. Lekcja udzielona przez konie dała rezultaty, z korzyścią dla wszystkich, dla zwierząt, bo więcej odpoczywały, dla ludzi, bo zatrucili

ludzki nawyk pośpiechu i niecierpliwości. Lecz odkąd Maria Guavaira powiedziała tamtego dnia, Biedny Pedro Orce, wóz i osoby nim jadące spowija inna atmosfera. Jest nad czym myśleć, skoro sobie przypomnimy, że tylko Joana Carda słyszała wypowiedziane słowa, a kiedy je powtórzyła, za jedyną słuchaczkę miała Marię Guavaire, a ponieważ wiemy, że obie .skrywają te słowa dla siebie, to znaczy, że nie był to powód do sentymentalnej rozmowy, zakończmy więc tym, że wypowiedziane słowo trwa dłużej niż dźwięk i dźwięki, które je tworzą, zawisa w powietrzu, niewidzialne i niesłyszalne, aby móc skrywać własną tajemnicę, niczym nasiono skryte w głębi ziemi, kiełkuje z dala od ludzkiego wzroku, aż w końcu odsuwa bryłkę ziemi i wychyla się na słoneczne światło zwinięty pęd, pomięty liść, który z wolna się rozwija. Zatrzymywali się, wyprzęgali konie, uwalniali je z uprzęży, rozpalali ogień, a więc wykonywali codzienne czynności, wszyscy z jednakową kompetencją, w zależności co komu tego dnia przypadało. Lecz wbrew temu, co wcześniej było zwyczajem, niewiele mówili, i pewnie sami bardzo by się zdziwili, gdybyśmy im powiedzieli, Przez więcej niż dziesięć minut nikt z was niczego nie powiedział, wtedy zdaliby sobie sprawę ze szczególnej natury tej ciszy albo odpowiedzieliby jak ktoś, kto nie chce przyznać się do oczywistego faktu i poszukuje niepotrzebnego usprawiedliwienia, Czasem tak się zdarza, rzeczywiście nie można przecież ciągle gadać. Lecz gdyby w tej chwili spojrzeli po sobie, zobaczyliby na twarzach współtowarzyszy, niczym w lustrze, własne skrępowanie, zakłopotanie człowieka, który wie, że każde wytłumaczenie to puste słowa. Trzeba jednak zauważyć, że w spojrzeniach wymienianych przez Joaną Cardę i Marię Guavaire zawarte są znaczenia odczytywane przez nie, do tego stopnia, że nie wytrzymują długo i odwracają wzrok.

Zwykł Pedro Orce po wykonaniu swej części obowiązków oddalać się od obozu w towarzystwie Stałego, mówił, że celem rozpoznania okolicy. Zawsze długo nie wracał, może dlatego, że chodził powoli, może dlatego, że

szedł daleko, a może dlatego, że siadywał na jakimś kamieniu i wpatrywał w chylący się ku końcowi dzień, z dala od spojrzeń towarzyszy. Któregoś z minionych dni Joaquim Sassa powiedział, Chce być sam, może jest mu smutno, a José Anaię skomentował, Gdybym to ja był na jego miejscu, pewnie robiłbym to samo. Kobiety skończyły prac ubrania i rozwieszały je na sznurze rozciągniętym pomiędzy stelażem plandeki i konarami drzew, usłyszały te słowa, ale milczały, bo nikt z nimi nie rozmawiał. To kilka dni później Maria Guavaira, z powodu chłódów Nowej Ziemi, powiedziała do Joa- ny Cardy, Biedny Pedro Orce.

Są sami, dziwny to przypadek, że czworo z nich odnosi wrażenie, iż są samotni, czekają, aż dogotuje się zupa, jeszcze jest całkiem jasno na dworze i aby wykorzystać czas, Joaquim Sassa i José Anaię sprawdzają stan uprzęży, podczas gdy kobiety przeglądają i zapisują rachunki z dzisiejszego utargu, które później Joaquim Sassa, księgowy, przepisze do ksiąg podatkowych. Pedro Orce oddalił się, zniknął pośród drzew jakieś dziesięć minut wcześniej, Stały poszedł razem z nim jak zwykle. Teraz nie czuć chłodu, a lekki wietrzyk być może jest ostatnim ciepłym podmuchem jesieni, a może tak go odczuwamy przez porównanie z zimnymi już dniami. Maria Guavaira mówi, Musimy kupić fartuchy, kończą się, a po wypowiedzeniu tych słów uniosła głowę i spojrziała w kierunku drzew, siedząca postać wykonała ruch, niczym impuls, wprawdzie powstrzymywany, a później uwolniony, nie było słychać nic poza szorstkim przeżuwaniami koni, wtedy Maria Guavaira wstała i poszła w stronę drzew, gdzie zniknął Pedro Orce. Nie obejrzała się za siebie nawet wtedy, gdy Joaquim Sassa zapytał, Dokąd idziesz, lecz prawdę powiedziawszy, pytanie nie zostało dokończony, powiedzmy, że urwało się w połowie, bo odpowiedź została przewidziana i nie dopuszczała poprawki. Po kilku minutach pojawił się pies, położył się pod wozem. Joaquim Sassa oddalił się o kilka metrów, zdawał się przyglądać czemuś z uwagą. José Anaię i

Joana Carda nie patrzyli na siebie.

W końcu Maria Guavaira wróciła, pojawiły się już pierwsze nocne cienie. Przyszła sama. Zbliżyła się do Joaquim

Sassy, ale ten gwałtownie odwrócił się do niej plecami. Pies wyszedł spod wozu i przepadł gdzieś. Joana Carda zapaliła latarnię. Maria Guavaira zdjęła zupę z ognia, wlała oliwę na patelnię, którą postawiła na palenisku, zaczęła, aż oliwa zaczęła wrzeć, tymczasem rozbijała jajka, potem je rozmieszała, dodając plasterki kiełbasy, w chwilę potem unosił się w powietrzu zapach, który w innej sytuacji sprawiłby, że wszystkim ślina napłynęłaby do ust. Lecz Joaquim Sassa nie przyszedł na kolację, Maria Guavaira zawołała go i on nie przyszedł. Zostało trochę jedzenia. José Anaięo i Joana Carda nie mieli apetytu, a kiedy wrócił Pedro Orce, obozowisko już było pogrążone w mroku, ogień kończył pożerać ostatnie polana. Joaquim Sassa położył się pod wozem, ale w nocy temperatura bardzo spadała, od strony gór, bez wiatru, zsuwała się masa zimnego powietrza. Wtedy Joaquim Sassa poprosił Joane Cardę, żeby poszła się położyć z Marią Guavairą, nie wypowiedział imienia, powiedział, Połóż się koło niej, ja zostanę z José, a ponieważ wy¹ dało mu się, że nadszedł odpowiedni moment na sarkazm, dodał, Nie ma obawy, wszyscy są poważnymi ludźmi, i wcale nie rozwiązłymi. Pedro Orce, kiedy wrócił, wszedł na kozioł, nie wiadomo dlaczego, Stały wskoczył zaraz za nim, zdarzyło się to pierwszy raz.

Następnego dnia Pedro Orce przez cały czas jechał na kozle. Obok niego jechali José Anaięo i Joana Carda, w środku wozu Maria Guavaira, sama. Konie jechały stępa. Kiedy chciały, nie wiadomo dlaczego, ruszyć kłusem, José Anaięo hamował ich animusz. Joaquim Sassa szedł pieszo, daleko w tyle za wozem. Tego dnia zrobili niewiele kilometrów. Jeszcze po południu José Anaięo zatrzymał Dwa Konie w miejscu, które zdawało się bliźniaczo podobne do poprzedniego, wyglądało tak, jakby nie wyruszyli z tamtego miejsca albo zatoczyli koło, nawet

drzewa wydawały się takie same. Joaquim Sassa pojawił się znacznie później, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi. Gdy Pedro Orce zobaczył, że się zbliża, oddalił się, drzewa zaraz go zasłomły, pies ruszył za nim. Ogień płonął wysoki, ale jeszcze było za wcześnie na przygotowanie kolacji, a i tak zupa była gotowa, a z poprzedniego dnia została jajecznicą na kielbasie. Joana Carda powiedziała do Marii Guavairy, Nie kupiliśmy fartuchów, już mamy tylko dwa. Joaquim Sassa powiedział do José Anaiça, Jutro odejdę, zabiorę moją część pieniędzy, pokażesz mi na mapie, gdzie jesteśmy, musi tu w pobliżu być jakaś linia kolejowa. Wtedy Joana Carda wstała i poszła w stronę drzew, za którymi zniknął Pedro Orce z psem. José Anaiço nie zapytał, Dokąd idziesz. Pies pojawił się po kilku minutach i poszedł położyć się pod wozem. Minęło trochę czasu i Joana Carda wróciła, szedł z nią Pedro Orce, który się opierał, ale ona ciągnęła go delikatnie, jakby nie musiała zbyt wiele wysilać, a może była to inna siła. Doszli do ognia, Pedro Orce ze spuszczoną głową, ze swymi rozczochranymi siwymi włosami, które z powodu migotliwego blasku ognia zdawały się tańczyć mu na głowie, a Joana Carda, której z jednej strony koszula wyszła ze spodni, powiedziała, a kiedy mówiła, spostrzegła, w jakim nieładzie ma ubranie, i mówiąc, poprawiła wszystko, otwarcie, naturalnie, Kij, którym zrobiłam kreskę na ziemi, przestał działać, ale jeszcze może posłużyć, żeby zrobić tutaj jeszcze jedną kreskę, wtedy będziemy wiedzieli, kto zostaje po jednej stronie, a kto po drugiej, skoro nie możemy zostać wszyscy po jednej, Mnie jest wszystko jedno, wyjeżdżam jutro, powiedział Joaquim Sassa, To ja jutro odejdę, odezwał się Pedro Orce, Tak jak się połączyliśmy, tak się możemy podzielić, powiedziała Joana Carda, ale skoro trzeba znaleźć winnego rozejścia się, nie szukajcie go w Pedrze Orce, winne, jeśli już tak trzeba to nazwać, jesteśmy my dwie, Maria Guavaira i ja, a jeśli uważacie, że to, co zrobiliśmy, musi zostać wyjaśnione, to znaczy, że wszyscy się myliliśmy od dnia naszego poznania, Ja

odejdę jutro, powiedział Pedro Orce, Nie odejdiesz, odparła Maria Guavaira, a jeśli odejdiesz, najprawdopodobniej wszyscy się rozdzielimy, bo oni nie będą zdolni zostać z nami ani my z nimi, i to nie dlatego, że się nie kochamy, ale dlatego, że nie jesteśmy w stanie się wzajemnie zrozumieć. José Anaięo popatrzył na Joane Cardę, nagle wyciągnął dłonie nad ogień, jakby w jednej chwili mu zmarzły, i powiedział,

Ja zostaję. Maria Guavaira zapytała, A ty, chcesz odejść czy zostajesz. Joaquim Sassa nie odpowiedział od razu, pogładził po łbie psa, który się do niego zbliżył, potem koniuszkami palców dotknął jego obroży z niebieskiej wełny, a później bransoletki, którą miał na nadgarstku, po czym rzekł, Zostanę, lecz pod jednym warunkiem. Nie musiał powiedzieć jakim, Pedro Orce zabrał głos, Jestem starym człowiekiem, albo prawie starym, jestem w takim wieku, że trudno to stwierdzić, ale bardziej stary niż młody, Zdaje się, że nie aż tak bardzo, uśmiechnął się Jose Anaięo i uśmiech ten był melancholijny, W życiu zdarzają się różne rzeczy, czasem takie, że nie mogą się powtórzyć, zdawało się, że będzie kontynuował, ale zdał sobie sprawę, że już powiedział wszystko, pokręcił głową i odszedł stamtąd, żeby się rozplakać. Czy płakał mocno czy nie, nie wiemy, żeby płakać, musiał być sam. Tej nocy już wszyscy spali w wozie, ale rany jeszcze krwawiły, obie kobiety leżały obok siebie, razem zdradzeni mężczyźni, a Pedro Orce był tak zmęczony, że przez całą noc spał jak kamień, chciał umartwiać się bezsennością, lecz natura miała większą moc.

Obudzili się skoro świt, niczym ptaki, pierwszy, jeszcze o brzasku, wyszedł przodem z wozu Pedro Orce, potem Joaquim Sassa i Jose Anaięo z tyłu, i w końcu kobiety, jakby wszyscy wyszli z innych światów i tutaj spotkali się po raz pierwszy. Najpierw niemal na siebie nie patrzyli, zaledwie kątem oka, można powiedzieć, że widok całej twarzy był nie do zniesienia, zbyt mocny jak na słabowite siły, z jakimi wykaraskali się z kryzysu tych ostatnich dni. Po porannej kawie zaczęły padać pierwsze pojedyncze

słowa, jakaś porada, jakaś prośba, jakieś ostrożnie sformułowane polecenie, lecz pierwszy problem delikatnej natury miał się pojawić właśnie teraz, mianowicie, jak mają podróżni załadować się na wóz, mając na względzie skomplikowane warianty podziału na grupy, jak to wcześniej mieliśmy okazję wyjaśnić. To, że Pedro Orce będzie siedział na koźle, nie podlegało dyskusji, ale kobiety i mężczyźni w żarze konfliktu nie mogli dalej pozostawać oddzielnie, proszę zwrócić uwagę na nieprzyjemną i dwuznaczną sytuację, kiedy obaj mężczyźni musieliby jechać z Pedrem Orce na koźle, o czym by rozmawiali, jak bardzo byliby zakłopotani, gdyby Maria Guavaira i Joana Carda jechały z przodu, o czym rozmawiałyby z woźnicą, jakie dzieliliby wspomnienia, a tymczasem pod plandeką jakieś następowaloby obgryzanie paznokci, obaj mężowie zadający sobie wzajemnie pytania, O czym one tam rozmawiają. Są to śmieszne sytuacje, kiedy przyglądamy im się z boku, ale zaraz traci się ochotę na śmiech, kiedy wyobrażamy sobie siebie samych w przygnębiającym stanie, w jakim obaj się znajdują. Szczęśliwie na wszystko jest lekarstwo, tylko na śmierć jeszcze nie. Już Pedro Orce siedział na swoim miejscu, ściągając wodze,

1 czekał na decyzje pozostałych, kiedy Jose Anaięo powiedział tak, jakby się zwracał do niewidzialnych duchów, Wóz niech jedzie, Joana i ja pójdziemy trochę na piechotę, My też, powiedział Joaquim Sassa. Pedro Orce potrząsnął lejcami, konie szarpnęły wozem, drugie szarpnięcie było mocniejsze, ale nawet gdyby bardzo chciały, nie mogłyby szybko jechać, droga prowadziła bowiem pod górkę, pośród wylaniających się po lewej gór, Jesteśmy na przedgórzu Pirenejów, myśli Pedro Orce, jednakże spokój panuje tu tak wielki, że trudno uwierzyć, iż było to miejsce tak dramatycznych wydarzeń. Z tyłu idą dwa małżeństwa, oddzielnie, rzecz jasna, to, co mają sobie do powiedzenia, to sprawy pomiędzy kobietą i mężczyzną, bez świadków.

Góry nie są dobrym miejscem do robienia interesów, a te jeszcze mniej niż jakiegokolwiek inne. Do rzadkiego zaludnienia tych pofałdowanych terenów trzeba dodać w tym przypadku strach ludności, która jeszcze się nie przyzwyczaiła do myśli, że Pirenejom z tej strony brak oparcia i dopełnienia z tamtej. Wioski są niemal zupełnie opuszczone, niektóre całkowicie, skrzywienie kół Dwóch Koni i ich stukot na bruku sprawia żałobne wrażenie pośród drzwi i okien, które pozostają zamknięte, Lepiej byłoby zobaczyć Sierra Nevada, pomyślał Pedro Orce, i te magiczne, olśniewające słowa napełniły go tęsknotą. Jeśli można z takiego wyludnienia czerpać jakąś korzyść, to chyba tylko tę, że w końcu podróźni spali całą noc, po wielu nocach niepokoju, odrobina rozwiązłości, nie chodzi nam o niedawne i szczególne się jej objawienie, co do której istnieją różne osady i którą sami zainteresowani dyskutują, korzyścią jest możliwość spania w tych opuszczonych domach, wszelkie cenne dobra zostały zabrane podczas exodusu, lecz łóżka zwykle pozostały. Jakże odlegli jesteśmy od tego dnia, kiedy to Maria Guavaira energicznie odrzuciła możliwość spania w cudzym domu, miejmy nadzieję, że ta łatwa zgoda nie jest oznaką upadku moralnego, lecz wynikiem surowego doświadczenia.

Pedro Orce zostanie sam w jednym z tych domów, do wyboru, w towarzystwie psa, jeśli najdzie go ochota na nocne spacerowanie, będzie mógł wyjść, kiedy tylko dusza zapagnie, i tym razem mężczyźni i kobiety nie będą spali oddzielnie, w końcu położą się razem Joaquim Sassa i Maria Guavaira, José Anaię i Joana Carda, może powiedzieli już sobie wszystko, co było do powiedzenia, może rozmawiali jeszcze długo w noc, jednakże jeśli natura ludzka dalej będzie taka, jak zawsze była, jest naturalne, że ze zmęczenia i zmartwienia, przez rozumną czułość i chwilowy przyływ miłości, kobieta i mężczyzna się do siebie zbliżą, wymienią pierwszy niepewny pocałunek, a potem, niech będzie błogosławiony ten, który nas takimi uczynił, ciało się przebudzi i pragnienie

innego ciała, może jest to szaleństwo, może blizny jeszcze pulsują, ale poświata się rozjaśnia, jeśli w tym czasie Pedro Orce spaceruje po zboczach, może poczuje ukłucie zazdrości, może znowu łzy napłyną mu do oczu, jednakże nie wie, że w tej samej chwili łkają ze szczęścia, z żalu i uwolnionego pożądanego pogodzeni kochankowie. Jutro rzeczywiście będzie nowy dzień, nie trzeba będzie już decydować, kto ma jechać w środku wozu, a kto na koźle, wszystkie kombinacje są możliwe i żadna nie budzi wątpliwości.

Konie są zmęczone, zbocza nigdy się nie kończą i wszystkie prowadzą pod górę, José Anaięo i Joaquim Sassa poszli porozmawiać z Pedrem Orce, z wielkim taktem i ostrożnością, aby nie pomieszać wątków, chcieli zapytać go, czy nie uważa, że to, co zobaczyli z Pirenejów, już wystarczy, czy też chce jechać dalej, wspiąć się na większe wysokości, i Pedro Orce powiedział, że nie interesują go tak bardzo wysokości jak koniec ziemi, choć nie jest mu obce, że kiedy kończy się ziemia, widać tylko morze, Dlatego nie pojechaliliśmy w kierunku Donostii⁹, to żadna radocha zobaczyć przepołowioną plażę, stanąć na piaszczystym cyplu, oblewanym wodą z dwóch stron, Ale żeby zobaczyć morze z wysoka, musimy jeszcze długo jechać i nie wiem, czy konie wytrzymają, powiedział Jose Anaięo, Nie musimy wjeżdżać na dwa albo trzy tysiące metrów, zakładając, że są drogi prowadzące na szczyty, ale rzeczywiście chciałbym, żebyśmy tam dotarli i zobaczyli. Rozłożyli mapę, Joaquim Sassa powiedział, Powinniśmy być gdzieś tutaj, palec przesunął się pomiędzy Navascues i Burgui, potem podążył w kierunku granicy, Wydaje się, że po tej stronie nie ma wielkich wysokości, droga biegnie wzdłuż rzeki Esca, potem oddala się, żeby dalej się piąć, tam pewnie sytuacja się komplikuje, po drugiej stronie jest szczyt o wysokości tysiąca siedmiuset metrów, Jest, a nie był, powiedział Jose Anaięo, To prawda, zgodził się Joaquim Sassa, muszę poprosić Marię o nożyczki, żeby przeciąć mapę wzdłuż grani-

9 Donostia to baskijska nazwa San Sebastian (przyp. tłum.).

cy, Możemy spróbować pójść tą drogą, jeśli będzie zbyt ciężka dla koni, wrócimy, powiedział Pedro Orce.

Dwa dni zajęło im dotarcie tam, gdzie chcieli. Nocą słyszeli wycie wilków na zboczach i bali się. Ludzie z nizin zrozumieli w końcu, jakie grozi im niebezpieczeństwo, gdyby zwierzęta zeszyły do obozu, zaczęłyby zabijać konie, a potem nadeszłyby pora na ludzi pozbawionych choćby jednej sztuki broni palnej, którą mogliby się bronić. Pedro Orce powiedział, To z mojego powodu jesteśmy w niebezpieczeństwie, wracajmy, ale Maria Guavaira odpowiedziała, Je- dziemy dalej, mamy psa, który nas obroni, Jeden pies nic nie poradzi przeciw całemu stadu, przypomniał Joaquim Sassa, Ten sobie poradzi, i, choć może to się wydać zaskakujące każdemu, kto o tych sprawach wie więcej niż narrator, Maria Guavaira miała rację, bo pewnej nocy wilki zbliżyły się bardziej niż zwykle, przerażone konie zaczęły rzeć w popłochu i szarpać sznurami, którymi były przywiązane, kobiety i mężczyźni szukali schronienia przed atakiem, jedynie Maria Guavaira mówiła, choć drżącym głosem, One nie przyjdą, płonął wysoki ogień, bo taki utrzymywali w bezsenne noce, i wilki bardziej się nie zbliżały, pies zdawał się rosnąć w kręgu światła, migoczące światłocienie sprawiały, że mnożyły mu się łby, języki i zęby, wszystko to było optycznym złudzeniem, a ciało mu potężniało, rosło ponad miarę, wilki dalej wyły, to prawda, ale ze swego wilczego strachu.

Droga została przecięta, dosłownie przecięta. Po lewej i po prawej góry i doliny nagle się kończyły, w równej linii, niczym po cięciu nożem. Podróżni zostawili wóz w tyle, strzeżony przez psa, i ruszyli przed siebie pełni niepokoju i ostrożności. Jakieś sto metrów przed przecięciem stał posterunek graniczny. Weszli do środka, stały tam jeszcze dwie maszyny do pisania, jedna z nich z wkręconym papierem, był to formularz celny z kilkoma zapisanymi słowami. Zimny wiatr wpadał przez otwarte okno i przewracał walającymi się po ziemi papierami. Leżały tam ptasie pióra. To koniec świata, powiedziała Joana Carda,

Zobaczymy więc, jak się skończył, rzucił Pedro Orce. Wyszli. Szli ostrożnie, obawiając się pęknięć, obsuwającej się ziemi, to Jose Anai- ęowi przyszło to do głowy, lecz szosa była równa i gładka, miała jedynie koleiny wyżłobione kołami samochodów. Dziesięć metrów od przepaści Joaąquim Sassa powiedział, Lepiej się tam nie zbliżać na stojąco, z powodu zawrotów głowy, ja pójdę na czworakach. Pochylili się i zbliżyli do krawędzi, najpierw wspierając się na dłoniach i kolanach, potem czołgając się, czuli, jak serce bije z niepokoju i strachu, ciało zlewało się potem pomimo przenikliwego zimna, obawiali się, że nie będą w stanie spojrzeć w przepaść, lecz żadne z nich nie chciało okazać słabości i w swego rodzaju śnie w końcu spojrzeli na morze z wysokości niemal tysiąca ośmiuset metrów, góra przecięta na pół, pionowo, i skrzzące się morze, mikroskopijne fale i biała piana morskich fal bijących o górę, zdawało się, że chcą ją popchnąć. Pedro Orce krzyknął podekscytowany, w radosnym bólu, To koniec świata, powtarzał słowa Joany Cardy, wszyscy je powtarzali, Mój Boże, istnieje szczęście, powiedział nieznany głos, i może nie być niczym więcej ponad to, morze, światło i zawrót głowy.

Świat pełen jest zbiegów okoliczności, a jeśli pewna rzecz nie zbiega się z inną, bliską jej, nie negujemy z tego powodu zbiegów okoliczności, znaczy to tylko tyle, że rzeczy zbiegające się nie są wystawione na publiczny widok. Dokładnie w chwili, kiedy podróżni wychylali się na skraju przepaści, półwysep stanął. Nikt z obecnych nie zauważył tego wydarzenia, nie było żadnego hamowania, żadnej oznaki utraty równowagi, żadnego wrażenia sztywności. Dopiero po upływie dwóch dni, kiedy zeszli z ogromnych wysokości do pierwszych zamieszkałych siedzib ludzkich, otrzymali niesamowitą wiadomość. Lecz Pedro Orce powiedział, Skoro mówią, że się zatrzymał, to pewnie tak jest, ale ziemia dalej się trzęsie, mogę przysiąc, w imieniu swoim i psa. Dłoń Pedra Orce spoczywała na grzbiecie Stałego.

Dzienniki całego świata opublikowały, niektóre na całą

szerokość pierwszej strony, historyczną fotografię, która przedstawiała półwysep, o ile ostatecznie nie powinniśmy nazywać go wyspą, spokojnie stojący pośrodku oceanu, utrzymujący, z dokładnością co do milimetra, swą pozycję w stosunku do punktów kardynalnych, wedle których określa się położenie świata, Porto tak bardzo na północ od Lizbony, jak zawsze było, Granada na południe od Madrytu, odkąd powstał Madryt, i cała reszta według powszechnie znanych danych. Dziennikarze puścili wodze wyobraźni niemal wyłącznie w krzykliwych tytułach, zważywszy na to, że tajemnica przesunięcia geologicznego albo lepiej tektonicznej zagadki ciągle nie została wyjaśniona, dziś jest tak nieprzenikniona jak pierwszego dnia. Szczęśliwie nacisk tak zwanej opinii publicznej zmniejszył się, pospólstwo przestało zadawać pytania, zadowolilo się bezpośrednimi i pośrednimi aluzjami zawartymi w ogromnych napisach, Narodziła się Nowa Atlantyda, W Światowych Szachach Ruszył się Pionek, Zarys Unii Europy z Ameryką, Pomiedzy Europą i Ameryką Kość Niezgody, Pole Bitwy Przyszłości, lecz tytuł, który wywołał największe wrażenie, należał do pewnego portugalskiego dziennika, brzmiał tak, Trzeba Podpisać Nowy Traktat z Tordesillas, rzeczywiście, prostota geniuszu jest uderzająca, autor spojrzal na mapę i stwierdził, że półwysep, mila wte mila wewte, zatrzymał się na linii, która w owych pełnych chwały czasach dzieliła świat na dwie części, grosz dla mnie, grosz dla ciebie, dla mnie grosz.

W nie podpisanym wstępniaku proponowano przyjęcie przez oba państwa półwyspu wspólnej strategii prowadzącej do tego, aby stać się języczkiem u wagi światowej polityki. Portugalia zwrócona na zachód, w stronę Stanów Zjednoczonych, Hiszpania zwrócona na wschód, w kierunku Europy. Pewna hiszpańska gazeta tylko po to, by nie zostać w tyle w sprawach oryginalności, broniła poglądu, że stolicą powinien zostać Madryt, centrum polityczne całej tej maszyny, pod pretekstem, że stolica Hiszpanii znajduje się w geometrycznym środku półwyspu, co zresztą nawet nie jest prawdą, wystarczy spojrzeć, lecz bywają ludzie, którzy nie zważają na środki prowadzące do celu. Chór protestów nie ograniczył się do Portugalii, także hiszpańskie regiony autonomiczne odrzuciły propozycję, uznana za kolejny

przejaw kastylijskiego centralizmu. Po stronie portugalskiej wydarzyło się to, czego należało się spodziewać, nagły powrót do studiów okultystycznych i ezoterycznych, które nie rozwinęły się bardziej, bo sytuacja zaczęła się radykalnie zmieniać, lecz i tak wystarczyło jeszcze czasu na wyczerpanie nowych nakładów Historii Przyszłości Ojca Antonia Vieira i Przepowiedni Bandarry, nie mówiąc już o Posłaniu Fernanda Pessoa, lecz o tym nie trzeba było nawet wspominać.

Z punktu widzenia polityki praktycznej problemem dyskutowanym w ministerialnych kancelariach europejskich i amerykańskich była kwestia stref wpływów, to znaczy, czy pomimo odległości półwysep, albo wyspa, powinien zachować swe naturalne powiązania z Europą, czy też, nie zrywając ich całkowicie, powinien zorientować się przede wszystkim na cele i przeznaczenie wielkiego narodu amerykańskiego. Choć bez nadziei na wywarcie decydującego wpływu na tę sprawę, Związek Radziecki raz za razem przypominał, że żadna z kwestii nie może zostać rozwiązana bez jego udziału w negocjacjach, i póki co wzmocnił eskadrę, która od samego początku towarzyszyła błędnej podróży, pod obserwacją, rzecz jasna, eskadr innych potęg, amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej.

To w ramach tychże negocjacji Stany Zjednoczone poinformowały Portugalie, podczas pilnej audiencji u prezydenta Republiki ambasadora Charlesa Dickensa, że nie ma żadnego sensu dalsze istnienie rządu ocalenia narodowego, skoro nie istnieją już przyczyny, dla których w sposób bardzo dyskusyjny, jeśli pan pozwoli, że wyrażę swą opinię, panie prezydencie, został powołany. O tej niedelikatnej gorliwości dowiedziano się tylnymi drzwiami, nie żeby odnośne służby prezydenckie coś upubliczniły albo żeby ambasador powiedział coś po wyjściu z Belém, w rzeczywistości ograniczył się tylko do stwierdzenia, że odbył z prezydentem rozmowę bardzo szczerą i konstruktywną. Niemniej wystarczyło to, by partie, które musiałyby opuścić rząd przy jego przebudowie albo w wyniku powszechnych wyborów, podniosły wrzawę przeciw niedopuszczalnej ingerencji ambasadora w wewnętrzne sprawy kraju. Kwestie wewnętrzne muszą Portugalczycy sami rozwiązać, mawiano i dodawano z bezwzględna ironią, Fakt, że pan ambasador napisał Davida

Copperfielda nie oznacza, że może się rządzić w ojczyźnie Camóesa i Luzyjad. Podczas gdy zajmowano się tymi sprawami, półwysep, bez zapowiedzi, poruszył się po raz kolejny.

Pedro Orce miał rację, tam na przedgórzu Pirenejów, kiedy powiedział, Skoro mówią, że się zatrzymał, to pewnie tak jest, ale ziemia dalej się trzęsie, i aby nie być jedynym, który to stwierdza, położył dłoń na grzbiecie Stałego, zwierzę takżę się trzęsło, co zaraz mogli potwierdzić obaj mężczyźni i obie kobiety, powtarzając doświadczenie wykonane już raz przez Joaquina Sassę i José Anaiça na spalonych słońcem ziemiach pomiędzy Orce i Venta Micena, w cieniu kordobańskiego drzewa oliwnego, jedyne w okolicy Jednak teraz, i przerażenie było powszechne i światowe, półwysep nie zmierzał na zachód ani na wschód, na południe ani na północ. Kręcił się wokół własnej osi, w kierunku diabelskim, to znaczy przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, co, gdy zostało obwieszczono, stało się natychmiastową przyczyną zawrotów głowy ludności portugalskiej i hiszpańskiej, choć prędkość obrotów nie była znowu aż taka duża. W obliczu tak niesamowitego wydarzenia, które zachodziło wbrew wszelkim prawom fizyki, tym razem w sposób absolutny, szczególnie wbrew prawom mechaniki, zerwano wszystkie negocjacje polityczne, kombinacje gabinetowe i zakulisowe manewry polityczne. Zgódźmy się jednak, że niełatwo zachować spokój, zimną krew, kiedy wiadomo na przykład, że stół rady ministrów, wraz z całym budynkiem, jest niczym wolno obracająca się karuzela, jak we śnie. Co bardziej wrażliwe osoby zarzekały się, że odczuwają ten ruch, choć przyznawały, iż nie odczuwały ruchu Ziemi w przestrzeni kosmicznej, jednakże, przedstawiając sytuację, wyciągały ramiona, aby się czegoś przytrzymać, w końcu nie udawało im się utrzymać na nogach, przewracały się i leżały na ziemi brzuchami do góry, spoglądając w powolnie przesuwane się niebo, nocą w księżyc i gwiazdy, w słońce także, w dzień, przez przydymione szkło, w opinii niektórych lekarzy było to tylko objawy hysterii.

Oczywiście nie zabrakło bardziej radykalnych sceptyków, jakżeby półwysep mógł kręcić się w kółko, ślizgać się jeszcze ujdzie, słyszeliśmy wszak o obsuwaniu się ziemi, to, co dzieje się ze skarpa, kiedy dużo pada, może się też zdarzyć z półwyspem,

nawet jeśli nie spadnie ani kropla deszczu, lecz obwieszczone rotacje oznaczają, że półwysep kręci się wokół własnej osi, i, oprócz tego, że jest to niemożliwe zarówno obiektywnie, jak i subiektywnie, to w wyniku tego pękłoby centralne jądro, wcześniej czy później, a wtedy zaczęlibyśmy rzeczywiście dyfnować bez żadnego punktu oparcia, zdając się na łut szczęścia. Zapominali ci ludzie, że jedna płyta może się kręcić na drugiej płycie, na tym warstwowym łupku, stworzonym, jak to podaje jego nazwa, z nałożonych na siebie warstw, które, jeśli się rozluźnią, mogą znakomicie kręcić się jedna na drugiej, utrzymując, oczywiście w teorii, pewien stopień połączenia, Oto, co się dzieje, utrzymywali zwolennicy tej tezy. I aby ją potwierdzić, ponownie wysłali nurków na dno morza, tak głęboko, na ile to było możliwe w tych otchłaniach oceanu, zanurzono też Archimede, Cyana i japoński wynalazek o bardzo trudnej nazwie, wynikiem tych wszystkich badań było powtórzenie przez włoskiego badacza słynnego zdania, wyszedł on z wody, otworzył luk i powiedział do mikrofonów wszystkich stacji telewizyjnych na świecie, Nie może się kręcić, a jednak się kręci. Nie było żadnej centralnej osi, skrecającej się niczym sznur, nie było płyt, ale półwysep kręcił się majestatycznie pośrodku Atlantyku i w miarę jak się kręcił, stawał się coraz mniej rozpoznawalny, To rzeczywiście tutaj żyliśmy, pytali mieszkańcy, portugalskie wybrzeże całkowicie nachylone w stronę południowo-zachodnią, Pireneje wycelowane w Irlandię. W obowiązkach pilotów odbywających transatlantyckie loty handlowe znalazła się obserwacja półwyspu, choć prawdę powiedziawszy, pożytek z tego nie był zbyt wielki, z braku koniecznego stałego punktu odniesienia, według którego można by określać jego położenie. Prawdę mówiąc, nic nie mogło zastąpić obrazu satelitarnego, fotografii zrobionych z wielkich wysokości, dopiero wtedy miało się pojęcie o wspaniałości tego fenomenu.

Ruch ten trwał około miesiąca. Widziany z półwyspu wszechświat stopniowo się zmieniał, codziennie słońce wschodziło w innym punkcie horyzontu, a księżycy i gwiazd trzeba było szukać na niebie, nie wystarczało już ich krążenie wokół centrum systemu Drogi Mlecznej, teraz doszedł jeszcze ten ruch, który

czynił z nieba szaleństwo niestałych świetlistych punktów, jakby wszechświat reorganizował się od końca do końca, być może dlatego, że stwierdzono, że pierwszy się nie sprawdził. Nadszedł taki dzień, w którym słońce zaszło w miejscu, gdzie w normalnej sytuacji wschodziło, i nie miało sensu stwierdzać, że to nieprawda, że chodziło

O zwykle złudzenie, że słońce przebiegało swą zwyczajową trajektorią i nie mogło przebiec po innej, prości ludzie argumentowali, Przepraszam, drogi panie, wcześniej słońce wpadało mi do mieszkania przez frontowe okna, a teraz świeci od tyłu, proszę wyjaśnić i to tak, żebym zrozumiał. Jeśli chodzi o wyjaśnienie, to naukowiec wyjaśniał, pokazywał fotografie, sporządzał rysunki, rozkładał mapę nieba, lecz słuchacz niezmiennie trwał na swym stanowisku

I lekcja kończyła się prośbą, by pan doktor sprawił, ażeby słońce znowu oświetlało mu frontowe okna. Zrozpaczony profesor mówił, Niech pan da spokój, jeśli półwysep zatoczy koło, zobaczy pan słońce tak jak kiedyś, ale nieufny uczeń odpowiadał, Więc pan profesor myśli, że to się dzieje po to, żeby w końcu wszystko zostało po staremu. I oczywiście nie zostało.

Musiałaby już pewnie być zima, ale ta, stojąc tuż za progiem, wycofała się, nie znajdujemy innego słowa. Nie była to zima ani jesień, wiosna absolutnie nie, latem też nie można tego nazwać. Była to zawieszona pora roku, bez daty, jakbyśmy się znaleźli na początku świata i jeszcze nie zostały ustalone pory roku i przewidziane dla nich okresy. Dwa Konie zdążał powoli po niższych zboczach gór, teraz podróżni dłużej zatrzymywali się na postoj, szczególnie zachwycali się spektaklami słońca, które przestało wschodzić nad Pirenejami, aby wznosić się z morza, rzucając swe pierwsze promienie na wysokie, ośnieżone szczyty gór. To tutaj, w jednej z tych wiosek, Joana Carda i Maria Guavaira stwierdziły, że są brzemienne. Obie. Nie było w tym nic dziwnego, można nawet powiedzieć, że te kobiety zrobiły wszystko, by tak się stało, w ciągu tych tygodni i miesięcy, oddając się swym mężczyznom ze zdrową szczerością, bez żadnego zabezpieczenia, czy to z ich, czy ze swej strony. I jednoczesność faktów także nie powinna nikogo zaskakiwać, był to zaledwie jeden z tych zbiegów okoliczności, które organizują

życie na świecie, dobrze, że niektóre mogą zostać jasno określone raz na jakiś czas, aby oświecić sceptyków. Lecz sytuacja jest krępująca, co aż kłuje w oczy, a skrepowanie wynika z trudności ustalenia ojcostwa. Bo gdyby Maria Guavaira i Joana Carda nie zboczyły z drogi, powodowane współczuciem albo jakimś innym, znacznie bardziej skomplikowanym uczuciem, i nie zagłębiły się w te zarośla i lasy w poszukiwaniu samotnego mężczyzny, którego niemal musiały błagać, by ocieźała ze wzruszenia i niepokoju w nie wszedł i wylał swe przedostatnie soki, gdyby nie ten liryczny i tak mało erotyczny epizod, nie byłoby miejsca na żadne wątpliwości co do tego, że dziecko Marii Guavairy jest Joaquina Sassy, a sprawcą dziecka Joany Cardy jest skuteczny Jose Anaiço. Lecz oto Pedro Orce wchodzi w drogę, choć może słuszniej byłoby powiedzieć, że w drogę Pedrowi Orce wskoczyły kusicielki i normalność ze wstydu schowała oblicze. Nie wiem, kto jest ojcem, powiedziała Maria Guavaira, która dała przykład, Ani ja, powiedziała Joana Carda, która poszła jej śladem z dwóch powodów, po pierwsze po to, żeby nie zachować się mniej bohatersko, po drugie, aby poprawić błąd błędem, przemieniając wyjątek w regułę.

Lecz te rozważania nie zmieniają podstawowego faktu, a mianowicie tego, że należy poinformować o wszystkim José Anaiça i Joaquina Sassę, jakżeż oni zareagują, kiedy kobiety powiedzą, z odpowiednimi minami, Jestem w ciąży. W sytuacji harmonijnego współżycia mężczyźni, według zwyczaju albo wedle tego, co mówi się o zwyczajach, oszaleliby z radości, i być może w pierwszej chwili zaskoczenia w spojrzeniu będzie można wyczytać oznaki zadowolenia płynącego z głębi duszy, lecz natychmiast miny stężeją, oczy pociemniają, zanosi się na straszliwą scenę. Proponuje Joana Carda, żeby nic nie mówić, z biegiem czasu i rośnięciem brzucha fakty dokonane uspokoją podejrzliwość, urażoną dumę, pamiętany żal, ale w opinii Marii Guavairy wydaje się nieodpowiednie, aby początkowe zachowanie, pełne odwagi i szczodrości w każdej dziedzinie, zakończyło się tchórzostwem i udawaniem, tchórzostwem o jest jeszcze gorsze niż taktyczna usłużność, Masz rację, przyznała Joana Carda, lepiej chwycić byka za rogi, powiedziała to, nie zważając na słowa, zwroty idiomatyczne niosą ze sobą takie niebezpieczeństwo,

kiedy nie zwracamy odpowiedniej uwagi na kontekst.

Jeszcze tego samego dnia obie kobiety zaprowadziły swych mężczyzn w ustronne miejsce, poszły z nimi na spacer polami, tam, gdzie szerokie przestrzenie redukują do szeptu najbardziej rozzdzierające i wściekle wrzaski, z tego smutnego powodu krzyki mężczyzn nie wznoszą się do nieba, i tam, bez ogródek, tak jak się umówiły, powiedziały im, Jestem w ciąży i nie wiem, czy z tobą, czy z Pedrem Orce. Joaquim Sassa i José Anaięo zareagowali tak, jak było do przewidzenia, wybuchem furii, gwałtownym machaniem rękoma, dotkliwym żalem, jeden nie widział drugiego, ale gesty się powtarzały, słowa były równie gorzkie, Nie wystarczy ci to, co się zdarzyło, jeszcze przychodzisz mi powiedzieć, że jesteś w ciąży i nie wiesz z kim, A skąd mam wiedzieć, ale kiedy dziecko się urodzi, rozwieją się wszelkie wątpliwości, Dlaczego, Będzie podobne do ojca, No dobra, a jeśli będzie podobne tylko do ciebie, Jeśli będzie podobne tylko do mnie, to dlatego, że to tylko moje dziecko, Jeszcze do tego nabijasz się ze mnie, Nie nabijam się, nie potrafię tego robić, I co teraz, w jaki sposób rozwiążemy tę sytuację, Skoro mogłeś ścierpieć, że raz kochałam się z Pedrem Orce, wytrzymasz dziewięć miesięcy, żeby podjąć decyzję, jeśli dziecko będzie podobne do ciebie, to znaczy, że jest twoje, jeśli będzie podobne do Pedra Orce, to znaczy, że jest jego i tyje odrzucisz, i mnie też, jeśli tak będziesz chciał, a co do podobieństwa tylko do mnie, nie wierz w to, zawsze jest jakiś fragment nitki należącej do drugiego kłębka, A Pedro Orce, co z nim zrobimy, powiesz mu, Nie, przez pierwsze dwa miesiące nic nie będzie widać, a może jeszcze dłużej, przy tych ubraniach, wielkich koszulach, obszernych swetrach, Myślę, że lepiej o tym w ogóle nie mówić, przyznaję, że irytowałoby mnie bardzo to, jak Pedro Orce by na ciebie patrzył, na was, z miną rozplodowego championa, to zdanie należało do Jose Anaięa, który bardziej zgłębił język, Joaauim Sassa wyraził się prosto, Szlag by mnie trafiał, gdybym oglądał pana Pedra Orce zachowującego się jak kogut w kurniku. Tak więc w ten pokojowy sposób przyjęli mężczyźni do wiadomości obelżywy fakt, wspomagani nadzieją, że być może przestanie taki być w dniu, w którym zagadka, dziś jeszcze bezkształtna, rozwiąże się w sposób naturalny.

Pedrowi Orce, który nigdy nie dowiedział się, coż to znaczy mieć dzieci, nawet nie przechodzi przez myśl, że w brzuchach obu kobiet być może rosną jego płody, to prawda, że człowiek nigdy nie jest świadom wszystkich konsekwencji swych czynów, oto mamy na to doskonały przykład, gaśnie wspomnienie szczęśliwych chwil rozkoszy oraz przeczucie ich skutku, jeszcze znikomego, lecz ważniejszego dla Pedra Orce niż cokolwiek innego, oby wszystko się szczęśliwie ułożyło, jeszcze jest niewidzialny dla jego oczu, skryty przed jego poznaniem, sam Bóg stworzył ludzi, ale ich nie widzi. W każdym razie Pedro Orce nie jest całkowicie ślepy, zdaje mu się, że w małżeństwach nie panuje już wcześniejsza harmonia, widać w nich swego rodzaju dystans, nie powiedzielibyśmy chłód, raczej pozbawiona wrogości rezerwa, ale powodująca wielką ciszę, tak dobrze zaczęła się ta podróż, a teraz wydaje się, że nie staje słów albo nie ma odwagi na wypowiedzenie jedynych, które miałyby sens, Skończyło się, to, co było żywe, umarło, jeżeli o to chodzi. Być może ponownie rozgorzał ogień pierwszych zazdrości, być może zgaśnie wraz z upływem czasu, I jeśli ja nie będę się rzucał w oczy, dlatego Pedro Orce znowu zaczął wychodzić na długie spacerunki po okolicy, zawsze kiedy tylko rozbijali obóz, aż wydawało się nieprawdopodobne, że ten człowiek może tyle chodzić.

Już jakiś czas temu zostawili za sobą pofałdowania terenu z dala zwiastujące Pireneje, pewnego dnia Pedro Orce oddalił się bocznymi drogami, mało brakowało, a mógłby ulec pokusie niewracania do obozu, takie pomysły przychodzą do głowy w chwilach wyczerpania, i napotkał siedzącego na skraju drogi człowieka, odpoczywał, lat mógł mieć tyle co Pedro Orce, jeśli nie był jeszcze starszy, zdawał się zniszczony i zmęczony. Nieopodal stał osioł, z derką i jukami, szczypiący poźółkłymi zębami zeschniętą trawę, bo pogoda, co już zostało powiedziane, nie służy świeżej zieleni albo powoduje wzrost roślin w nieodpowiednim miejscu i czasie, natura zboczyła z drogi, powiedziałby miłośnik metafor. Mężczyzna żuł kawałek twardego chleba, bez omasty, musiał być przymuszony potrzebą, włóczęgą bez stołu ni dachu nad głową, ale emanował spokojem, a nie cwaniactwem, zresztą i tak Pedro Orce nie jest strachliwym człowiekiem, czego też dowiódł swymi

marszami po pustkowiu, to prawda, że pies nie odstępował go na krok, to znaczy zostawił go dwa razy, ale w lepszym towarzystwie i przez dyskrecję.

Pozdrowił Pedro Orce mężczyznę, Dobry wieczór, i tamten odpowiedział, Dobry wieczór, uszy obu zarejestrowały znajomą wymowę, akcent z południa, andaluzyjski, aby wszystko wyrazić jednym słowem. Lecz człowiekowi żującemu twarde chleby wydało się podejrzane, że w tym miejscu, tak oddalonym od siedzib ludzkich, spotyka mężczyznę i psa, wyglądających, jakby wyrzucono ich tam z latającego talerza, i przezornie, ale nie kryjąc się z tym, przysunął do siebie leżący na ziemi okuty kij. Pedrowi Orce nie umknął gest ani niepokój drugiego, pewnie przestraszył się psa, nieruchomego, obserwującego ze spuszczonej łbem, Niech się pan nie obawia psa, jest łagodny, to znaczy łagodny nie jest, ale nie atakuje nikogo, kto nie ma złych zamiarów, Skąd on może wiedzieć, co ludzie myślą, O, to jest bardzo dobre pytanie, bardzo chciałbym na nie odpowiedzieć, ale ani ja, ani moi towarzysze nie jesteśmy w stanie powiedzieć, co to za pies ani skąd się wziął, Myślałem, że podróżuje pan samotnie albo że mieszka pan niedaleko, Podróżując z przyjaciółmi, mamy wóz, z powodu tych wszystkich wydarzeń wyruszyliśmy w drogę i nadal jedziemy, Jest pan z Andaluzji, poznaję po sposobie mówienia, Jestem z Orce, prowincja Granada, Ja jestem z Zufre, prowincja Huelva, Mił mi, Mnie również, Pozwoli pan, że usiądę obok niego, Proszę siadać, nie mogę tylko poczęstować pana niczym więcej, niż sam mam, suchym chlebem, Dziękuję tak, jakbym przyjął zaproszenie, zjadłem kolację z moimi towarzyszami, Kim są, To dwóch przyjaciół i ich żony, obaj i jedna kobieta są Portugalczykami, druga jest Galisyjka, I jak się zebraliście, O, to zbyt długa historia, żeby ją teraz opowiadać.

Ten drugi nie naciskał, zrozumiał, że nie powinien, i powiedział, Pewnie się pan zastanawia, dlaczego mnie pan tu spotyka, skoro jestem z Huelvy, W tych czasach trudno spotkać kogoś, kto by siedział na swoim miejscu, Pochodzę z Zufre i mam tam rodzinę, o ile ona jeszcze tam jest, ale kiedy zaczęto mówić, że Hiszpania oddzieliła się od Francji, postanowiłem pójść zobaczyć to na własne oczy, Nie Hiszpania, tylko Półwysep

Iberyjski, No dobra, I nie oddzielił się od Francji, tylko od Europy, wydaje się, że chodzi o to samo, ale jednak jest pewna różnica, Na tych zawilosciach się nie znam, ja chciałem tylko zobaczyć, I co pan zobaczył, Nic, dotarłem do Pirenejów i zobaczyłem tylko morze, My też zobaczyliśmy tylko morze, Nie było Francji, nie było Europy, a według mnie jak czegoś nie ma, to też go nie było, No w tym tkwi błąd, Jaki błąd, Zanim półwysep odłączył się od Europy, ona tam była, była granica, rzecz jasna, przechodziło się z jednej strony na drugą, przechodzili Hiszpanie, przechodzili Portugalczycy, przyjeżdżali obcokrajowcy, nigdy nie widział pan u siebie turystów, Czasem, ale tam nie ma co oglądać, To byli turyści z Europy, Ale jeśli mieszkając w Zufre, nigdy nie widziałem Europy, i teraz, kiedy wyjechałem z Zufre, też jej nie widziałem, gdzie jest różnica, Nigdy też nie był pan na Księżycu, a on istnieje, Ale ja go widzę, teraz się trochę gubi, aleja go widzę, Jak się pan nazywa, Zwą mnie Roque Lozano, do usług, Ja nazywam się Pedro Orce, Nazywa się pan tak samo jak pana rodzinna wioska, Nie urodziłem się w Orce, tylko w Venta Micena, to bardzo blisko, Przypominam sobie, że na początku mojej podróży spotkałem dwóch Portugalczyków jadących do Orce,

Kto wie, czy to nie ci sami, Chętnie bym się przekonał, Niech pan pójdzie ze mną i rozwiąże tę zagadkę, Jeśli mnie pan zaprasza, pójdę, podróżuję sam już od tak dawna, Proszę wstawać powoli, żeby pies nie pomyślał, że chce mi pan zrobić coś złego, ja podam panu kij. Roque Lozano wziął tobolek na plecy, pociągnął za sobą osła i wszyscy ruszyli przed siebie, pies obok Pedra Orce, być może zawsze tak powinno być, gdzie jest człowiek, tam jego zwierzę, papuga * siedząca na ramieniu, wąż owinięty wokół ramienia, chrabaszcz na klapie marynarki, skorpion z unieszkodliwionym żądłem, powiedzielibyśmy nawet wesz na głowie, gdyby nie należała do obrzydliwej rodziny pasożytów, które trudno znieść, nawet gdy chodzi o owady, ale przecież biedaczki nie są temu winne, taka była wola boska.

W swym marszu bez celu zapuścili się głęboko w Katalonię. Interes kwitł, wybranie tej gałęzi handlu rzeczywiście było znakomitym pomysłem. Widać teraz mniej ludzi na drogach, co

oznacza, że mimo rotacyjnego ruchu półwyspu ludzie powracają do normalnych zachowań i zwyczajów, o ile takiego określenia powinniśmy użyć w odniesieniu do dawnych zwyczajów i zachowań. Nie natykają się już na opuszczone miejscowości, jednakże lepiej się nie zakładać o to, czy mieszkają w nich ci sami ludzie co poprzednio, zdarzają się mężczyźni z cudzymi żonami i kobiety z innymi mężami, dzieci są pomieszane, zawsze po wielkich wojnach i wielkich migracjach tak się dzieje. Dzisiejszego poranka nagle José Anaię powiedział, że należy coś zdecydować co do przyszłości grupy, skoro zażegnane zostało niebezpieczeństwo zderzenia i wstrząsów. Najpewniej, a przynajmniej jego zdaniem ta hipoteza jest bardzo prawdopodobna, półwysep będzie się kręcić w kółko, nie ruszając się z miejsca, co nie będzie wprowadzać zamieszania w codziennym życiu ludzi, poza tym, że nigdy nie będzie można ustalić kierunków świata, co zresztą nie ma większego znaczenia, nie ma żadnego prawa, które mówi, że nie można żyć bez północy. W końcu już zobaczyli Pireneje, co przysporzyło im wielkiej radości, i morze z tak wielkiej wysokości, To tak, jakbyśmy byli w samolocie, powiedziała Maria Guavaira, i José Anaię poprawił jako człowiek doświadczony, Nie można tego porównywać, wystarczy powiedzieć, że patrząc z okna samolotu, nikt nie ma lęku przestrzeni, a tutaj, jeśli nie będziemy się trzymać z całej siły, z własnej woli rzucimy się w morze. Wcześniej czy później, zakończył José Anaię poranną wypowiedź, będziemy musieli zdecydować coś o naszym przeznaczeniu, przecież na pewno nie mamy zamiaru spędzić w drodze reszty życia. Joaquim Sassa zgodził się, kobiety nie chciały wyrazić swej opinii, podejrzewają, że za tym nagłym pośpiechem coś się kryje, jedynie Pedro Orce nieśmiało wspomniał, że ziemia dalej drży i że jeśli nie jest to znak, że podróż nie dobiegła kresu, to chciałby się dowiedzieć, z jakiego powodu w ogóle ją zaczynali. W innych okolicznościach mądrość argumentu wpłynęłaby na ducha zebranych, ale nie zapominajmy, że rany zadane duszy są głębokie, w przeciwnym razie nie byłyby ranami duszy, teraz cokolwiek powiedziałby Pedro Orce, będzie podejrzany o skryte interesy, oto co można wyczytać z oczu José Anaię, kiedy mówi, Po kolacji każdy z nas

powie, co myśli o tej sprawie, czy powinniśmy dalej żyć tak, jak żyjemy, czy raczej wrócić do domu, a Joana Carda zapytała tylko, Jakiego domu.

Teraz zbliża się Pedro Orce i prowadzi ze sobą jeszcze jednego mężczyznę, z tej odległości wydaje się on stary, dobre chociaż to, bo problemów ze współzyciem mamy wystarczająco dużo.

Mężczyzna ciągnie za sobą osła z derką i jukami, co zwykło się widywać dawniej, ale ten osioł ma bardzo dziwny kolor, jest srebrny, gdyby nazywał się Sre- brzynek, znakomicie pasowałoby do niego to imię, tak jak Rosynant¹⁰, będący raczej perszeronem, zasługiwał na swoje imię. Pedro Orce zatrzymuje się na niewidzialnej linii ograniczającej teren obozowiska, musi dopełnić formalności przedstawienia i zaprezentowania gościa, czego zawsze należy dokonywać z zewnętrznej strony barbakanu, tych zasad nie musimy się uczyć, odzywają się w nas instynkty i niejasne wspomnienia, któregoś dnia chcieliśmy wejść do zamku bez pozwolenia i dostaliśmy nauczkę. Pedro Orce mówi w emfaticznym stylu, Napotkałem owego krajana i przyprowadziłem go, by z nami zupa się pożywił, w słowie krajana jest oczywista przesada, którą można wybaczyć, w tej samej chwili w Europie Portugalczyk z Minho i inny z Alentejo tęsknią za tą samą ojczyzną, a jednak jednego od drugiego dzieli pięćset kilometrów, a teraz dzieli go od niej sześć tysięcy.

Joaquim Sassa i Jose Anaięo nie rozpoznają człowieka, ale już o osle nie mogą powiedzieć tego samego, jest w nim coś rozpoznawalnego i znajomego, i nic w tym dziwnego, osioł nie zmienia się w ciągu kilku miesięcy, podczas gdy człowieka, brudnego i rozczochranego, jeśli zapuścił brodę, jeśli schudł albo przytył, jeśli z kudłatego zrobił się łysy, własna żona musiałaby rozebrać, aby zobaczyć, czy znak szczególny jest na swoim miejscu, czasem już zbyt późno, kiedy wszystko się dokonało i skrucha nie zbierze owoców przebaczenia. Powiedział Jose Anaięo, spełniając obowiązek gościnności, Dzień dobry, niech pan siądzie z nami, a jeśli chce pan rozkulbaczyć osła, to proszę

¹⁰ Imię konia Don Kichota Rosynant pochodzi od hiszpańskiego słowa *rocin*, co oznacza niskiego, silnego konia przeznaczonego do pracy w polu, a więc coś w rodzaju perszerona, albo po prostu chabetę lub szkapę (przyj. tłum.).

bardzo, słomy wystarczy dla niego i dla naszych koni. Bez juków osioł wydał się młodszy, teraz widać było wyraźnie, że został zrobiony z dwóch rodzajów srebra, jednego ciemnego, drugiego jasnego, oba z próbą jakości. Mężczyzna poszedł przywiązać osła, konie kątem oka zerkają na nowo przybyłego i wątpią, że będzie mógł im pomóc, z racji niedoskonałej budowy i problemów przy zaprzęganu. Mężczyzna wrócił do ogniska i zanim przysunął kamień, mający mu służyć za siedzenie, przedstawił się, Nazywam się Roque Lozano, całą resztę wyjaśniają podstawowe techniki narracji, których nie ma potrzeby powtarzać. José Anaięo chciał zapytać, **czy** osioł ma imię, na przykład, czy się nazywa Srebrzynek, ale ostatnie słowa wypowiedziane przez Roque Lozano, które jednak w końcu się powtarzają, Przyszedłem, żeby zobaczyć Europę, uciszyły go, nagle wspomnienie w jego głowie uniosło palec i wyszeptalo, ja znam tego człowieka, dobrze, że zdążyłem na czas, obraźliwe byłoby przywoływanie osła, żeby rozpoznać człowieka. Podobne myśli przebiegały w tej chwili przez głowę Joaquima Sassy, który odezwał się z wahaniem, Odnoszę wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy, ja też, odpowiedział Roque Lozano, przypominacie mi dwóch Portugalczyków, których spotkałem na początku podróży, ale tamci jechali samochodem i nie wzięli ze sobą kobiet, Świat się zmienia, panie Roque Lozano, raz się traci, raz się zyskuje, mogło się zdarzyć, że stracili samochód Dwa Konie i zyskali wóz z dwoma końmi, dwie kobiety i na dodatek jeszcze jednego mężczyznę, odezwała się Maria Guavaira, I może jeszcze coś zyskają, dorzuciła Joana Carda, ani Pedro Orce, ani Roque Lozano nie wiedzieli, o czym mówiła, ale wiedzieli to José Anaięo i Joaquim Sassa, i nie spodobała im się ta aluzja do sekretów ludzkiego organizmu, szczególnie kobiecego.

Dokonano więc rozpoznania, rozwiano wątpiwości, Roque Lozano był tym podróżnikiem spotkanym pomiędzy górami Morena i Aracena, ze swym osłem Srebrzynkiem, zmierzającym do Europy, której w końcu nie zobaczył, ale pozostała intencja, co zawsze nas ocala. A teraz dokąd pan jedzie, zapytała Joana Carda, Teraz do domu, choć ziemia tyle się kręciła, dom został na miejscu. Maria Guavaira zaczęła nalewać zupę do misek, dodała trochę wody, żeby wystarczyło dla wszystkich, zjedli w

ciszy, oprócz psa metodycznie gryzącego kość oraz zwierząt jucznych i pociagowych przeżuujących słomę, czasem słychać było pęknięcie suchego bobu, nie mogą uskarżać się te zwierzęta najedzenie, biorąc pod uwagę obecne trudności.

Jedną z tych trudności, bardziej konkretnych, spróbuje rozwiązać po kolacji rodzinne zebranie, obecność człowieka obcego nie będzie krępująca, wTęcz przeciwnie, zostało tu powiedziane, że Roque Lozano właśnie wraca do domu, a my, co my zrobimy, będziemy wałęsać się bez celu, niczym Cyganie, kupując i sprzedając ubrania, albo wrócimy do domu, do pracy, do regularnego życia, nawet jeśli półwysep nigdy się nie zatrzyma, wszyscy w końcu się przyzwyczajają, tak jak przyzwyczała się ludzkość do życia z Ziemią nieustannie będącą w ruchu, nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, ile musiało kosztować każdego człowieka przyzwyczajenie się do życia na bączku wirującym wokół akwariów z rybą słońcem w środku, Przepraszam, że pana poprawiam, wtrącił się nieznany głos, ale ryba słońce nie istnieje, ryba księżyc tak, ale ryba słońce nie, No dobrze, nie będę się z panem spierał, ale jeśli nie ma, powinna być, Niestety nie można mieć wszystkiego, podsumował José Anaięo, komfort i wolność nie są kompatybilne, to włóczęgowskie życie ma swe dobre strony, ale cztery solidne ściany, z sufitem nad głową, chronią lepiej niż plandeka łopocząca i dziurawa. Powiedział Joaquim Sassa, Na początek zawieziemy Pedra Orce do domu, a potem, zawiesił głos, i nie wiedział, co dalej powiedzieć, wtedy to wtrąciła się Maria Guavaira, powiedziała jasno to, co trzeba było powiedzieć, Dobrze, zostawimy Pedra Orce w aptece, później pojedziemy do Portugalii, José Anaięo zostanie w swojej szkole, w' miejscowości, której nazwy nawet nie znam, potem pojedziemy w kierunku, który kiedyś nazywał się północą, Joana Carda będzie musiała wybrać, czy chce zostać w Ereirze u kuzynów, czy też wrócić w ramiona męża do Coimbry, po załatwieniu tego problemu skierujemy się do Porto, gdzie zostawimy Joaquima Sassę przed drzwiami biura, szefowie już pewnie wrócili z Penafiel, i w końcu ja sama wrócę do swojego domu, gdzie czeka mężczyzna chcący się ze mną ożenić, powie,

że pilnował moich rzeczy, kiedy mnie nie było, Teraz proszę za mnie wyjść, proszę pani, aja złapię płonąca głownię i spalę ten wóz, jakbym paliła marzenia, potem może uda mi się zepchnąć na wodę kamienny okręt i wsiąść na niego.

Taki dyskurs, bez przestanku, zapiera dech w piersiach mówiącego i nie pozwala oddychać słuchającym. Przez chwilę siedzieli wszyscy w milczeniu, w końcu José Anaięo przypomniał, Już płyniemy na kamiennej tratwie, Jest za duża, żebyśmy mogli czuć się marynarzami, odparła Maria Gua- vaira, a Joaquim Sassa zauważył ze śmiechem, Dobrze powiedziane, nie zostaliśmy też astronautami, choć podróżujemy w przestrzeni kosmicznej na kuli ziemskiej. Znowu zapadła cisza, teraz nadeszła pora na Pedra Orce, Zróbmy wszystko po kolei, Roque Lozano może do nas dołączyć, zabierzemy go do rodziny, która pewnie czeka na niego w Zufre, a potem podejmiemy decyzje co do naszego własnego życia, Ale w wozie nie zmieści się jeszcze jedna osoba, powiedział José Anaięo, Nie martwcie się tym, jeśli to jest jedyna przeszkoda, bym mógł wam towarzyszyć, jestem przyzwyczajony do spania pod gołym niebem, wystarczy, że nie będzie padać, a mając wóz, mogę spać pod nim, to tak, jakbym co noc miał dach nad głową, zmęczyła mnie już samotność, jeśli mam być szczery, wyznał Roque Lozano.

Następnego dnia ponownie ruszyli w drogę. Pig i Al burzą się przeciw szczęściu osłów, ten idzie sobie za wozem, słabo przywiązany i trochę odciążony, nagi, tak jak przyszedł na świat, błyskając swą srebrzystą sierścią, jego pan, na koźle, gawędzi z Pedrem Orce o życiu, małżeństwa rozmawiają pod plandeką, pies biegnie przodem, patroluje teren. Nagle, w ciągu kilku chwil, wróciła harmonia. Wczoraj po ostatnich deliberacjach ustalili marszrutę, nic zobowiązującego, chodzi o to, żeby nie jechać w ciemno, po pierwsze trzeba zjechać do Tarragony, później udać się wybrzeżem do Walencji, skrócić w stronę interioru do Albacete, potem do Kordoby, zjechać w dół do Sewilli, i w końcu, za niecałe osiemdziesiąt kilometrów, Zufre, tam zdecydujemy, Tutaj zostaje Roque Lozano, cały i zdrowy wraca ze swych wielkich wojaży, biedny był, biedny wrócił, nie odkrył Europy ani eldorado, nie wszyscy, którzy szukali, znaleźli, ale wina nie zawsze leży po stronie szukającego, ileż to razy nie ma żadnego

bogactwa tam, gdzie przez złośliwość albo niewiedzę kazano nam szukać, potem popatrzymy z boku, jak go przyjmą, kochany dziadku, kochany ojciec, kochany mąż, jaka szkoda, że wróciłeś, myślałam, że zginąłeś na jakimś bezdrożu pożarty przez wilki, nie wszystko można powiedzieć na głos.

Tak więc w Zulfre ponownie zwoła się rodzinną naradę, i teraz dokąd jedziemy, a o nas co powiedzą, kiedy przyjedziemy, dokąd, po co, dla kogo, Kłamiesz już poprzez samo stawianie pytań, skoro znasz na nie odpowiedź, w tak krótkim czasie dwa razy odezwał się nieznanym głosem.

Wirując i kręcąc się ze wschodu na zachód, półwysep zatrzymał się w pół obrotu i zaczął spadać. Dokładnie w tej samej chwili, i to w znaczeniu absolutnie dosłownym, o ile metafory jako nośniki znaczenia mogą być dosłowne, Portugalia i Hiszpania były dwoma krajami wywróconymi do góry nogami. Zostawmy Hiszpanom, którzy zawsze gardzili naszą skromną pomocą, zadanie określenia, najlepiej jak potrafią i zdołają, transfiguracji fizycznej przestrzeni, w której żyją, i powiedzmy jedynie, ze skromną prostotą, która zawsze charakteryzowała podrzędne ludy, że Algarve, kraina na południowym skraju mapy odkąd świat światem, w tym nadzwyczajnym momencie było najbardziej północnym regionem Portugalii. Nieprawdopodobne to, lecz prawdziwe, jak naucza do dziś pewien ojciec Kościoła, nie dlatego, żeby był żywy, wszyscy ojcowie Kościoła już umarli, lecz dlatego, że co chwilę przywołuje się jego nauki i obojętnie się nimi posługuje, dla interesów zarówno boskich, jak i ludzkich. Gdyby los zapragnął, żeby półwysep się zatrzymał na zawsze w tej pozycji, konsekwencje tego faktu, społeczne i polityczne, kulturalne i ekonomiczne, nie zapominając o psychologicznych, na które nie zawsze zwracamy należyta uwagę, konsekwencje więc w swej różnorodności byłyby drastyczne, radykalne, jednym słowem, kosmiczne. Wystarczy przypomnieć na przykład, że słynne miasto Porto zostałoby pozbawione, bez żadnej możliwości odwołania się do topografii i logiki, swego ukochanego tytułu stolicy północy, a jeśli to odwołanie się w oczach niektórych kosmopolitów grzeszy prowincjonalnością i krótkowzrocznością, to niech sobie oni wyobrażą, jak by to było znaleźć się w Mediolanie na południu Włoch, w Kalabrii, która

czerpałaby zyski z handlu i przemysłu północy, przemiana to nie do końca niemożliwa, jeśli weźmiemy pod uwagę to, co wydarzyło się na Półwyspie Iberyjskim.

Lecz była to, jak już powiedzieliśmy, tylko jedna minuta. Spadał półwysep, ale ruch rotacyjny się nie zatrzymał. Jednakowoż, zanim przejdziemy dalej, wypada wyjaśnić, jakie znaczenie należy przypisać w tym kontekście czasownikowi spadać, z całą pewnością nie jego pierwotne znaczenie spadania pod wpływem grawitacji, co dosłownie znaczyłoby, że półwysep zaczął się pogrążyć w oceanie. No cóż, jeśli przez tyle dni żeglugi, nierzadko męczącej i z wiszącym nad głową niebezpieczeństwem katastrofy, nie wydarzyła się taka tragedia ani żadna mna o podobnym wymiarze, byłoby szczytem pecha zakończenie teraz morskiej odysei całkowitym zatopieniem. Choć to przykre, nie mamy już nadziei, że Odyseusz dotrze do plaży na czas, by spotkać tam słodką Nauzykaę, lecz pozwólmy chociaż, by zmęczony żeglarz dotarł jednak do wyspy Feaków, a jeśli nie może to być ta, niech będzie jakakolwiek inna, wystarczy, że złoży głowę na własnym przedramieniu, skoro usłużne kobiece łono nań nie czeka. Uspokójmy się więc. Półwysep, przysięgamy, nie zatapia się w głębinach okrutnego oceanu, gdzie, gdyby zdarzył się taki kataklizm, zniknąłby bez śladu nawet najwyższy szczyt Pirenejów, tak głębokie są to otchłanie. Półwysep spada, tak, nie ma innego sposobu, by to wyrazić, ale na południe, bo w ten sposób dzielimy planisferę, na górną i dolną, na wyższą i niższą, na białą i czarną, mówiąc obrazowo, i powinno powodować pewne zaskoczenie to, że państwa znajdujące się poniżej równika nie używają ułożonych odwrotnie map, co sprawiedliwie pokazałoby świat w sposób odmienny i komplementarny do tego obrazu, który mamy. Lecz wszystkie rzeczy są, jakie są, to ich nieodłączna cecha, i nawet dziecko w szkole w lot chwytą tę naukę, bez zbędnych wyjaśnień, sam słownik synonimów, z taką lekkością pogardzany, potwierdza to nam, w dół się schodzi, spada się, i wielkie mamy szczęście, że ta kamienna tratwa nie zmierza w stronę dna, bulgocząc stoma milionami płuc, mieszając słodkie wody Tagu i Gwadal-kiwiru z gorzką falą niezmiernego morza.

Nie brak tam, nigdy nie brakowało, takich, którzy twierdzą,

że poeci tak naprawdę nie są niezbędni, a ja się pytam, co by było z nami wszystkimi, gdyby poezja nie przysłała nam w sukurs, pomagając zrozumieć, jakże mało jasności posiadają rzeczy, które nazywamy jasnymi. Do tej pory, po zapisaniu tylu stron, materia narracji ograniczała się do opisu oceanicznej podróży, choć niezupełnie banalnej, a nawet w tej dramatycznej chwili, kiedy półwysep wraca na swą trasę, tym razem w kierunku południowym, jednocześnie wirując wokół swej wyobrażonej osi, z pewnością nie potrafilibyśmy wysilić się i wzbogacić zwykłego opisu faktów, gdyby nie pomogła nam inspiracja tego portugalskiego poety, który przyrównał rewolucję i spadanie półwyspu do dziecka, które w brzuchu matki daje pierwszy znak życia. Porównanie jest wspaniałe, choć trzeba by było potępić w nim tendencję do antropocentryzmu, co wszystko postrzega i wszystko ocenia w obowiązkowym związku z człowiekiem, jak gdyby natura nie miała nic innego do roboty, jak myśleć o nas. Byłoby łatwiej wszystko zrozumieć, gdybyśmy wyznali po prostu nasz przeraźliwy strach, ten, który każe nam zaludniać świat obrazami stworzonymi na podobieństwo tego, czym jesteśmy albo czym wydaje nam się, że jesteśmy, chyba że tak obsesyjny wysiłek jest, wręcz przeciwnie, aktem odwagi albo zwykłym uporem kogoś, kto upiera się nie być tam, gdzie jest pustka, i nie nadawać żadnego znaczenia temu, co sensu nie ma. Prawdopodobnie pustka nie może zostać wypełniona przez nas, a to, co nazywamy sensem, jest zaledwie ulotnym zbiorem obrazów, które w pewnym momencie zdają się harmonijne albo w które inteligencja w panice próbowała wprowadzić rozum, porządek, logikę.

Zwykle głos poetów jest głosem nie zrozumianym, co, będąc regułą, posiada jednakowoż wyjątki, czego dowodzi ten liryczny epizod, kiedy to szczęśliwa metafora została opisana na wszystkie możliwe sposoby i powtórzona przez wszystkie usta, z pominięciem wszakże w tym powszechnym entuzjazmie większości wybitniejszych poetów, co też nie powinno dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę, że nie są oni pozbawieni najbardziej ludzkich uczuć, urazy i zazdrości. Jedną z najbardziej interesujących konsekwencji zainspirowanego porównania było odrodzenie się, co prawda w ograniczonym wymiarze z racji

zmian, jakie postęp wniósł do rodzinnego życia, ducha matczyngo, przyływu macierzyństwa, i istnieją uzasadnione przypuszczenia, gdy przyjrzeć się faktom, że Maria Guavaira i Joana Carda były jego prekursor- kami, w sposób naturalny, a nie przez świadome i twarde postanowienie. Kobiety zdecydowanie triumfowały. Ich organy rodne, z przeproszeniem bezpośredniości anatomicznej, były w sumie wyrazem, zarazem zredukowanym i poszerzonym, mechanizmu wydalającego wszechświata, całej tej maszynierii, która poprzez wydobywanie tego, co zdaje się niczym, a co będzie wszystkim, tworzy to nieprzerwane przejście od małego do dużego, od skończonego do nieskończonego. W tym punkcie, dobrze jest to zauważyć, komentatorzy i hermeneuci stracili grunt pod nogami, i nic w tym dziwnego, bo aż za dobrze nauczyło nas doświadczenie, jak bardzo niedostateczne są słowa w chwili, gdy coraz bardziej zbliżamy się do granicy niewypowiedzianego, chcemy powiedzieć miłość, ale nie wystarcza nam słów, chcemy powiedzieć chęć, a mówimy nie mogę, chcemy wymówić ostatnie słowo, a spostrzegamy, że wróciliśmy do początku.

Lecz we wzajemnym oddziaływaniu przyczyn i skutków jeszcze jedna konsekwencja, jednocześnie czyn i czynnik, osłabiła powagę sporów i rzuciła wszystkich ludzi, by tak powiedzieć, w radosne objęcia. Chodzi o to, że w ciągu kilku godzin, nie zważając na przesadę, którą takie stwierdzenia zawsze zawierają, wszystkie albo niemal wszystkie płodne kobiety stwierdziły, że są brzemienne, mimo iż nie zanotowano szczególnych zmian w antykoncepcyjnych praktykach zarówno kobiet, jak i mężczyzn, odnosimy się, rzecz jasna, do mężczyzn, z którymi współżyły, regularnie albo okazjonalnie. W sytuacji, w jakiej się znajdujemy, ludzie już się niczemu nie dziwią. Minęło kilka miesięcy, odkąd półwysep oddzielił się od Europy, przepłynęliśmy tysiące kilometrów po tym gwałtem otwartym morzu, nieomal rozbił się lewian- tan o przerażone wyspy azorskie, ale nie miał się rozbić,

O czym dowiedziano się później, lecz nie wiedzieli o tym mężczyźni i kobiety, którzy z jednej i z drugiej strony byli zmuszeni do ucieczki, wydarzyły się te i wiele jeszcze innych rzeczy, oczekiwanie na słońce po prawej stronie, a pojawienie się

go po lewej, podobnie księżyc, jakby nie wystarczyło mu niestałości, odkąd odłączył się od ziemi, także wiatry wiały ze wszystkich stron i chmury płynęły ze wszystkich stron horyzontu i wirowały nad naszymi olśnionymi głowami, tak, olśnionymi, bo płonął nad nimi żywy ogień, jak gdyby człowiek w końcu musiał przerwać odwieczną, instynktowną włóczęgę i mógł ponownie stanąć, cały i olśniony, w nowo zbudowanym świecie, czystym i o nietkniętym pięknie. Po wydarzeniu się tego wszystkiego, po wyznaniu przez owego portugalskiego poeę, że półwysep jest dzieckiem, które w podróży się poczęło i teraz wierci się w wodach oceanu przed narodzinami, jak gdyby znajdowało się w wodach płodowych macicy, jakiz powód mógłby zaistnieć, by dziwić się, że ludzkie macice także się zapelniły, może zapłodniła je wielka przesuwająca się na południe skała, skąd mamy wiedzieć, czy rzeczywiście będą to ludzkie dzieci, czy też ich ojcem jest gigantyczna dziobnica, pchająca przed sobą fale, penetrująca je, szum wody, podmuch i westchnienie wiatru.

O tym zbiorowym zapłodnieniu podróźni dowiedzieli się z radia, a także z gazet, telewizja też bez przerwy o tym trąbiła, ledwie dopadano kobietę na ulicy, zaraz podsuwano jej mikrofon pod nos, zasypywano ją pytaniami, jak to było i kiedy, i jak da na imię dziecku, biedaczka, z tą pożerającą ją żywcem kamerą, czerwieńiła się, bąkała coś, tylko nie powoływała się na konstytucję, wiedząc, że nie wzięto by jej serio. Wśród pasażerów wozu wyczuwało się nawrót napięcia, w końcu jeżeli wszystkie kobiety na półwyspie były w ciąży, te tutaj nie otwierają ust, żeby powiedzieć coś o sobie, i milczenie jest zrozumiałe, gdyby tylko oznajmiły, że są brzemiennie, Pedro Orce uwzględniłby siebie na liście potencjalnych ojców, a harmonia odbudowana po pierwszym razie, drugiego na pewno by nie przeżyła. Dlatego też Joana Carda i Maria Guavaira pewnego wieczora, kiedy podawały mężczyznom kolację, rzuciły jakby od niechcienia, z żalem w głosie, Wyobraźcie sobie, wszystkie kobiety w Hiszpanii i Portugalii są w ciąży, tylko nie my. Proszę zrozumieć tę chwilę udawania, proszę zrozumieć to, że Jose Anaięo i Joaąim Sassa udają żal mężczyzny, którego męskość jest podawana w wątpliwość przez kobietę, a najgorsze jest to, że insynuacja okaże

się trafiona, bo choć jest prawda, że obie kobiety są w ciąży, prawdą jest też, że nikt nie wie za czyją sprawą. Te wszystkie znaki zapytania nie rozluźniły atmosfery, wraz z upływem czasu okaże się, że Maria Guavaira i Joana Carda jednak były w ciąży, kiedy się tego wypierały, jakich wyjaśnień wtedy udziela, prawda zawsze na nas czeka, zawsze nadchodzi taki dzień, kiedy nie możemy przed nią uciec.

Wyraźnie zakłopotani pojawili się w telewizji premierzy obu krajów, nie żeby było powodem skrępowania mówienie o eksplozji demograficznej, która nastąpi za dziewięć miesięcy, dwanaście albo piętnaście milionów dzieci rodzących się praktycznie w tej samej chwili, krzyczących chórem, półwysep zmieniony w porodówkę, szczęśliwe matki, uśmiechnięci ojcowie, w przypadkach kiedy pewność będzie wystarczająca. W zasadzie można z tej sprawy nawet czerpać korzyści polityczne, wyciągnąć demagogiczną kartę, zaapelować o powagę w imię przyszłości naszych dzieci, rozprawiać o zgodzie narodowej, porównać tę płodność z bezpłodnością reszty zachodniego świata, lecz nie można uniknąć tego, że każdy z nas będzie się rozkoszował myślą, że dla zaistnienia tej eksplozji demograficznej była konieczna eksplozja genetyczna, skoro nikt nie wierzy, że zbiorowe zapłodnienie nastąpiło za przyczyną nadprzyrodzoną. Mówi premier

O przedsięwzięciach sanitarnych, jakie należy wprowadzić w życie, o narodowym planie połoźnictwa, o powołaniu i rozsyłaniu, w odpowiednim czasie, brygad lekarzy i położnych,

1 na jego twarzy malują się sprzeczne uczucia, oficjalna powaga walczy z ochotą roześmiania się, wydaje się, że w każdej chwili może powiedzieć, Portugalczycy i Portugal-ki, wielkie odniesiemy korzyści, mam nadzieję, że przyjemność nie była mniejsza, wszak płodzenie dzieci bez radości ciała to najgorsza z możliwych rzeczy. Mężczyźni i kobiety słuchają, wymieniają uśmiechy, spojrzenia, każdy wie, co w tej chwili wspomina, tamtą noc, tamten dzień, tamtą godzinę, podczas której gnani nagłym impulsem zbliżyli się do siebie i zrobili co trzeba, pod powoli kręcącym się niebem, pod szalonym słońcem, pod księżycem szalonym, pod wirem gwiazd.

Prezydent Ameryki Północnej też przemówił do świata,

powiedział, że pomimo zmiany kursu półwyspu w kierunku nieznanego miejsca na południu, Stany Zjednoczone nigdy nie zrzucą z siebie odpowiedzialności za cywilizację, wolność i pokój, lecz że w obecnej sytuacji narody półwyspu nie mogą liczyć, kiedy znalazły się w rejonie spornych stref wpływów. Nie mogą liczyć, powtarzam, na pomoc taką, jaka na nie czekała, kiedy zdawało się, że ich przyszłość jest nierozzerwalnie związana z narodem amerykańskim. Takie były, mniej więcej, deklaracje złożone w obliczu światowej publiczności. Jednakże, w odosobnieniu owalnego gabinetu, stukając kostkami lodu pływającego w bourbonie, prezydent pewnie powiedział swym doradcom, Jeśli dopłyną do Antarktydy, to będzie koniec naszych zmartwień, dokąd byśmy zaszli z tym światem przechodzącym ze strony na stronę, żadna strategia by tego nie wytrzymała, na przykład bazy, które jeszcze mamy na półwyspie, do czego mogą się nam przydać, chyba tylko po to, żeby strzelać rakietami do pingwinów. Jeden z doradców zauważył wtedy, że nowy kierunek, dobrze się sprawie przyjrząwszy, nie był taki zły, Oni spływają w dół, pomiędzy Amerykę Łacińską i Afrykę, panie prezydencie, Taki kierunek może przynieść korzyści, ale może też zwiększyć brak zdyscyplinowania w regionie, i być może ta myśl zirytowała prezydenta, bo walnął pięścią w stół tak, że podskoczyło na nim uśmiechnięte zdjęcie pierwszej damy. Stary doradca podskoczył ze strachu, powiódł oczyma dookoła i powiedział, Proszę uważać, panie prezydencie, nie wiadomo, jakie konsekwencje może mieć takie uderzenie.

Nie jest to już rozciągnięta wola skóra, lecz ogromny kamień o kształcie tych krzemiennych przedmiotów, które służyły prehistorycznym ludziom, obrobiony cierpliwym uderzaniem, aż przekształcił się w narzędzie pracy, część górna jest obła, aby zmieścić się w garści, dolna zaostrzona, aby służyć przy rozdieraniu, kopaniu, cięciu, zaznaczaniu, rysowaniu, a także, bo do dziś nie nauczyliśmy się unikać tej pokusy, ranieniu i zabijaniu. Półwysep zaprzestał swego wirującego ruchu, teraz spada pionowo w kierunku południowym, pomiędzy Afryką i Ameryką Środkową, jak powinien powiedzieć doradca prezydenta, i jego kształt, niespodziewanie dla kogoś, kto jeszcze ma przed oczyma i na mapie jego dawne usytuowanie, wydaje się

bliźniaczo podobny do kontynentów z obu stron, widzimy Portugalie i Galicję na północy, zajmujące całą szerokość półwyspu, od zachodu na wschód, potem robi się on coraz węższy, jeszcze z wybrzuszeniem po lewej, to Andaluzja i Walencja, po prawej wybrzeże kantabryjskie i, na tej samej linii, mur Pirenejów. Kamiennym szpicem, tnącym dziobem, jest przylądek Creus, przywiedziony ze śródziemnomorskich wód do tych otwartych mórz, tak daleko od rodzinnego nieba, on, który był sąsiadem Cerbère, tego małego, francuskiego miasteczka, o którym tyle mówiono na początku tego opowiadania.

Spada półwysp, ale powoli. Uczni, choć jeszcze z wielką ostrożnością, przewidują, że ruch niebawem się zakończy, przekonani co do powszechnie obowiązującej, oczywistej reguły, że skoro wszystko znajduje się w ciągłym ruchu, to poszczególne elementy kiedyś muszą się zatrzymać, a przykładem tego aksjomatu jest ludzkie życie, bogate, jak powszechnie wiadomo, w możliwości porównawcze. Po takim naukowym obwieszczeniu narodziła się gra stulecia, myśl, która zrodziła się praktycznie wszędzie w tym samym czasie, a która polegała na zawieraniu podwójnych zakładów co do chwili i miejsca, w którym nastąpi zatrzymanie ruchu, podajmy przykład, aby lepiej zrozumieć, zakładający się stawia na godzinę siedemnastą minut trzydzieści trzy

i czterdzieści dziewięć sekund czasu lokalnego, i dzień, miesiąc i rok oraz położenie geograficzne, przy którym ogranicza się do wskazania południka, w stopniach, minutach i sekundach, biorąc pod uwagę położenie wspomnianego już przylądka Creus. Gra toczyła się o tryliony dolarów, a jeśli komuś udałoby się trafić w oba rezultaty, to znaczy dokładna chwila i dokładne położenie, co wedle rachunku różniczkowego było praktycznie niemożliwe, taka osoba zostałaby posiadaczem największej fortuny, jaką kiedykolwiek udało się zgromadzić na powierzchni ziemi, a ta widziała już przecież ich niemało. Rzecz rozumiała, że nigdy nie było straszniejszej gry niż ta, bo z każdą upływającą minutą, z każdą przebytą milą zmniejsza się liczba potencjalnych zwycięzców, jednak niektórzy obstawiają po raz drugi, zwiększając w ten sposób i tak już astronomiczną sumę nagrody. Oczywiście nie wszyscy ludzie są w stanie zgromadzić

pieniądze, by obstawić na nowo, oczywiście wielu z nich nie widzi innego wyjścia z ruiny, w jakiej się znaleźli, niż samobójstwo. Półwysep splywa na południe, zostawiając za sobą ślad trupów, za co nie ponosi winy, podczas gdy w brzuchach jego kobiet rosą miliony dzieci, które niewinnie spłodził.

Pedro Orce chodzi niespokojny, poruszony. Niewiele mówi, spędza całe godziny poza obozem, wraca wykończony i nic nie je, towarzysze pytają go, czy nie jest chory, a on odpowiada, Nie, nie jestem chory, i nic więcej nie wyjaśnia. Tych niewiele słów, jakie wypowiada, rezerwuje dla Roque Lozano, zawsze gawędzą o swoich wioskach, jakby nie istniał żaden inny temat. Pies wszędzie za nim chodzi, widać, że niepokój człowieka udzielił się psu, wcześniej tak spokojnemu. José Anaię powiedział do Joany Cardy, Jeśli mu się wydaje, że powtórzyce historię biednego, samotnego faceta i kobiety pocieszającej, przynoszącej ulgę przepelnionym gruczołom, jest w błędzie, a ona odpowiedziała uśmiechem bez radości, Ty jesteś w błędzie, jeśli coś trapi Pedra Orce, to na pewno nie to, No to co, Nie wiem, ale gwarantuję ci, że nie chodzi o to, że znowu nas pożąda, kobiety nie myślą się w tych sprawach, No to powinniśmy z nim porozmawiać, zmusić go do wyznania, może rzeczywiście jest chory, Może, ale nawet to nie jest pewne.

Zdążają wzdłuż Sierra de Alcaraz, dzisiaj zatrzymają się w okolicach wioski zwanej, według mapy, Bienservida, Do-brzezaopatrzona, przynajmniej w nazwę. Siedząc na kozle, Pedro Orce mówi do Roque Lozano, stąd, gdzie jesteście, niewiele kilometrów zostało do prowincji Granada, gdybyśmy tam chcieli pójść. Do mojej wioski jest jeszcze daleko, Dojedzie pan do niej, Dojadę, ale chciałbym wiedzieć, czy będzie warto, Takich rzeczy dowiadujemy się potem, niech pan trzepnie gniadego, bo zwalnia. Roque Lozano potrząsnął lejcami, dotknął końcówką bata zadu konia, jakby pieszczotliwie, i Pig natychmiast wyrównał krok. Wewnątrz wozu jadą małżeństwa, rozmawiają po cichu i mówi Maria Guavaira, Może on chciałby już znaleźć się w domu, ale nie chce przyznać się do tego, obawia się nas urazić, Może chodzić o to, zgodził się Joaquim Sassa, powinniśmy z nim szczerze porozmawiać, że rozumiemy i że się nie gniewamy, przecież nikt nikomu niczego nie przysięgał na całe życie, jesteśmy

przyjaciółmi i zostaniemy przyjaciółmi, któregoś dnia przyjedziemy tu do niego w odwiedziny, Oby to nie było nic poważniejszego, wyszeptła Joana Carda, Masz jakiś inny pomysł, Nie, nie mam, to tylko przecucie, Jakie przecucie, zapytała Maria Guavaira, Pedro Orce umrze, Wszyscy kiedyś umrzemy, Ale on będzie pierwszy.

Bienservida leży z dala od głównej drogi. Pojechali tam pohandlować, kupili trochę żywności, odnowili zapas wody, a ponieważ jeszcze było wcześnie, wrócili na drogę. Jednakże nie zajechali daleko. Niebawem natrafili na kaplicę, zwaną Turruchel, znakomite miejsce, aby zatrzymać się na noc, tam stanęli. Pedro Orce zszedł z kozła, wbrew zwyczajowi pospieszyli mu z pomocą José Anaięo i Joaquim Sassa, którzy wyskoczyli z wozu, gdy tylko się zatrzymał, i Pedro spytał, przytrzymując ich dłonie, O co chodzi, przyjaciele, jeszcze nie jestem inwalidą, nie zauważył, że słowo przyjaciele sprawiło, że natychmiast ich oczy wypełniły się łzami, mimo że w sercach skrywają ból nieufności, ale przyjmują w ramiona wspierające się na nich zmęczone ciała, pomimo wszystkich dumnych deklaracji kiedyś musi przyjść taki dzień, w którym duma staje się tylko słowami. Pedro Orce stawia stopy na ziemi, robi kilka kroków i zatrzymuje się z wyrazem przestrachu na twarzy, w całej postawie, jakby unieruchomiło go i oślepiło intensywne światło, Co się stało, zapytała Maria Guavaira, podchodząc, Nic, to nic, Źle się czujesz, zapytała Joana Carda, Nie, to co innego. Schylił się, przyłożył do ziemi obie dłonie, potem zawołał Stałego, położył mu dłoń na łbie, przesunął palcami wzdłuż kręgosłupa aż do ogona, pies się nie poruszał, przywierał do ziemi, jakby chciał w niej zagrzebać łapy. Teraz Pedro Orce rozciągnął się na ziemi, siwa głowa spoczywa na kępie trawy, wśród której kwitną kwiatki w porze, która powinna być zimą, Maria Guavaira i Joana Carda uklękły obok niego, chwyciły go za ręce, Co się dzieje, boli cię coś, bolało go coś, i to bardzo, o ile to właśnie wyrażała jego twarz, szeroko otwierał oczy i wpatrywał się w niebo, w przepływające chmury, aby je zobaczyć Maria Guavaira i Joana Carda nie musiały spoglądać w górę, przesuwały się z wolna w źrenicach Pedra Orce, niczym światła ulic Porto w oczach psa, tak dawno temu, i teraz są razem, zebrani, plus

Roque Lozano, który ma doświadczenie w kwestiach życia i śmierci, pies zdaje się zahipnotyzowany spojrzeniem Pedra Orce, przygląda mu się ze spuszczoneym łbem i zjeżoną sierścią, jakby miał się zmierzyć ze wszystkimi watahami świata, i wtedy Pedro Orce powiedział powoli, cedząc słowa, Już jej nie czuję, ziemi, już jej me czuję, jego oczy pociemniały, szara chmura w kolorze ołowiu przepływała po niebie powoli, bardzo powoli, Maria Guavaira zamknęła powieki Pedra Orce, powiedziała, Nie żyje, to wtedy zbliżył się pies i wrzasnął, skoro mówi się, że ludzie wyją.

Człowiek umiera, i co potem. Płacze czwórka jego przyjaciół, nawet Roque Lozano, choć to znajomość świeżej daty, wściekle trze oczy zaciśniętymi pięściami, pies wrzasnął tylko raz, teraz stoi obok ciała, niebawem się położy i złoży ogromny łeb na piersi Pedra Orce, Trzeba się zastanowić i zdecydować, co zrobimy z ciałem, mówi José Anaięo, Zabierzemy je do Bienservidy, zgłosimy władzom, nic więcej nie możemy dla niego zrobić, i Joaquim Sassa przypomniał, Powiedziałeś mi kiedyś, że grób poety Machado powinien znajdować się pod dębem, zróbmy tak z Pedrem Orce, ale Joana Carda miała ostatnie słowo, Ani Bienservida, ani dąb, zawieziemy go do Venta Micena, pogrzebiemy go tam, gdzie się urodził.

Jedzie Pedro Orce na swym poprzecznym sienniku. Obok niego siedzą kobiety, trzymają go za zimne ręce, te same, które niecierpliwie ledwie zdołały poznać ich ciała, a na kozłach siedzą mężczyźni, Roque Lozano powozi, konie myślały, że już będą odpoczywać, a tu dalej trzeba maszerować i do tego w nocy, nigdy wcześniej nic takiego im się nie zdarzyło, być może gniady przypomni sobie jakąś inną noc, a może spał wtedy i śniło mu się, że został na polu z posmarowaną raną, że przyszła po niego kobieta i mężczyzna z psem, uwolnili go z pęt, nie wiedział, czy tam zaczynał się sen, czy kończył. Pies idzie pod wozem i pod Pedrem Orce, jak gdyby go niósł, tak mocno ściska go w gardle. Wiozą zapaloną latarnię, zawieszoną na stelażu plandeki, z przodu. Mają jeszcze przed sobą ponad sto pięćdziesiąt kilometrów.

Konie czują śmierć, nie potrzebują innego bata. Nocna cisza jest tak gęsta, że ledwie słyhać skrzypienie kół wozu na

nierównych starych drogach, a i koński klus jest przytłumiony, jakby konie miały obwiązane szmatami kopyta. Nie będzie księżyc. Podróżują pośród mroku, to apagón, negrum, pierwsza noc, zanim zostało powiedziane, Niech się stanie światłość, cud nie był wielki, wszak Bóg wiedział, że dzienna gwiazda musi narodzić się za dwie godziny. Od samego początku podróży Joana Carda i Maria Guavaira płaczą. Temu mężczyźnie, który tu leży, litościwie oddały swe ciała, własnymi rękoma przyciągnęły go do siebie, pomogły mu, i być może jego dziećmi są płody kształtujące się w brzuchach wstrząsanych łkaniem, mój Boże, mój Boże, jakże wszystkie rzeczy świata tego są ze sobą powiązane, a nam się wydaje, że zwiążemy albo przetniemy, kiedy tylko będziemy chcieli, z naszej wolnej woli, oto największy z błędów, a tyle razy dano nam przykład czegoś wręcz przeciwnego, kreska na ziemi, stado szpaków, kamień rzucony w morze, skarpetka z niebieskiej włóczki, czy ślepcom to pokazujemy, czy do głuchych przemawiamy.

Niebo jeszcze było ciemne, kiedy dojechali do Venta Mi- cena. Przez całą drogę, przez niemal trzydzieści mil, nie spotkali żywego ducha. I Orce, pogrążone we śnie, było miastem duchów, domy, niczym ściany labiryntu, zamknięte okna i drzwi, zamek o siedmiu wieżach wznoszących się nad dachami zdawał się eterycznym zjawiskiem. Latarnie na ulicach drżały niczym gwiazdy przed zgaśnięciem, drzewa na rynku, zredukowane do pnia i grubych konarów, mogły być pozostałością skamieniałego lasu. Przejechali przed apteką, tym razem nie musieli się zatrzymywać, wskazówki jeszcze brzmiały świeżo w pamięci, Jedźcie prosto, w kierunku Marii, trzy kilometry, licząc od ostatnich domów, jest mały most, a obok drzewo oliwne, niedługo tam przyjdę. Już przyszedł. Za ostatnim zakrętem wyłonił się cmentarz, białe muiy, ogromny krzyż. Brama była zamknięta, musieli ją wyważyć. José Anaięo poszedł po łom, wsunął go pomiędzy skrzydła bramy, ale Maria Guavaira złapała go za ramię, nie pogrzebiemy go tutaj. Wskazała białe wzgórze po strome Cova dos Rosáis, tam, gdzie znaleziono czaszkę najstarszego Europejczyka, tego, co to żył przed ponad milionem lat, i powiedziała, Tam jest dobre miejsce, sam pewnie by je wybrał. Pojechali wozem, dopóki się dało, konie ledwie

powłóczyły nogami, sunęły kopytami po luźnym piachu. W Venta Micena nie mieszka nikt, kto mógłby przyjść na pogrzeb, wszystkie domy zostały porzucone, niemal wszystkie popadły w ruinę. Na horyzoncie ledwie można dostrzec zaiys gór, tych, na które Człowiek z Orce patrzył, kiedy umierał, jeszcze jest noc, Pedro Orce nie żyje, w jego oku została tylko szara chmura, nic więcej.

Kiedy wóz nie mógł już dalej jechać, trzech mężczyzn wyciągnęli ciało. Maria Guavaira przytrzymuje z jednej strony, Joana Carda ma w ręku kij z wiązu. Wchodzą na jakieś wzgórze, łyse na szczycie, ze spalonej słońcem ziemi wznoszą się tumany kurzu, piach się obsuwa, ciało Pedra Orce kołysze się, zsuwa i ciągnie za sobą tragarzy, ale udaje im się wtasz- czyż je na szczyt, kładą je na ziemi, są złani potem, biali od pyłu. Roque Lozano wykopie grób, poprosił, by pozwolono mu wykonać tę pracę, ziemia jest sypka, łom służy za motykę, dłonie za łopatę. Niebo na wschodzie jaśnieje, niewyraźny zarys gór staje się czarny. Roque Lozano wychodzi z dołu, otrzepuje dłonie, klęka i wsuwa je pod ciało, José Anaięo przytrzymuje Pedra Orce pod ramiona, za stopy trzyma go Joa- quim Sassa i powoli spuszcza go do ziemi, grób nie jest głęboki, jeśli kiedyś antropolodzy wrócą w te okolice, nie będą mieli kłopotów z jego znalezieniem, powie Maria Dolores, Oto czaszka, i szef brygady wykopalisk rzuci na nią okiem, Takich mamy dużo, nie jest nam potrzebna. Przysypali ciało, wyrównali ziemię, aby nie było żadnych śladów, ale musieli odciągać psa, który pazurami chciał rozkopać grób. Potem Joana Carda wbiła w ziemię wiązowy kij w miejscu, gdzie spoczywała głowa Pedra Orce. To nie krzyż, co wyraźnie widać, nie jest to nagrobny symbol, to tylko kij, który utracił posiadane wcześniej właściwości, ale może jeszcze spełnić tę prostą funkcję, stać się zegarem słonecznym na wypalonym słońcem pustkowiu, być może stanie się drzewem, jeśli suchy kij jest w stanie czynić cuda, wypuścić korzenie, uwolnić z oczu Pedra Orce szarą chmurę, jutro spadnie deszcz na te pola.

Półwysep się zatrzymał. Podróźni odpoczną tutaj tego dnia, następnej nocy i następnego poranka. Pada, kiedy znowu ruszają w drogę. Zawołali psa, który przez cały ten czas nie oddalił się od grobu, ale nie przyszedł, zawsze tak jest, powiedział José Anaięo,

psy nie chcą zostawić swego pana, czasem nawet zdychają. Mylił się. Pies Ardent łypnął okiem na José Anaiça, po czym spokojnie się oddalił, ze spuszczoneym łbem. Nigdy więcej go nie widzieli. Podróż dalej trwa. Roque Lozano zostanie w Zufre, zastuka do swych drzwi, Wróciłem, to jego historia, ktoś pewnie będzie chciał ją kiedyś opowiedzieć. Pozostali, mężczyźni i kobiety, pójdą swoją drogą, jaka czeka ich przyszłość, jaki czas, jakie przeznaczenie. Wiązowy kij zazielenił się, może zakwitnie w przyszłym roku.